

Przez trzydzieści lat **udawał** kuzyna angielskiej królowej
i spadkobiercę rodu Rockefellerów. Przez **piętnaście lat** jego żona
nie wiedziała, kim jest najbliższy jej człowiek

**POZNAJ
KULISY
NAJDŁUŻSZEGO
OSZUSTWA
W DZIEJACH**

MARK SEAL

**DZIWNY PRZYPADEK
ROCKEFELLERA**

**Zdumiewająca kariera
i spektakularny upadek seryjnego oszusta**

Mark Seal

DZIWNY PRZYPADEK ROCKEFELLERA

Zdumiewająca kariera i spektakularny upadek
seryjnego oszusta

tłumaczenie Tomasz Bieroń

znak *litera
nova*

Kraków 2012

Tytuł oryginału
*The Man in the Rockefeller Suit. The astonishing rise and
spectacular fall of a serial impostor*

Copyright © Mark Seal 2011

Copyright © for the translation by Tomasz Bieroń 2012

Projekt okładki
Magda Kuc

Opieka redakcyjna
Alicja Gaładziej Ewa Polańska Artur Wiśniewski

Adiustacja
Ewa Polańska

Korekta
Barbara Gąsiorowska

Projekt typograficzny
Irena Jagocha Daniel Malak

Łamanie
Piotr Poniedziałek

skan i opracowanie elektroniczne
lesiojot

ISBN 978-83-240-1707-2

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak,
30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
691962519

Wydanie I,

Kraków 2012

Jak zawsze dla Laury - z całą moją miłością

Przedmowa

Książka ta jest owocem prawie dwustu rozmów z ludźmi, którzy w Niemczech i różnych stanach Ameryki spotkali na swojej drodze enigmatycznego człowieka, od pewnego momentu swego życia przedstawiającego się jako Clark Rockefeller, często zmieniającego przebrania i tożsamości.

Wszystkie fakty pochodzą z rozmów autora, raportów policyjnych, protokołów sądowych oraz relacji telewizyjnych i prasowych.

W niektórych przypadkach dane osobowe zostały zmienione na życzenie zainteresowanych.

Rekonstrukcje wydarzeń lub poglądów postaci opierają się na informacjach uzyskanych ze wspomnianych rozmów, raportów policyjnych, protokołów sądowych oraz relacji telewizyjnych i prasowych.

PROLOG

Niedziela 27 lipca 2008

Plan był niezawodny, trasa przeciwczona, obsada skompletowana, sekwencja zdarzeń dokładnie opracowana. Na zewnątrz spokojny, lecz z przyspieszonym tętnem, nareszcie był gotów do realizacji tego, co od miesiący starannie planował.

Pokonał długą drogę, zanim trafił do tego elitarnego miejsca, do pokoju na czwartym piętrze bostońskiego Algonquin Club, bastionu tradycji w najbardziej arystokratycznym mieście Ameryki, od 1886 roku ulubionego miejsca spotkań prezydentów USA, głów państw i arystokratów z Bostonu i całego kraju. Był tu zakorzeniony, jako członek zarządu i częsty bywalec pełnych przepychu sal klubu z wysokimi sufitami, obrazami godnymi muzealnych ścian i personelem w uniformach, ludźmi, których dobrze znał i lubił. Nazywał się James Frederick Mills Clark Rockefeller - Clark dla znajomych, ale pan Rockefeller dla reszty świata.

„Dzień dobry, panie Rockefeller”, mówili kelnerzy, kiedy zasiadał do śniadania czy lunchu w reprezentacyjnej jadalni z czterema kominkami i wspaniałym widokiem na Commonwealth Avenue. Albo: „Dobry wieczór, panie Rockefeller”, kiedy przynosili mu wieczorną sherry do wyłożonej od podłogi do sufitu książkami biblioteki z portretami dawnych klubowiczów, do których grona zaliczali się prezydent Calvin Coolidge i istne Who is who amerykańskich dygnitarzy. W wieku czterdziestu siedmiu lat był mocno osadzonym ogniwem najbardziej legendarnej rodziny w kraju wywodzącej swoje korzenie od Johna

D. Rockefellera, który założył Standard Oil i stworzył dynastię filantropów.

Słoneczne z reguły oblicze Clarka Rockefellera przesłoniła ostatnio chmura. To tłumaczyło, dlaczego nie tylko jadał, ale również mieszkał w Algonquin, który dawał swoim członkom schronienie nie tylko przed burzliwym światem zewnętrznym, ale także przed takimi bolesnymi i niefortunnymi wydarzeniami jak separacja czy - w przypadku Rockefellera - rozwód. Tego dnia miał jednak powody do radości. Zamierzał go bowiem spędzić ze swoją przeuroczą córeczką Reigh, kochaną i nad wiek bystrą siedmiolatką, na którą mówił Snooks.

Było słoneczne niedzielne przedpołudnie, a on włożył w tym dniu swój zwyczajowy strój: znoszone spodnie khaki, błękitną koszulkę Lacoste z wyszytym na sercu krokodylem, buty żeglarskie Top-Sider (jak zawsze bez skarpetek) i czerwoną czapkę bejsbolową z napisem „YALE”. Poprawił okulary w grubych czarnych oprawkach, niektórym przywodzące na myśl Nelsona Rockefellera, wyszedł ze swojego pokoju i podążył na dół szerokimi, wykładanymi drewnem schodami. Przeszedł przez pachnący pastą do podłogi i skórą hol, by wkroczyć do okazałego foyer, gdzie czekała na niego Snooks wraz z beznamiętnym pracownikiem socjalnym, który miał pełnić funkcję przyzwoitki podczas ośmiogodzinnej wizyty. Choć była żona Rockefellera Sandra mieszkała zaledwie kilka ulic dalej, stosowała się do orzeczenia sądu i dostarczała córkę za pośrednictwem pracownika socjalnego.

- Cześć, tatusiu! - zawołała Snooks i podbiegła, żeby go uściskać.

Jak na swoje siedem lat była niska, miała obcięte na pazia blond włosy, przekorny uśmiech, a na sobie sukienkę na ramiączkach. Koło południa Rockefeller wziął ją na barana i ruszył w stronę Boston Common, gdzie planowali popływać łódkami w kształcie łabędzi w ogrodzie botanicznym. „Dzień dobry, panie Rockefeller”, mówili mu ludzie, kiedy ich mijał, był bowiem dobrze znany w dzielnicy Beacon Hill, gdzie mieszkał od

lat w trzypiętrowej, porośniętej bluszczem kamienicy za 2,7 miliona dolarów, położonej przy jednej z najlepszych ulic w mieście. To było, zanim Sandra wciągnęła go w bolesny i upokarzający rozwód i wzięła nie tylko kamienicę w Beacon Hill, ale także ich drugi dom w New Hampshire. Uzyskała również prawo do opieki nad Snooks i zabrała ją aż do Londynu, swojego obecnego miejsca pracy, a on musiał się zadowolić zaledwie trzema ośmiogodzinnymi spotkaniami z córką rocznie pod nadzorem sądowym. Dzisiejsze spotkanie było pierwsze i jego córce towarzyszył Howard Yaffe, pracownik socjalny, który włócił się za nimi jak skrzypiące trzecie kółko.

Ale Clark Rockefeller zachował nazwisko, inteligencję, wyjątkową kolekcję sztuki wycenianą na blisko miliard dolarów, wpływowych przyjaciół i cenne członkostwo w klubie nad morzem, dzięki czemu mógł trzymać się z daleka od mieszczańskich hoteli i restauracji. Chociaż stracił Snooks, sąd przyznał mu 800 000 dolarów, a dzisiaj była z nim jego ukochana córeczka.

Skreślił w Marlborough Street, wysadzaną drzewami aleję, przy której Teddy Kennedy miał kiedyś jedną ze swoich rezydencji. Paręset metrów dalej stał przy krawężniku czarny SUV. Za kierownicą siedział Darryl Hopkins, szofer limuzyny, któremu szczęście nie sprzyjało aż do dnia, kiedy podwiózł w deszczu członka rodu Rockefellerów. Poprzedniego lata jeździł po Bostonie i zauważył dystyngowanego dżentelmena - przemoczonego do suchej nitki i ubranego tak, jakby przed chwilą pływał żaglówką - który usiłował złapać taksówkę. Hopkins zatrzymał się z piskiem opon i zaproponował, że go podwiezie. Od tej pory Hopkins i jego szacowny pasażer stanowili niemal nierozłączny duet. Rockefeller nie miał prawa jazdy, a ciągle potrzebował dokąś pojechać, i Hopkins zawsze był do jego dyspozycji.

Pana Rockefellera cechowały pewne osobliwości, których szofer spodziewał się u bardzo bogatych ludzi. Mówił z akcentem typowym dla bogaczy ze Wschodniego Wybrzeża, jakby cierpiał

na szczękościsk, i ubierał się wyłącznie w uniform białej protestanckiej arystokracji pochodzenia anglosaskiego: niebieskie blezery i jedwabne krawaty albo ascoty, chyba że tak jak tego dnia chodził w spodniach khaki i koszulce polo. Zanim żona i córeczka Rockefellera wyjechały do Londynu, Hopkins zawoził Snooks do Southfield, ekskluzywnej prywatnej szkoły dla dziewcząt w Brookline, i przyjeżdżał po nią po lekcjach.

Ten dzień był trochę nietypowy. Rockefeller powiedział wcześniej Hopkinsowi, że on i Snooks umówili się na przejażdżkę jachtem w Newport z synem Lincolna Chafee, byłym senatorem z Rhode Island, który uchodził za „republikanina od Rockefellerów”. Dodał jednak, że jest pewien problem - przyklepny przyjaciel rodziny, którego trzeba będzie się pozbyć, zanim wsiądą do limuzyny. Zaproponował Hopkinsowi 2500 dolarów za pomoc.

Parę minut po 12.00 Hopkins, który zaparkował na Marlborough Street, zobaczył ich idących spacerowym krokiem w stronę limuzyny, krótką trzyosobową paradę - Rockefeller ze Snooks na barana, a za nimi szczupły mężczyzna w średnim wieku w dżinsach i jasnożółtej koszulce polo.

Kiedy zbliżali się do samochodu, Rockefeller postawił Snooks na ziemi i zatrzymał się, żeby pokazać wyjątkowo piękną zabytkową kamienicę. Kiedy Yaffe odwrócił się w stronę tego cudu architektury, potomek słynnego rodu zaatakował go od tyłu w stylu rugbyisty i obalił na ziemię.

Hopkins zapalił już silnik, kiedy Rockefeller szybkim ruchem otworzył tylne drzwi, krzyknął do swojej córki „Wsiadaj!”, wepchnął ją na siedzenie - z taką siłą, że lalka wypadła jej z rąk - i wskoczył w ślad za nią.

Kiedy Rockefeller zamykał już drzwi, Yaffe podniósł się z ziemi, chwycił za klamkę i próbował wsiąść. „Jedź, jedź, jedź!”, rozkazał Rockefeller i Hopkins nacisnął pedał gazu. Pracownik socjalny dał się wlec kilka metrów, po czym puścił klamkę, uderzył głową w bok samochodu i runął na chodnik.

W limuzynie Snooks wyła i trzymała się za głowę, którą

uderzyła o framugę drzwi, kiedy ojciec wepchnął ją do środka.

- Co się stało? - spytał Hopkins, zerkając w lusterko wsteczne. - Uderzyłaś się w głowę?

- Nie uderzyłam się, tylko walnęłam - odparła dziewczynka.

- Ale przynajmniej pozbyliśmy się Harolda - stwierdził Rockefeller, mając na myśli Howarda Yaffe.

- Wiem, tatusiu - powiedziała Snooks, która uspokoiła się i przestała płakać.

Rockefeller pilotował Hopkinsa: „Skręć w prawo, teraz w lewo, teraz w prawo, w lewo”, aż znaleźli się kolo taksówki zaparkowanej pod sklepem wielobranżowym White Hen Party na Beacon Hill.

- Zatrzymaj się tutaj! - zawołał Rockefeller. Plany związane z Newport uległy zmianie, zakomunikował. Chce zabrać córkę do szpitala na kontrolę głowy i weźmie taksówkę. - Czekaj na mnie na parkingu Whole Foods - polecił i rzucił na przednie siedzenie kopertę z pieniędzmi.

W taksówce Rockefeller skierował taryfiarza nie do szpitala, lecz do bostońskiego ośrodka żeglarskiego. Kilka minut później on i Snooks wsiadali na tył białego SUV-a marki Lexus. Za kierownicą siedziała Aileen Ang, trzydziestoletnia Amerykanka pochodzenia azjatyckiego, nauczycielka gry na fortepianie i flecie i projektantka stron internetowych. Poznała Rockefellera rok wcześniej na wieczorku w ośrodku żeglarskim. Odebrała go jako ekscentryka, co nie było dla niej zaskoczeniem w świetle jego rodowodu, a potem poznali się bliżej, ale pozostali na wyłącznie przyjacielskiej stopie.

Niedawno powiedział jej, że zamierza popłynąć z córką dookoła świata swoim nowym dwudziestodwumetrowym jachtem. Zaprosił Ang, mówiąc, że mogłaby uczyć Snooks gry na pianinie. Dwa dni temu, kiedy Ang była w kinie, zadzwoniła jej komórka. Odsłuchiwała później wiadomość na poczcie głosowej nagraną przez Clarka: „Jesteś gotowa wyruszyć w podróż dookoła świata?”.

Oddzwoniła i powiedziała, że nie może z nim popłynąć.

Trudno, odparł, ale czy mogłaby go zawieźć do Nowego Jorku, gdzie cumuje jego jacht? Oczywiście zapłaciłby jej za benzynę i stracony czas, w sumie 500 dolarów. Aileen wiedziała, że Clark nie umie prowadzić, i zgodziła się.

W niedzielę czekała w samochodzie pod ośrodkiem żeglarskim. Rockefeller i jego córka podbiegli i wśliznęli się na tylne siedzenia.

- Jeśli pozwolisz, to będę siedział z tyłu, bo Snooks boli głowa i chcę się nią zaopiekować - powiedział.

Ang zapaliła silnik.

- Dokąd jedziemy, tatusiu? - spytała Snooks.

- Na nasz nowy jacht - wyjaśnił.

Potem ojciec i córka położyli się na tylnym siedzeniu. Kiedy Ang wjechała na Rhode Island, Rockefeller przesiadł się do przodu i spytał, czy może skorzystać z jej komórki. Gdy później wzięła ją do ręki, zobaczyła, że Rockefeller wyłączył urządzenie.

Padał ulewny deszcz i wszędzie trafiali na straszne korki, więc podróż wydłużyła się do prawie siedmiu godzin. W pewnym momencie Ang włączyła komórkę i zobaczyła, że ma cztery wiadomości.

- Zostaw ją - polecił Rockefeller.

Posłusznie wyłączyła komórkę. Słyszała, jak Rockefeller i Snooks rozmawiają, grają w różne gry i śpiewają piosenki.

- Za bardzo cię kocham, tatusiu - powiedziała w pewnym momencie Snooks.

Kiedy wjeżdżali do Nowego Jorku, Clark skierował Ang w stronę 42nd Street i Sixth Avenue, gdzie planował wziąć taksówkę i pojechać ze Snooks na Long Island do przystani jachtowej. Ang stanęła w korku koło dworca centralnego i zanim zdążyła zjechać na bok, powiedział:

- Wsiądę tutaj i złapię taksówkę.

Rzucił na przednie siedzenie kopertę z pieniędzmi, wziął córkę i wysiadł bez słowa pożegnania.

Odprowadzając ich wzrokiem, Ang włączyła komórkę. Prawie natychmiast zadzwoniła.

- Jak ma na imię ten pani Rockefeller? - spytał rozmówca.
- Clark - odparła zbulwersowana Ang.
- Właśnie uprowadził swoje dziecko i uderzył pracownika socjalnego. Szukają go w całym Massachusetts. Ogłoszono bursztynowy alarm.
- Właśnie wysiedli z mojego samochodu! Co mam zrobić?
- Zadzwoń na policję!

Kilka godzin wcześniej oszołomiony Howard Yaffe usiadł na chodniku w Bostonie. Biodro, podbródek, ramię i kolano miał posiniaczone i krwawiące, a głowa mu pękała. Zdołał wyjąć komórkę i wykręcić 911. „Ojciec właśnie uprowadził swoje dziecko!” - powiedział dyspozytorowi. Podał wszystkie niezbędne szczegóły, po czym zadzwonił do hotelu Four Seasons, gdzie zatrzymała się była żona Rockefellera.

- Sandy, on ją zabrał. Nie wiem, co mam powiedzieć. On ją zabrał. Jestem na Marlborough Street. Jest tutaj policja.

Sandra Boss, wysoka, atrakcyjna i pewna siebie kobieta, natychmiast wzięła taksówkę i przyjechała do Yaffego. Zdruzgotana i zrozpaczona, płakała i gorączkowo chodziła tam i z powrotem. Potem podbiegł do niej chudy szpakowaty prywatny detektyw. Boss zatrudniła jego firmę, żeby wysłała kogoś do dyskretnej obserwacji Rockefellera i Snooks w parku, ale detektyw spartaczył sprawę. Yaffe i Boss stali bezradni i czekali na przyjazd policji. Miejsce, w którym się znajdowali, niedługo miało się stać „miejscem zdarzenia”.

- Wiedziałam, że tak będzie! - powiedziała Boss do policjantów, kiedy przyjechali. - Nigdy go nie znajdziecie.

- Dlaczego? - spytał jeden z funkcjonariuszy.

- Bo nie jest człowiekiem, za którego się podaje.

Była jego żoną przez dwanaście lat, ale dopiero niedawno to sobie uświadomiła. Latem 2007 roku, podczas procesu rozwodowego, Boss złożyła oświadczenie, w którym zakwestionowała tożsamość swojego męża. Odpowiedział własnym pismem, podpisanym i złożonym w sądzie pod przysięgą:

Sandra L. Boss i ja poznaliśmy się 5 lutego 1993 roku i od tego czasu zna mnie pod moim jedynym nazwiskiem: James Frederick Mills Clark Rockefeller. Gdybym istotnie posługiwał się również innym nazwiskiem, trudno sobie wyobrazić, aby przez prawie 15 lat fakt ten nie wyszedł na jaw, zwłaszcza że Sandra przez całe nasze wspólne życie poznała wiele osób, które znają mnie pod tym nazwiskiem znacznie dłużej niż ona.

A teraz wysłał inną odpowiedź: Złap mnie, jeśli potrafisz.

Karetka zabrała Yaffego ze wstrząsem mózgu do szpitala. Funkcjonariusz bostońskiej policji Joe Leeman odwiózł rozhisteryzowaną Boss do hotelu, gdzie dała mu zdjęcia swojej córki i byłego męża, które natychmiast rozesłano po całym świecie. W tym samym czasie na komendzie pracownicy archiwum wpisali dane Rockefellera do różnych baz danych. Nic nie znaleźli. Zadzwonili do wydziału kryminalnego i zostali połączeni z Boss. Ze zdumieniem usłyszeli, że według niej Clark nie ma numeru ubezpieczenia społecznego ani prawa jazdy oraz że nigdy nie widziała jego zeznania podatkowego.

A karty kredytowe i telefony komórkowe?

Jego karty kredytowe były wystawione na nią, wyjaśniła. Wedle jej wiedzy nie miał paszportu ani konta w banku. Od rozwodu dzwoniła do niego pod numer telefonu zarejestrowany na znajomego. Nie była w stanie im podać żadnych informacji, które by pomogły go wytropić.

Dwadzieścia cztery godziny po porwaniu dziwny przypadek Clarka Rockefellera zaczęła badać funkcjonariuszka FBI Noreen Gleason. Poprosiła o akta podejrzanego, sądząc, że wyłoni się z nich typowy profil osoby z wyższych sfer: dyplomy uniwersytetów Ivy League, długi ciąg elitarnych adresów zamieszkania, zeznania podatkowe z siedmiocyfrowymi

przychodami.

- Nie ma nic - powiedzieli jej w archiwum.

Poprosiła o numer ubezpieczenia społecznego.

- Nawet tego nie ma - usłyszała.

Gleason nie wierzyła własnym uszom. Zadzwoiła do rzecznika rodziny Rockefellerów. Pośród siedemdziesięciu ośmiu bezpośrednich zstępnych Johna D. Rockefellera juniora i stu czterdziestu zstępnych Johna D. Rockefellera nie było ani jednego Clarka. Może jakiś daleki kuzyn, powiedział rzecznik, ale w świetle okoliczności popełnionego przez niego przestępstwa wydaje się to bardzo mało prawdopodobne. „Nigdy o nim nie słyszeliśmy” - oznajmił krótko rzecznik.

Ale bardzo szybko usłyszeli o nim wszyscy, którzy oglądali telewizję lub w inny sposób śledzili bieżące wydarzenia. Przez następne sześć dni Gleason wraz z batalionem agentów FBI i policjantów uganiała się za cieniem. Podobnie jak Darryl Hopkins i Aileen Ang organy ścigania rychło uświadomiły sobie, że dały się oszukać. Przed porwaniem Rockefeller opracował rozbudowany plan ucieczki. Powiedział swoim liczным ustosunkowanym przyjaciółom, że wyrusza w podróż, każdemu podając inny cel wyprawy, każdego okłamując. Jednemu powiedział, że płynie na Bermudy, innemu, że leci do Peru, jeszcze innemu mówił o wyspach Turks i Caicos. Organy ścigania sprawdziły wszystkie tropy od Alaski po Antarktykę, i wszystkie okazały się ślepymi uliczkami.

Dzięki wielkiemu rozgłosowi, jaki zyskała ta sprawa, do FBI i bostońskiej policji zaczęły napływać informacje z całego świata. Wieczorem przed porwaniem Clark był w moim domu i wypił szklankę wody - powiedział FBI jeden z jego znajomych. Znajomy do tej pory nie umył szklanki, więc agenci błyskawicznie pojechali po nią. Technicy zdjęli odciski palców i wysłali je do laboratorium FBI w Quantico w stanie Wirginia.

Kiedy analizowano odciski palców, Gleason się zamartwiała. Nie chodziło tylko o to, że nie mieli pojęcia, kim jest porywacz; co istotniejsze, nie mieli również pojęcia, co może teraz zrobić

ze swoją córką. Gleason była twardą blondynką, która przepracowała siedemnaście lat w bostońskim oddziale FBI. Wiedziała, że porwanie dziecka przez rodzica może mieć tragiczne skutki. W wielu przypadkach wytropiony rodzic mówił: „Jeśli ja nie mogę jej mieć, to ona [małżonka] też nie będzie jej miała”. Takie sprawy często kończyły się zabiciem przez porwacza dziecka, a potem siebie. Gleason miała obawy, że jeśli Rockefeller poczuje, że został znaleziony, i wciąż będzie miał przy sobie córkę, to będzie po wszystkim. Trzyma w rękach wszystkie atuty.

- Musimy wymyślić jakiś podstęp - powiedziała Gleason do swoich współpracowników.

Ale najpierw musieli go namierzyć.

Kiedy odciski palców wróciły z laboratorium, jedna sprawa stała się oczywista: porywaczem nie był członek rodu Rockefellerów, lecz Christian Karl Gerhartsreiter, czterdziestosiedmioletni imigrant z Niemiec, który w 1978 roku przyjechał do Ameryki na studia. Niedługo po przyjeździe wyreżyserował „najdłużej trwające oszustwo, z jakim miałem do czynienia w całej karierze zawodowej” - jak powiedział bostoński prokurator okręgowy. Historii dziwniejszej niż ten skomplikowany labirynt przygód często zmieniającego tożsamość Gerhartsreitera - od momentu gdy postawił stopę w tym kraju jako siedemnastoletni student aż do swojego zniknięcia - nie wymyśliłby nawet najbardziej utalentowany powieściopisarz.

Było lato 2008 roku i zbliżał się kres boomu gospodarczego. Ceny nieruchomości zaczęły spadać, fundusze inwestycyjne niedługo miały się znaleźć w ciężkich tarapatach i epoka amerykańskiego rozkwitu gospodarczego dogasała. Po paru miesiącach era rozrzutności dobiegła końca. Potężny krach pokazał, że gospodarcza prosperity była w dużym stopniu zbudowana na złudzeniach. Clark Rockefeller doskonale odnalazł

się w tych czasach.

Jako pierwsza powiedziała mi o Clarku moja długoletnia znajoma Roxane West, kobieta, która dzieli swój czas między Nowy Jork i Teksas. Dzień po porwaniu z przejściem wyrecytowała jego nazwisko przez telefon.

- Słyszałeś o Clarku Rockefellerze, Mark?

Roxane zaczęła opowiadać niesamowitą i nieprawdopodobną historię. Ta pełna wigoru blondynka z rodziny teksaskich magnatów naftowych niedawno zaczęła pomieszkiwać w Nowym Jorku i przyciągać uwagę miliarderów, gwiazd rocka, dyplomatów z ONZ i głów państw. Dwa miesiące wcześniej Roxane zwiedzała ze znajomymi galerie Upper East Side, między innymi Steigrad Fine Arts, specjalizującą się w starych mistrzach galerię w okazałej kamienicy przy East 69th Street. Na wernisażu poznała tam niezwykle uroczego mężczyznę, który powiedział, że jest starym znajomym właścicieli galerii.

- Dzień dobry - powiedział z arystokratycznym akcentem. - Nazywam się Clark... - zawiesił na chwilę głos - ... Rockefeller.

- A, witam - odparła Roxane.

Rzeczywiście wygląda na Rockefellera, pomyślała: eleganckie bawełniane spodnie, niebieski blezer, czerwony jedwabny krawat, okulary naukowca i patrycjuszowski sposób bycia. Znajomy Roxane Eric Hunter Slater, znawca struktury kostnej, który chlubił się tym, że potrafi rozpoznać arystokratę z drugiego końca zatłoczonej sali, też dostrzegł rodzinne podobieństwo.

- Ma podbródek Rockefellerów - szepnął Slater do Roxane, kiedy mężczyzna się odwrócił. - Zwróć uwagę na kształt szczęki: krótką, ale mocną. Nieomylny znak rozpoznawczy.

Rockefeller zaczął się snuć za Roxane. Wprosił się do towarzystwa, kiedy wychodziła ze znajomymi z galerii i kiedy wylądowali w mieszkaniu jednego z nich, przysiadł się do niej na kanapie. Po imprezie zaproponował, że odwiezie ją do domu taksówką, i Roxane się zgodziła.

Następnego dnia dostała od niego SMS-a. „Przepraszam za tak bezosobową formę, ale zwiedzam Met, gdzie korzystanie z

telefonu jest źle widziane. Spotkajmy się. [...] Proszę, napisz do mnie. [...] Chciałem Ci powiedzieć, że uważam Cię za niezwykle [...]”. W tym miejscu tekst się urywał i Roxane mogła tylko zgadywać, o jakie jej walory mu chodzi.

Po krótkim czasie zadzwonił i zaproponował, żeby zjedli razem lunch. Spotkali się w modnej restauracji przy Upper East Side i poopowiadał jej trochę o swoim życiu. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy był mały, relacjonował, i zostawili mu spory spadek. Teraz ma czterdzieści lat, skończył Yale i samotnie wychowuje dziecko - jego siedmioletnią córkę urodziła surogatka, której jajeczko zapłodniono jego nasieniem. Pracuje jako fizyk jądrowy i niedługo wyjeżdża w podróż służbową. Właśnie oprowadzał córkę i jej koleżanki po Metropolitan Museum of Art, którego zbiory dobrze zna, ponieważ jego rodzina przekazała ich znaczną część w darze.

Zapłaciwszy gotówką za lunch, Clark pożegnał się z Roxane na chodniku. Zaczęła od niego dostawać e-maile i SMS-y. Nazywał to flirtowaniem esemesowym. Cytowała mi przez telefon przykłady.

„Problem: nie mogę przestać o Tobie myśleć. Co mam zrobić? Ciężka sprawa!”

„Przez ostatnie dziesięć minut obserwowałem Saturna. Dziś wieczorem doskonały widok z Brookline. Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć. Szkoda, że ja nie mogę zobaczyć Ciebie”.

„W okręcie podwodnym. Tłok. Dziwne wrażenie. Myślałem o Tobie przed chwilą”.

„Piję dziwny tropikalny napój w Nantucket. Strasznie bym chciał zobaczyć się z Tobą. Może w przyszłym tygodniu pójdziemy do Central Parku i będziemy się całować? Jak się na to zapatrujesz?”

Ale potem zawiadomił ją, że nie da rady przyjechać na Manhattan, ponieważ nie mógł znaleźć odpowiedniego zakwaterowania w żadnym z prywatnych klubów, do których należy, a nocleg w hotelu absolutnie nie wchodził w grę. „Mam opiekunkę do dziecka, która mogłaby zostać na noc, ale w

żadnym z klubów nie ma wolnych pokoi. Irytujące”.

Roxane przeczytała mi jeszcze kilka wiadomości i powiedziała, że po wspólnym lunchu już nigdy nie spotkała się z tym tajemniczym mężczyzną.

- A teraz słyszę, że porwał swoją córkę! - krzyknęła nagle.

Wieczorem włączyłem telewizor i okazało się, że prawie na wszystkich kanałach mówią o zalotniku Roxane, ale w jeszcze bardziej sensacyjnym tonie.

- Trwają międzynarodowe poszukiwania członka rodu Rockefellerów! - zakomunikował jeden z prezenterów.

- Organy ścigania na lądzie i morzu szukają mężczyzny i jego siedmioletniej córki - oznajmił inny.

Clark Rockefeller ni stąd, ni zowąd stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ameryce, a niewiele później symbolem czasów, w których ludzie gotowi byli uwierzyć w prawie wszystko, jeśli stało za tym sławne nazwisko. Jego historia, podobnie jak sam bohater, wydawała się zupełnie nieprawdopodobna.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Christian Karl Gerhartsreiter, Bergen, Niemcy

„Prawdziwy” Clark Rockefeller po raz pierwszy pokazał się publicznie 28 maja 2009 roku w sądzie hrabstwa Suffolk w centrum Bostonu. Tabuny widzów i przedstawicieli mediów chciały nareszcie zobaczyć tajemniczego człowieka, który przez prawie rok budził w bostończykach fascynację i zgrozę. Z trudem mieściło się ludziom w głowie, że tutaj, w jednym z najważniejszych ośrodków uniwersyteckich w Ameryce, wygadany niemiecki imigrant mógł uchodzić nie tylko za arystokratę, ale również za członka rodu Rockefellerów.

Oskarżonego wprowadziła grupa strażników. Siedząc pośród zespołu drogich adwokatów, nadal znakomicie grał rolę przedstawiciela bostońskiej śmietanki towarzyskiej i światowca. Parafrazując Carly Simon, wkroczył do sali sądowej tak, jakby wchodził na jacht - czy do jednego z licznych prywatnych klubów, do których należał. Zachowywał się tak, jakby te niefortunne wydarzenia tylko na chwilę zakłóciły jego życie w bogatych i elitarnych kręgach.

- Uprasza się o ciszę! - huknął woźny, ogłaszając początek rozprawy.

Potem polecił wszystkim wstać, kiedy sędzia Frank M. Gaziano, przystojny i rzeczowy Amerykanin pochodzenia włoskiego, wszedł na salę. Zaraz po jego pierwszych słowach stało się oczywiste, że procedury będą rygorystycznie przestrzegane. Podejrzany wstał i zapiął sportową kurtkę. Był ubrany w starannie odprasowane bawełniane spodnie i buty Top-Sider (bez skarpetek), tak samo jak w dniu, kiedy uprowadził swoją córkę, ale zamiast polo włożył białą koszulę zapinaną na zamek, bawełniany krawat w czerwone prążki i granatowy blezer z mosiężnymi guzikami. Patrzył prosto przed siebie wzrokiem sfinksa, kiedy prokurator David Deakin zaczął recytować rozliczne zarzuty.

Schludny i prostoliniorny Deakin przywodził na myśl Atticusa Fincha, kryształowo uczciwego prowincjonalnego prawnika z Zabić drozda, zagranego przez Gregoryego Pecka w ekranizacji tej słynnej powieści.

- Do Christiana Gerhartsreitera nie stosują się żadne reguły - zaczął Deakin.

Rockefeller nie okazał po sobie żadnych emocji.

- Materiał dowodowy pokaże wam, że oskarżony tak uważał.

Deakin zwracał się do członków ławy przysięgłych, którzy zostali wybrani przede wszystkim z racji tego, że jakimś cudem ominęła ich medialna wrzawa wokół niezwykłego przypadku Clarka Rockefellera. Dla arcymistrza hochsztaplerki oszukanie tej grupy w większości młodych i z wyglądu łatwowiernych bostończyków byłoby ostatecznym zwycięstwem.

Rockefeller nie zniżył się jednak do tego, aby zeznawać, lecz polecił swoim adwokatom opowiedzieć swoją historię dokładnie tak, jak chciał, aby została opowiedziana. Siedział w milczeniu, kiedy świadkowie oskarżenia relacjonowali, jak ich okantował, a jedynym wyrazem emocji było okazjonalne mrugnięcie lub zaciśnięcie szczęki.

Badałem sprawę Clarka Rockefellera od ubiegłego lata i byłem przekonany, że proces odpowie mi na nurtujące mnie wciąż pytania o jego sfingowany życiorys. Na sali sądowej ludzie,

których Rockefeller wywiódł w pole w swoim życiu będącym kiedyś zagadką nie do rozszyfrowania, mieli zeznawać przeciwko niemu - przede wszystkim jego była żona Sandra Boss, konsultantka do spraw zarządzania, która zrobiła oszałamiającą karierę. Wyobrażałem sobie, że to będzie stół szwedzki z informacjami: świadkowie wyłożą wszystko na stół, a ja po prostu to zapiszę.

Nie mogłem bardziej się pomylić.

Kiedy sprawa ciągnęła się już od ponad dwóch tygodni i słuchałem korowodu ludzi, których zaufania nadużył oskarżony, uświadomiłem sobie, że byłem równie łatwowierny jak oni wszyscy. Tak jak oni wmówiłem sobie, że naprawdę go znam. Tymczasem znałem jedynie mały wycinek jego historii; mimo że spędziłem rok na badaniu sprawy, widziałem tylko ogon wieloryba, a korpus pozostawał ukryty pod wodą.

- Aby zrozumieć materiał dowodowy, będziecie musieli cofnąć się do 1978 roku - powiedział David Deakin do ławników na początku procesu - ponieważ właśnie w tym roku siedemnastoletni Christian Karl Gerhartsreiter, urodzony w niemieckim Siegsdorf, przyjechał do Stanów Zjednoczonych z wizą turystyczną.

Miał rację. Aby uzyskać choćby przybliżony portret tej nieuchwytej zjawy, należało się cofnąć do początku, na niemiecką prowincję, gdzie Gerhartsreiter jako młody człowiek prawdopodobnie spotkał pierwsze ofiary swojego wieloletniego szwindlu.

Pewnego dnia, usiłując rozsuptać splątane nici przeszłości Clarka Rockefellera, prokurator przeczytał krótki list, który oskarżony napisał do urzędu migracyjnego w Milwaukee kilka lat po swoim przybyciu do Ameryki. List był datowany na 26 maja 1981 roku:

*Szanowni Państwo,
niniejszym informuję, że od jutra mój adres ulegnie
zmianie. Mój nowy adres brzmi:*

Christian K. Gerhartsreiter
co dr Elmer Kelln
[Adres utajniony]
Loma Linda, Kalifornia 92354

Nazwisko stanowiło pewien trop, pierwszy krok w długiej i męczącej podróży.

- Dzień dobry - odpowiedziała kobieta w domu Kellnów w kalifornijskim Loma Linda.

Przerwała mi, jak tylko wypowiedziałem nazwisko Clarka Rockefellera.

- Elmer! - krzyknęła i oddała słuchawkę mężowi.

- Bardzo ciekawa historia - powiedział i zaproponował, żebym przyjechał i złożył im wizytę.

Elmer i Jean Kellnowie nadal mieszkają w tym samym niewielkim domu przy typowo sympatycznej południowokalifornijskiej ulicy, w którym mieszkali w czasach, kiedy poznali mężczyznę przedstawiającego się jako Clark Rockefeller. Drzwi otworzyła mi Jean, pokaźna, gadatliwa i gościnna kobieta.

- Zrobiłam sałatkę z kurczaka - powiedziała i zaprowadziła mnie do rozświetlonego salonu z pianinem w kącie. - Mam nadzieję, że zostanie pan na lunch.

Elmer przyszedł do nas do kuchni. Ten niski i szczupły mężczyzna trochę przypominał aktora Mickeya Rooneya. Niedawno zrezygnował z praktyki dentystycznej i został wykładowcą na wydziale dentystyki Uniwersytetu Loma Linda.

Szybko się przekonałem, że mimo upływu trzydziestu lat Kellnowie nadal pamiętają wszystkie szczegóły swoich doświadczeń z przyszłym Clarkiem Rockefellerem i nadal boleśnie je przeżywają. W pewnym momencie Jean odeszła od stołu i po chwili wróciła z plikiem fotografii.

- Bez przerwy udawał - powiedziała o człowieku, którego przez wiele tygodni obserwowałem, jak siedział milczący z kamienną twarzą w bostońskiej sali sądowej.

Pokazała mi zdjęcie nastolatka z długimi brązowymi włosami,

który stał w niebieskiej koszuli i białym uczniowskim swetrze i uśmiechał się ironicznie do obiektywu. Potem przejrzała kilkanaście innych fotografii. Na jednej z najbardziej intrygujących nie było nikogo: zespół budynków, a na środku coś, co przypominało totem. Zdjęcie zrobiono w rodzinnym mieście Christiana Gerhartsreitera, czyli niemieckim Bergen. Po wysłuchaniu opowieści Elmera i Jean Kellnów postanowiłem, że to będzie następny przystanek w podróży śladami Clarka Rockefellera.

Bergen to niewielkie miasto - a raczej miasteczko - z pięcioma tysiącami mieszkańców, którzy sprawiają wrażenie, jakby wszyscy się znali. Pojechałem tam z oddalonego o niecałe osiemdziesiąt kilometrów Monachium z dziennikarzem, którego zatrudniłem jako tłumacza i przewodnika.

Na pierwszy rzut oka Bergen wygląda jak miejscowość z bajki, malownicza miejscowość przycupnięta w zielonej dolinie w Alpach Bawarsko-Tyrolskich. Najważniejsze punkty w centrum to kościół i ogródek piwny (Bóg i piwo to dwa filary bawarskiego życia). Góruje nad nimi pal totemiczny z fotografii Jean Kelln. Jak się później dowiedziałem, w rzeczywistości jest to drzewo majowe, częsty widok w bawarskich miasteczkach.

Nietrudno było znaleźć dom, w którym wychowywał się Christian Karl Gerhartsreiter, pod numerem 19 przy Bahnhof Strasse - jeden z pierwszych po zjeździe z autostrady. Ale jak tylko zaparkowaliśmy przed rzędem sklepów naprzeciwko, usłyszałem dźwięk zamykania drzwi i zaciągania rolet. W kawiarni dokładnie naprzeciwko domu Gerhartsreiterów jakaś kobieta powiedziała, że w domu tym mieszka Irmengard Gerhartsreiter, a jej syn Alexander ma mieszkanie z tyłu. Mąż Irmengard Simon zmarł wiele lat temu. Kobieta wiedziała o tym dlatego, że w miejscu gdzie obecnie znajdowała się kawiarnia, jej rodzice prowadzili jakiś interes.

Christian Karl Gerhartsreiter wychowywał się w dwukondy-

gnacyjnym domu z aureolą nad drzwiami, misternymi ozdobami wokół okien, granatowymi okiennicami i obfitością pelargonii eksplodujących ze skrzynek na oknach. Kilkakrotnie zapukałem do drzwi, ale nikt mi nie otwierał i ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Zajrzałem przez okno i zobaczyłem posprzątaną kuchnię i inne pomieszczenia niewątpliwie zamieszkanego, lecz utrzymywanego w nienagannym porządku domu.

Mój tłumacz usiłował skontaktować się z Alexandrem Gerhartsreiterem w jego pracy. Alexander potwierdził, że mężczyzna podający się za Clarka Rockefellera jest jego starszym bratem, kiedy dziennikarz „Boston Herald” zapukał do jego drzwi i pokazał mu zdjęcie człowieka oskarżonego o porwanie córki. Najwyraźniej jednak zdziwiło mu się udzielanie informacji na ten temat.

- Już wystarczy, odpowiedź jest odmowna - powiedział i rozłączył się.

Sąsiadka Gerhartsreiterów była bardziej przystępna. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i Helga Hallweger wyciągnęła rękę na powitanie. Przedstawiliśmy cel naszej wizyty i zaprosiła nas do środka.

Hallweger, niska, sympatyczna kobieta, powiedziała, że dobrze zna Gerhartsreiterów, bo mieszka koło nich od kilkudziesięciu lat. Usiedliśmy przy stole kuchennym w jej wysprzątanym domu i opowiedziała nam o sąsiadach. Simon i Irmengard Gerhartsreiterowie urodzili się w Bergen - wychowywali się naprzeciwko siebie przy tej samej ulicy. Simon był ekstrawertyczny, a Irmengard cicha i zamknięta w sobie. Wzięli ślub w tutejszym kościele i zamieszkali w domu zbudowanym przez ojca Simona, który był stolarzem.

21 lutego 1961 roku urodziło się ich pierwsze dziecko, Christian. W Bergen nie ma szpitala, więc poród nastąpił w pobliskim Siegsdorf. „Rodzice: Simon Gerhartsreiter, katolik, i Irmengard Gerhartsreiter, nazwisko panieńskie Huber, katoliczka, oboje zamieszkali w Bergen” - napisano w jego świadectwie urodzin, które widziałem wcześniej w aktach

policyjnych w Bostonie.

Simon był „przeuroczym człowiekiem”, twierdziła Helga Hallweger. Ten artysta i malarz pokojowy specjalizował się w iluzjonistycznych detalach widywanych wokół okien i drzwi bawarskich domów, łącznie z domem Gerhartsreiterów.

- Sypał dowcipami, opowiadał anegdoty - relacjonowała Hallweger. - I był taki wdzięczny, że kupiliśmy jeden z jego obrazów.

Malował głównie krajobrazy Bergen i okolic. Hallweger poszła po obraz, który kupili razem z mężem. Alpy Bawarsko-Tyrolskie zimą - Simon niewątpliwie miał niemały talent. Poza tym, dodała moja gospodyni, był ceniony w Bergen jako społecznik, członek wszelkich możliwych klubów i komitetów.

- Irmengard była większą samotniczką - powiedziała Hallweger.

Zawsze rozmawiały, kiedy pracowały w swoich ogródkach, ale „nigdy nie przyszła do nas do domu”. Wydało mi się dziwne, że Hallweger mówi w czasie przeszłym o osobie, która żyje i mieszka obok, ale po chwili się dowiedziałem, skąd się to wzięło. Od 8 października 2008 roku - czyli dnia kiedy ujawniono prawdziwą tożsamość Clarka Rockefellera - Irmengard Gerhartsreiter stała się zupełnie inną kobietą.

- Irmengard wyjechała na kilka dni do znajomej, licząc na to, że prasa się stąd zabierze - powiedziała Hallweger. - Kiedy wróciła, zadzwoniłam do jej drzwi i dałam jej doniczkę. Powiedziała: „Dziękuję za odwagę”, a potem zamknęła drzwi i już nigdy ze mną nie rozmawiała.

Spytałem, czy widziała ją od tamtej pory.

- Tak, i powiedziałam: „Dzień dobry, Irmengard”. Nie odezwała się słowem, tylko poszła do domu.

Wyglądało na to, że Irmengard Gerhartsreiter jeszcze nie doszła do siebie po najeździe dziennikarzy i fotoreporterów, którzy zjawili się przed jej domem, a jeden wszedł nawet za nią do środka. Zdjęcie zrobione przez fotoreportera po aresztowaniu jej syna najlepiej podsumowuje całą historię. Ogród przy domu Gerhartsreiterów jest na nim nienagannie utrzymany, a w czasie

mojej wizyty był zarośnięty i zaniedbany. Helga nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie słów, które słyszałem później od innych mieszkańców Bergen - Irmengard jest zaburzona i powinna się leczyć - ale wnioski same się nasuwały.

Ojciec artysta i introwertyczna matka w małym miasteczku, w którym wszyscy się znali - tygiel, w którym uformował się Christian Gerhartsreiter, zaczynał nabierać wyraźniejszych kształtów.

Brat Christiana Alexander urodził się dopiero w 1973 roku, więc przez pierwsze dwanaście lat życia Christian był jedynakiem, oczkiem w głowie rodziców, a także cioci i babci, które mieszkały razem z nimi. Spełniali wszystkie jego kaprysy, pozwalali mu oglądać w telewizji wszystko, co chciał - nawet programy fantastycznonaukowe zakazywane przez większość miejscowych rodziców.

- Uważałam, że ma problemy z dyscypliną - powiedziała Hallweger. - Mój syn bawił się z nim, jak był mały, i robił z Christianem zakazane rzeczy.

Na przykład większość rodziców była zgodna, że zabawa w pobliskim strumieniu jest zbyt niebezpieczna dla dzieci, ale Christian ciągle tam chodził i zabierał ze sobą kolegów. Im starszy, tym większy rozrabiaka, ciągnęła Hallweger.

- Godzinami walił piłką w ścianę garażu. Chociaż wszyscy byli w domu, nikt nie powiedział mu: „Przestań!”. Poszłam się poskarżyć, ale jego nic to nie obchodziło.

Zamiast wdzięczności za to, jaki jest rozpieszczany, Christian coraz częściej okazywał ludziom lekceważenie. Stało się oczywiste, że nie jest taki jak większość mieszkańców miasteczka, zadowolonych z tego, że mogą tam toczyć swoje skromne życie aż do anonimowej śmierci. Jako nastolatek Christian skupił się na jednym celu: ucieczce.

Odciał się od reszty Bergen nie tylko swoją postawą, ale również wyglądem.

- Musiał wyglądać szpanersko - powiedziała Hallweger. - Musiał się odróżniać. Miał taką dziwną czapkę, ciemne okulary i długie

włosy. W Bergen nie widywało się takich rzeczy, ale Christian zawsze musiał wszystkich wyprzedzać w dziedzinie mody.

Westchnęła i spojrzała w stronę sąsiedniego domu. Jeśli chce się dowiedzieć czegoś więcej o Christianie, powiedziała, to powinienem pójść do ogródka piwnego i usiąść przy Stammtisch, stole zarezerwowanym dla miejscowych, którzy codziennie przychodzą do piwiarni, żeby się napić i pogadać. Spojrzałem na zegarek: była dopiero dziesiąta rano.

- Nic nie szkodzi - uspokajała mnie Hallweger: sesja przy Stammtisch na pewno już się zaczęła.

Hallweger miała rację: rozmowa przy Stammtisch trwała w najlepsze. Grupa mężczyzn siedziała przy stole pod drzewami i każdy z nich miał przed sobą kufel z kożuchem piany. Podeszliśmy do nich z moim tłumaczem. Na oko mieli od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu lat i zerkali na nas nieufnie. Dwóch obcych ludzi z notesami mogło oznaczać tylko jedno: przyszli porozmawiać o Christianie. Mieli już dosyć wścibskich dziennikarzy. Ale kiedy mój niemiecki towarzysz zagadał do nich i zaczął żartować - a na dokładkę ja zaproponowałem, że postawię wszystkim kolejkę - wyluzowali się i historie zaczęły płynąć równie obficie jak piwo.

Jeden z mężczyzn, Georg Heindlmeir, miał osiemdziesiąt trzy lata - urodził się w tym samym roku co Simon Gerhartsreiter i razem dorastali.

- Gdyby Simon żył, byłby tutaj teraz! - powiedział Heindlmeir.

- Tutaj? - zdziwiłem się. - Piłby piwo przed południem?

Tak, potwierdził, a pozostali zgodzili się z nim. Simon był nie tylko członkiem, ale również szefem Stammtisch.

- Bo był artystą - wyjaśnił jeden z piwoszy - a artyści nie mają stałych godzin pracy. Przychodził codziennie o dziesiątej rano, co do minuty, i za pięć dwunasta wracał do domu, żeby zdążyć na obiad. Kiedy Simon Gerhartsreiter otwierał usta, wszyscy inni milkli, ponieważ zawsze miał coś ważnego do powiedzenia. - Mężczyzna uniósł kufel i spełnił toast za świętej pamięci szefa Stammtisch, po czym powtórzył: - Był artystą.

Z upływem dnia jedni mężczyźni odchodzili, inni przychodzili. Każdy miał swoje zdanie na temat odstającego od reszty chłopaka, który stał się najbardziej znanym mieszkańcem Bergen. Jeden z nich znał Christiana ze szkoły.

- Zawsze starał się zaimponować wszystkim w klasie - wspominał. - Był dla nas zbyt dziwny.

- I bardzo inteligentny! - dodał inny.

- Christian czytał dużo klasyków - powiedział jego dawny szkolny kolega. - Kiedy mieliśmy jedenaście, dwanaście lat, przytaczał nam zupełnie niewiarygodne cytaty. Był niesamowicie wygadany. Łatwo się wystawiał. Ale nie miał dobrych ocen.

- I był maminsynkiem! - dodał trzeci mężczyzna.

Tak, zgodzili się pozostali, maminsynek i syn miejscowej osobistości.

Chciał być taki jak ojciec.

- Przychodził do szkoły w garniturze - powiedział jego kolega. - Nie w stroju bawarskim, tylko w garniturze, takim, jaki ludzie tutaj noszą tylko do kościoła w niedzielę albo na ślub. Ale jego matka była z tego dumna. Irmengard uwielbiała ekstrawagancję. Była zwykłą krawcową, naprawiała sąsiadom ubrania, ale udawała damę.

Godziny mijały i pod wieczór piwosze przenieśli się do środka, gdzie usiedli przy większym stole z metalową tabliczką na środku, na której było napisane „Stammtisch”. Sympatyczna kelnerka ciągle donosiła piwo, a powietrze wypełniło się dymem papierosowym i historiami o tym, jak Christian coraz bardziej wariował.

Christian odziedziczył po ojcu kreatywność, ale zamiast malować, zaczął grać role, wyobrażał sobie, że przebywa daleko od miasteczka, w którym, jak się wydawało, miał żyć i umrzeć. Szopa w ogrodzie stała się jego warsztatem, w którym majstrował przy rozmaitych gadżetach: radioodbiornikach, telewizorach, sprzęcie filmowym. Do jego ulubionych zajęć należało podsłuchiwanie kierowców ciężarówek na CB-radio i oglądanie starych amerykańskich filmów. Im więcej widział

Ameryki w filmach, tym bardziej czuł, że musi uciec z Bergen.

- Jednym z najważniejszych zadań, jakie sobie wyznaczył, było robienie nauczycieli w konia - powiedział dawny kolega szkolny Christiana. - Przed lekcjami oznajmiał: „Uważajcie!”, i wiedzieliśmy, że coś się szykuje.

- I co robił? - spytało jednocześnie kilku mężczyzn.

- Pewnego dnia podszedł do nauczycielki z zaciśniętą pięścią. „Co trzymasz w ręce, Christian?” - spytała, po czym dodała: - „Oddaj mi to”. Otworzył dłoń. Miał na niej pieprz i dmuchnął nim nauczycielce w twarz.

Mężczyźni pokręcili głowami. Jeden z piwoszy nagle przypomniał sobie inną historię.

- Wieczorem w każdy piątek Simon przyprawdzał Christiana na Stammtisch. Zawsze siedzieli obok siebie, tu gdzie my teraz, i Simon mówił o swoim synu: „Er ist ein verruckter Hund”.

Mój towarzysz nachylił się ku mnie i przetłumaczył:

- To wściekły pies.

- Ale to miał być komplement - ciągnął mężczyzna. - Simon uważał, że Christian jest dziwny, ale był dumny ze swojego syna. Mówił: „Taki sam wariat jak ja. I na pewno powie mu się w życiu”.

Był dumny z siły przebiccia i butności swego syna - cech, których chłopiec miał bardzo potrzebować, żeby przeżyć poza Bergen.

Christian nie pasował do Bergen, zdawali się mówić, i wykreowanie się na kogoś innego było jedynym sposobem na wyjechanie z miasta, z którego nikt nie wyjeżdżał. Aby uciec od z góry mu przepisanej i przewidywalnej przyszłości, która go tam czekała, musiał stworzyć dla siebie całkiem nową osobowość. W końcu jego ojciec też próbował uciec z Bergen, zapisał się na studia malarskie w Monachium, ale musiał wrócić z powodu śmierci ojca i braku sukcesów artystycznych. Może właśnie dlatego Simon był dumny z Christiana. Jego syn próbował osiągnąć coś, co nie udało się jemu samemu w krótkim okresie studiów: odnieść sukces na arenie artystycznej z dala od

przodków i poza granicami miasteczka, w którym się urodził i wychował.

Wspomniałem o czymś, co jeden z kolegów Christiana z dzieciństwa powiedział „New York Timesowi”:

„Christian lubił zabawy, w których przybierał inną tożsamość”- powiedział Thomas Schweiger, jego niegdysiejszy bliski przyjaciel.

W wieku trzynastu lat, powiedział Schweiger, Christian zadzwonił do urzędu rejestracji samochodów i „zmienionym głosem oznajmił, że jest milionerem z Holandii i chciałby zarejestrować swoje dwa rolls-roycey”. Urzędnik podszedł do tego sceptycznie, ale Christian go przekonał i „naprawdę doskonale odegrał swoją rolę”.

Wszyscy się zaśmiali. Kolejna ilustracja podróży Christiana Gerhartsreitera do odkrycia, że świat jest niezwykle łatwowierny. Potem inny mężczyzna włączył się do rozmowy z anegdotą, która w jego zamierzeniu miała przebić wszystkie inne, ale jak tylko zaczął, kilku innych przerwało mu okrzykiem: „Karawan!”.

Jeden z piwoszy podjął wątek.

- Tuż przed wyjazdem do Ameryki Christian pokłócił się o coś z ojcem. Ojciec wyrzucił go z domu i powiedział: „Więcej tu nie nocujesz”. Christian kupił karawan i zaparkował go przed domem rodziców. Całe miasteczko było oburzone. Z początku wszyscy myśleli, że zmarła babcia Christiana, ale to on spał w karawanie! Przez długi czas o niczym innym się w Bergen nie mówiło. Christian przyjeżdżał tym wielkim czarnym samochodem do klubu strzeleckiego. Widać było, że jeżdżenie po mieście i gorszenie ludzi sprawia mu wielką frajdę.

Pomyliło ci się, powiedział ktoś inny: rzeczywiście przed domem Gerhartsreiterów przez jakiś czas parkował karawan, ale jeździł nim brat Christiana Alexander. Było już po północy i nie miało dla mnie znaczenia, która wersja jest prawdziwa. Ożłopałem się piwa, a w głowie wirowało mi od słuchanych

przez kilkanaście godzin historii o Bergen. Wróciłem do małej gospody, w której nocowałem, koło kolorowego drzewa majowego pomalowanego w idylliczne sceny codziennego bawarskiego życia i natychmiast zasnąłem jak kamień w cichym miasteczku, z którego wyjechał Christian Karl Gerhartsreiter.

Kiedy się obudziłem, w recepcji siedział inny rezerwuar opowieści o marnotrawnym synu Bergen: Herbert Willinger, właściciel gospody. Chodził z Christianem Gerhartsreiterem do szkoły. Jak wszyscy inni odmalował portret wyniosłego młodzieńca, który uważał się za przeznaczonego do wielkich rzeczy.

- Christian mówił nam: „Bawaria to jeden wielki szajs. Jeśli ktoś chce mieć lepsze życie, musi wyjechać do Ameryki”. Kiedy koledzy z klasy śmiali się z niego, mówił: „Zobaczycie”. Któregoś dnia Christian oznajmił, że dostał pracę w nowojorskiej rozgłośni radiowej. - Willinger był jednak przekonany, że to nieprawda. - Udawanie kogoś innego było jego ulubionym zajęciem.

Najprawdopodobniej jednak Christian od jakiegoś czasu rozważał pomysł ucieczki. Aby zakosztować świata poza Bergen, musiał tylko pójść ulicą do pobliskiej autostrady i podnieść kciuk do góry. Po paru minutach zatrzymywał się samochód, ciężarówka albo motocykl i Christian jechał do innego miasta, do innego świata, oddalał się od małego Bergen. Najpierw jeździł autostopem do większych miejscowości w okolicy, takich jak Traunstein albo do miasta Rosenheim, gdzie zapisał się na kurs. Zasięg wycieczek Christiana powiększał się wraz z jego ambicjami i coraz częściej widywano go na autostradzie, szukał kogoś lub czegoś, co pomogłoby mu uciec. To tam w jego orbicie pojawili się Elmer i Jean Kellnowie, turyści z kalifornijskiego Loma Linda.

Padła tak ulewny deszcz, że wycieraczki wynajętego samochodu nie nadążały ze zgarzaniem wody. Elmer i Jean ledwo widzieli przed sobą szosę. Zmierzali z Monachium do

Berchtesgaden, aby zobaczyć Orle Gniazdo, rezydencję Adolfa Hitlera wysoko w Alpach Bawarsko-Tyrolskich. Koło 17.00 Kellnowie zjechali z autostrady w pobliżu Bergen, żeby poszukać jakiegoś noclegu.

Elmer, który prowadził, zobaczył na poboczu młodego mężczyznę z wystawionym do góry kciukiem. Nie miał zwyczaju zabierać autostopowiczów, ale nigdy wcześniej nie utknął w Niemczech podczas ostrej burzy z piorunami.

- Może nam powie, gdzie możemy spędzić noc - powiedział Elmer do żony.

Nie dając jej czasu na wygłoszenie ewentualnego sprzeciwu, zjechał na bok i stanął. Ociekający wodą młodzieniec otworzył tylne drzwi i wsiadł.

Nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat. Był w białych okularach przeciwsłonecznych, obcisłych dżinsach i sflaczałym kapeluszu, spod którego wylewały się strąkowate brązowe włosy. Deszcz przykleił ubranie do jego chudego ciała.

- Jestem Christian Karl Gerhartsreiter - przedstawił się i z tylnego siedzenia wyciągnął mokrą dłoń.

Powiedział to tak, że od razu poczuli, że jest kimś. Od pierwszego momentu zrobił na nich wrażenie.

Jean pomyślała, że jest bardzo urodziwy. Miał długi orli nos i pełne usta, które rozlewały się w szeroki uśmiech, kiedy mówił, a mówił prawie bez przerwy. Powiedział, że pracuje jako angielskojęzyczny przewodnik w Rosenheim, a czasem w Monachium. Płynnie mówił po angielsku, więc Kellnowie nie mieli powodu mu nie wierzyć. Poinformował ich, że teraz wraca do oddalonego o kilka kilometrów Bergen.

Był uroczy, a nawet ujmujący. Elmer i Jean Kellnowie uznali, że coś ich łączy z tym parędziesiąt lat od nich młodszym cudzoziemcem, i zapragnęli lepiej go poznać.

- Gdzie byś nam proponował nocleg? - spytał Elmer.

- Przenocują państwo u mnie - zakomunikował Christian.

Kellnowie wahali się, ale on nalegał. W każdym innym okolicznościach postawiliby na swoim, ale padał ulewny deszcz,

zapadał zmrok, a młody człowiek miał w sobie coś hipnotycznego. Zgodzili się.

Kellnowie byli zauroczeni, kiedy zobaczyli proponowane im lokum: śliczny, typowo bawarski dom z pelargoniami w skrzynkach na oknach. Przez ten czas deszcz trochę zelżał. Ojciec autostopowicza pracował na dachu, a matka była w kuchni. Christian przywitał się z nimi zdawkowo, kiedy zaprosił Amerykanów do środka. Natychmiast stało się oczywiste, że to on jest panem domu.

Jean nie mogła się nadziwić, że Christian przejął cały salon i zamienił go w swój pokój, z błogosławieństwem rodziców, a przynajmniej za ich milczącą zgodą. Wstawił tam duże biurko jako swój warsztat pracy i popodłączał najróżniejsze sprzęty - przede wszystkim projektor i ekran. Wyjaśnił Elmerowi i Jean, że filmy są jego pasją. Niedługo wybiera się zresztą do Ameryki, żeby zostać reżyserem. Jego ulubiony gatunek to *film noir*, zwłaszcza dzieła Alfreda Hitchcocka. Powiedział, że pokaże im próbkę swoich możliwości. Zgasił światło i włączył projektor.

W tym momencie Jean zaburczało w brzuchu.

- Nie jedliśmy obiadu i jesteśmy trochę głodni - wtrąciła, zanim zaczął się film.

Kellnowie zaprosili całą rodzinę na kolację do restauracji. Wszyscy odmówili z wyjątkiem Christiana, który zaprowadził Elmera i Jean do typowego lokalu bawarskiego z drewnianym wystrojem i muzyką. Usiedli nad wurstą i piwem i rozmawiali o Ameryce.

- Chcę ci zrobić zdjęcie! - zawołała Jean, kiedy przyniesiono piwo.

- Chwileczkę - powiedział Christian i zaczął kręcić głową na wszystkie strony, aby uzyskać optymalną pozę. - Teraz - poleciał z dłonią przytkniętą do skroni niczym romantyczny poeta.

Migawka pstryknęła, młody Niemiec pałającym wzrokiem patrzył prosto w obiektyw, jakby robiono mu zdjęcie w Twentieth Century Fox.

Po kolacji wrócili do domu Gerhartsreiterów, gdzie Christian

zaprowadził Kellnów do pokoju gościnnego i pożegnał się z nimi.

- Czuję się strasznie nieswojo! - szepnęła przejęta Jean do męża.

Nie umiała wyjaśnić, skąd bierze się to uczucie. Dom był bardzo sympatyczny, podobnie jak matka, ojciec i brat Christiana. A sam Christian oczywiście nie mógłby być dla nich miłszy i bardziej gościnny. Ale całkowicie ignorował swoich rodziców.

- Śpij, Jean - powiedział Elmer.

- Nie wiem, czy potrafię zasnąć. - Nie mogąc pozbyć się uczucia, że z tym młodym człowiekiem i jego rodziną coś jest nie do końca w porządku, przeleżała bezsennie całą noc.

- Miałam wrażenie, że on żyje w świecie marzeń, w którym nie ma miejsca dla jego rodziców - wspominała.

Spoglądając wstecz na tamte doświadczenia, Elmer powiedział, że ta jedna noc w domu Christiana Gerhartsreitera do tej pory pozostaje dla niego zagadką.

- Wspomniał, że chce wyjechać do Ameryki - relacjonował. - Można poznać, czy drwal jest szczęśliwy w swojej chacie z bali, czy wolałby mieszkać w Nowym Jorku. On miał poczucie, że musi zostać kimś. Dało się to wyczuć we wszystkim, co mówił i robił. Chciał rozgłosu, sławy. I na pewno uważał, że musi się odciąć od niemieckiej kultury, bo do niczego by nie doszedł, gdyby pozostał Niemcem.

Następnego dnia Kellnowie chcieli wyjechać wcześniej rano, ale Christian nakłonił ich, żeby zostali na kawę i bułki. Wymienili się z młodym gospodarzem adresami i numerami telefonów, a potem pożegnali się i pojechali, sądząc, że już nigdy więcej go nie zobaczą.

Jakiś czas później Christian Karl Gerhartsreiter wyjął z szuflady kartkę papieru, położył na biurku i napisał wniosek o wizę turystyczną do Ameryki. W rubryce, w której miał podać sponsorów swojej krótkiej wizyty, wpisał: „Elmer i Jean Kellnowie”.

ROZDZIAŁ 2

Nieznajomi z pociągu

Sąd zamienił się w cyrk, długą paradę dobrych, uczciwych i ufnych ludzi, których oskarżony w różnym stopniu oszukał. Niegdyś tak przyjacielski i uroczy, człowiek znany jako Clark Rockefeller okazywał szacunek ludziom, którzy mieli zdecydować o jego losie, czyli sędziemu i ławnikom, wstając, kiedy wchodzili i wychodzili. Ale w stronę świadków - zwłaszcza zeznających przeciwko niemu - nawet nie spojrzał.

W początkowej fazie procesu, kiedy urzędnik imigracyjny zdawał szczątkową relację z przyjazdu oskarżonego do Ameryki, ktoś poklepał mnie w ramię i szepnął mi do ucha:

- Ma pan czas na drinka dzisiaj wieczorem?

Człowiek ten poprosił mnie później, żebym nie ujawniał jego tożsamości. Powiedział, żebym po rozprawie przyszedł do baru niedaleko sądu. Siedziałem już nad drinkiem, kiedy wszedł z grubą brązową kopertą w rękę. Dał mi ją, powiedział: „Może znajdzie pan tutaj odpowiedzi na swoje pytania”, i wyszedł.

Otworzyłem kopertę i zachłysnąłem się ze zdumienia: w środku było ponad sto dokumentów - imigracyjnych, sądowych, policyjnych - zawierających szczegóły z życia milczącego, zachowującego stoicki spokój oskarżonego, od świadectwa urodzin po wystawiony latem poprzedniego roku nakaz aresztowania.

Zacząłem czytać dokumenty od najstarszych: świadectwo matralne; list od firmy w Bergen, gdzie był zatrudniony ojciec Christiana Simon Gerhartsreiter, który otrzymywał wynagrodzenie w wysokości „1900 dolarów amerykańskich

miesięcznie”; oświadczenie Simona, że podczas pobytu Christiana w Ameryce będzie mu przekazywał 250 dolarów miesięcznie „plus pieniądze na ubezpieczenie zdrowotne”, ponieważ „chcę, aby mój syn uczył się przez rok w USA”.

Przez rok, pomyślałem. A później co, z powrotem do Bergen? Z powrotem do małego białego domu i prowincjonalnej miejsciny? Takie ramy czasowe z pewnością nie figurowały w zamysłach młodego imigranta. Kolejna kartka w pliku była zapisana przez samego oskarżonego równymi drukowanymi literami. Jego wiza turystyczna wygasła 15 kwietnia 1979 roku, sześć miesięcy po przybyciu Christiana do Stanów Zjednoczonych, i wnioskował o jej przedłużenie na następne cztery lata. „Moim celem edukacyjnym jest [...] dyplom z zarządzania”.

Na pytanie o źródła utrzymania w tym okresie wnioskodawca napisał: „Uczęszczam obecnie do ostatniej klasy szkoły średniej. Otrzymuję 250 dolarów miesięcznie. Mój ojciec poniesie wszelkie koszty czteroletnich studiów”. U dołu formularza widniał podpis posłusznego Simona.

Przeglądałem papiery, żeby sprawdzić, gdzie zamieszkał młody imigrant po przybyciu do krainy spełnienia marzeń. Znalazłem jednak tylko krótki harmonogram napisany na maszynie:

16 października 1978: Gerhartsreiter przylatuje Lufthansą do Bostonu.

21 października 1978: Zapisał się do liceum w miejscowości Berlin w stanie Connecticut.

31 grudnia 1979: Przedłużono mu pobyt w związku z planami edukacyjnymi.

Potem trafiłem na raport policyjny. „Funkcjonariusz rozmawiał z Thomasem Glavinem, dyrektorem liceum w Berlinie”, który zeznał, że „Gerhartsreiter przybył do szkoły w 1978 roku. Że świadectwa Gerhartsreitera z poprzedniej szkoły były po niemiecku. Że w przedstawionych przez niego dokumentach nie

było informacji o rodzicach. Że Gerhartsreiter nie ukończył szkoły”.

Latem 1978 roku, kiedy Christian Gerhartsreiter poznał Elmera i Jean Kellnów, spotkał też innego Amerykanina, młodego człowieka, który nazywał się Peter Roccapriore i właśnie ukończył liceum w Meriden w stanie Connecticut. Peter przez trzy miesiące podróżował z plecakiem po Europie, jeździł z kraju do kraju z biletem kolejowym Eurail. Pewnego dnia w pociągu w Niemczech poznał sympatycznego, dobrze ubranego, niezwykle uprzejmego i czytanego Christiana Karla Gerhartsreitera.

Jako kinoman, którego ulubionym reżyserem był Alfred Hitchcock, Gerhartsreiter z pewnością był zachwycony hitchcockowskimi klimatami tego spotkania. Przywodziło ono na myśl arcydzieło mistrza suspensu z 1951 roku Nieznajomi z pociągu, gdzie tajemniczy Bruno Antony wkracza w życie gwiazdora tenisa, zapraszając go najpierw na drinka, a potem do współudziału w morderstwie.

Gerhartsreiter najwyraźniej ciągle poszukiwał ludzi, którzy mogliby mu ułatwić ucieczkę z Bergen. Przedstawił się Peterowi Roccaprioremu i podobnie jak Bruno Antony, zaczął się wkradać w łaski swojej ofiary; komplementował go, zabrał do restauracji na obiad i namówił na zwiedzanie okolicy. Wiedział wszystko o Bawarii, bo przecież wychował się w tym regionie w bogatej rodzinie, jak powiedział Peterowi Roccaprioremu: jego ojciec rzekomo był „przemysłowcem”, członkiem kadry zarządzającej w spółce Mercedes-Benz. Amerykanin był pod wielkim wrażeniem, toteż bez wahania spełnił prośbę swojego nowego przyjaciela i wymienił się z nim danymi kontaktowymi.

- Gdybyś kiedyś znalazł się w pobliżu Meriden, daj znać - powiedział Peter Roccapriore na pożegnanie. - Możesz zatrzymać się u nas.

Zaledwie parę tygodni później Christian skorzystał z propozycji

Petera. Według znajomych z rodziny Gerhartsreiterów w Bergen Christian powiedział rodzicom, że dostał posadę radiowego prezentera muzycznego w Nowym Jorku, a oni zgodzili się posyłać mu 250 dolarów miesięcznie, dopóki nie stanie na własnych nogach. Jego ciotka, mieszkająca w tym samym domu starsza pani, również obiecała przysyłać pieniądze, a zatem dostawałby ponad 250 dolarów miesięcznie. Kiedy otrzymał półroczną wizę turystyczną (podawszy Jean i Elmera Kellnów jako sponsorów), spakował rzeczy i poleciał z Monachium do Bostonu, gdzie przybył jesienią 1978 roku. Miał siedemnaście lat.

Po wylądowaniu w Bostonie zadzwonił do matki i powiedział, że linia lotnicza zgubiła jego bagaż. Poprosił o dodatkowe pieniądze na ubrania i inne niezbędne rzeczy, a ona oczywiście się zgodziła. Następnego dnia pojechał do Meriden w Connecticut, liczącego około pięćdziesięciu ośmiu tysięcy mieszkańców miasta położonego w połowie drogi między New Haven i Hartford. Dla Gerhartsreitera było ono ważne tylko dlatego, że mieszkała tam jedna z trzech osób, które znał w Ameryce. Wykręcił numer Petera Roccapriorego, poznanego w pociągu studenta, i wyjaśnił jego matce, że latem tego roku jej syn zaprosił go do siebie.

- Jestem na dworcu autobusowym, mogłaby pani wysłać go po mnie? - spytał.

Petera nie było w domu, ale jego matka natychmiast pojechała na dworzec. Skoro ten sympatyczny młody człowiek był tak miły dla jej syna w Niemczech, to jak mogłaby mu się za to nie odwdziżyć? Przygotowała dla niego pokój i cała rodzina serdecznie powitała drobnego nastoletniego blondyna. Peter pojechał z nim do Liceum Platta w Meriden i pomógł mu się zapisać do klasy maturalnej. Ekstrawertyczny imigrant zdał już maturę w Niemczech, ale nikomu o tym nie powiedział.

Christian mieszkał u państwa Roccapriore tylko przez kilka tygodni. Jak wynikało z dokumentów, poinformował ich, że wraca do Niemiec, ale przez te kilka tygodni przygotował sobie grunt

pod swoją amerykańską odyseję.

„Student na wymianie szuka kwatery z wyżywieniem” - brzmiało ogłoszenie w lokalnej gazecie, która ukazywała się w Berlinie w stanie Connecticut. Wprowadzało w błąd, ponieważ młody Niemiec miał tylko wizę turystyczną. Ale co tam. Ogłoszenie wpadło w oko Gwen Savio, bibliotekarce w liceum. Jej rodzina już wcześniej wynajmowała pokoje zagranicznym studentom - ostatni spośród nich był Francuz Dominique - i chwaliła sobie te doświadczenia. Gwen wykręciła podany w ogłoszeniu numer i Christian Gerhartsreiter znowu wystawił kciuk do góry, tym razem próbując dojechać autostopem z Meriden do Berlina. Nikt się jednak nie zatrzymał, więc Christian pokonał te siedem czy osiem kilometrów na piechotę. Miejscowość o niemieckiej nazwie liczyła piętnaście tysięcy mieszkańców.

Dotarł tam późnym popołudniem, przywłókł ze sobą cały swój skromny dobytek i po tej wyprawie był dosyć wymięty. Edward Savio, najstarszy z czworga rodzeństwa - obecnie scenarzysta mieszkający w Kalifornii - miał wtedy piętnaście lat i dobrze pamięta moment przybycia Gerhartsreitera. Gość sprawił na Edwardzie wrażenie człowieka, który próbuje upodobnić się do swojego wyobrażenia o amerykańskim nastolatku: okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach, wąskie dżinsy i obcisła koszula zapinana na guziki. Włosy miał „zmierzwione i strąkowane”. Edwarda Savio najbardziej jednak zafrapowała ciekawość młodego przybysza. Rozglądał się na boki, jakby nie chciał niczego przegapić. A rodzina była oczywiście ciekawa, co to za człowiek: kim jest, skąd pochodzi i jak trafił do takiej miejsciny jak Berlin.

- Nazywam się Christian Gerhartsreiter - powiedział z lekkim niemieckim akcentem, ponownie roztaczając wokół siebie aureę przyjaznego, otwartego i komunikatywnego imigranta, który jest pełen wdzięczności i szczęśliwy, że ma gdzie mieszkać w obcym kraju.

Rodzina Saviów nie miała pokoju gościnnego, ale Christian

powiedział, że chętnie będzie spał na kanapie w salonie.

Gerhartsreiter stał się piątym dzieckiem w domu. Edward miał dziesięcioletnich braci bliźniaków i ośmioletnią siostrę, na którą wszyscy mówili Snooks. Ich ojciec Jim był informatykiem.

- Na moim świadectwie urodzenia w rubryce „zawód ojca” widnieje „operator komputera”, co wtedy brzmiało tak, jakby pracował na promie kosmicznym - powiedział Edward Savio.

W domu było pełno komputerów i gier wideo, co z pewnością zachwycało zakochanego w najnowszych osiągnięciach techniki Gerhartsreitera.

Po wprowadzeniu się do Saviów Gerhartsreiter przeniósł swoje dokumenty z Liceum Platta do liceum w Berlinie, jednej z najlepszych szkół publicznych w Connecticut pod względem wyników. Twierdził, że powinien chodzić do klasy maturalnej, a ponieważ jego świadectwa szkolne były po niemiecku, nikt nie zadał sobie trudu, by to zweryfikować.

- Powiedział, że jego ojciec jest przemysłowcem - utrzymywał Edward Savio - który ma coś wspólnego z Mercedeselem. Starł się stworzyć wrażenie, że pochodzi z bogatej rodziny.

Christian chodził do tej samej szkoły co Edward, drugoklasista, ale prawdziwą edukację zdobywał przed telewizorem w salonie Saviów. Jego ulubionym programem był serial Wyspa Gilligana. Zaczął naśladować zachowania Thurstona Howella III, milionera wyrzutka granego przez Jima Backusa. Przeciągał sylaby, snobując się na akcent angielski lub rodem z Ivy League.

- *Ehhhd, paaahhss the breaaahhd, please*¹ - małpował go Edward Savio. - Przypominało to skrzyżowanie Thurstona Howella III z Johnem Wayneem.

Savio usiłował pomóc swojemu gościowi w przystosowaniu się do nowej szkoły, ale niezbyt mu to wychodziło.

- Większość chłopaków reagowała na Chrisa w stylu: „Co z nim jest?”, ale niektóre dziewczyny były zainteresowane. Zawsze grawitował w stronę płci przeciwnej.

Jedna nawet zabrała go swoim samochodem na studniówkę.

¹ Proszę, podaj mi chleb, Ed (przyp. tłum.).

Gerhartsreiter miał na sobie czarny garnitur i brązowe skarpetki. Savio próbował go przekonać, że brązowy nie pasuje do czarnego, ale Christian nie chciał zmienić skarpetek:

- To nie jest problem - odparł.

W tamtych czasach Gerhartsreiter był gąsienicą, która marzyła o tym, żeby zostać motylem - powiedział Edward Savio w wywiadzie dla „Dateline” - miał niewiele tego poloru, którego później nabył. Ale mimo swojej nieporadności i skłonności do popełniania faux pas był niezwykle otwarty i starał się poznać jak najwięcej ludzi, aby jak najlepiej poznać Amerykę.

- Pracowałam w liceum w Berlinie jako pedagog - powiedziała miejscowa kobieta, również pochodzenia niemieckiego, która poznała Christiana. - Bibliotekarka Mia McMahan wiedziała, że oboje jesteście z Niemiec. Pomyślała, że Christian czuje się samotnie i że może chciałby porozmawiać po niemiecku czy po prostu pobyc z Niemką. - Westchnęła na myśl o samotnym młodym imigrancie, który tułał się po Ameryce. - Jako matka współczułam mu, ale on nie użalał się nad sobą. Był bardzo pewny siebie.

- W pobliskim New Britain była duża społeczność niemiecka, a moja matka pielęgnuje swoje niemieckie korzenie - powiedział mi syn Niemki. - Mówiła do mnie po niemiecku, odkąd skończyłem pięć lat. Umie tańczyć Schuhplatter, niemiecki taniec ludowy, w którym mężczyźni klepią się po udach, kolanach i podeszwach butów. Chciała, żeby kultura niemiecka była obecna w naszym życiu.

A czy istnieje na to lepszy sposób, niż sprowadzić do domu prawdziwego Niemca?

- Zaprosiliśmy go na kilka świąt - Wielkanoc, Święto Dziękczynienia - powiedziała. - Był uroczy, ale bardzo zagubiony. Nigdzie nie czuł się sobą. - Próbując wkraść się w łaski gospodarzy, podkoloryzował swój życiorys. - Mówił nam, że jego ojciec jest ważnym importerem egzotycznych gatunków

drewna z RPA, a matka specjalistką od czegoś, nie pamiętam czego.

- Był inteligentny, ale miał w sobie coś dziwnego - powiedział syn.

Najbardziej uwidocznilo się to wtedy, kiedy rodzina zabrała go do swojego domu letniskowego nad jeziorem w New Hampshire.

- Żadne z naszych dzieci nie nawiązało z nim bliskiej więzi - powiedziała matka. - Nie interesował się sportem, ale kochał muzykę, zwłaszcza klasyczną. Zawsze zabierał nad jezioro dudy i bardzo lubił na nich grać. Przyjeżdżał na weekendy w stroju kąpielowym i kowbojskich butach, co moi chłopcy uważali za idiotyczne.

- Mój mąż był prawnikiem, który zajmował się akcjami i obligacjami - kontynuowała. - Toczyli z Christianem długie rozmowy i Christian dużo wiedział - znał się na akcjach, obligacjach i bankach.

Innymi słowy, Christian umiał nawiązywać kontakty.

W Berlinie Gerhartsreiter przełożył swoją miłość do muzyki klasycznej na pracę na część etatu. Błefował, kiedy mówił ludziom w Bergen, że jedzie do Ameryki pracować jako radiowy prezenter muzyczny, ale właśnie tym się zajął.

- Właśnie założyłem edukacyjną rozgłośnię radiową w liceum w Berlinie - powiedział Jeff Wayne, który z ramienia urzędu miasta dbał o to, żeby biblioteki i szkoły w Berlinie miały jak najlepszy sprzęt audiowizualny. W okresie kiedy Christian Gerhartsreiter chodził do tamtejszego liceum, rozgłośnia radiowa z Hartfordu przekazała miastu Berlin gigantyczną kolekcję albumów z muzyką klasyczną, powiedział mi Wayne:

- Najwięksi geniusze - Chopin, Mozart. Niewiarygodna kolekcja, całe szafy - chyba z tysiąc albumów. Nie mogliśmy ich powierzyć pierwszej lepszej osobie. Prezenter musiał się znać na muzyce klasycznej. Ale licealiści nie interesowali się muzyką

klasyczną.

Z wyjątkiem jednego.

- Któregoś dnia bibliotekarka Mia McMahon przysłała z Christianem, długowłosym chłopakiem, który wyglądał na Europejczyka i mówił z niemieckim akcentem - ciągnął Jeff Wayne. - „Christian jest ekspertem od muzyki klasycznej i chciałby prowadzić program radiowy”. Nie wypuściłem tej okazji z rąk. - Erudycja Gerhartsreitera zrobiła na nim wielkie wrażenie i natychmiast posadził go przed mikrofonem. - Mnóstwo ludzi go słuchało i nie mogli uwierzyć, że jest licealistą. Zapowiadał muzykę i wygłaszał krótki komentarz - bardzo profesjonalnie. Może nie na poziomie radia publicznego, ale w końcu miał zaledwie osiemnaście lat. Jeśli ktoś był melomanem, Christian z pewnością bardzo mu imponował.

Próbowałem sobie wyobrazić Gerhartsreitera przy galkach, z resztkami niemieckiego akcentu mrużącemu do mikrofonu: „A teraz przejmujący Marsz żałobny marionetki Charlesa Gounoda z 1872 roku”.

Wspominając te czasy, Wayne powiedział, że Gerhartsreiter był może za bardzo profesjonalny, za bardzo zadowolony z siebie.

- Nie widziałem, żeby nawiązywał więzi czy miał prawdziwych przyjaciół. Sprawiał wrażenie dojrzałego od przeciętnego licealisty. Mam wątpliwości, czy rzeczywiście był w wieku maturalnym. Wydawał się starszy, bardziej wyrafinowany.

W niektóre wieczory Gerhartsreiter chodził do pokoju Edwarda Savio, gdzie stał stół do pisania, wieża stereo i pianino, na którym Edward komponował piosenki do szkolnych musicali. Tak jak Christian marzył kiedyś o opuszczeniu Bergen, tak Edward chciał wyjechać z Berlina, poszerzyć horyzonty. Jego marzeniem było przenieść się do Los Angeles, aby zostać scenarzystą i reżyserem.

- Chciałem robić filmy - powiedział mi Savio. - Wiedziałem to już w ostatniej klasie podstawówki. Chris i ja rozmawialiśmy o

tym.

- Jak możesz dorastać w takim mieście? - pytał go Gerhartsreiter. - Ja na pewno nie chciałbym tutaj być.

- Uwielbiam tutaj dorastać - odpowiadał Savio. - Nie zamierzam tutaj zostawać, ale to jest świetne miejsce na młodość. Moim celem jest skończyć szkołę i wyjechać do Kalifornii.

- Dla mnie najlepsze miasto to Nowy Jork - upierał się Gerhartsreiter.

- Tak, Nowy Jork to światowa stolica kultury - zgodził się Savio - ale filmy kręcą w Kalifornii. Tam się najwięcej dzieje.

Powiedział, że planuje iść do szkoły filmowej na USC (Uniwersytet Południowokalifornijski) albo UCLA (Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles), a potem przebić się do Hollywood. Gerhartsreiter jak zwykle uważnie słuchał, chłonał każde słowo.

Chociaż próbował zaprzyjaźnić się z Edwardem, w stosunku do reszty rodziny gospodarzy zachowywał się coraz bardziej wyniośle. Praca prezentera muzyki klasycznej, wyjazdy na weekend z niemiecką rodziną, oglądanie postaci Thurstona Howella w telewizji - pod wpływem wszystkich tych czynników zaczął się uważać za kogoś większego, niż faktycznie był, i ważniejszego od ludzi, którzy go gościli.

- Ojciec nie pozwalał mi rozmawiać z chłopami - mawiał z pseudoarystokratycznym akcentem.

- My nigdy tak nie jedliśmy - skarżył się przy kolacji. - Jedzenie przynosili nam służący. - Kiedy znudziła mu się włoska kuchnia codziennie serwowana przez Gwen Savio, mówił: - Znowu to samo?

- Nigdy nie ożeniłbym się z Włoszką - powiedział kiedyś. - Są zbyt emocjonalne.

- Dzięki Bogu! - odpaliła pani Savio. - Na całe szczęście dla Włozek.

Gerhartsreiter ciągle powtarzał: „Nie mógłbym tak żyć”, mając na myśli mały dom w małym mieście na głębokiej prowincji.

- Ale przecież tak właśnie żyjesz, Chris - przypominał mu Edward.

Transformacja niemieckiego nastolatka objęła jego imię.

- Kiedy pojawił się w naszym domu, nazywał się Christian Gerhartsreiter - wyjaśnił Savio. - Potem Chris Gerhart. Jeszcze później Christopher Kenneth Gerhart.

Brzmiało to bardzo po amerykańsku, na pewno był zachwycony. I jak łatwo było przybrać nową tożsamość! Tak jak z wieloma innymi rzeczami w Ameryce wystarczy ją sobie wziąć, przyswoić, i nikt o nic nie pyta.

Chris Gerhart zachowywał się jednak identycznie jak Christian Gerhartsreiter, zarządzał salonem Saviów, gdzie z kanapy, na której spał, dniem i nocą oglądał telewizję.

- Proszę o ciszę! - mówił rano, kiedy gospodarze zaczęli już się krzątać, a on próbował spać, bo do późna oglądał telewizję. Musiał się przecież wyspać i oczekiwał, że po przebudzeniu zastanie wyprane rzeczy i przygotowane śniadanie.

Po paru miesiącach pobytu u Saviów leżał na kanapie i oglądał telewizję, może Wyspę Gilligana - może śmiał się z tego, jak Lovey podlizywała się Thurstonowi, albo ćwiczył sposób wygłaszania kwestii przez Thurstona. Był tak zaabsorbowany, że albo nie usłyszał pukania do drzwi, albo usłyszał i zignorował. W każdym razie nie otworzył drzwi Snooks, która stała godzinami na mrozie.

Po powrocie do domu Gwen Savio zastała swoją córkę trzęsącą się z zimna pod drzwiami.

- Musisz sobie znaleźć jakąś inną kwaterę - powiedziała do Gerhartsreitera.

- Moja mama jest bardzo uprzejma, nawet jak się zezłości, ale wtedy była mocno wkurzona - wspominał Savio. - Zrelacjonowała mi tę historię, a ja powiedziałem: „Masz rację, to nie do przyjęcia, ale co zamierzasz zrobić? Jest zima. Wyrzucisz go na ulicę?”

- Nie wytrzymam z nim dłużej pod jednym dachem.

Gwen podzwoniła po znajomych i Mia McMahon, szkolna bibliotekarka, która przedstawiła Gerhartsreitera wielu osobom, zgodziła się wziąć go do siebie. Christian bezceremonialnie

opuścił dom Saviów.

- Od dawna chciałem się wynieść do czegoś lepszego - powiedział na pożegnanie.

Skontaktowałem się z Mią McMahon, ale odmówiła rozmowy ze mną, wołała zachować swoje wspomnienia dla siebie. Dotarłem jednak do krótkiego streszczenia tego, co powiedziała po latach policji:

Zeznała: że Chris Gerhartsreiter pojawił się w jej domu w 78/79, po pobycie u rodziny Saviów. Że Chris poinformował ją, iż jest z Niemiec, ale opuścił kraj, aby uniknąć poboru do wojska. Że jego ojciec jest inżynierem, a matka obywatelką RPA. Że podczas pobytu w jej domu Chris wykonał wiele długich rozmów telefonicznych do Niemiec i RPA. Że rozstali się pokłóceni o rachunki za międzynarodowe rozmowy telefoniczne.

Po tym jak w ciągu roku opuścił trzy domy (albo został z nich wyrzucony), Christian postanowił raz na zawsze skończyć z Connecticut. Nie zaczekał nawet do końca roku szkolnego, ponieważ mierzył wyżej: chciał pójść na studia. Przyjęto go jako zagranicznego studenta na Uniwersytet Wisconsin w Stevens Point. Była to filia głównej placówki w Madison, toteż łatwiej było się tam dostać.

Przestudiowałem formularze wypełnione przez Christiana Karla Gerhartsreitera (do celów urzędowych nadal posługiwał się tym nazwiskiem). Nie bardzo wiedziałem, jak udało mu się dostać na studia - był inteligentny i odczytany, spędzał dużo czasu w bibliotece publicznej w Berlinie, ale nie skończył liceum. W każdym razie wydano mu następujące zaświadczenie: „Uniwersytet Wisconsin, Stevens Point. Wymieniona poniżej osoba została przyjęta na studia dzienne”.

W rubryce „Najbliżej spokrewniona ze mną osoba zamieszkała w Stanach Zjednoczonych” w formularzu imigracyjnym wpisał kobietę pochodzenia niemieckiego, która mieszkała w Berlinie i

miała dom letniskowy nad jeziorem.

- Raz do nas zadzwonił - powiedziała mi, kiedy zapytałem, czy miała z nim kontakt po jego wyjeździe z Connecticut. - Powiedział, że jego matka właśnie miała operację usunięcia nowotworu i potrzebuje jakiegoś miejsca na rehabilitację, więc czy mógłby skorzystać z naszego domku letniskowego. Opowiadał, że studiuje. Mówił o akcjach i obligacjach. To było chyba w październiku. Później już nigdy nie zadzwonił.

Chris Gerhart jako główny przedmiot studiów podał politologię i zadeklarował zamiar ukończenia czteroletniego kursu licencjackiego. Najpóźniej w sierpniu 1979 roku przeniósł się do Wisconsin i mieszkał w akademiku Baldwin Hall, razem z wieloma innymi zagranicznymi studentami. Zachęcano ich do udziału w wydarzeniach, które miały im pomóc w doskonaleniu umiejętności językowych i społecznych - idealne środowisko dla Gerhartsreitera, który wiele się co prawda nauczył, ale nadal pracował nad tym, żeby zostać Amerykaninem.

Skontaktowałem się z pracownikami uczelnianej administracji, których nazwiska pojawiły się w dokumentach. Żaden z nich nie potrafił mi udzielić informacji o tym młodym człowieku. „Chcielibyśmy Panu pomóc, ale w biurze obsługi studentów zagranicznych (gdzie kiedyś pracowałem) nie ma żadnych dokumentów na jego temat, a ja go nie pamiętam” - napisał mi w e-mailu doradca uniwersytecki Gerhartsreitera. W końcu znalazłem jego pierwszego kolegę z pokoju, Chrisa Newberga. Newberg doskonale pamiętał tego pierwszorocznika, który przyszedł do akademika z nowym czarnym bagażem, kompletem kijów golfowych i owiany arystokratyczną aurą.

- Powiedział, że jego matka albo ojciec był ambasadorem ze Wschodniego Wybrzeża, że pochodzi z Bostonu. Na ścianie nad łóżkiem powiesiłem obok plakatów dużą amerykańską flagę, która była trochę wystrzępiona na brzegach - opowiadał Newberg. - Jak dla mnie wyglądała super, symbolizowała wszystkie bitwy, które przetoczyły się przez nasz kraj.

Ale Christopher uważał, że flaga wygląda tandetnie.

- Przykro mi, ale będziesz musiał ją spalić - powiedział koledze ze swoim oficjalnym angielskim akcentem. - Jest za bardzo złachmaniona.

Wizerunek syna bostońskiej rodziny z klas rządzących wzmacniał regularną grą w golfa i doborem diety: irish coffee i bostońskie ciastko z kremem, nie od czasu do czasu, ale codziennie.

- Wszyscy myśleliśmy, że jego ojciec pracuje w FBI albo jest świadkiem koronnym, bo Christopher nie chciał nic mówić o swojej rodzinie - wspominał inny student, Richie Riddle.

Tajemniczość Christophera sięgała tak daleko, że zażądał usunięcia swoich danych - łącznie z danymi kontaktowymi w sytuacjach awaryjnych - z rejestru akademika. Pewnego wieczoru w skrzydle żeńskim odbywała się impreza, która skończyła się po północy, ale Christopher nie chciał wyjść i dziewczyny wezwały woźnego, żeby go wyrzucił.

- Wiesz, z kim masz do czynienia? - warknął Christopher. - Nie będziesz mi rozkazywał!

- Później już nigdy go nie widzieliśmy - relacjonował Richie Riddle.

W Stevens Point spędził tylko jeden trymestr. W styczniu 1980 roku przeniósł się na Uniwersytet Wisconsin w Milwaukee, gdzie napisał we wniosku, że jego celem edukacyjnym jest uzyskanie „dyplomu z komunikacji społecznej”.

W tym samym okresie złożył cały szereg innych wniosków - między innymi o przedłużenie pobytu i zmianę statusu imigracyjnego. Podania zostały bardzo szybko rozpatrzone pozytywnie przez różnych zapracowanych urzędników, którzy prawdopodobnie nigdy nie widzieli zagadkowego młodego Niemca na oczy i uznali podane przez niego informacje za prawdziwe.

W tym czasie Christian Karl Gerhartsreiter - alias Chris Kenneth Gerhart - dążył do uzyskania najważniejszego dokumentu, który pozwoliłby mu pozostać w Ameryce na zawsze: świadectwa ślubu.

ROZDZIAŁ 3

Zostać Amerykaninem

- Znałem go jako Chrisa Gerharta - powiedział Todd Lassa, który studiował na Uniwersytecie Wisconsin w Milwaukee, kiedy Gerhartsreiter zjawił się tam w styczniu 1981 roku. - Miałem dwadzieścia jeden lat i chodziłem do szkoły filmowej. On też. Spotykaliśmy się między innymi na zajęciach o *film noir*. Powiedział mi, że spędził poprzedni semestr na Uniwersytecie Wisconsin w Stevens Point. Zaprzyjaźniliśmy się. - Lassa, redaktor czasopisma „Motor Trend”, wspominał: - Miał niemiecki akcent, kiedy go poznałem. Nie starał się tego ukrywać. Mieszkał na Elm Grove, na przedmieściu Milwaukee. Raz u niego byłem. Zaprosił mnie do tego domu, domu rodziny z wyższej klasy średniej. Tak go wtedy postrzegałem. Powiedział mi, że to jest dom jego rodziców albo ciotki, nie pamiętam. Nie było tam nikogo oprócz niego, kiedy przyszedłem. Byłoby bardzo dziwne, gdyby wynajmował taki dom, bo czynsz na pewno byłby astronomiczny. Może opiekował się nim pod czyjąś nieobecność. Poza tym razem z innym studentem parę razy poszliśmy na piwo, więc zaskoczyło mnie, kiedy po kilku tygodniach znajomości poprosił mnie, żebym został jego świadkiem na ślubie cywilnym w Madison - relacjonował Lassa. - Ale powiedziałem: „Jasne, zgadzam się”.

Szczęśliwa wybranka nazywała się Amy Janinę Jersild.

Chris Gerhart poznał Amy przez jej młodszą siostrę Elaine, która musiała mu się wydawać darem niebios. Była

dwudziestodwuletnią córką pracowitego małżeństwa robotniczego, Arthura Jersilda i Berthy M. Geiger Jersild z Elkhart w stanie Indiana. Poznali się na spotkaniu kółka parafialnego. Nie powalała urodą, ale była bardzo energiczna i pełna życia. Co istotniejsze, miała amerykańskie obywatelstwo, a tym samym możliwość zdobycia dla Gerharta tego, czego na tym etapie życia najbardziej pragnął: zielonej karty dającej status stałego rezydenta cudzoziemcowi, który poślubi Amerykankę.

Chris poruszył z nią temat małżeństwa, powiedział, że chce zostać w Ameryce, by nie wzięli go w Niemczech do wojska, bo z pewnością trafiłby na linię frontu zimnej wojny przeciwko Rosjanom. Elaine rozumiała jego trudne położenie - urodziwy, sympatyczny i mikry Chris Gerhart raczej nie miałby szans przeżyć na linii frontu na jakiegokolwiek wojnie - ale nie zamierzała mu pomóc. Powiedziała jednak, że jej siostra Amy może byłaby bardziej chętna.

Zadzzwoniłem do Elaine Jersild, aby zapytać, co się stało potem. Z początku była wesoła i życzliwa, ale kiedy wymieniłem nazwisko Chrisa Gerharta, natychmiast zmieniła ton.

- Przykro mi, szefie, ale muszę odmówić komentarza. Myślałam, że mam to już za sobą, ale widzę, że nie.

Została wezwana na świadka przez sąd w Bostonie i wszyscy dziennikarze i widzowie na sali z niecierpliwością czekali na jej wejście. Nareszcie mieliśmy usłyszeć zeznania kogoś, kto osobiście znał tego dziwnego młodego człowieka w pierwszych latach jego podboju Ameryki.

Kiedy Amy Jersild Duhnke zjawiała się w sali, medialna sfera wymieniła między sobą spojrzenia, jakby chciała powiedzieć: „To ma być ona?”. Amy miała pięćdziesiąt lat, była zniszczona i siwa, jej długi warkocz spływał na plecy taniego żakietu. Kilka dekad w przemyśle gastronomicznym - ostatnio jako kucharka w restauracji Twisted Fork w Milwaukee - wyręło głębokie zmarszczki na jej twarzy. Trudno ją było sobie wyobrazić jako pierwszą żonę raczkującego bon vivanta.

Można by się spodziewać, że widok pierwszej żony ponownie

pojawiającej się w życiu oskarżonego wywoła jakąś jego reakcję, on jednak patrzył prosto przed siebie. Nie okazywał żadnych emocji.

- Proszę opowiedzieć o waszym pierwszym spotkaniu - powiedział prokurator, kiedy Amy złożyła przysięgę.

- Przyszedł z moją siostrą specjalnie po to, żeby zapytać, czy za niego wyjdę - powiedziała oschłym, monotonnym głosem mieszkanki Środkowego Zachodu.

Wiedziałem z dokumentów, że kiedy Amy poznała Chrisa, zarabiała 5800 dolarów rocznie jako ekspedientka w delikatesach East Side Foods, co oznaczało, że po potrąceniach przynosiła do domu trochę ponad 100 dolarów tygodniowo. Wiedziałem również, że mieszkała wtedy ze swoim chłopakiem w małym mieszkaniu blisko sklepu. Co mogło skłonić ją do poślubienia zupełnie obcego człowieka? Zaproponował jej pieniądze? W tamtych czasach głodny imigrant bez wahania zapłaciłby za szybki ślub z chętną młodą Amerykanką. Prokurator przytoczył później zeznania Amy - powiedziała, że nie przypomina sobie, czy imigrant proponował jej pieniądze, ale pamięta, że nie dostała od niego ani centa.

- Kto wpadł na pomysł, żeby pani za niego wyszła? - spytał prokurator.

- Moja siostra Elaine.

- Czy siostra powiedziała, dlaczego chce, żeby pani za niego wyszła?

- Nie pamiętam szczegółów, ale mówiła, że on chce zostać w naszym kraju. Był zagranicznym studentem na wymianie.

Przez mniej więcej godzinę Chris i Elaine wyjaśniali Amy, że Chris mógłby uzyskać stały pobyt w Stanach Zjednoczonych, gdyby za niego wyszła. Na rozprawie nie padło pytanie, czy pojawiła się kwestia pieniędzy.

- Podjęliście decyzję? - spytał prokurator.

- Tak - że za niego wyjdę.

Oskarżyciel nie drażył tematu, Amy zaś nie powiedziała z własnej woli, jakie motywy nią kierowały.

- To było łatwe - wyjaśniła: wystarczyło, żeby nauczyła się pisać i wymawiać imię i nazwisko przyszłego męża. - Pamiętam tylko tyle, że umówiliśmy się, iż zabierze mnie do Dane County w Madison i weźmiemy tam ślub.

Kiedy Amy się zgodziła, Gerhart zapytał Todda Lassę, czy zostanie jego świadkiem. Dwaj studenci przez jeden semestr analizowali arcydzieła *film noir*, w którym z reguły pojawiają się nieuczciwi ludzie robiący sobie nawzajem nikczemne rzeczy w bardzo czarno-białym świecie. Prośba Gerharta - żeby prawie obcy człowiek został jego świadkiem na ślubie z całkiem obcą kobietą - mogła mu się wydawać w miarę normalna w porównaniu z tym, co oglądali na zajęciach. Lassa chętnie się zgodził.

- Była sobota po południu - wspominał Lassa. - Podjechał po mnie i udaliśmy się do starszej dzielnicy Milwaukeee.

Jechali plymouthem arrow Chrisa, obaj w garniturach. Siostry Jersild czekały na nich przy wejściu. Todd był zdziwiony, że Chris nie żeni się z młodszą siostrą, z którą chodził.

- Sprawiały takie wrażenie - Chris zresztą też - jakby to był dla nich wygląd - relacjonował Lassa. - Tłumaczył mi, że żeni się z siostrą swojej dziewczyny z powodów podatkowych, bo zamierza wydać książkę. Było dla mnie oczywiste, że wciska mi kit, że tak naprawdę chodzi mu o zieloną kartę.

Nie mniej oczywisty był dla Todda fakt, że Chris przywykł do tego, że dostaje, czego chce. I można to zrozumieć. Był młody, inteligentny, przystojny i przebojowy. 20 lutego 1981 roku, dzień przed swoimi dwudziestymi urodzinami, Chris Gerhart z uroczystą miną stał obok Amy Jersild w budynku sądu hrabstwa Dane, a sędzia okręgowy Richard W. Bardwell odczytywał rotę przysięgi i czekał na odpowiedzi.

- Czy ty, Christianie Karlu Gerhartsreiterze, bierzesz Amy Janinę Jersild za żonę...

Skromna uroczystość trwała kilka minut i nie było przyjęcia weselnego. Państwo młodzi powiedzieli „tak”, każde poszło w

swoją stronę. Chris i Todd odwieźli obie siostry do domu i wrócili na uczelnię. Kilka tygodni później Chris znowu przyjechał po Amy i zawiózł ją do sądu federalnego w Milwaukee, szkoląc ją po drodze z pisowni i wymowy jego prawdziwych imion i nazwiska - Christian Karl Gerhartsreiter.

7 kwietnia małżeństwo miało być skonsumowane, nie w łóżku, tylko na papierze.

- Dał mi kartkę papieru ze swoim nazwiskiem, żebym nauczyła się go na pamięć, bo było dosyć długie - powiedziała Amy prokuratorowi. - Musiałam też się przyjrzeć charakterowi jego pisma, żebym była w stanie podpisać się na dokumentach.

- Po co mu były te dokumenty? - spytała ją.

- Żeby mógł legalnie zostać w Stanach Zjednoczonych.

- Mieliście zamiar być ze sobą jako mąż i żona?

- Absolutnie nie - odparła stanowczo, po raz pierwszy ze śladem emocji w głosie.

Kiedy przedstawiono jej dokumenty do podpisania, nie miała z tym żadnego problemu i nie wzbudziła podejrzeń, że nie jest to małżeństwo z miłości. Znalazłem w przekazanym mi dossier świadectwo ślubu i inne papiery, między innymi oświadczenie Amy, że „ma wolę i możliwość przyjąć, utrzymywać i wspierać swojego męża”. Wpisała roczną pensję, ale rubrykę, w której trzeba było wymienić oszczędności i majątek osobisty, zostawiła pustą. Oświadczyła również, że w razie potrzeby wpłaci urzędowi imigracyjnemu kaucję, aby jej mąż nie stał się „publicznym obciążeniem” dla Ameryki.

Jako cel złożenia oświadczenia podała „Wniosek o pobyt stały dla mojego męża”. Potem podpisała się - pod przysięgą - jako Amy Gerhartsreiter, tak samo zamaszystym pismem jak w podpisie męża.

- Czy po tym dniu w sądzie jeszcze kiedykolwiek go pani widziała? - spytała ją.

- Nie - odparła i dodała, że upłynęło dwanaście lat, zanim uzyskała rozwód i mogła wyjść za mężczyznę, którego naprawdę kochała. Chris Gerhart mieszkał już wtedy daleko od Milwaukee

i Amy nie miała zamiaru informować go o rozwodzie, który, jak podejrzewała, nic dla niego nie znaczył. Zeznała, że aby rozwód się uprawomocnił, musiała tylko zamieścić ogłoszenie w lokalnej gazecie.

- Przez ostatnie kilka tygodni roku nie pojawiał się na zajęciach
- powiedział Todd Lassa.

W Milwaukee nikt więcej nie widział Gerharta, który uzyskał tam już wszystko, czego chciał, powiedziawszy „tak” do Amy Jersild i sędziego okręgowego.

Dokumenty związane opowiadają tę historię:

11 lutego 1981: Stan Wisconsin, [...] Świadectwo ślubu. Pan młody: Christian Karl Gerhartsreiter. [...] Panna młoda: Amy Janinę Jersild. Uroczystość ślubna odbyła się 20 lutego 1981. Za zgodność podpisów [...].

7 kwietnia 1981: Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. [...] Wniosek o pobyt stały. Za zgodność podpisów [...].

Jako człowiek oficjalnie żonaty, Chris Gerhart wsiadł do plymoutha arrow i wyruszył w drogę ku lepszej przyszłości, pędził tam, gdzie miał zostać jeszcze kimś innym. Dla marzyciela jego pokroju istniał tylko jeden możliwy cel podróży: Los Angeles, gdzie marzenia są gałęzią przemysłu.

Niedługo po zawiadomieniu urzędu imigracyjnego o jego nowym adresie w Kalifornii (adresie Elmera i Jean Kellnów) powstał najważniejszy dokument w jego nowym życiu: „16 czerwca 1981: Odpis decyzji o przyznaniu pobytu stałego, zatwierdzona, Urząd Imigracyjny USA, Chicago, Illinois”. Na dokumencie tym widniał podpis Christiana Karla Gerhartsreitera.

Tym rozwlekłym nazwiskiem posłużył się po raz ostatni. Nawet nowa tożsamość, Chris Gerhart, była zbyt nudna i niemiecka jak na krainę, do której się wybierał. Na nowe życie, które miał niedługo rozpocząć, chciał przybrać jakieś królewskie i bajkowe

nazwisko kojarzące się z pieniędzmi, władzą i prestiżem rodem ze Starego Świata.

Wypróbował różne nazwiska w trakcie jazdy na zachód, między innymi doktora Christophera Ridera - tak się przedstawił podczas krótkiego przystanku w Las Vegas. Los sprawił, że spotkał w tym mieście kardiologa - co za zbieg okoliczności, powiedział temu lekarzowi, ja też jestem kardiologiem. Chris oznajmił, że przeprowadza się do Las Vegas i poszukuje lekarza, z którym mógłby pracować w jego przychodni.

- Myśli pan, że dobrze by nam się współpracowało? - zapytał.

Lekarz z Las Vegas był nim zauroczony i zaproponował, że obwiezie go po dobrych dzielnicach mieszkalnych, aby przybysz znalazł sobie odpowiednie lokum. Po drodze doktor Rider nakłonił swojego nowego przyjaciela kardiologa, aby pożyczył mu 1500 dolarów. Lekarz z radością dał mu te pieniądze, ale doktor Rider bez słowa wyjechał z miasta, nie zdążywszy zwrócić długu.

Młody człowiek wciąż poszukiwał nowego nazwiska, kiedy przyjechał do Loma Linda, do domu Elmera i Jean Kellnów, małżeństwa, które poznał, kiedy jechał w Niemczech autostopem i którego nazwiskiem bez jego wiedzy się posłużył przy podawaniu sponsorów swojego pobytu w USA. Później, również bez ich wiedzy i zgody, podawał ich adres jako swój stały adres w Ameryce, chociaż składał im tylko krótkie wizyty.

Ledwo go poznali, kiedy się pojawił. Jego włosy, niegdyś długie i zgodnie z ówczesną modą nierówno obcięte, były teraz krótkie i równo ostrzyżone, a jego strój, dawniej kojarzący się ze stylem amerykańskich hipisów, teraz był strojem studenta elitarnego uniwersytetu. Jego przemiana jeszcze się jednak nie zakończyła. Marzył o tym, żeby zostać ważną osobą w branży filmowej, powiedział Elmerowi i Jean. A do tego potrzebował lepszego nazwiska. Siedząc w salonie Kellnów, przeglądał książkę telefoniczną San Bernardino, poszukując dla siebie nowej tożsamości.

- A co ci się nie podoba w twoim nazwisku? - spytała Jean, ale

Elmer doskonale go rozumiał.

Chris zmierzał do Hollywood, gdzie przybrane nazwiska to norma, gdzie Bernard Schwarz może się stać Tonym Curtisem i gdzie fałsz od bajki oddziela tylko skala czyjegoś sukcesu.

- W przemyśle filmowym nikt nie używa własnego nazwiska! - skarcił Elmer żonę.

Później wyjaśnił:

- Trzeba pamiętać, że jesteśmy w Kalifornii, gdzie wolno zmienić nazwisko. Byłem kiedyś dziekanem na uniwersytecie i zamawiałem dyplomy dla studentów. Jeśli student przyszedł do mnie przed promocją i powiedział: „Chcę mieć na dyplomie takie a takie nazwisko”, to do końca życia pracował jako dentysta pod tym nazwiskiem. Mieliśmy wielu studentów z Azji. Pamiętam, że ktoś nazywał się Due, ale nie chciał być znany jako doktor Due, więc pozwolono mu zmienić nazwisko. W Kalifornii to jest legalne, więc nie miałem żadnego problemu z tym, że on chciał zmienić tożsamość.

- Za bardzo niemieckie - odparł lekceważąco Chris w reakcji na pytanie Jean i szukał w książce telefonicznej nazwiska, które pozwoliłoby mu odróżnić się od stada.

Nie natrafił na nic odpowiedniego, więc zaczął odfajkowaływać w głowie znajomych. Powrócił myślami do Berlina w stanie Connecticut i przypomniał sobie nauczycielkę, o której marzył, Joan Chichester, wychowawczynię, która uczyła przyrody. Gerhartsreiter zadurzył się w tej pięknej blondynce o prawie brytyjskiej urodzie. Tak powiedział mi Ed Savio, ale Joan Chichester nie przypominała sobie tego młodego człowieka.

- To straszne powiedzieć coś takiego - usłyszałem od niej. - Postarzałam się, ale myślę, że to nie jest kwestia sklerozy. To najzupełniej możliwe, że chodził do mojej klasy. Zapewne wtedy po prostu nie rzucił mi się w oczy. Naprawdę nie mam nic więcej do dodania. Wszystko, co o nim wiem, usłyszałam od pana.

- Ona jest taka fantastyczna! - mówił często Chris Gerhart do Eda Savio.

Poza urodą i inteligencją miała idealne nazwisko: Chichester, które Chris wymawiał z długim „i”. Tak pięknie brytyjskie, zwłaszcza w towarzystwie dostojnego imienia takiego jak Christopher.

Tak, to jest to: Christopher Chichester! Żeby jeszcze trochę podrasować swoją nową tożsamość, dodał drugie imię: Mountbatten.

Christopher Mountbatten Chichester. Elmer i Jean nie mogli się powstrzymać od uśmiechu. Genialne i chyba niewinne, ucieszyli się, że coś takiego wymyślił. Ich młody niemiecki przyjaciel był gotowy do podboju Hollywood! Zaszedł bardzo daleko od dnia, kiedy spotkali przemoczonego autostopowicza na poboczu niemieckiej autostrady. Od tego czasu nauczył się schlebiać innym i przyznawać im rację, nauczył się, kiedy mówić, a kiedy milczeć, nauczył się wykorzystywać amerykański system do własnych celów.

W Hollywood - każdy o tym wie - wykreowanie nowej osobowości jest sposobem na życie. Ale Christopher Mountbatten Chichester nie wybrał Los Angeles jako bazy swojego nowego życia. To byłoby zbyt oczywiste, zbyt przewidywalne. Postanowił się wyłansować z położonej dwadzieścia kilometrów od LA bukolicznej enklawy zamieszkałej przez rasowych Amerykanów, którzy tylko czekali na to, aby przytulić do serca obcego - zwłaszcza z tak imponującym nazwiskiem.

ROZDZIAŁ 4

Christopher Chichester, San Marino, Kalifornia

W pliku dokumentów, które przekazał mi tajemniczy informator w Bostonie, wpadł mi w oko interesujący papier, raport biura szeryfa hrabstwa Los Angeles datowany na 4 lipca 1994 roku:

Funkcjonariusze opisują Chicheстера jako elegancko ubranego, zadbanego i dobrze się wystawiającego mężczyznę. Regularnie chodzi do kościoła i szuka kontaktu ze starszymi ludźmi z bogatych dzielnic. Przedstawia się jako komputerowiec, producent filmowy i makler giełdowy.

O swoim ojcu mówi, że jest prawnikiem, archeologiem lub brytyjskim arystokratą, a o matce, że jest architektką, archeolożką lub aktorką. Posiada szeroką wiedzę o tematach, na które się wypowiada. Chociaż w powszechnym odczuciu Chichester mówi z angielskim akcentem, funkcjonariusze twierdzą, że nie jest Brytyjczykiem, lecz pochodzi z innego zachodnioeuropejskiego kraju.

Znalazłem również następujące informacje o młodym imigrancie:

26 maja 1981: Przeprowadza się do Kalifornii, zostaje Christopherem Chichesterem.

7 lutego 1983: Wydano mu kalifornijskie prawo jazdy numer C309973 - w okresie między tą datą a 2-08-85 przenosi się do domku gościnnego z tyłu lokalu przy Lorain Road 1920, San Marino.

Nigdy wcześniej nie byłem w San Marino, ale kiedy trochę się dowiedziałem o tej miejscowości, natychmiast zrozumiałem, dlaczego Niemiec, który teraz nazywał się Christopher Chichester, postanowił się przenieść właśnie tam. „OGRODY ZIEMSKICH ROZKOSZY” - przeczytałem nagłówek artykułu o tym miasteczku w „New York Timesie”. W 1996 roku dziennikarz „Los Angeles Times” przytoczył imponujące statystyki: powierzchnia w kilimetrach kwadratowych: 9,71; liczba ludności 12 959; średnia wiekowa: 41,2; średni dochód gospodarstwa domowego: 100 101 dolarów.

W artykule napisano:

San Marino, znane z wielkich posiadłości i wysokich dochodów, jest miastem superlatywów.

Rozważmy jedną z wielu jego cech wyróżniających: nazwisko jednego z założycieli San Marino, magnata kolejowego Henryego E. Huntingtona, widniało na prawie tyłu nieruchomościach w Los Angeles co nazwisko okręgowego geodety. Pierwszym burmistrzem był George Patton, ojciec słynnego (między innymi dzięki wypowiedzi o „krwi i trzewiach”) generała z okresu drugiej wojny światowej. W dzieciństwie młodszy George pływał w Lake Vineyard, które przerosło się w kilkunastohektarowy klejnot zwany Lacy Park. [...]

Luksusowe życie chronią rygorystyczne przepisy: samochód nie może parkować na podjeździe dłużej niż 48 godzin, w jednym domu może mieszkać tylko jedna rodzina, kubłów na śmieci nie wolno wystawiać na ulicę, komiwojażerowie i ogrodzenia z siatki drucianej są surowo

zakazane. Jedynym ratunkiem dla zagubionej duszy jest wzmocnione espresso - najmocniejszy napój, jaki można zakupić w San Marino.

Jesienią 2008 roku jechałem z centrum Los Angeles autostradą 110, która nagle się skończyła i zamieniła w zwykłą drogę. Przeciąłem zapuszczone przedmieście Pasadena i niebo rozpostarło się nade mną, listowie zgęstniało, a powietrze zrobiło się chłodne i przejrzyste. Droga poszerzyła się do sześciopasmowego bulwaru. Nagle znalazłem się w innym świecie, na antypodach oddalonej o dwadzieścia kilometrów metropolii. San Marino tkwiło w innej epoce, było reliktem Ameryki Normana Rockwella, wysadzonym palmami i zamieszkanym przez dobrych, uczciwych i bogobojnych obywateli. Natychmiast poczułem się bezpieczniej niż w molochu, który zostawiłem za sobą.

Niestetyczne dwupoziomowe galerie handlowe, które zawładnęły Los Angeles, tutaj nie dotarły. Wzdłuż głównej ulicy Huntington Boulevard ciągnęły się zadbane staroświeckie sklepy i zakłady: stacja benzynowa Huntington (z obsługą, a nie skomputeryzowanymi dystrybutorami), sklep z pamiątkami Diana Dees, Carriage Trade Coiffeurs, Plantation House, czyszczenie ubrań Fashion Cleaners, szkoła tańca Collenette (specjalizująca się w balecie), zakład szewski Deluxe. Można tu było znaleźć wszystko - kosmetyki, naukę tańca towarzyskiego, zakład krawiecki, wyroby rzemiosła artystycznego czy sklep dla majsterkowiczów. Na co drugim rogu stał kościół, natychmiast zobaczyłem Czytelnię Christian Science obok First Church of Christian Science (scjentystów). Koło południa mieszkańcy tłumnie ściągnęli do restauracji Colonial Kitchen, przed którą stała tablica z napisem: „Czynne od 7.00, codziennie inne menu!”. Przez okna widziałem roześmiane kelnerki nalewające kawę prawdziwym dżentelmenom, którzy jedli jajka na bekonie.

San Marino wywołało uśmiech na mojej twarzy.

Była to miejscowość, w której Christian Karl Gerhartsreiter

znalazł swój pierwszy prawdziwy dom jako obywatel Ameryki. Mniej więcej w tym samym czasie kiedy Gerhartsreiter tutaj przyjechał, jeden z mieszkańców napisał o San Marino następującą piosenkę:

*I've heard of a town
Where millionaires stay
That's only 20 minutes outside of L.A.*

*They've got a Police Force, Fire Department
That they don't need
'Cause there's no crime, no riots, they're
Securitized*

*There're five limousines
In every carport
The schools are all so rich
They're teaching every sport*

*The streetlights burn all night
The trees are trimmed just right
What is its name?
San Marino²*

Christopher Mountbatten Chichester trafił tutaj w 1981 roku. Opanował angielski i teraz był gotów wypróbować najbardziej olśniewającą tożsamość - ale nie w Los Angeles, gdzie poza można znaleźć na każdym rogu, tylko w San Marino, w ogrodzie ziemskich rozkoszy.

2 Słyszałem o miasteczku / W którym mieszkają milionerzy / Tylko dwadzieścia minut od Los Angeles / Mają policję i straż pożarną / Których nie potrzebują / Bo nie ma przestępczości, nie ma zamieszek, są / Bezpieczni / Jest pięć limuzyn / W każdym garażu / Szkoły są tak bogate / Że uczą wszystkich sportów / Latarnie uliczne palą się całą noc / Drzewa są równiutko przycięte / Jak się nazywa to miasteczko? / San Marino (przyp. tłum.).

Najpierw zaparkowałem przed zakładem fryzjerskim Janna ze Szwecji znajdującym się w uroczym ciągu sklepików przy głównej ulicy. Wszedłszy do środka, pomyślałem, że trafiłem raczej do saloonu, a nie salonu fryzjerskiego. Ściany były pokryte od podłogi do sufitu siodłami ze srebrnymi ćwiekami, brązowymi statuetkami kowbojów i koni, porożami jeleni i byczków, gitarami i mandolinami, szarfami i trofeami z rodeo oraz niezliczonymi zdjęciami blondwłosego brodatego kowboja z parad na stadionie Rose Bowl w Pasadenie.

Pojawił się właściciel, olbrzym, który niemal dotykał głową sufitu. Miał na sobie jasnoczerwoną kowbojską koszulę, chustę na szyi i kowbojskie buty z wężowej skóry, do których wsunął obcisłe dżinsy, podtrzymywane przez skórzany pas ręcznej roboty z gigantyczną srebrną sprzączką rodeo. Miał długie śnieżnobiałe włosy, które zlewały się z brodą, i wielkie sumiaste wąsy. Zaświecił krzywymi zębami w szerokim uśmiechu, a jego niebieskie oczy rozbliły, kiedy się przedstawił.

Jann Eldnor przybył do Stanów Zjednoczonych w 1971 roku.

- Byłem bardzo zadbany i wyglądałem jak Ross Perot - opowiadał, mając na myśli miliardera z Teksasu, który dwukrotnie kandydował w wyborach prezydenckich.

Ktoregoś dnia znajomy zabrał go na przejażdżkę konną i Jann złapał bakcyła, który później zamienił się w obsesję.

- Zapuściłem włosy i wąsy i urządziłem salon w stylu Dzikiego Zachodu. Zostałem szwedzkim kowbojem!

Od tego czasu nie zabrakło go na żadnej paradzie konnej, raz nawet wjechał na scenę w programie The Tonight Show with Jay Leno.

Kiedy spytałem go o Christophera Chicheстера, wykrzyknął zachwycony:

- All right! - Szybko się przekonałem, że było to jego ulubione powiedzenie. - Siedział tutaj - oznajmił Jann i wskazał mi stary fotel fryzjerski z tabliczką, na której widniał napis „1886 rok”.

Jann od 1972 roku strzygł całe San Marino i znał tu prawie wszystkich. Pokrótce zreferowałem mu, czego się do tej pory

dowiedziałem: imigrant podający się za Christophera Chicheстера wybrał tę miejscowość ze względu na jej znakomitą reputację, miał nadzieję, że napotka tutaj stare pieniądze i kulturalnych ludzi. Powtórzyłem mu to, co usłyszałem od Elmera Kellna: „Chciał być tam, gdzie mieszkają bogaci”. Okazało się jednak, że nawet Jann ze Szwecji nie wie, kiedy Chichester przyjechał do San Marino i gdzie tu zamieszkał.

- Myślę, że mieszkał z jedną panią przy Bedford Road - powiedział Jann.

- Z jedną panią czy u jednej pani? - zapytałem, nie mając pewności, czy imigrant ze Szwecji zdążył przyswoić sobie to rozróżnienie.

Zapewnił mnie, że poprawnie to sformułował. Panie z San Marino przywitały Chicheстера z otwartymi ramionami, bo nie dość, że był młody, bogaty, dystygowany i wyrobiony estetycznie, to jeszcze w jego żyłach płynęła błękitna krew.

- Twierdził, że pochodzi z brytyjskiej rodziny królewskiej i że nazywa się Christopher Chichester. - Jann wymawiał nazwisko z akcentem na pierwszą sylabę. - Miał dwadzieścia sześć lat, a zachowywał się jak czterdziestolatek. Kiedy spotkał jakąś panią, całował ją w rękę, zanim się przedstawił. Te kobiety myślały, że sam Pan Bóg im go zesłał. Zachowywał się po prostu bez zarzutu. Zupełnie inaczej niż większość facetów w tym kraju. Można z nim było porozmawiać o giełdzie, o polityce, o wszystkim. Te panie zapraszały go do swoich wielkich domów. Zawsze miały pokój gościnny czy coś. Karmiły go i kupowały mu ubrania.

- A pan jak go poznał? - spytałem.

Jann usłyszał o nim znacznie wcześniej, zanim spotkał go po raz pierwszy. Widywał jego zdjęcie w lokalnej gazecie, Chichester zawsze występował w garniturze i krawacie.

- I myślę sobie: „Ali right, kto to, do diabła, jest?”. Facet zaczyna się pojawiać na zebraniach rady miejskiej i tak dalej. A potem nagle zaczyna przychodzić do klubów.

- Do klubów?

- City Club, Rotary i tak dalej. Znam tutaj wszystkich i wszyscy mówili Chichesterowi: „Skoro jesteś Brytyjczykiem, powinieneś się strzyć u Janna, bo on też jest Europejczykiem!”. I nagle facet przychodzi do mnie w garniturze i chce się ostrzyć. I zaczyna mi opowiadać różne historie: że jest Mountbattenem i tak dalej.

I to nie było jakim Mountbattenem, lecz bratankiem lorda Mount - batten. Christopher Chichester wybrał sobie zatem imponującego krewnego, o czym wie każdy, kto zna biografię Mountbatten autorstwa Philipa Zieglera. Na skrzydełku tej książki czytamy:

Urodził się w 1900 roku. Jego Księżęca Mość Ludwik von Battenberg, prawnuk królowej Wiktorii, bratanek cara i carycy Rosji, kuzyn króla Anglii. Jako lord Louis Mountbatten był młodym idolem brytyjskiej marynarki wojennej, a później jednym z trzech najwyższych dowódców wojsk sojuszniczych podczas drugiej wojny światowej (obok Eisenhowera i Mac-Arthura) i miał pod swoimi rozkazami ćwierć miliona Amerykanów; ostatni wicekról Indii, który w niezwykle trudnych okolicznościach poprowadził tę brytyjską kolonię do niepodległości. [...]

Jego życia nie sposób opisać w całym jego bogactwie. Mountbatten miał władzę nad milionami ludzi na całym świecie. Ale ten niezłomny zwolennik samostanowienia narodów i demokracji miał nader królewskie referencje: najlepszy przyjaciel swojego kuzyna, księcia Windsoru; wuj księcia Edynburga, który wyswatał go z Elżbietą; ukochany „honorowy dziadek” księcia Karola.

Był olśniewający, nieprzyzwoicie przystojny, żonaty z jedną z najbogatszych i najpiękniejszych europejskich dziedziczek. [...] Wszystko było w nim nadludzkie.

A tutaj jakiś młody człowiek w południowokalifornijskim miasteczku twierdzi, że jest jego bratankiem. Nikt nie miał jednak powodu mu nie wierzyć, bo wszystko - strój, akcent,

wykształcenie i urok - wydawało się w nim autentyczne.

Jann wskazał na swój przedpotopowy fotel fryzjerski.

- Od 1886 roku siedziało tutaj wielu idiotów - powiedział i zdradził mi, że mówi to każdemu klientowi.

Potem wykonał zamaszysty gest, który zinterpretowałem następująco: „Niech pan siądzie i sprawdzi, jakie to uczucie”. Usiadłem, a Jann podjął swoją historię:

- Chichester zaczął u mnie się strzyc, przychodził co najmniej dwa razy w miesiącu, tak jak wielu innych klientów opowiadał mi o swoich przeżyciach i problemach. Moi klienci wiedzą, że ich słucham. Traktują mnie prawie jak taniego psychiatrę albo barmana.

Zapadłem się głębiej w fotel, który był stary i skrzypiący, ale miękki i wygodny. Podobnie jak inni mieszkańcy San Marino, Jann miał do opowiedzenia trzymającą w napięciu historię.

Młody człowiek stawiający sobie za cel dotarcie do śmietanki towarzyskiej San Marino powinien zacząć od Kennetha Verondy, miejscowego autorytetu i od 1961 roku dyrektora Southwestern Academy - ekskluzywnej szkoły prywatnej w San Marino założonej w 1924 przez ojca Verondy Maurice'a, który studiował w Stanford, doprowadził niepoliconą rzeszę młodych ludzi do dorosłości dzięki wymagającemu programowi nauczania w szkole, a także dzięki swojej inteligentnej i mądrej opiece pedagogicznej.

Pewnego dnia na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku młody człowiek, który przedstawiał się jako Christopher Chichester, wszedł do małego biura Verondy w staroświeckiej chacie pośród zieleni Southwestern Academy.

- Był w mieście nowy i ktoś go do mnie przysłał, żeby się dowiedział, jak mógłby się bardziej zaangażować w życie naszej społeczności - wspominał Veronda, masywny, przyjazny mężczyzna, który siedział za ogromnym biurkiem zawalonym papierami. - Usiadłem naprzeciwko niego dokładnie w tym

samym miejscu, w którym przed laty siedział Christopher Chichester. Bez problemu umiałem sobie wyobrazić elegancko odzianego przybysza, jak w garniturze biznesmena rozmawia z tym niezwykle uprzejmym i gościnnym starszym panem, którego natychmiast zauroczył. - Powiedział, że jest potomkiem angielskiej rodziny Chichesterów i że jego matka spędza większość czasu w domu rodzinnym w Szwajcarii. Przyjechał tutaj po to, żeby studiować komunikację społeczną i reżyserię telewizyjną na USC. Był dość skromny, powiedział: „Tak, należymy do brytyjskiej arystokracji, ale ja jestem tylko ubogim krewnym”.

Wszyscy powitali młodego człowieka z otwartymi ramionami, zwłaszcza Veronda, który wprowadził go do tutejszego towarzystwa.

- Zaprosiłem go na jedno ze spotkań izby handlowej, które służą do nawiązywania kontaktów i wymiany informacji. Przyszło około pięćdziesięciu osób - relacjonował Veronda. - Potem chciał wstąpić do Rotary. Przychodził na cotygodniowe lunche. Oczywiście był dużo młodszy od większości innych członków, którzy mieli po pięćdziesiąt lat i więcej. Nowi członkowie siedzą przy stole z tyłu, gdzie ja często siedziałem. Zawsze elegancko ubrany - w ładnie skrojony angielski garnitur, koszulę i krawat - był bardzo uprzejmy i sympatyczny. Ale na tego rodzaju spotkaniach właściwie nie ma czasu, żeby porządnie porozmawiać. Jak już człowiek dostanie swój talerz w bufecie, przechodzi się do programu dnia, ogłoszeń i wystąpień.

Christopher Chichester szybko stał się regularnym uczestnikiem zebrań klubów i rady miejskiej, a także gościem na przyjęciach u bogatych i ustosunkowanych obywateli, którzy sprawiali wrażenie zadowolonych, że mają pośród siebie osobę królewskiej krwi.

- W San Marino są trzy dzielnice - wyjaśnił mi Jann Eldnor. - Super Marino na wzgórzu, z domami od 5 milionów dolarów wzwyż, San Marino na płaskim terenie, z porządnymi dużymi domami lekarzy i innych specjalistów, i Sub Marino, z tańszymi domami inżynierów, nauczycieli i ludzi o niższych dochodach.

Jeździliśmy po San Marino autem Janna. Zaczekałem na niego przed salonem fryzjerskim, pod który podstawił samochód - wielki biały pikap gmc z ryczącym silnikiem, oblepiony końskim łajnem ze stajni Janna. Podobnie jak wszystko, co wiązało się z Jannem, auto nie pasowało do San Marino, ale szwedzki kowboj już dawno zyskał sobie renomę ekscentryka i mieszkańcy oczekiwali od niego, że będzie ich ciągle zaskakiwał.

- Zanim kupiłem tego pikapa, miałem czerwonego z rogami teksaskiego byka longhorn z przodu - powiedział. - Na specjalnej półce z tyłu trzymałem dwururkę, a na podłodze paki miałem siano, wyłącznie w celach dekoracyjnych. Gliniarze ciągle mnie zatrzymywali i pytali: „Jann, czy ta strzelba jest naładowana?”. Ja odpowiadałem: „A po co miałbym wozić nienaladowaną strzelbę?”

Roześmiał się i powiedział mi, że w strzelbie nigdy nie było nabojów - po prostu pasowała mu do „wystroju” samochodu.

Wsiadłem i Jann jak zwykle od razu zaczął opowiadać. Jechaliśmy przez płaski obszar San Marino, a za plecami mieliśmy najmniej zamożną dolną dzielnicę, od której Jann nie chciał zaczynać.

- Tutaj domy są większe i ładniejsze, kosztują od miliona do dwóch. Lekarze, prawnicy i tak dalej, ale nie wielkie pieniądze, nie stare pieniądze. Chichester kręcił na to wszystko nosem. On chciał mieć do czynienia tylko z odpowiednimi ludźmi, z bogatymi ludźmi.

Kiedy pikap wspinał się na podnóże Gór San Gabriel, domy zrobiły się większe i bardziej okazałe. Pod dostojną brodą Janna dostrzegłem uśmiech. Znajdowaliśmy się w Super Marino, arystokratycznym święcie, na który tak bardzo napalił się Christopher Chichester.

Super Marino zaczyna się od Huntington Library, mierzącej 84 hektary dawnej posesji Henry ego Huntingtona, magnata kolejowego i patrycjusza miejskiego. Dzisiaj mieści się tam galeria sztuki, ogród botaniczny i biblioteka z ponad sześcioma milionami rzadkich książek i rękopisów, zebranych przez

Huntingtona z całego świata.

Potrafiłem zrozumieć, dlaczego Chichester postanowił zamieszkać w mieście z jedną z najwspanialszych bibliotek w Ameryce - ponieważ biblioteki zawsze odgrywały ważną rolę w jego życiu. Spędzał w nich dużo czasu, aby się nauczyć, jak zostać kimś innym.

Huntington Library przywodziła na myśl San Simeon, legendarny zamek magnata prasowego Williama Randolpha Hearsta położony na wybrzeżu na północ od Los Angeles. Wspomniałem o tym Jannowi.

- Huntington był ważniejszy od Hearsta, all right - powiedział z dumą. - Był właścicielem Kolei Pacyficznej. Miał rancza w Australii, w stanie Washington, wszędzie. Jeździł do Anglii, kupował za grosze całe biblioteki i przywoził książki do San Marino.

Zmierzałyśmy do domu, który Chichester podał jako swój pierwszy adres w San Marino: Circle Drive 1405. Według Janna okolica ta kwalifikowała się niejako Super Marino, lecz jako Super Super Marino, czyli absolutnie najwyższy punkt miasta.

- Nie jestem pewien, gdzie mieszkał na początku, nikt tego nie wie - powiedział. - Zanim zaczął poznawać ludzi, pewnie mieszkał w motelu.

Oczywiście nie w samym San Marino - hotele, a tym bardziej tanie motele, były tutaj zakazane. Młody imigrant musiałby poszukać jakiegoś lokum w relatywnie plebejskich okolicach Pasadeny, San Gabriel albo Alhambry - tylko kilka minut jazdy, ale zupełnie inny świat w stosunku do pięknego zielonego San Marino.

Jann nie znał adresu Chicheстера przy Circle Drive, więc był równie ciekaw jak ja. Circle Drive to ulica w kształcie rogala na szczycie wysokiego wzgórza i uprzywilejowani mieszkańcy mają stamtąd widok na całe San Marino. Adres znałem z dokumentów, które mi przekazano. Pod numerem 1405 znajdowała się gigantyczna posesja - największa przy ulicy z wielkimi posesjami. Chichester zapewne mieszkał w domku dla

gości z tyłu, w pobliżu basenu i kortu tenisowego - jeśli rzeczywiście tam kwaterował.

Ale jeśli nie, to gdzie mieszkał? Jann nie znał odpowiedzi na to pytanie, jednak następnego dnia spotkałem ludzi, którzy znali.

Po wycieczce z Jannem zaglądnąłem do jednej z licznych matron z Super Super Marino, które zauroczył Christopher Chichester.

- Poznałam go w kościele - powiedziała mi - Kościele Zbawiciela. Był przemiły. Staliśmy na tarasie i piliśmy kawę po niedzielnym nabożeństwie. On podszedł i się przedstawił.

Kościół Zbawiciela znajduje się poza granicami San Marino w sąsiednim San Gabriel, ale uczęszczają tam episkopaliańskie z Super Marino. Założył go generał George Patton senior, którego sławny syn, bohater drugiej wojny światowej, ma swój pomnik w ogrodzie, przedstawiający go z ostrogami.

Niewiele osób zwróciło uwagę na Chicheстера, kiedy po raz pierwszy przyszedł do kościoła Zbawiciela i zajął miejsce w pierwszym rzędzie, ale kiedy wierni zebrali się po nabożeństwie na patio, żeby wypić kawę i porozmawiać, opowiadał wszystkim swój życiorys i rozdawał wizytówki.

- Dzień dobry, jakże miło panią poznać - zagajał i całował jakąś panią w rękę. Potem sięgał do kieszeni marynarki, wyciągał grubą wizytówkę i uroczyście ją wręczał:

Christopher Chichester XIII, Bt.
San Marino, Kalifornia
San Rafael, Kalifornia

Bt. to skrót od baroneta, wyjaśniał, kiedy o to zapytano, a rzymska liczba oznacza, że jest trzynastym baronetem. (Gdyby mieszkańcy San Marino zechcieli zbadać sprawę, dowiedzieliby się, że jedenasty baronet sir Edward John Chichester wciąż żyje, a zatem że trzynastego baroneta nie ma jeszcze na świecie).

Na wizytówce widniał herb rodowy - czapla z rozpostartymi skrzydłami i węgorzem w dziobie - i rodowa dewiza: „Firm enfoi”. Zaintrygowanym tłumaczył jej znaczenie: „Niezlomni w wierze”.

Baronet rychło zaczął nie tylko co niedziela oddawać cześć Bogu w kościele Zbawiciela, ale również zasiadać w różnych komisjach i pomagać w przygotowywaniu świątyni do nabożeństw. Był taki cichy, taki uprzejmy i taki ewidentnie samotny, że niektóre życzliwe parafianki czuły się w obowiązku go adoptować. Należała do nich Betty Woods, matka i gospodyni domowa, która nie należała do świata Super Marino, ale była solidnie zakorzeniona w San Marino. Zaprosiła Christophera na śniadanie, jakiś czas później na lunch, a potem na wieczerzę wigilijną. „Chętnie zapraszam samotnych ludzi na święta” - mówiła.

Każdy nowy członek kościoła Zbawiciela otrzymuje materiały informacyjne, w których pojawia się poniższy fragment:

Ludzie przywitają Cię z otwartymi ramionami, ponieważ liturgia tworzy jedną wielką rodzinę. Jest to jeden z licznych darów dla społeczności, które zawdzięczamy liturgii. Wokół nas siedzą niedoskonalni, trudni, wspaniali ludzie, którzy zdążają tą samą drogą co my. Oni również poszukują sensu życia i starają się być lepsi. Stawiają sobie wyzwania, aby się rozwijać i zmieniać świat na lepsze. Znajdziesz wśród nas serdecznych przyjaciół, z którymi odbędziesz życiową podróż przez całe lata obiadów, spacerów i gotowania w rodzinnym kręgu.

Nikt nie doświadczył większej gościnności mieszkańców i wiernych z San Marino - zwłaszcza pocziwych wdów - niż Christopher Chichester. Rozmawiałem z wieloma z tych kobiet - powiedziały mi, że Chichester regularnie uczęszczał do ich kościoła, często brał udział w nabożeństwie o 7.30 i o 11.30, po którym odmawiano modlitwę w intencji zdrowia. A później była

kawa i desery.

- Poznałam go w kościele Zbawiciela. Po nabożeństwie przychodził na patio, bardzo elegancki i bardzo przyjacielski - powiedziała Meredith Bruckner, wieloletnia mieszkanka San Marino. - Wyrażał się nienagannie, był bardzo otwarty na kontakty i sympatyczny. Nosił granatowy blezer z herbem, nie herbem rodowym, tylko naklejonym na kieszeń przez producenta. Jeśli w San Marino ludzie mają cię zaakceptować, to musisz wyglądać na człowieka z klasą. Kiedy został zaakceptowany przez kilka osób na patio, został zaakceptowany przez wszystkich. Ludzie byli dla niego naprawdę mili. Drogi Christopher mógł rozmawiać na każdy temat.

Wszelchnonność ta objawiała się najdobitniej podczas gry w Trivial Pursuit. Meredith grała z nim kilka razy i Christopher Chichester zawsze zwyciężał.

A nie było to łatwe zadanie. Gdyby ktoś chciał przejść przyspieszony kurs ze znajomości kultury amerykańskiej, Trivial Pursuit świetnie się do tego nadaje. Znalazłem kilka przykładowych pytań z tej gry w czasach, kiedy Chichester tak się w niej wyspecjalizował:

Jak brzmiało nazwisko panieńskie Rhody? (Morgenstern)

Ile dni po zamachu na Johna F. Kennedy'ego został zastrzelony Lee Harvey Oswald? (2)

Ile pierwotnych serii Wyspy Gilligana mieli możliwość oglądać telewizzowie? (3)

Czego 100 000 Amerykanek z kompleksami na punkcie swojego wyglądu kupiło 200 000 w 1980 roku? (implantów piersi)

Młody człowiek celował nie tylko w grach planszowych. Z późniejszego listu do znajomego wynikało, że imponował również znajomością klasyki literatury. „Tak się cieszę, że

odkryłeś dla siebie Szekspira - napisał. - To chyba najlepszy pisarz wszech czasów! Ryszard II i Ryszard III należą do moich ulubionych kreacji literackich. Oczywiście zawsze jestem do Twojej dyspozycji. Podaj mi numer aktu, sceny i wersu, a ja z radością przedstawię Ci moją opinię”.

- Wiedział wszystko o wszystkim - powiedziała Meredith. - Znał się na sporcie, teatrze, filmie. [...] Niesamowity erudyta. Coś fantastycznego. [...] Ajakiczarus! Przeuroczy młody człowiek!

Chichester coraz bardziej obrastał w legendę i w 1982 roku w lokalnej gazecie ukazał się artykuł na jego temat. Wynikało z niego, że młody człowiek, który niedawno osiadł w San Marino, jest potomkiem sir Francisa Chicheстера, legendarnego poszukiwacza przygód, któremu królowa Elżbieta II w 1967 roku przyznała tytuł szlachecki jako pierwszej osobie, jaka samotnie opłynęła świat. Pewna kobieta wspominała, że Christopher z dumą pokazał jej ten artykuł. Potem zarumienił się i dodał, że jest trochę zakłopotany uwagą, jaką ten tekst ściągnął na niego i jego słynnego krewnego.

- I wszyscy pomyśleliśmy: „Wow! Jakie ekscytujące! A więc to wszystko prawda!” - relacjonowała.

Regularne wzmianki w lokalnej gazecie spowodowały, że mówiono o nim w całym mieście i regularnie zapraszano go na kolacje. Był także ulubieńcem pracowników biblioteki publicznej w San Marino, którzy pytali go: „Naprawdę jesteś spokrewniony z sir Francisem Chichesterem?”. Młody człowiek chętnie udzielał im wyczerpujących informacji.

Szczęśliwy traf sprawił, że zespół rockowy Dire Straits wydał wtedy singiel Single-Handed Sailor o sir Francisie Chichesterze i jego dwustudwudziestosześciodniowej podróży, która zaczęła się i skończyła w Plymouth, z jednym krótkim postojem w Sydney. Czy po wysłuchaniu tej piosenki mieszkańcy San Marino mogli oprzeć się pokusie traktowania wnuka Chicheстера jako potencjalnego bohatera?

- Moje nazwisko pochodzi od miasta Chichester w Anglii - powiedział pewnej mieszkance San Marino, która odwoziła go do domu po środowym wieczornym nabożeństwie.

- Byłam tam, Chris! - zawołała i wymienili się wspomnieniami o tym zabytkowym mieście, które jest najbardziej znane ze swojej katedry z XI wieku.

- Niedawno odziedziczyłem katedrę w spadku - powiedział Chichester. - Rozważam przeniesienie jej do Stanów Zjednoczonych, ale nie znalazłem miejscowości, która chciałaby i mogła ją mieć.

Kobieta najwyraźniej nie zastanowiła się nad kwestią trudności i kosztów demontażu średniowiecznej katedry, nie przyszło jej również do głowy, że w dzisiejszych czasach tak cenne zabytki raczej nie są własnością jednej rodziny.

- Och, Chris, czy nie byłoby cudownie przenieść katedrę do San Marino? - spytała, po czym dodała, że jest właścicielką posesji, na której budowla mogłaby stać.

- Rozważyłbym taką propozycję - odparł Chichester.

Następnego dnia kobieta poszła do burmistrza i powiedziała, że wybitny nowy mieszkaniec San Marino chciałby przenieść do miasta wspaniałą katedrę z Chichester w prezencie. Konkurowałaby z Huntington Library jako największa atrakcja turystyczna!

- Czy dałoby się ją tutaj przenieść? - zapytała.

- Jeśli mielibyśmy za to zapłacić, to nie - odparł burmistrz.

- Chris ma mnóstwo pieniędzy.

Ale kiedy poruszyła z nim później ten temat, powiedział, że rodzice raczej nie pozwolą mu pobrać z funduszu powierniczego ogromnej sumy potrzebnej na takie przedsięwzięcie.

Niezależnie od tego, co z perspektywy czasu mówili miejscowi, nie ulega wątpliwości, że wtedy wielu mieszkańców San Marino było pod urokiem Chicheстера. Któregoś popołudnia zostałem zaproszony na herbatę z kilkoma wpływowymi matronami.

Siedzieliśmy na obitych chintzem krzesłach w wielkim salonie ogromnego domu w Super Marino.

- Na tej ulicy jest dużo pieniędzy - przyznała gospodyni. - Dwa domy stąd mieszka miliarder, koło nas milioner, a za nim drugi miliarder.

Kobiety były niezwykle przyjazne i serdeczne. Kiedy doszliśmy do tematu Christophera Chicheстера, nadal traktowały mnie uprzejmie. Jedna z nich powiedziała mi, że prawie w każdą środę woziła go na wieczorne nabożeństwo, a potem odstawiała do domu. Jego zdezelowany plymouth arrow bez przerwy się psuł, więc panie z San Marino rotacyjnie transportowały go po mieście. Kiedy moja rozmówczyni po niego przyjeżdżała, zawsze stał przed pięknym domem w Super Marino, a kiedy go odwoziła, mówił: „Nie skręcaj w moją ulicę, wysadź mnie na rogu”.

Posłusznie się zatrzymywała, a młody człowiek wysiadał z jej cadillaca i znikał w ciemnościach. Rok później wdowa nadal nie wiedziała, gdzie mieszka.

Inna kobieta podchwyciła ten wątek.

- Wysłałyśmy do miejscowej gazety, „San Marino Tribune”, ogłoszenie, że potrzeba ochotników do pomalowania liceum - powiedziała.

Było to przedsięwzięcie typowe dla San Marino, wzięło w nim udział mnóstwo ludzi. Tutejsze matki przywoziły malarzom obiady, ktoś inny dostarczył szafę grającą z lat pięćdziesiątych, żeby im się nie nudziło.

Ludzie byli zachwyceni, że Chichester, baronet i potomek rodu Mountbattenów, zgłosił się do tego rodzaju fizycznej pracy.

- Wszystkim go przedstawiłam - kontynuowała smętnym tonem. - „Znacie Christophera Chicheстера?” - mówiłam do ludzi. Wszyscy byli dla niego tacy przyjaźni! Wtedy w liceum nawiązał wiele kontaktów. Był bardzo uprzejmy i elegancko się ubierał, nie budził żadnych podejrzeń. - Odłożyła filiżankę i przez moment sądziłem, że w końcu się zeżłości i powiesi psy na Chichesterze, ale zapanowała nad sobą i dodała: - Nie był zbyt

dobrym malarzem.

Pomógłszy pomalować liceum, Chichester wkręcił się w najbardziej prestiżowe wydarzenie towarzyskie w San Marino: Wieczór Patrycjuszy. Ojcowie miasta - przede wszystkim czołowi politycy i biznesmeni - śpiewali i tańczyli w oryginalnym spektaklu muzycznym. Tradycja ta ciągnęła się od 1932 roku, a w przedstawieniu z 1982 roku uczestniczyła setka najważniejszych obywateli San Marino. Wykonywali utwory z takich broadwayowskich klasyków jak Kabaret, Faceci i laleczki i Muzyk, z tekstami zaadaptowanymi do realiów San Marino („You got trouble, my friend. I say trouble. Right here in San Marino!"). Dla uatrakcyjnienia zabawy wielu patrycjuszy wystąpiło w strojach kobiecych.

Całe miasto było bardzo przejęte Wieczorem Patrycjuszy. Firmy dawały żartobliwe ogłoszenia do gazet w stylu „Złamcie kark!” albo „Już się zrzuciliśmy”. Ale kobiety, u których siedziałem na kolacji, zapewniły mnie, że impreza ma poważny cel: zbierano pieniądze na City Club w San Marino, który wspierał finansowo miejscowe organizacje charytatywne i komitet rodzicielski. Wydarzenie to z reguły organizowała zresztą nasza gospodyni, ale w 1982 roku zgłosił się Chichester i zaproponował, że on będzie koordynatorem Wieczoru Patrycjuszy. Powiedział, że sprawnie posługuje się komputerem i że załatwi wszystko drogą elektroniczną. Oszczędzi to wszystkim mnóstwo zachodu.

Ale kiedy przyszedł czas wziąć się do roboty, Chichester stanął przed górą papieru - didaskalia, teksty, obsada - i zrezygnował z projektu, nie włączywszy się w niego. Potem bez słowa wyjaśnienia przyszedł na pierwszą próbę i chciał wystąpić w spektaklu.

- Powiedziałam: „Dajcie mu strój psa” - wspominała gospodyni.

A zatem jasnie pan baronet uczestniczył w Wieczorze Patrycjuszy przebrany za psa i odegrał tylko jedną niemą scenkę: obsikał hydrant przeciwpożarowy.

- Był z niego prawdziwy dziwak - stwierdziła gospodyni i na jej

przyjaznym obliczu pojawiła się pierwsza rysa. Pokazała na swoje dwie przyjaciółki, które przedstawiły ją Chichesterowi, i powiedziała: - Mówiłam im, że to dziwak, ale nie chciały mi wierzyć: „Nie! Jest wspaniały!” - Pokręciła głową. - Te Panny są takie ufne! - kontynuowała. - Wszystkich kochają! Wszyscy są doskonali i nigdy nie dzieje się nic złego. W ich oczach świat jest taki, jaki powinien być. Nigdy nie zrzuciliśmy bomby atomowej, nigdy nie było wojen ani katastrof.

Spojrzałem na dwie krytykowane Panny na zdjęciu. Nadal się uśmiechały, kiedy przyjaciółka na nie pomstowała. Gospodyni pokazała na jedną z kobiet, należącą do grona jej najlepszych przyjaciółek, jak się później dowiedziałem, i powiedziała:

- Zadzwońłam do niej któregoś dnia rano i powiedziałam, że w nocy przeszła nad nami burza z piorunami, a ona na to: „Nie, to nieprawda”. Byliśmy najbardziej ufnym miasteczkiem, najbardziej niewinnymi ludźmi pod słońcem. Daliśmy się nabrać jak dzieci. Dlatego mu się udało. Jestem z San Francisco i z początku kręciłam nosem na San Marino - wyjaśniła. - Pomyślałam: „Kto dobrowolnie zamieszkałby w takiej mieścinie?” - Pokazała na ogród i wzgórze w tle. - Widzi pan, wybrałam najwyższe wzgórze, jakie mogłam znaleźć. Ale ludzie byli tacy mili. San Marino ma mnóstwo uroku. I właśnie dlatego Christopher Chichester mógł zrealizować tutaj swój przekręt. Dzisiaj już by mu się to pewnie nie udało.

Dzisiaj San Marino jest mniej homogeniczne i prawdopodobnie panuje tutaj mniejsze poczucie wspólnoty niż w latach osiemdziesiątych. Mniej więcej połowa mieszkańców to Amerykanie pochodzenia azjatyckiego, w większości bogaci Tajwańczycy, którzy przyjeżdżali tutaj tłumnie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, przyciągnięci znakomitymi szkołami publicznymi - konsekwentnie lokującymi się wśród najlepszych w Ameryce - i małomiasteczkowym trybem życia.

Panie zgodnie twierdziły, że w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat w San Marino wiele się zmieniło. Epoka zaufania, otwartości i niewinności dobiegła końca, co nie wynikało jedynie

ze zmian demograficznych. W dużym stopniu położył jej kres tajemniczy przyjazd i równie tajemniczy wyjazd młodego człowieka, który przedstawiał się jako Christopher Chichester.

Po herbatce pojechałem do Peggy Ebright, jednej z bezgranicznie ufnych Panien, żwawej blondynki. Kiedy znalazłem się w jej ładnym domu, wyjęła poźółkłe wycinki z gazet i programy inscenizacji.

Pokazała mi datowany na 15 stycznia 1984 roku artykuł z „Pasadena Star-News”. W rubryce towarzyskiej napisano o przyjęciu wydanym przez Joyce i Howarda Morrowów, właścicieli Morrow Nut House, ogólnokrajowej sieci sklepów z orzeszkami pieczonymi. Przekazali 40 000 dolarów na sprowadzenie dwudziestu dwóch olimpijczyków z maleńkiej Republiki San Marino, liczącego nieco ponad trzydzieści tysięcy mieszkańców mikropaństwa w Apeninach. Podczas igrzysk, które odbyły się w 1984 roku w Los Angeles, mieszkańcy kalifornijskiego San Marino ugościli sportowców.

W przyjęciu zorganizowanym przez Morrowów uczestniczyło sto pięćdziesiąt osób, napisano w gazecie. „Podano szampana, tudzież orzeszki, orzeszki i jeszcze raz orzeszki” - relacjonował dziennikarz, ale gospodarze wyraźnie zeszli na drugi plan wobec gwiazdy wieczoru:

Kolejnym interesującym gościem był Christopher Chichester, były członek brytyjskiej arystokracji i wnuk legendarnego żeglarza Francisa Chicheстера, obecnie obywatel amerykański i mieszkaniec San Marino.

- To ja skontaktowałem Howarda Morrowa ze sponsorami drużyny olimpijskiej Republiki - powiedział Chichester, którego matka jest właścicielką firmy budowlanej z siedzibą w tym drugim San Marino.

Peggy Ebright wyjęła kolejne wycinki, między innymi reklamę

prasową z gwiazdkami i lampami łukowymi oświetlającymi taki oto tekst: „O czym wszyscy mówią? Nie przegap Inside San Marino, a dowiesz się. Godzina 19.00, kanał szósty - Cable Vision. Inside San Marino to produkcja Gypsy Moth Production”. Gypsy Moth to również nazwa łodzi, którą sir Francis Chichester opłynął świat.

Był 1984 rok i nadeszła epoka telewizji kablowej. Pierwszą koncesję rada miejska San Marino przyznała dealerowi samochodowemu z Pasadeny, któremu telewizja służyła głównie za narzędzie reklamy. Jednym z warunków koncesji było stworzenie lokalnego programu. Christopher Chichester, który chodził na spotkania kościelne, zebrania rady miasta oraz imprezy różnych klubów i stowarzyszeń, usłyszał o szansach związanych z telewizją kablową i postanowił je wykorzystać.

Pewnego dnia w domu Peggy Ebright zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, Peggy, tu Christopher Chichester.

- A, cześć, Chris! - ucieszyła się.

Oczywiście Peggy go znała. Wszyscy mieszkańcy San Marino znali wszędobylskiego Christophera Chicheстера. Przekazał jej ekscytującą wiadomość: do San Marino zawita telewizja kablowa! A on ma zaszczyt być producentem pierwszego lokalnego programu i chciałby, żeby ona go prowadziła.

- Masz wrodzony talent, Peggy - zapewniał ją, i nie przesadził.

Drobna i elegancka Peggy dostawała role w stylu Doris Day, bo wyglądała i zachowywała się jak Doris Day: zawsze pogodna. Byłaby idealną twarzą programu, powiedział Chichester, opartego na rozmowach z ludźmi i zatytułowanego Inside San Marino. Ona byłaby Barbarą Walters, a on producentem pociągającym za sznurki za kulisami.

- Fantastyczny pomysł, Chris! Oczywiście wchodzę w to! - powiedziała Peggy.

Siedzieliśmy w salonie i Peggy Ebright zaśmiała się - jej śmiech był stałym akompaniamentem naszej rozmowy, tajemniczy przybysz ani trochę nie zmienił jej pogodnego usposobienia.

- Po prostu nie przyszło nam do głowy, że ktoś mógłby nie

mówić prawdy. W San Marino? Niemożliwe.

Przyjęła propozycję i stała się twarzą Inside San Marino.

Chociaż była to amatorska trzyosobowa produkcja - Christopher Chichester, Peggy Ebright i licealista za kamerą - z niewielkim budżetem i mikroskopijną oglądalnością, Chichester realizował projekt z wielkim rozmachem. „Inside San Marino - o 19.00 na kanale szóstym American Cable Vision” - można było przeczytać w zamieszczonej przez Christophera Chicheстера w lokalnej gazecie pożółkłej reklamie, którą Peggy Ebright mi teraz pokazała. Christopher pisał na maszynie harmonogram i dawał go Peggy, która przyjeżdżała po niego samochodem w dniu kręcenia programu, a potem zabierali kamerzystę i ruszali na podbój biur i placów zabaw elity San Marino.

Christopher umawiał się ze wszystkimi rozmówcami.

- Cudownie, czyli o 10.00 u pani/pana w domu - mówił do żony burmistrza, dyrektorki biblioteki czy kustosa muzeum. - Proszę się ubrać jak zawsze i nie tremować się. Ma pani/pan wrodzony talent.

Goście cieszyli się z okazywanej im uwagi, chociaż nigdy nie oglądali programu ze swoim udziałem. W tamtych czasach prawie nikt nie oglądał kablówki, a Inside San Marino nie było aż taką atrakcją, żeby ludzie inwestowali pieniądze w nowe medium. Ale jak mogliby odmówić uroczemu, kulturalnemu, kochanemu Chrisowi? Mnóstwo poczciwych mieszkańców San Marino chciało pomóc Chichesterowi we wszystkim, co robił. No i rzeczywiście wyglądał jak wschodząca gwiazda show-biznesu. W dni kręcenia programu zamieniał zwyczajowy strój studenta elitarnego uniwersytetu na styl „LA casual”: białe dżinsy, sweter z dekoltem w serek włożony na pasiastą koszulę polo z postawionym kołnierzykiem i ciemne okulary pilota.

„Specjalnym gościem 29. wydania Inside San Marino będzie radny Richard Mountjoy - trąbił artykuł w gazecie ze zdjęciem uśmiechającego się do aparatu Chicheстера i Peggy Ebright, która stała obok niego z rękami splecionymi na piersiach. - U góry Mountjoy omawia format programu z producentem

Christopherem Chichesterem”.

Pula miejscowych notabli, których Chichester ściągnął do programu - burmistrz, dyrektor szkoły, różne miejscowe tuzy - po jakimś czasie wyczerpała się i Chichester zaczął szukać gości spoza San Marino. Po paru miesiącach na jego liście znaleźli się luminarze z LA i ten poszerzony zasięg skłonił Chicheстера do zmiany tytułu na samo Inside. „Witamy w programie Inside - brzmiało intro. - Nazywam się Peggy Ebright i dzisiaj jesteśmy w biurze komendanta głównego policji w Los Angeles pana Daryla Gatesa”.

Poza kamerą, ale zawsze panując nad sytuacją, Chichester pokazywał kartki z podpowiedziami i wykrzykiwał polecenia.

- Panie komendancie, jest pan odpowiedzialny za bezpieczeństwo ilu osób? - kazał Peggy zapytać.

Po nakręceniu kilku odcinków Inside Peggy odwoziła swojego producenta pod jego dom - a w każdym razie pod budynek, który wskazywał jako swój dom - w dolnym San Marino. W dniu mojej wizyty Peggy zawiozła mnie tam. Dom stał na dużej działce na rogu. Utrzymany był w „stylu Monterey” - powiedziała - czyli hiszpańskim: czerwona terakota, mnóstwo łuków, ogród zaprojektowany przez architekta krajobrazu, a także witraże z herbami rodowymi w oknach, co z pewnością najbardziej ujęło Chicheстера, dodała.

- Mówiłam mu: „Zawsze strasznie mi się podobał ten dom, chciałabym go zobaczyć od środka” - relacjonowała Peggy, która wiele razy odstawiała go pod hacjendę, rzekomo należącą do jego rodziców.

- Pozwalają mi tu mieszkać, żebym o niego dbał - tłumaczył Chichester i mówił Peggy dobranoc.

- Naprawdę chętnie bym go kiedyś obejrzała - powiedziała Peggy.

- Oczywiście, ale nie dzisiaj - odpowiadał nieodmiennie. - Rodzice kazali mi dbać o dom, ale nie wywiązuję się z tego zbyt dobrze, a nie mogę cię wpuścić do domu, w którym jest taki bałagan. Zaproszę cię kiedyś na herbatę, jak posprzątam.

Nigdy tego jednak nie zrobił.

- Pomyślałam, że może jest utracjuszem!

Czyli że jest czarną owcą rodziny Chichesterów, którego wysłano do Ameryki, aby się doksztacił i nabrał doświadczenia, nie wchodząc w drogę pracującym członkom rodu. Nie przyszło jej do głowy, że tożsamość Christophera Chicheстера jest od początku do końca zmyślona.

W San Marino, gdzie młodych kawalerów do wzięcia było niewielu, zwłaszcza z nienagannymi manierami i arystokratycznym rodowodem, Chichester bez problemu znajdował panie, które chętnie umawiały się z nim na randki.

- Byłem producentem The Prisoner - powiedział poznanej na wystawie w miejscowej bibliotece córce z prominentnej rodziny.

Oboje pracowali przy wystawie jako ochotnicy i za namową rodziców zgodziła się z nim spotkać.

- Wiesz, wyprodukowałem serial z Patrickiem McGoohanem - wyjaśnił. - W Wielkiej Brytanii był bardzo popularny.

Nie słyszała o serialu The Prisoner i nie sprawdziła, czy Christopher Chichester był jego producentem. Gdyby to zrobiła, dowiedziałaby się, że kiedy The Prisoner - znany brytyjski serial telewizyjny o byłym tajnym agencie ciągle próbującym uciec ze środowiska, które jest więzieniem dla ludzi wiedzących za dużo - był emitowany, Christopher miał wszystkiego siedem lat.

- Uwielbiam musicale! - entuzjazmowała się inna młoda kobieta z San Marino, której rodzice przedstawili ją Chrisowi na targach książki w bibliotece publicznej.

- Co za zbieg okoliczności! - odparł Christopher. - Ja też.

Przypominał pod tym względem kameleona. Jeśli jego rozmówca coś uwielbiał, on też. I umiał poprzeć to zamiłowanie znajomością rzeczy. Na przykład jeśli pojawił się temat musicali, Christopher zaczynał się zachwycać, powiedzmy, My Fair Lady i West Side Story, rozprawiał o subtelnych różnicach między nimi, dzięki czemu jego rozmówcy mieli poczucie, że łączy ich głęboka

więz z młodym brytyjskim arystokratą.

Dziewczynę poznaną na targach książki zabrał do Dorothy Chandler Pavilion na koncert orkiestry filharmonicznej z Los Angeles. Prowadził ją coraz wyżej i wyżej i usiedli w ostatnim rzędzie najwyższego balkonu.

- Będziesz zachwycona uwerturą Hebrydy\ - powiedział o utworze Felixa Mendelssohna z 1830 roku, kiedy usiedli na jaskółce. - Zmieni twoje spojrzenie na świat!

Nie zmieniła, ale Christopher nie zrezygnował z prób „ukulturalnienia” jej. Kilka dni później mijali sklepy przy Lake Avenue w pobliżkiej Pasadenie.

- Słyszałaś o czekoladkach Godiva? - zapytał Chichester swoją młodą towarzyszkę.

- Niestety, nie - odparła.

- Chodź ze mną - polecił, wziął ją pod ramię i zaprowadził do sklepu Godiva.

Podszedł do lady i wybrał złotą bombonierkę obwiązaną czerwoną wstążką.

- Najlepsze czekoladki - wyjaśnił jej. - Panowie dają je paniom, a kiedy panie je zjedzą, trzymają w pudełku listy miłosne.

Kiedy młoda kobieta przeprowadziła się do San Francisco, pewnego dnia zawitał do niej kurier Federal Express z przesyłką od C. Chicheстера z San Marino. W środku była bombonierka Godiva. „Smacznego, a pudełko zachowaj na listy miłosne” - brzmiał załączony bilecik.

Kiedy dwadzieścia pięć lat po wyjeździe Chicheстера z San Marino jego nazwisko trafiło na czołówki gazet, żadna z młodych kobiet, z którymi niegdyś randkował, nie zgłosiła się do mediów. Poza jedną: Carol Campbell. Ta pogodna brunetka i matka trojga dzieci zaprosiła mnie do swojego dużego domu w San Marino i obwiozła po mieście.

Historia z Christopherem Chichesterem nadal była dla niej bolesną raną. Jej ojciec poznał go w jednym z miejscowych klubów - Rotary albo City Club - gdzie mężczyźni z San Marino uwierzyli w historię o trzynastym baronecie. Ojciec Carol, Dick

Campbell, postanowił ich wyswatać. Carol przyjechała z wizytą z Teksasu. Któregoś dnia jej ojciec zapytał Chicheстера:

- Chciałbyś poznać moją córkę Carol, Chris?
- Z największą przyjemnością - odparł Chichester.

Przedstawiono ich w następną niedzielę w San Marino Community Church.

- Domyślam się, że pani jest Carol - przywitał ją Chichester.
- Tak.

- Byłbym zaszczycony, gdyby się pani ze mną spotkała - powiedział. - Może być jutro o 11.30?

Sądząc, że proponuje jej wspólny lunch, Carol Campbell zgodziła się. Tymczasem zamiast w srebrnej zbroi na koniu Chichester przyjechał pod jej dom swoim rozklekotanym samochodem. Zauważyła, że jego ubranie jest już mocno sfatygowane. Nie była to tradycyjna randka, tylko towarzyszenie facetowi w załatwianiu przez niego różnych spraw. Jeździli po mieście, odebrali jego pocztę i ubrania z pralni, po czym odwiózł ją z powrotem do domu - zero lunchu, zero wyjaśnienia. Ale najbardziej zafrapowało Carol wnętrze jego samochodu. Wszędzie poprzyklejane były żółte karteczki - żeby nie zapomniał, co powiedział i zrobił podczas pobytu w San Marino, jak sobie później uświadomiła.

- Mamo, on jest kompletnie zwichrowany! - powiedziała po „randce”.

Było to ich jedyne spotkanie, ale po powrocie do Teksasu dostała od niego kilka listów, w których swoimi równiutkimi drukowanymi literami wyrażał swoje uwielbienie. Tylko pokręciła nad nimi głową.

Jakiś czas później zadzwoniła do niej znajoma z San Marino, która pracowała jako organizatorka ślubów.

- Byłaś na randce z Christopherem Chichesterem?
- Chyba można tak powiedzieć.

Znajoma powiedziała jej, że Chichester przychodzi bez zaproszenia na śluby. Zawsze jest za bardzo zajęta, żeby go wyrzucić, wyjaśniła, ale przypuszczalnie i tak by tego nie zrobiła,

bo w San Marino tak się nie postępuje. Ale kiedy w ubiegły weekend wychodziła z kościoła, żeby zamknąć drzwi tuż przed ceremonią ślubną, on właśnie wchodził po schodach. Był jak zwykle elegancko ubrany, ale miał zakłopotaną minę. Kiedy zobaczył organizatorkę, natychmiast obrócił się na pięcie i wsiadł do samochodu.

Jego gwiazda wznosiła się coraz wyżej na firmamencie San Marino, więc postanowił wejść do lokalnej polityki. Pierwszym szczeblem jego kariery miała być funkcja radnego miejskiego.

- Mieszkam obecnie u znajomych, ale wolałbym nie używać ich adresu - powiedział Carol i Joemu Iliffom, gdy okazało się, że musi złożyć w komisji wyborczej stosowne dokumenty. - Czy byłoby dla was wielkim kłopotem, gdybym podał wasz adres?

Nie byłoby wielkim kłopotem, ponieważ Christopher często przyjeżdżał do nich i zapraszał Joego na śniadanie - i nigdy nie miał gotówki na zapłacenie rachunku, ponieważ arystokraci rzadko noszą przy sobie gotówkę. Chichester i Joe Iliff rozmawiali o inwestycjach. Chichester zawsze miał jakiś nowy, genialny pomysł na zarobienie pieniędzy. Na przykład sprowadzenie do San Marino katedry z Chichester - nie rezygnował z tej koncepcji - czy najróżniejsze projekty finansowo-inwestycyjne, które nigdy nie doszły do skutku.

Sądził również, że potrafi coś zmienić w życiu San Marino, albo będąc radnym, albo sterując którymś radnym.

- Uważał, że ma świetne pomysły i że gdyby zdołał namówić mnie albo mojego męża do kandydowania, mógłby siedzieć za kulisami i pociągać za sznurki - relacjonowała Carol Iliff i dodała, że Chichester chciał nawet wprowadzić się do nich.

- Wygląda na to, że zaczynam nadużywać gościnności znajomych, u których kwateruję - powiedział kiedyś do Iliffów. - Mógłbym u was pomieszkać przez jakiś miesiąc, zanim znaję stałe lokum?

Joe, który często wyjeżdżał w interesach, nie uważał tego za dobry pomysł. Dom miał tylko dwie sypialnie i był o wiele za mały dla Christophera Chicheстера i Carol.

- Mój mąż wyjeżdżał co drugi tydzień i nie chciał, żeby mieszkał ze mną inny mężczyzna - wyjaśniła Carol.

Po pierwszym roku pobytu w tej okolicy Chichester był bardzo pewny siebie i jego pozycja wzrastała - nie tylko w San Marino, które było za małe jak na człowieka tak wysokiego urodzenia. Przy całej jego aktywności towarzyskiej i telewizyjnej aż dziw brał, że znajdował czas na inne rzeczy, a tymczasem prowadził również życie studenta. Na oddalonym o kilkanaście kilometrów kampusie USC (Uniwersytetu Południowo-kalifornijskiego) odgrywał niemałą rolę jako student szkoły filmowej.

- Poznałam Chrisa przez moją ciocię Victorię - powiedziała Dana Farrar, sympatyczna brunetka.

Było słoneczne popołudnie w południowej Kalifornii, siedzieliśmy na tarasie za domem Dany i oglądaliśmy fotografie młodego człowieka, który przedstawiał się jako Christopher Chichester. Bardzo dawno go nie widziała, ale zdjęcia przywołały wspomnienia z tamtych czasów.

Na pierwszym z nich uśmiechnięta Dana, młoda piękność, stała obok Chicheстера, strasznie chudego młodego człowieka w obcisłych džinsach i swetrze z dekoltem w serek. Na głowie miał trzy tekturowe czapki w kształcie stożka i uśmiechał się jak wariat. Na drugim zdjęciu z zamyśloną miną filozofa wpatrywał się w kieliszek wina, który trzymał z rozprostowanym małym palcem. Na trzeciej fotografii z groźną miną i rozcapierzonymi palcami rzucał się na obiektyw - pozował, powiedziała Dana Farrar, zawsze pozował.

- Ciocia Victoria mieszka w San Marino - kontynuowała. - Ma dziewięćdziesiąt dwa lata. - Victoria była prawdziwą matroną z Super Marino. Poznała Chicheстера niedługo po jego przybyciu, na kolacji Przyjaciół Biblioteki. - Siedziała obok sąsiada, starszego pana z naprzeciwka, i Chris zagaił z nią rozmowę - wspominała. - W tamtych czasach rozdawał wizytówki „Christopher Chichester, trzynasty baronet” czy coś w tym guście. Kolacja Przyjaciół Biblioteki była imprezą charytatywną, na którą przychodzili głównie emeryci, filantropi. Nie wiem, jak

Chichester się tam wkręcił, ale tam ciocia go poznała.

Zauroczył ciocię Dany, której powiedział, że jest zaangażowany w produkcję filmów czy coś związanego z przemysłem kinematograficznym w słynnej szkole filmowej na USC.

- Studiowałam wtedy dziennikarstwo na USC i mój chłopak bardzo chciał się dostać na tę uczelnię. Ciocia Victoria pomyślała, że Chris mógłby mu w tym pomóc. Zabrała nas na wczesny lunch z Chrisem. Był przeuroczy i bardzo zabawny. Dużo wiedział na prawie każdy temat. Ale był też snobem, mówił ze sztucznym, w połowie brytyjskim, w połowie nieokreślonym akcentem. Przeciągał samogłoski na końcu każdego słowa.

- Day-nahhhhhh - powiedziała, parodiując jego sposób wypowiadania jej imienia. - Pewnie naoglądał się starych amerykańskich filmów. Dalej mnie to zaskakuje. Znam niemiecki, sześć lat uczyłam się tego języka, ale nie dostrzegałam u niego ani śladu niemieckiego akcentu.

Równie trudne do ustalenia okazały się szczegóły tego, co Christopher robił na USC.

- Pamiętam, że byliśmy w restauracji z ciocią Victorią i Chrisem i próbowałam go przycisnąć. „Ale co ty właściwie robisz? Jaką masz pracę?” On jednak na każde pytanie odpowiadał wymijająco.

Dostatecznie dobrze znał się jednak na kinie, żeby wzbudzić zainteresowanie rozmówców. Od niechcienia rzucił nazwiskiem Arthura Knighta (najbardziej znanego wykładowcy w szkole filmowej), w taki sposób, że Dana i jej coraz bardziej zachwycony chłopak pomyśleli, że Christopher jest asystentem Knighta. Arthur Knight był słynnym autorem, krytykiem filmowym i wykładowcą, na którego legendarny kurs „Wstęp do sztuki filmowej” chodzili tacy przyszli reżyserzy jak George Lucas. Jako gościnni prelegenci pojawiali się u niego tacy giganci, jak Orson Welles, Frank Capra, Clint Eastwood i ulubieniec Chicheстера Alfred Hitchcock.

Chichester obiecał „porozmawiać z Arthurem” - czyli w

podtekście poszukać u niego protekcji dla chłopaka Dany. Po lunchu, który Chichester zjadł z wielkim apetytem, każdy poszedł w swoją stronę. Chociaż Chichester nigdy nie przedstawił chłopaka Dany Arthurowi Knightowi - ani nie pomógł mu w dostaniu się do szkoły filmowej - lunch zapoczątkował coraz dziwniejszą znajomość Dany Farrar z młodym Anglikiem.

Na USC Dana widywała go wszędzie - w bibliotece, na projekcjach filmowych, na korytarzach między zajęciami. Pod pachą zawsze miał scenariusz filmowy i twierdził, że kończy pracę magisterską w szkole filmowej.

Dana i jej znajomi nigdy nie zdobyli się na to, żeby go zapytać, dlaczego jeździ starym plymouthem arrow, skoro jest taki bogaty. Nie pytali również, dlaczego jego eleganckie ubrania czasem wydzielają taką woń, jakby dawno nie oddawał ich do pralni chemicznej - a może był to tylko zmurszały zapach starych pieniędzy? Albo dlaczego ma zwyczaj pojawiać się bez zapowiedzi w domy Dany w porach posiłków.

- Och, jak apetycznie pachnie, Day-nah! - mówił do Dany, która albo pokazywała mu drzwi, albo, częściej, dawała jeść.

Pałaszował tak żarłocznie, jakby od tygodnia nic nie jadł, i Dana myślała sobie to co wszyscy inni: ekscentryczne zachowanie Christophera pasuje do wizerunku bogatego arystokraty.

Profesorowie też go znali, a jeden z nich, Anglik Geoffrey Green, sądził, że Christopher jest zapisany na studia, ponieważ z jakiegoś powodu widniał na jego liście.

- Dostałem wydrukowaną listę od rejestratora, co oznacza, że musiał kogoś zbałamucić - wspominał. - Ja nie przyjąłem go na kurs, tylko miałem go na liście.

Tymczasem w dziale rekrutacji USC nie mieli żadnych dokumentów, które by wskazywały, że Christopher Chichester czy Christian Karl Gerhartsreiter zapisał się na studia albo płacił czesne.

- Zwróciłem na niego uwagę, ponieważ uczeszczał na moje zajęcia z literatury angielskiej - kontynuował Green. - Był bardzo

aktywny i przychodził do mnie na konsultacje. Przedstawiał się jako Christopher Chichester i twierdził, że jest potomkiem earla Chichesteru. Pokazał mi jakiś herb i powiedział, że jest spokrewniony z Chichesterem, który opłynął kulę ziemską. Powiedział mi, że mieszka na terenie wielkiej posesji, ma pokój w portierni, który jest wykorzystywany jako pokój gościnny. Chciał kręcić filmy, zostać wybitnym scenarzystą, filmowcem. Może filozofem estetyki. Lubił mówić i musiał zawsze mieć rację.

Chichester często zapraszał Danę Farrar do kina, między innymi na projekcje jego dwóch ulubionych filmów - Podwójne ubezpieczenie i Wszystko o Ewie - w swoich ukochanych kinach studyjnych, takich jak New Beverly w Beverly Hills. Załatwił też jej znajomej bardzo trudno dostępne bilety na premierę nowego filmu Barbry Streisand Yentl na USC. Ale kiedy zaprosił Danę i jej znajomych na otwarcie Marcia Lucas Post Production Building, ultranowoczesnego budynku multimedialnego nazwanego na cześć żony reżysera Gwiezdných wojen Georgea Lucasa, Dana pomyślała, że Christopher żartuje. On jednak zaprzeczył i dodał, że będzie tam oczywiście George Lucas, Steven Spielberg, reżyser Robert Zemeckis i inne gwiazdy Hollywood.

- Wkręcę cię tam! - powiedział Danie, i dotrzymał obietnicy.

W środku zachowywał się jak gospodarz, chudy jak szczapa kinoman w swetrze z dekoltem w serek brylował w najważniejszej hollywoodzkiej dyscyplinie artystycznej - włączeniu do tyłka odpowiednim ludziom.

- Uwielbia! niebezpieczne kobiety - powiedziała Dana, wspominając filmy, które razem oglądali, a potem omawiali przy kawie.

W rozmowach koncentrował się na swojej fascynacji kinem, zwłaszcza *film noir* i królowymi tego gatunku, takimi jak Barbara Stanwyck, której rolami był zahipnotyzowany.

Był przekonany, że w nieodległej przyszłości będzie kręcił czarne filmy na miarę bohaterów Hitchcocka i jemu podobnych. Na razie przede wszystkim je oglądał, a także - co, patrząc z obecnej perspektywy, bardziej niepokojące - internalizował.

ROZDZIAŁ 5

Tajna misja

Chociaż wszyscy w San Marino uwielbiali mówić o Christopherze Chichesterze, nikt nie wiedział, gdzie mieszka, dopóki się stamtąd nie wyprowadził. Ostatnie znane miejsce jego zamieszkania w San Marino, Lorain Road 1920, od tego czasu stało się jednym z najbardziej zniesławionych adresów w San Marino.

Trafił tam dzięki rekomendacji dwóch życzliwych młodych parafianek kościoła Zbawiciela, sióstr Muffy i Tashy Whitmore. Poznały Chicheстера na kółku biblijnym i poczuły się zobligowane zaadoptować młodego Europejczyka, o którym mówiły „kochany mały Chris”. Regularnie zapraszały go do domu swoich rodziców na posiłki, a on zawsze chętnie przyjmował zaproszenie. Przyjeżdżał swoim zdezelowanym autem w znoszonej starej marynarce i krawacie. Siostry uznały to za typowe dla arystokratów, którzy nie chcą obnosić się ze swoim bogactwem.

- Bardzo bym chciał pokazać wam mój dom w Glendale na wzgórzu - mówił Chichester.

Dzielnica ta należała do najbogatszych w całej południowej Kalifornii. Chociaż podejrzewały, że może Christopher tam nie mieszka, były zbyt dobrze wychowane, aby się tam wprosić albo zakwestionować jego słowa.

Któregoś dnia siostry zapytały Chicheстера, czy miał okazję poznać ich babcię.

- Przeprowadziła się z Bermudów, żeby być blisko nas, i przez jakiś czas mieszkała w pięknym domku gościnnym na Lorain

Road, z pokrowcami na sofie i orientalnym dywanem.

- Przez jakiś czas? - dopytywał się Christopher.

- Tak, wyprowadziła się i teraz mieszka w episkopalnym domu starców.

Trochę później Chichester zapukał do drzwi domu przy Lorain Road 1920, hiszpańskiego budynku z dwiema sypialniami, blisko granicy San Marino i San Gabriel. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądało to spotkanie. Uśmiechnął się szeroko i być może pokazał swoją wizytówkę. Gospodyni, Ruth „Didi” Sohus, jak zawsze miała na sobie podarty szlafrok. W kąciку ust zapewne trzymała zapalonego papierosa, a w ręku swojego ulubionego drinka - wódkę z sherry - mimo że do pory koktajlowej zostało jeszcze sporo czasu.

- Christopher Mountbatten Chichester - przedstawił się czarujący młody człowiek i podał jej rękę. - Pani Sohus, jak tuszę.

Podobnie jak wiele innych matron w San Marino pani Sohus na pewno się zarumieniła, uśmiechnęła i też wyciągnęła rękę, którą Chichester z namaszczeniem pocałował. Tak zaczęła się ta przedziwna znajomość.

Kiedy Christopher Chichester pojawił się na Lorain Road 1920, zarówno dom, jak i jego właścicielka swoje najlepsze czasy mieli już za sobą. Didi Sohus wprowadziła się tam z rodzicami, kiedy miała dwa lata. Otrzymała typowe dla San Marino wychowanie. Na zdjęciu klasowym z 1935 roku, zrobionym w prestiżowej szkole prywatnej dla dziewcząt w sąsiednim San Gabriel, Didi jest drobną brunetką w długiej białej sukience, uśmiecha się szeroko i trzyma w ręku wielki bukiet kwiatów. Rodzice dali jej kabriolet, kiedy była jeszcze nastolatką. Została wprowadzona w kręgi towarzyskie południowej Kalifornii, a potem skończyła studia na USC. Pracowała w gazecie i latała własną awionetką - w tamtych czasach jedno i drugie było świadectwem odwagi u kobiety.

Mężczyźni, a raczej słabość Didi do mężczyzn przyniosła jej zgubę. Jej pierwszy mąż miał na imię Barney, ale nawet najstarsi znajomi nie pamiętali niczego na jego temat, łącznie z jego nazwiskiem. Mąż numer dwa, Harry Sherwood, był oficerem marynarki i stacjonował w Camp Pendleton, ponad sto kilometrów na południe od San Marino. Harry miał syna, który poszedł w ślady ojca, a potem wstąpił do służby celnej jako kontroler. Zmarł młodo. Trzeci mąż Didi, Bob Sohus, był maklerem giełdowym. Była już za stara na urodzenie dziecka, kiedy się pobrali, ale bardzo chciała je mieć, więc zaadoptowali półrocznego chłopczyka Johna, którego wyrzekła się nastoletnia matka.

Mieszkali w domu rodzinnym Didi przy Lorain Road. Matka Didi, Frieda, na którą wszyscy mówili Mama D., mieszkała w domu gościnnym na terenie posesji. Domek był bardzo mały, składał się z pokoju sypialnego i łazienki. Sohusowie nie mogli wynajmować tego „dodatkowego obiektu budowlanego” za pieniądze, ponieważ byłoby to sprzeczne z rygorystycznymi przepisami budowlanymi obowiązującymi w San Marino.

Pewnego dnia w 1960 roku, kiedy John był jeszcze małym dzieckiem, Didi i Bob pokłócili się i Didi uderzyła męża czy też „rozkwasiła mu wargę”, jak to później określił sam Bob. Wyprowadził się i zostawił ją samą z Johnem. Mama D. pomagała jak mogła, ale któregoś dnia nie pojawiła się na śniadaniu u córki i wnuczka. „Boję się tam iść i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku” - powiedziała Didi do sąsiada, który poszedł do domu gościnnego i znalazł Mamę D. martwą. Didi został już tylko John. Zatrudniła się na część etatu w warsztacie samochodowym w Pasadenie, żeby mieć z czego opłacać rachunki, a resztę czasu spędzała z synem.

John był trochę maminsynkiem, inteligentnym, ale nieśmiałym, samotnikiem z cukrzycą i wrzodami żołądka. Jego nieobecny ojciec zapamiętał go jako bardzo ufnego chłopca, którym łatwo było manipulować. W odróżnieniu od większości chłopców w San Marino John nie interesował się sportem ani samochodami.

Nawet nie próbował wyrobić sobie prawa jazdy, wolał jeździć do szkoły na rowerze. Nie mógł sobie znaleźć żadnej pasji, do czasu kiedy jako nastolatek ktoś wprowadził go w świat komputerów. Te wtedy jeszcze prymitywne maszyny tak bardzo go fascynowały, że ukradł komputer z liceum i trzymał w swoim pokoju, aż w końcu władze szkoły zorientowały się, że maszyna zniknęła, i zażądały jej zwrotu.

John postanowił, że komputery będą całym jego życiem i bez reszty im się poświęcił. Zamiast studiować, kolegował się z innymi technomaniakami z California Institute of Technology w Pasadenie. Razem z nowymi znajomymi odkrył swoją drugą miłość: skomplikowaną grę Dungeons and Dragons, w której uczestnicy wcielają się w różne postacie. Poprzez tę grę John poznał swoją przyszłą żonę.

Rudowłosa Linda Mayfield, w której żyłach płynęła między innymi krew Indian z plemienia Czarne Stopy, miała sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważyła ponad dziewięćdziesiąt kilo. John Sohus, który mierzył sto sześćdziesiąt trzy centymetry, wyglądał przy niej jak karzeł. Podobnie jak on, była odludkiem, nie skończyła szkoły średniej, pracowała jako kelnerka i dużo czytała, po czym zajęła się fantastyką naukową. Była zagorzałą miłośniczką Odysei kosmicznej i Dungeons and Dragons, lubiła też malować i rysować. Rysowała dziwaczne kaczkę i króliczki, ale jej specjalnością były konie - z reguły ekscentrycznie udekorowane ogiery albo jednorożce, które często leciały w powietrzu, ciągnąc za sobą ukwiecone gałązki. Linda już w dzieciństwie nauczyła się jeździć konno i kiedy jako szesnastolatka przeprowadziła się z rodzinnego domu w Venice Beach do babci mieszkającej na przedmieściach Los Angeles, babcia kupiła jej konia.

Rzuciwszy szkołę, Linda spędzała mnóstwo czasu w świątyni science fiction, Los Angeles Science Fantasy Society (LASFS). W lipcu 1976 roku, kiedy miała dwadzieścia lat, została członkiem tego stowarzyszenia. Założone w 1934 roku LASFS jest najstarszym istniejącym do dzisiaj klubem miłośników

science fiction na świecie. Należą do niego Ray Bradbury i superfan Forrest J. Ackerman, wydawca słynnego horror-czasopisma „Famous Monsters of Filmland”. Klub, mieszczący się w zapyziałym budynku przy Burbank Boulevard, jest miejscem spotkań pisarzy i artystów, maniaków komputerowych i ekspertów, miłośników Star Trek i zwolenników teorii spiskowych. Członkiem stowarzyszenia był Robert Bloch, autor Psychozy, a jego książka The Eight Stage of Fandom o narkotycznym oddziaływaniu science fiction na miłośników tego gatunku uchodzi za klubową biblię. Bloch opisuje kolejne stadia nałogu. Stadium pierwsze nosi niewinną nazwę „czytelniczego zainteresowania”, a w ostatnim człowiek „chwije się na skraju przepaści” uwięziony w świecie fantazji, z którego „nie ma ucieczki. Może tylko skoczyć na główkę w otchłań”.

Linda Mayfield może nie stała na skraju przepaści, ale była zagorzałą fanką. Znalazła pracę ekspedientki w księgarni science fiction w Los Angeles, która nazywała się Dangerous Visions. W otoczeniu takich tytułów jak The Trouble with Humans (Kłopot z ludźmi) czy Monsters, Mutants and Heavenly Creatures (Potwory, mutanty i niebiańskie stworzenia) Linda znalazła swój dom.

Ale kiedy powracała do rzeczywistości, zauważała, że nadal nie ma w życiu szczęścia, zwłaszcza w miłości. W wieku osiemnastu lat była zaręczona, ale narzeczony dał dyla. Osiem lat później znowu była zaręczona z młodym człowiekiem, który mieszkał w San Marino. Pracował jako nocny stróż i poprosił swojego znajomego, Johna Sohusa, żeby towarzyszył Lindzie pod jego nieobecność. John Sohus, sympatyczny, nieszkodliwy chłopak, raczej nie był typem ochroniarza. Był niski i krągły i nosił okulary w grubych oprawkach, ale Linda od pierwszej chwili podbiła jego serce. Grali w Dungeons and Dragons i rozmawiali o literaturze science fiction, co zbliżało ich do siebie. A kiedy znajomy Johna postanowił, że nie ożeni się z nią i niespodziewanie z nią zerwał tuż przed Bożym Narodzeniem w 1982 roku, wpędzając ją w depresję, John wspierał ją i

podtrzymywał na duchu. Stanowili dosyć dziwną parę, w stylu komiksowych Mutta i Jeffa, ale szybko się w sobie zakochali i zamieszkali w domu matki Johna. Christopher Chichester zajmował już wtedy dom gościnny.

Wszystko wskazuje na to, że Chichester mieszkał tam od końca 1982 roku co najmniej do lata 1983 roku.

- Zostałam zaproszona na grilla 4 lipca 1983 roku - opowiadała Sue Coffman, najlepsza przyjaciółka Lindy. - Linda i John tam wtedy mieszkali. Linda wspomniała podczas grilla o „dziwnym lokatorze” domu gościnnego.

Didi Sohus uważała, że Linda Mayfield jest zdecydowanie za słabą partią dla jej syna. John i Linda spędzali ze sobą coraz więcej czasu, natomiast z Didi robił się coraz większy odludek - rano, we dnie, w nocy chodziła w szlafroku, a sterty starych gazet i innych szpargałów rosły pod sufit. Całe jej życie kręciło się wokół Johna, a teraz go traciła. Nie była nawet na ślubie syna, który odbył się w ogrodzie za domem Sue Coffman o północy w Halloween w 1983 roku. Część gości przyszła przebrana za postacie z Dungeons and Dragons i rozmaite monstra, ale państwo młodzi i rodzina panny młodej wystąpili w tradycyjnych strojach.

Mimo dezaprobaty Didi Sohus dla ich związku Linda i John nadal mieszkali z nią przy Lorain Road. Jako ekspedientka w księgarni i podrzędny programista zarabiali bardzo niewiele, ale zależało im na tym, żeby jak najszybciej zamieszkać na swoim - razem z sześcioma kotami Lindy.

Życie z Didi nie było przyjemne dla młodej pary. W ciągu dnia spała, a w nocy piła, o różnych porach wrzeszczała „Johnny!” i brutalnie ingerowała w ich prywatność. „Boże, czy ona nigdy nie przestanie?” - zastanawiali się John i Linda, kiedy jej demencja się pogłębiała. Zaczęła walić do drzwi ich sypialni, żeby zwrócić na siebie ich uwagę, i skończyło się na tym, że założyli sobie kłódkę. Bardzo chcieli uciec z domu Didi - i usunąć ją ze swojego życia - ale mieli niewiele pieniędzy i niestabilną pracę. Nie widzieli wyjścia z sytuacji.

Dangerous Visions, miejsce pracy Lindy, było największą księgarnią science fiction w Los Angeles. Księgarnia znajdowała się na rogu Ventura Boulevard i Woodman Avenue w Valley, na obszarze niecki Los Angeles na zachód od samego miasta. Swoją nazwę zawdzięczała przełomowemu zbiorowi opowiadań fantastycznonaukowych Harlana Ellisona z 1967 roku. Od 1981 roku jej właścicielami i menedżerami byli bestsellerowy autor science fiction Arthur Byron Cover i jego żona Lydia Marano. 8 lutego 1985 roku przed południem Marano podjechała pod księgarnię i zastała zamknięte drzwi i zgaszone światła. Linda Sohus, ekspedientka, która miała tego dnia otworzyć księgarnię, nie pojawiła się. Zdenerwowana Marano sama otworzyła drzwi i wykręciła numer Lindy.

Odebrała Didi Sohus, która sprawiała wrażenie pijanej.

- Pojechali do Paryża - powiedziała.

- Do Teksasu? - spytała Marano.

- Nie, moja droga, do Francji - odparła Didi i rozłączyła się.

Linda opowiedziała swojej przyjaciółce Sue Coffman trochę inną, ale równie nieprawdopodobną historię: John dostał życiową szansę, a mianowicie „ściśle tajną” pracę dla administracji państwowej w Nowym Jorku. Musieli rzucić wszystko i natychmiast polecieć na Wschodnie Wybrzeże.

- Podobno miało to coś wspólnego z umiejętnościami Johna jako analityka systemów komputerowych - mówiła później Coffman. - Linda mówiła mi, że ją też rząd zatrudni, ale jeszcze nie wiedziała, w jakim charakterze. Domyślała się, że ma to związek z jej zdolnościami artystycznymi, które mogły się przydać do projektowania albo grafiki komputerowej. Pomyślałam, że skoro potrzebują jej męża, to uznali, że żonę też zatrudnią.

Linda powiedziała Sue, że nie może jej nic więcej zdradzić na temat tej tajemniczej pracy, ale zapewniła ją, że niedługo wróci. Obiecała, że zdąży przed wycieczką do Phoenix, którą sobie

razem zaplanowały. Miały tam pojechać na kongres science fiction nowym pikapem Lindy i Johna. Tuż przed wyjazdem z San Marino Linda odstawiła swoich sześć kotów do miejscowego „kocięgo hotelu” i zapłaciła za dwa tygodnie ich utrzymania. Zapewniła pracowniczkę, że niedługo odbierze swoich ulubieńców.

Po paru dniach od rzekomego wyjazdu do Nowego Jorku John i Linda wrócili na Lorain Road, ale tylko po to żeby spakować swój skromny dobytek i z przejęciem poinformować Didi, że wyruszają do Paryża. Didi była zszokowana, ale życzyła im wszystkiego najlepszego i dała im kilka swoich kart kredytowych.

W ciągu następnych dwóch miesięcy właściciele księgarni Dangerous Visions mieli dwa telefony w sprawie Lindy. Pierwszy był od kogoś z Robinsons-May, domu handlowego na przedmieściach Los Angeles. Osoba ta spytała o kwalifikacje Lindy, która zgłosiła się tam do pracy. Druga dzwoniła z banku: Linda wystąpiła o przyznanie jej karty kredytowej i podała swojego pracodawcę jako żyranta.

Sama zaginiona para z nikim się jednak nie kontaktowała. Linda nie zgłosiła się po koty, ale tuż zanim właściciele hotelu mieli je uspić, odebrała je anonimowa osoba przysłana przez Lindę.

Siostra przyrodnia Lindy, Kathy, zaczęła się o nią martwić, i w końcu zadzwoniła do Didi.

- Czy Linda wróciła już ze swojej podróży? - spytała.

- Nie mogę ci nic powiedzieć - odparła Didi, po czym zawiesiła na chwilę głos i dodała konspiracyjnym tonem: - Pojechali na misję!

- Jaką misję? - spytała Kathy. - O czym pani mówi?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Również w kolejnych rozmowach z Didi Kathy nie uzyskała żadnych informacji. Zresztą Didi bywała tak pijana, że bełkotała od rzeczy.

Sue Coffman została spławiona w podobny sposób, kiedy zadzwoniła do Didi.

- Chciałabym powiedzieć ci więcej, ale nie mogę - mówiła Didi, sugerując, że gdyby się wygadała, ściśle tajna misja Johna i Lindy byłaby zagrożona. - Wolno mi tylko powiedzieć, że wszystko z nimi w porządku i nie wiadomo, kiedy wrócą.

Przyjaciółka Lindy Sohus, która poznała ją w Dangerous Visions, zadzwoniła do Didi mniej więcej po miesiącu bez żadnej wiadomości od Lindy. „Wyszukałam jedyne go Sohusa w tej okolicy, czyli matkę Johna” - napisała na stronie internetowej znajoma, posługująca się nickiem PanLives. „Zadzwoniłam trochę zawstydzona, że wyjdę na panikarę. Odebrała Didi. Przedstawiłam się i powiedziałam, że zaczęłam się martwić, czy wszystko jest w porządku. Natychmiast wybuchła płaczem i powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie on jest i co się z nim dzieje. Mówiła trochę niespójnie, a potem pojawił się temat Francji. Powiedziałam: »Francja? Myślałam, że pracują w Nowym Jorku«. Ona dalej płakała”.

W końcu, ponad dwa miesiące po zniknięciu Johna i Lindy ktoś zadzwonił na policję. 8 kwietnia 1985 roku o 19.30 do domu Didi przyjechało dwóch funkcjonariuszy i powiedzieli, że mieli zgłoszenie o zniknięciu jej syna i synowej. Czy wie, gdzie się podzieli?

- Nie zaginęli! - miała powiedzieć funkcjonariuszom Didi. - Wszyscy mnie o to pytają, a ja im odpowiadam, że są na tajnej misji!

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Może nam pani powiedzieć, jak do nich dotrzeć?

Didi odparła, że zna kogoś, kto jest z nimi w kontakcie, ale ona nie może zdradzić personaliów tej osoby, ponieważ gdyby ktokolwiek próbował się z nimi skontaktować, mogłoby to zagrozić ich ściśle tajnej misji rządowej.

- Zrozumiano? - spytała, po czym wróciła do domu.

Potem przyszły trzy pocztówki, wszystkie wysłane w tym samym dniu, z wieżą Eiffla i francuskim znaczkiem pocztowym. Jedną dostała współwłaścicielka Dangerous Visions: „Nie całkiem Nowy Jork, ale niezłe. Do zobaczenia, Linda i John”.

Drugą otrzymała Sue Coffman: „Nowy Jork nas ominął - wielka szkoda! Ale da się żyć! Pozdrawiamy, Linda i John”.

Trzecią pocztówkę wysłali do matki Lindy, co trochę zaskakiwało, ponieważ Linda i Didi były ze sobą mocno poróżnione. „Zabłądziliśmy w Europie” - napisali.

W początkowym okresie nikt się zanadto nie przejmował zaginionym małżeństwem. Jednak prawie dziesięć lat później, kiedy sprawa trafiła na czołówki gazet, w San Marino huczało od plotek. Dlaczego John wyjechał dzień wcześniej niż Linda, jak twierdziła osoba zaznajomiona ze sprawą? I dlaczego John poprosił o wypłatę za dwa tygodnie z góry w Dual Graphics, firmie komputerowej, w której pracował, a potem przestał przychodzić do pracy i nie oddał tych pieniędzy, co nie było w stylu kryształowego Johnny ego Sohusa? Czy to wszystko miało coś wspólnego z lokatorem Christopherem Chichesterem?

Przez miesiąc po wyjeździe Johna i Lindy z San Marino Christopher nadal mieszkał przy Lorain Road 1920. W tym okresie zachowywał się tak, jakby był gospodarzem domu Didi Sohusa, na przykład zapraszał tam ludzi na grę w Trivial Pursuit, swoją ulubioną grę planszową.

Pod nieobecność Johna i Lindy Didi pozwoliła Chichesterowi jeździć ich pikapem. Pewnego dnia pojechał nim do domu Elmera i Jean Kellnów w Loma Linda.

- Nareszcie się zjawilem! - powiedział temu małżeństwu poznanemu siedem lat wcześniej w Niemczech. - Udało mi się zrobić karierę w przemyśle filmowym!

Powiedział, że nie tylko odnosi sukcesy jako producent filmowy, ale także kupił dom w San Marino. Jego sąsiadką jest Linda Evans, aktorka grająca w Dynastii, ich domy stoją tak blisko siebie, że wszystko widać nad ogrodzeniem. Skąd Kellnowie mieli wiedzieć, że Linda Evans mieszka w Los

Angeles, a nie w San Marino? Uwierzyli we wszystko, co Christopher im powiedział, na przykład że dorabia w dziale wysyłkowym studia filmowego i odkleja znaczki pocztowe bez stempla, żeby je później sprzedać.

Podczas następnej wizyty pochwalił się, że sprzedał za 5000 dolarów emulsję filmową, którą dostał za darmo na USC. Dlaczego odnoszący sukcesy producent filmowy miałby robić takie rzeczy? Wybiera się na festiwal filmowy w Cannes i potrzebuje trochę kieszonkowego na szampana i kawior, wyjaśnił, puszczając do nich oko.

Któregoś dnia syn Kellnów Wayne przyjechał do rodziców, kiedy był u nich Christopher. Przechodząc obok nieznanego pikapa, zajrzał do środka i na siedzeniu pasażera zobaczył zwalistą słońską blondynkę, która miała zaczerwienioną twarz, jakby niedawno płakała.

Wayne był już blisko drzwi domu, kiedy wyszedł z nich Chichester, niosąc pudło z rzeczami, które zostawił Elmerowi i Jean na przechowanie.

- Cześć, Wayne - powiedział.

- Cześć - odparł Wayne zaskoczony faktem, że Chris przyjechał z kobietą.

Nigdy wcześniej nie widział go z kobietą.

- Niestety, strzygę się u ciebie ostatni raz - powiedział Chichester Jannowi ze Szwecji wiosną 1985 roku.

- Naprawdę? - zdziwił się szwedzki kowboj.

- Tak, w Londynie zmarł członek mojej rodziny i muszę natychmiast tam pojechać, żeby załatwić sprawy spadkowe.

Uściśnął Jannowi dłoń, wyszedł z salonu, wszedł do pikapa Johna Sohusa i odjechał. Jann Eldnor, Elmer i Jean Kellnowie, Didi Sohus, Dana Farrar - żadne z nich nigdy więcej nie widziało Christophera Chicheстера.

Pięć miesięcy po wyjeździe Johna i Lindy Didi Sohus załamała się i zadzwoniła na komisariat policji w San Marino. Natychmiast wysłano do niej dwóch funkcjonariuszy. Didi wpuściła ich do środka i poprosiła, żeby usiedli. Powiedziała, że chce zgłosić zaginięcie syna i synowej.

- Myślałam, że wiem, co się dzieje, ale teraz... - zaczęła.

- Miała pani jakiś kontakt z Johnem i Lindą po ich wyjeździe? - spytali.

- Przekazywałam im pocztę przez moje źródło - odparła - człowieka, który jest z nimi w kontakcie. On mnie informuje o tym, co się z nimi dzieje.

Powiedział jej, że John i Linda pracują dla Dassault Aviation, francuskiego koncernu lotniczego z filiami na całym świecie, w którym jego rodzina ma udziały. Poprosił ją o oddanie jej bezcennego siodła Lindy i przekazywanie mu poczty dla Johna i Lindy, w której było coraz więcej wezwań do zapłaty z banków, firm obsługujących karty kredytowe i domów handlowych. Zamierzał to wszystko wysłać do hrabstwa Iredell w Północnej Karolinie, gdzie John i Linda tymczasowo zamieszkali, jak sądziła. Dlaczego akurat tam? Nie wiedziała. Tajemniczym źródłem informacji o zaginionym małżeństwie był oczywiście nie kto inny, tylko Christopher Mountbatten Chichester.

- Musimy porozmawiać z tym obywatelem - powiedział jeden z funkcjonariuszy.

- To niemożliwe! - odparła Didi. - Właśnie dlatego tak się martwię. Jego też nie ma, po prostu zniknął.

Zgłosivszy sprawę na policję, Didi Sohus nadal szybko się staczała. Przeżyła udar mózgu. Rosnące koszty opieki zdrowotnej zmusiły ją do sprzedaży domu i zamieszkania na osiedlu wozów kempingowych w La Puente, trzydzieści kilometrów od San Marino.

- Jeśli Johnny będzie mnie szukał, powiedz mu, gdzie jestem, bo na pewno przyjdzie do ciebie - poprosiła sąsiadkę z Lorain Road. - Będzie chciał wiedzieć, dlaczego mnie nie ma.

Syn i synowa nie skontaktowali się z nią. Jesienią 1988 roku

Didi zmarła na zawał serca. Jej życzenie, żeby skremować jej ciało i rozsypać prochy nad morzem, wykonali Linda i Don Wetherbee, małżeństwo, które sprzedało jej wóz kempingowy stojący w pobliżu ich własnego.

Niewiele osób przejmowało się smutnym losem Didi pod koniec jej życia, ale jej testament wzbudził spore zainteresowanie. Kalifornijscy dziennikarze Frank Girardot i Nathan Mcintire ustalili później na podstawie rejestrów sądowych, że zostawiła majątek wartości około 180 000 dolarów. Umorzyła pożyczkę w wysokości 40 000 dolarów, której udzieliła Lindzie i Donowi Wetherbee, i poleciła przekazać im pieniądze ze sprzedaży jej wozu, który poszedł za 32 000 dolarów. Na rok przed śmiercią Didi zmieniła testament i wydziedziczyła Johna Sohusa, swojego jedyne go syna. Dlaczego Didi Sohus wyprowadziła się do wozu kempingowego? Dlaczego wydziedziczyła jedyne go potomka? Dlaczego zostawiła cały majątek Lindzie i Donowi Wetherbee, z którymi najprawdopodobniej łączyło ją tylko to, że sprzedali jej wóz kempingowy? W połowie lat osiemdziesiątych nie uzyskano odpowiedzi na te pytania ani nawet ich nie postawiono.

Człowiek, który przedstawiał się jako Christopher Chichester, był wtedy daleko od San Marino i nie potrzebował Didi Sohus ani kwatery u niej.

W 1994 roku, sześć lat po śmierci Didi, w gazetach należących do San Gabriel Valley Newspaper Group ukazał się artykuł zatytułowany BARWNA EKIPA. Policja usiłuje rozwikłać zagadkę starego domu przy Lorain Road. Artykuł dotyczył tragicznego życia Didi Sohus i godnego pożalowania stanu jej domu. „Barwna ekipa mieszkańców zaintrygowała młodą Melanie Whitehead - napisała dziennikarka Bernice Hirabayashi. - W latach sześćdziesiątych stawała na palcach, aby podglądać sąsiadów nad ogrodzeniem. »Jako dziecko wystawiałam głowę nad murem i patrzyłam na nich -

powiedziała. - Wszystko było pozarastane. Myślę, że w ogóle nie zajmowali się ogrodem”.

W dalszej części artykułu opisano najważniejsze postacie tej historii: „Główna bohaterka Ruth »Didi« Sohus, jedna z pierwszych kobiet studiujących na USC, zaczęła pić i podczas kłótni małżeńskiej uderzyła swojego męża Boba Sohusa w twarz. Adoptowany syn John Sohus i jego żona Linda mieli wspólne hobby, science fiction i fantasy, [...] byli też nielegalni lokatorzy Didi - nomadzi, którzy niezgodnie z obowiązującymi w San Marino przepisami wynajmowali dom gościnny Didi”.

Była to idealna sytuacja dla lokatora, który nie chciał, żeby ludzie wiedzieli, gdzie i jak mieszka.

- Trzeba mu przyznać, że dobrze to sobie wykombinował - powiedziała mi jedna wdowa z San Marino. - Czy był ktoś, o kim mieszkańcy San Marino wiedzieli mniej niż o Didi Sohus i tej dwójce?

Mówiąc „ta dwójka”, miała oczywiście na myśli Johna i Lindę Sohusów.

Jann ze Szwecji, u którego John Sohus strzygł się od dziecka, jak zwykle był lepiej zorientowany.

- Znałem Didi - powiedział mi. - Chichester mieszkał z nią przy Lorain Road i miał mnóstwo miejsca.

Według Janna Chichester mieszkał u Didi już pod koniec 1982 roku, zanim John i Linda tam się wprowadzili.

Jann sprawdził, czy nadażam za tokiem jego wywodów, i kiedy pokiwałem głową, powiedział:

- All right. Wprowadzają się i widzą, że w domu gościnnym mieszka jakiś mężczyzna, Christopher Chichester. - Rzucił mi znaczące spojrzenie. - John zaczyna wtykać nos w sprawy Chicheстера. Widzi, w jakim stanie jest jego matka, i myśli sobie: „Może ten Chichester skubie moją matkę z pieniędzy”. I staje się podejrzliwy.

Jann był pewny, że rozwiązał zagadkę.

- Chichester na sto procent miał oko na wszystkie panie, młode i stare, wszystko jedno. Więc może upatrzył też sobie

żonę Johna, Lindę. A ponieważ ma podejście do kobiet, może Linda szybko poczuła do niego miętę. Może jej męża coraz bardziej to denerwowało i nagle Chichester...

Jann odegrał scenkę, w której Chichester wziął do ręki duży przedmiot i zamachnął się nim.

W tym miejscu mu przerwałem, bo nie mógł mieć żadnych dowodów na coś takiego. Ale kiedy wróciłem wieczorem do hotelu, stwierdziłem, że nie tylko Jann miał tego typu podejrzania. W „Pasadena Star-News” zacytowano Franka Willsa, byłego szefa policji w San Marino: „Według Willsa śledczy spekulowali, że Chichester i Linda zaczęli ze sobą sypiać jakiś czas przed zniknięciem jej męża i jej samej. »Pojawiły się domysły, że Chichester był w niej zakochany«, powiedział Wills. »Wymyślił rozbudowaną legendę i przekonał Lindę, że jest tajnym agentem«. Według Willsa funkcjonariusze uważali, że Chichester był zazdrosny o Johna Sohusa i że zazdrość mogła go skłonić do morderstwa”.

Wyciągnąłem plik dokumentów, które dostałem podczas procesu w Bostonie, i znalazłem napisany na maszynie raport policji w San Marino, sporządzony po rozmowie z sąsiadką Didi Sohus. „Pani Sohus dużo piła” - powiedziała kobieta. Chicheстера, który „uczył w szkole filmowej” na Uniwesytecie Południowokaliifornijskim, nazwała „bardzo dziwnym człowiekiem. [...] Nic nie mówił o swojej rodzinie, wspominał tylko, że jest bogaty i ustosunkowany w Anglii. Nie pamiętała, żeby widziała jakichś odwiedzających go znajomych. [...] Podejrzewała, że Chichester ma problemy finansowe. Listonosz jej mówił, jak dużo wezwań do zapłaty dostaje Chichester i jak często wierzyciele o niego pytają”.

Był też raport z rozmowy Didi z funkcjonariuszami o jej synu i synowej. „Powiedziała, że oboje mają duże długi. Obecnie banki i firmy dzwonią do niej albo piszą listy z pytaniem o miejsce ich pobytu, na przykład Bank of America, Sears, Broadway, Holiday Hotel for Cats”.

Odłożyłem papiery i spróbowałem sobie wyobrazić dom przy

Lorain Road 1920 w 1985 roku: jedno małżeństwo, sześć kotów i Christopher Chichester - wszyscy w tarapatach finansowych - i samotna, szurnięta właścicielka, która w porównaniu z nimi była całkiem bogata. Wymarzona sceneria dla miłośników/fim noir. Chichester, znawca tego gatunku, niechętny znalazł się w takim właśnie otoczeniu.

ROZDZIAŁ 6

Christopher Crowe, Greenwich, Connecticut

Kiedy do domu przy Lorain Road 1920, gdzie mieszkał dawniej Christopher Chichester, przyjechała ekipa sprzątająca, zobaczyła jeden duży pokój z zieloną betonową podłogą, łóżko pod ścianą i maleńką łazienkę. Lokal był zaniedbany i panował w nim wielki bałagan. Nie ulegało wątpliwości, że lokator wyjechał w pośpiechu, zabierając tylko to, co miało dla niego jakąś wartość.

Swoim zniknięciem Christopher pozostawił po sobie pustkę w San Marino. Młody człowiek, który potrafił mówić o wszystkim, który znał odpowiedź na każde pytanie w Trivial Pursuit, zadał mieszkańcom dwie trudniejsze zagadki: dlaczego zniknął i gdzie się podział?

Nikt nie widział, jak wyjeżdżał. Nie mógł przynajmniej pożegnać się z tymi, którzy obdarzyli go zaufaniem i przyjaźnią? I nie mógł chociażby uregulować rachunków za lunch w Rotary Club i City Club?

Kiedy Chichester na powrót wypłynął po trzech miesiącach od zniknięcia, nikt w San Marino o tym nie wiedział i nie dowiedział się jeszcze przez wiele lat. Nowym pikapem nissanem Johna i Lindy Sohusów, z własnej konstrukcji przyczepą kempingową z tyłu, pojechał na drugie wybrzeże Ameryki i w czerwcu 1985 roku rzucił kotwicę w jednym z bastionów zamożnego białego mieszczaństwa: Greenwich w Connecticut. Tam znowu wykorzystał wiedzę, która tak dobrze mu się przysłużyła w San Marino: „Im większe kłamstwo, tym ludzie łatwiej w nie uwierzą”

- jak brzmiało słynne stwierdzenie niemieckiego ministra propagandy Josepha Goebbelsa. Łatwowierność nie zna granic klasowych ani rodowych. Chichester tym razem nie zajrzał do książki telefonicznej w poszukiwaniu nowego nazwiska, lecz zwrócił się do świata kina, a zwłaszcza filmów Alfreda Hitchcocka, i wymyślił Christophera Crowea.

Nazwisko brzmiało ciekawie, zgodnie z intencją jego autora. Prawdziwy Christopher Crowe był wybitnym scenarzystą, reżyserem i producentem, który właśnie został producentem wykonawczym nowego serialu telewizyjnego zatytułowanego *Alfred Hitchcock Presents*, opartego na serialu z 1955 roku, gdzie Hitchcock zapowiadał każdy odcinek swoim markowym „Dobry wieczór”, czemu towarzyszyła muzyka z Marszu żałobnego marionetki.

Serial miał premierę w lecie 1985 roku, kiedy Christopher Chichester wyjeżdżał z San Marino. 12 czerwca, gdy wynajmował skrzynkę pocztową w Greenwich na nazwisko Christopher C. Crowe, pokazał urzędnicze dokument, z którego wynikało, że jego prawdziwe nazwisko brzmi C. Mountbatten.

Powielając metodę, która okazała się tak skuteczna w San Marino, szybko dał się poznać w miejscowym kościele. Tym razem wybrał bogatą, elitarną parafię episkopalną Christ Church. Do tego założonego w XIX wieku kościoła chodziła między innymi matka prezydenta Georgea H.W. Busha, kilkoro Rockefellerów i wiele innych wybitnych postaci.

Pastor, wielebny John Bishop, powiedział później, że Crowe pewnego dnia zjawił się w kościele i powiedział, że „właśnie przyjechał do Greenwich i chciałby poznać jakichś ludzi”. Crowe „został aktywnym członkiem kościoła i pełnił funkcję odźwiernego”. Jeden z wiernych dodał: „Kiedy Crowe tutaj przyjechał, członkowie Christ Church mu pomagali. [...] Kiedy jeden z parafian powiesił na tablicy w kościele ogłoszenie, że ma pokój do wynajęcia, [...] Crowe przyszedł do niego, a on sprawdził jego referencje i wynajął mu pokój”. Pokój znajdował się w

domu przy Rock Ridge Avenue 34, a właścicielem był John Callahan Maddox.

Jadąc do Greenwich, podziwiałem hucpę tego sprytnego kameleona przy wyborze następnego przystanku na jego drodze. W artykule, który ukazał się w 2008 roku na łamach „Los Angeles Times”, czytamy: „Ociekająca pieniędzmi enklawa na północ od Nowego Jorku, siedziba kilkudziesięciu funduszy hedgingowych i bankierów inwestycyjnych wyróżnia się na tle innych zamożnych miejscowości wokół przedmieść Nowego Jorku, nawet Scarsdale i Chappaqua. Na przykład tylko w Greenwich policjanci w białych rękawiczkach kierują ruchem na niezbyt ruchliwej głównej ulicy. [...] Średni roczny dochód gospodarstwa domowego w Greenwich wyniósł w ubiegłym roku 115 644 dolarów, przy średniej krajowej 49 314 dolarów. Średnia cena domu kształtowała się na poziomie półtora miliona”.

Kiedy zajechałem pod dom przy Rock Ridge Avenue 34, osłupiałem. Była to wielka posiadłość przy jednej z najlepszych ulic w Greenwich. Ogromna trzykondygnacyjna rezydencja stała na czterech akrach pagórkowatej ziemi. Na podjeździe stały luksusowe samochody. Kiedy Christopher Crowe tam się wprowadził, w domu mieszkało starsze małżeństwo, John Maddox i jego żona Gretchen.

Pośród papierów, które dostałem w Bostonie, była następująca notatka policyjna: „Pan John C. Maddox, właściciel lokalu przy Rock Ridge Avenue 34, miał telefon od pana Crowea, który mniej więcej dwa i pół do trzech lat temu wynajął u niego pokój. [...] Crowe jeździł małym wozem kempingowym, który własnoręcznie przerobił”.

Być może tłumaczy to, gdzie nocował przez trzy do czterech miesięcy po zniknięciu z San Marino, pomyślałem.

„Pan Maddox relacjonował, [...] że Crowe okazał się nałogowym kłamcą, który różnym ludziom podawał różne wersje

swojego życiorysu” - czytamy w notatce.

Maddox złożył te zeznania trzy lata po wynajęciu Croweowi pokoju. Ale po sprawdzeniu referencji Crowea Maddox był dostatecznie przekonany, aby wynająć mu trzypokojowe mieszkanie z łazienką i osobnym wejściem na trzecim piętrze domu z dziesięcioma sypialniami.

Maddox dawno nie żył, kiedy przyjechałem do Greenwich, ale jego córka pomogła mi w ustaleniu, jak wyglądał pobyt Crowea w tej miejscowości. Jej ojciec był typowym przedstawicielem establishmentu ze Wschodniego Wybrzeża, emerytowanym menedżerem z branży reklamowej i członkiem kilku prywatnych klubów, między innymi prestiżowego Metropolitan Club założonego w 1981 przez takich tuzów jak J.P. Morgan, William K. Vanderbilt i William C. Whitney w itaľianizującej rezydencji przy nowojorskiej East Sixtieth Street. Maddox był zapamiętałym wynalazcą i w Christ Church przy każdej nadarzającej się okazji mówił o swojej największej pasji, czyli fizyce kwantowej. W 1985 roku, kiedy Crowe przyjechał do Greenwich, Maddox miał siedemdziesiąt cztery lata. Wszystkie dzieci poszły w świat, więc John i Gretchen mieli wielką rezydencję dla siebie. Aby wspomóc domowy budżet, zaczęli „po cichu wynajmować pokoje singlom”, relacjonowała córka Maddoxa. Kiedy nieuczciwy przybysz zobaczył anons na tablicy ogłoszeń, zadzwonił pod podany tam numer, i wkrótce zjawił się ze swoim skromnym dobytkiem.

- Moja mama chyba wspomniała, że nie miał żadnych mebli, ale przywiózł dużo sprzętu elektronicznego. Próbował się przypodobać członkom Kościoła episkopalnego i zdołał przekonać ich do siebie. Wiem - choć z drugiej ręki, od mojej mamy - że pomagał parafii w pracy z komputerami i zdigitalizował listę adresową. - Wzięła głęboki wdech i kontynuowała: - A to znaczyło, że miał dostęp do tej listy. Chyba pan rozumie, jakie to są cenne dane. Lista członków Kościoła episkopalnego w Greenwich, Connecticut! Cała arystokracja majątkowa tam chodzi! Jakimś cudem zawsze udawało się mu

dostać na łamy miejscowych gazet. Za każdym razem kiedy robiono zdjęcie jakimś ustosunkowanym ludziom albo politykom, on stał obok. Jego fotografia ciągle pojawiała się w gazecie obok wszystkich znanych osób.

I rzeczywiście, kiedy przeglądałem jego dossier i dotarłem do dokumentów dotyczących pobytu tego młodego człowieka w Greenwich, znalazłem coś takiego: „Na zebraniu Partii Republikańskiej Crowe został sfotografowany z kilkoma członkami Partii, między innymi Prescottem Bushem [bratem prezydenta George'a H.W. Busha]”.

Zapytałem córkę Maddoxa, co jej rodzice myśleli o Crowe.

- Byli pod wielkim wrażeniem - odparła. - Był przystojny, uroczy, intrygował ich. Miał dobre maniery i elegancko się ubierał, co działało zwłaszcza na moją mamę.

Z kolei John Maddox, arystokrata i pasjonat szaf grających z efektami świetlnymi, z pewnością zrobił wielkie wrażenie na Christopherze Crowe.

- Po przejściu na emeryturę zaczął tworzyć niezwykle wynalazki - powiedziała jego córka. - Jedną z rzeczy, które go fascynowały, były efekty świetlne towarzyszące muzyce. Zajmował się tym jako pierwszy.

Chodziło o efekty świetlne zgrane z rytmem muzyki.

- Nie wiem, czy Christopher Crowe widział urządzenia wideo mojego taty, ale jeśli ktoś był zainteresowany rozmową na ten temat, tata natychmiast zapraszał go do piwnicy.

Wyobrażałem sobie Christiana Gerhartsreitera, jak z szeroko otwartymi oczami ogląda wirujące światła, zahipnotyzowany podniosłą muzyką klasyczną i przeszcześliwy, że jak zawsze trafił w elitarne miejsce i wyrobił tam sobie mocną pozycję.

Adres przy Rock Ridge Avenue 34 z pewnością poprawił notowania młodego człowieka. Parafianie Christ Church niewątpliwie gratulowali mu wyboru lokum, kiedy rozdawał kościelne biuletyny i sadowił wiernych w ławkach.

- Zapisał się do Cotton Club, stowarzyszenia dla singli - powiedziała mi sympatyczna pani sekretarz parafii, zanim skierowała mnie do rzeczniczki prasowej Christ Church, która również знаła Crowea. Znalazłem rzeczniczkę w przykościelnym sklepie z pamiątkami, który prowadziła jej matka. Było Święto Dziękczynienia i panie dały mi ozdobnego indyka zrobionego z patyczków po lizakach. Przyjęły mnie bardzo gościnnie i życzliwie, z pewnością tak samo potraktowały młodego przybysza, który chciał zawrzeć w Greenwich nowe znajomości.

Christopher Crowe szybko stał się cenionym i znanym członkiem społeczności. Nieżyjący już wielbny Bishop zainteresował się nim i przedstawił go swojemu synowi Chrisowi.

- Christopher Crowe zaprzyjaźnił się z synem pastora Chrisem Bishopem, który jest księdzem - powiedziała rzeczniczka. - Musi pan z nim porozmawiać.

- W naszej parafii jest producent filmowy, młody człowiek mniej więcej w twoim wieku - powiedział pastor Bishop do syna pewnego wieczoru. - Sprawia wrażenie bardzo sympatycznego. Powinieneś go poznać.

Chris Bishop studiował w szkole filmowej na Columbia University w Nowym Jorku, więc bardzo się ucieszył.

- Nie mogłem się doczekać, kiedy poznam prawdziwego producenta filmowego. Spotkałem się z nim. Nie był typem człowieka, z którym normalnie spędzałbym czas - bardzo dziwny, snobistyczny intelektualista, pretensjonalny elegant. Ale bardzo dużo wiedział o przemyśle filmowym.

Crowe powiedział mi, że jest producentem nowego serialu, o którym wszyscy wtedy mówili: *Alfred Hitchcock Presents*. Potem podsumował swoją karierę.

- Solidnie się przygotował - przyznał Chris Bishop. - Christopher Crowe wyprodukował dwa niskobudżetowe projekty telewizyjne (Darkroom i The Hardy Boys/Nancy Drew Mysteries). Potem zatrudniono go jako producenta nowego serialu *Alfred Hitchcock Presents*. - Christopher Crowe z

Greenwich wiedział wszystko na temat Alfreda Hitchcocka, dodał syn pastora. - Tak o tym opowiadał, jakby rzeczywiście przy tym był. Znał zakończenia, znał ludzi i przyszedł z piracką kopią pierwszego odcinka, zanim wyświetlono go w telewizji.

Crowe deklarował również, że pomoże Bishopowi w zrobieniu kariery w przemyśle filmowym.

- Dałem mu parę moich wczesnych scenariuszy - powiedział Bishop. - Jego uwagi krytyczne były bardzo inteligentne i użyteczne. Nie miałem wątpliwości, że studiował w szkole filmowej. Nakręcił szesnastomilimetrowy film - bez dźwięku, świetnie zrobiony. Przyniósł go do mojego domu, kiedy montowałem swoją pracę dla szkoły filmowej. Miałem szesnastomilimetrowy projektor i obejrzeliliśmy jego film.

Przerwał, po czym dodał po krótkim namyśle:

- Jest bardzo dobry w tym, co robi. Bardzo kompetentnie nawija makaron na uszy. Każda jego wypowiedź to kłamstwo. Ale jest w tym dobry.

Pewnego dnia Crowe poprosił swojego nowego przyjaciela, żeby zawiózł go do Lincoln Center w Nowym Jorku, gdzie kręcono jeden z odcinków nowego serialu. Bishop z radością się zgodził.

- Chodził w drogich garniturach - przywiązywał do tego ogromną wagę - powiedział Bishop.

Kiedy Bishop wysadził go pod Lincoln Center, zobaczył tam członków ekipy filmowej z logo Hitchcocka na kurtkach. Crowe wziął aktówkę, podziękował Bishopowi i zniknął rzekomo po to, aby pokierować ekipą. W rzeczywistości produkował tylko rozbudowaną sieć kłamstw.

- Był naprawdę świetny, absolutny psychopata, patologiczny kłamca - powiedział Bishop. - Twierdził, że pochodzi z zamożnej rodziny z Los Angeles i przyznał, że ma rodzinę w Bawarii, ale urodził się w USA. Chyba najdziwniejsza była ta historia, kiedy znowu mnie poprosił, żebym gdzieś go podwiózł. „Jasne, dokąd?” - spytałem, a on powiedział: „Chciałbym, żebyś mnie zawiózł do mojej matki. Wyszła za bardzo bogatego człowieka”.

Uważam, że dosyć dobrze znam się na ludziach i umiem rozpoznać, kiedy ktoś buja - kontynuował Bishop. - Ale ten facet owinął mnie sobie wokół palca, podobnie jak innych. Zawiozłem go i wysadziłem przed domem pod Greenwich.

Było ciemno. Chyba nikogo nie było w domu, który stał na odludziu.

- Bardzo bym chciał poznać pana mamę - powiedział Bishop.

- Innym razem - powiedział Crowe, wysiadł i zniknął w ciemnościach.

Poprosiłem Bishopa, żeby mówił dalej.

- Później utrzymywałem z nim dosyć sporadyczne kontakty. Przyjemnie mi się z nim spędzało czas. Był bardzo inteligentny, znał żargon filmowy i wiedział, jak się konstruuje scenariusze.

Spytałem go, z czego jego zdaniem Crowe się utrzymywał.

- Mówił mi, że pracuje, ale nigdy się nie dowiedziałem, gdzie i co właściwie robi. Powiedział mi, że chce odejść z przemysłu filmowego i handlować obligacjami, na co ja odparłem, że na pewno mu się uda. Bo był geniuszem komputerowym.

Bishop powiedział, że kiedy miał problemy z komputerem, na którym pisał scenariusze, zwracał się do Crowea.

- I trzask, prask, błyskawicznie go naprawiał. Był bardzo szybki, wyprzedzał swoją epokę. Miał komputer Compaq i doskonale się na tym znał. To go najbardziej wyróżnia: jest piekielnie inteligentny.

Tajemniczy młody człowiek miał wykorzystać swój intelekt, wspomagany przez komputer, do najodważniejszej ze swoich dotychczasowych misji. Zdradził Bishopowi, że chce zostać maklerem handlującym obligacjami. Z pewnością nie przerastało to jego możliwości. Oczywiście potrzebowałyby do tego odpowiednich koneksji, ale koneksje nie były żadnym problemem dla bystrego młodego człowieka, który rozdawał modlitewniki w Christ Church.

Mimo to znalezienie pracy maklera byłoby wielkim przeskokiem, zwłaszcza w świetle informacji, jakie znalazły się w zeznaniu Lewisa Kroga, mieszkańca Greenwich, który później

wynajął coraz bardziej zagadkowemu Christopherowi Croweowi pokój w swoim dużym domu.

„Pan Krog zeznał, że pan Crowe poinformował go, iż zajmuje się produkcją filmów i jest w jakiś sposób związany z nieżyjącym już reżyserem Alfredem Hitchcockiem - przeczytałem w notatce policyjnej z jego dossier. - Pan Krog zeznał również, że Crowe pracował w The Junk Barn przy Milbank Avenue, ale zrezygnował z tej pracy, bo znalazł zatrudnienie w japońskiej firmie w nowojorskim World Trade Center”.

Musiałem przeczytać to zdanie dwa razy: jak to możliwe, że Christopher Crowe z pracy w The Junk Barn - brzmiało to jak nazwa sklepu z używanymi rzeczami - przeszedł do najwyższych sfer nowojorskiego świata finansowego?

Wrota do Wall Street otworzyły się dla Crowea w jachtklubie Indian Harbor w Greenwich. Pewnego ciepłego letniego wieczoru odwiedziłem ten klub, biały drewniany budynek przystrojony proporczykami żeglarskimi. Klub zorganizował największą imprezę roku, ale przy drzwiach nie było ochroniarzy, tylko służba parkingowa, czyli dwóch chłopców w strojach od Ralpha Laurena, którzy przywitali mnie z szerokimi uśmiechami.

- Niech pan sobie wyobrazi setki ludzi na regatach - powiedziała moja miejscowa przewodniczka, którą będę nazywał Samanthą. - Kiedy wchodziliśmy, było ogromne zamieszanie i Crowe bez problemu mógł się wkręcić przez nikogo niezauważony. - Mógł się nagle wyłonić, zacząć sypać frazesami i rodowodami i nikomu nie przyszłoby do głowy, że nie jest członkiem klubu.

Trwały tańce, mężczyźni w białych spodniach i niebieskich blezerach wirowali z kobietami w szyfonowych sukienkach do takich klasycznych kawałków jak It Had to Be You, otoczeni modelami statków i portretami dawnych i obecnych członków z okresu od 1899 roku, kiedy klub został założony.

Za drzwiami znajdowała się przystań Indian Harbor, do której uchodzi rzeka Long Island Sound i do której cumują żaglówki należące do członków klubu. Pocztówkowy obrazek, sceneria, w której obracała się niewielka część elitarnej Ameryki. Jak Crowe znalazł w sobie odwagę, żeby wybrać tę arystokratyczną społeczność?

Samantha potrafiła przynajmniej częściowo odpowiedzieć na moje pytanie. Była członkiem Indian Harbor, wieloletnią mieszkanką Greenwich, bankierem z długim stażem i graczem z Wall Street - tym bardziej zaskakuje, że trafiła na coraz dłuższą listę osób oszukanych przez młodego imigranta.

- W gazetach napisali, że Christopher dumnie wkroczył do jachtklubu Indian Harbor, jakby był jego właścicielem - powiedziałam.

Tak, wydaje się to bardzo prawdopodobne, odparła.

- Nie jestem pewna, jak trafił do Greenwich - podjęła wątek, kiedy spacerowaliśmy po urządzonym w drewnie klubie. - Opowiadał nam, że mieszkał u ojca w LA, a matka i siostra mieszkają w Paryżu. Rodzice byli rozwiedzeni. Z jakiegoś powodu przyjechał na Wschodnie Wybrzeże. Miał w sobie coś aroganckiego i starał się stworzyć wrażenie, że pochodzi z bardzo bogatej rodziny.

Miał zdjęcia swojego rzekomego domu w Los Angeles, ale brakowało tam jakichkolwiek osobistych akcentów.

- Równie dobrze mógłby pójść do rezydencji Vanderbiltów w Hyde Parku - powiedziała Samantha, sugerując, że kupił pocztówki w sklepie z pamiątkami i pokazywał je jako fotografie swojego domu. - Był bardzo zadowolony z siebie. Poza tym wyglądał tak, jakby zszedł z okładki kolorowego czasopisma. Chodził w płaszczu zimowym Burberry, miał parasol Burberry i bardzo eleganckie bawełniane białe koszule z monogramami CCC na kieszeniach. Zawsze zadbane, zawsze nieskazitelny.

- CCC? - przerwałam jej.

- Christopher Chichester Crowe - wyjaśniła. - Nigdy nie wypadł z roli.

Rozejrzałem się po jachtklubie. Wielu mężczyzn było ubranych dokładnie w takim stylu, jaki opisała. Christopher Crowe przyćmiewał ich jednak pod każdym względem.

- Rozmawiał z ludźmi tak, jakby był od wszystkich inteligentniejszy, bogatszy, bardziej ustosunkowany, pod każdym względem lepszy - niezależnie od tego, z kim miał do czynienia - powiedziała Samantha. - Na przykład przyszedł kiedyś do S.N. Phelps and Company i powiedział, że zostanie ich informatykiem, bo doskonale się na tym zna.

Słyszałem o tej firmie, znanej każdemu, kto orientuje się w świecie światowych finansów. Samantha, absolwentka Wharton School of Business na Uniwersytecie Pensylwańskim, była wiceprezesem S.N. Phelps w czasach, kiedy Crowe wkroczył się do tej renomowanej firmy. Zwróciła moją uwagę na artykuł o jej założycielu Stanie Phelpsie, który ukazał się w 1990 roku na łamach „Forbesa” pod tytułem Pieniądze albo życie.

Pozwólcie sobie przedstawić Stanforda N. Phelps, lat 56, właściciela doskonale prosperującej firmy inwestycyjnej z siedzibą w Greenwich w stanie Connecticut. Phelps czuje się w świecie papierów wysokiego ryzyka jak Świnia w gnojówce. Podniósł bondmail, szantaż upadłościowy, do rangi sztuki. Wchodzi na rynek, skupuje dużą ilość ryzykownych aktywów, a potem mówi ich emitentowi: dawaj pieniądze albo złożę wniosek o upadłość twojej firmy i stracisz ją. Metoda ta często działa. Właściciele firmy oferują Phelpsowi - a czasem wszystkim posiadaczom jej akcji czy obligacji - lepsze warunki. W przeciwnym razie Phelps wciąga firmę w długą i bolesną procedurę upadłościową. Do grona spółek, którym w ten sposób groził, zaliczają się MGF Oil Corp., MCorp., SCI Television Inc. i AP Industries Inc. [...]

Stan Phelps jest jedną z najbarwniejszych, a także najbardziej bezwzględnych postaci w branży bondmail. Najczęściej stosowana przez niego taktyka polega na przejściu kontroli nad strategicznymi aktywami. [...] Potem mówi: albo

dacie mi lepsze warunki, albo zniszczę was przed sądem gospodarczym. [...]

Phelps należy do establishmentu ze Wschodniego Wybrzeża. Jego ojciec był znanym finansistą, a matka pochodziła z rodziny właścicieli fabryki butów w Rochester. Phelps kształcił się w Exeter, Yale i Harvard Business School. Po uzyskaniu dyplomu MBA w 1960 roku Phelps zaczął pracować na Wall Street, gdzie w tamtym czasie dominowali ludzie wywodzący się z podobnych warstw społecznych.

W artykule szczegółowo opisano, jak Phelps zbudował dział papierów wartościowych w spółce Drexel Burnham Lambert, która w latach osiemdziesiątych miała ogromny udział w tworzeniu rynku papierów wartościowych wysokiego ryzyka.

W połowie 1972 roku Phelps został zwolniony. [...] Stan Phelps ma obsesję - nie tylko na punkcie pieniędzy, ale także policzenia się ze swoimi byłymi współnikami z Drexela. Często wyraża się o nich w wyjątkowo obraźliwym tonie. Jego osobiste wendety nie mają znaczenia dla reszty świata, ale chcąc zmienić układ sił między często szkalowanymi posiadaczami ryzykownych papierów a potężnymi maklerami, wykonuje dobrą robotę dla całego społeczeństwa.

W artykule przypomniano, że Phelps zatrudnił genialnego młodego człowieka nazwiskiem Michael Milken, który przyszedł do niego prosto z Wharton i przejął jego firmę.

- Jak to się stało, że wielki, genialny i potężny Stan Phelps zatrudnił niedoświadczonego Christophera Crowea? - spytałam Samanthę.

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie, ale wiedziała, w jaki sposób Crowe trafił do Phelps'a. Nie dzięki referencjom zawodowym czy koneksjom z Ivy League, lecz poprzez niejaką Catherine, kobietę, która pracowała w spółce S.N. Phelps.

- Catherine poznała Chrisa w Indian Harbor - kontynuowała

Samantha. - Słyszałam, że przedstawiła go Phelpsowi jako potencjalnego eksperta komputerowego.

- Tak po prostu? - spytałem.

Osoba bez żadnego doświadczenia w finansach dostała pracę w dużej firmie maklerskiej ze Wschodniego Wybrzeża i uzyskiwała dostęp do systemu komputerowego, w którym zgromadzone były całe tony poufnych informacji?

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- No, w sumie, wie pan... Stan co tydzień miał jakiś nowy kaprys. Ciągle chciał czegoś nowego. Prawdę mówiąc, to Catherine namówiła Phelpsa, żeby zatrudnił Christophera. Technomaniak zapewne reprezentuje poziom intelektualny o jeden szczebel wyższy od ameby. O co tyle szumu? Czy ktoś taki jest w stanie zaszkodzić firmie?

Ale Christopher Crowe nie był amebą. Genialny hochsztapler potrafił się wcielić w dowolną rolę. Opętawszy Catherine, mógł zarzucić sieci na innych bogatych młodych ludzi w S.N. Phelps. Catherine była tylko pierwszą z wielu.

- Miał się ożenić z dziewczyną z Greenwich, która pracowała na Wall Street - powiedział mi Chris Bishop. - Spotkałem ją parę razy. Tak, to była Catherine. Pamiętam, że raz przyszedł z brylantem - nie pierścieniem, tylko z dużym brylantem.

Tego wieczoru w jachtklubie Indian Harbor spytałem Samanthę, gdzie mieszczą się biura S.N. Phelps and Company.

- Pokażę panu - odparła. - To niedaleko stąd.

Służba parkingowa podstawiała nam samochód i podjechalśmy za róg pod niewielki zielony budynek. Samantha powiedziała, że wewnątrz też jest zielone - ściany, sufity, nawet biurka. Wszystko w kolorze amerykańskiej waluty.

Crowe musiał nie tylko odbyć rozmowę z przenikliwym Stanem Phelpsem, ale także przejść serię testów. Każdy, kto pracuje w firmie brokersko-maklerskiej, musi uzyskać pewne certyfikaty.

- Podlegaliśmy Securities and Exchange Commission (SEC) i

North American Securities Administrators Association (NASAA), więc oczywiście miałam jego teczkę - powiedziała Samantha. - Trzeba wypełnić formularz U4, podając swoje nazwisko, adres, numer ubezpieczenia społecznego i przebieg kariery zawodowej za ostatnie dziesięć lat. Stan często zlecał też poddanie nowego pracownika testom osobowości.

- Crowea też?

- Wydaje mi się, że tak. Na pierwszej stronie jest historia pracy - ciągnęła - a na drugiej wszystkie pozostałe pytania: „Czy była/był pani/ pan kiedyś aresztowana/aresztowany?” „Czy była/był pani/pan kiedyś skazana/skazany prawomocnym wyrokiem?”. Cała strona pytań i dobrze jest mieć odpowiedź przeczącą na każde z nich, żeby zostać pracownikiem firmy brokersko-maklerskiej. Oczywiście SEC to wszystko weryfikuje.

Zapewniła mnie, że rzetelnie wypełniła wszystkie formularze i żeteczka personalna Christophera Crowea była w porządku - ale po odejściu z firmy Samantha nie miała do niej dostępu. Formularze były jednak tylko wstępem do siedmiodziesięciu testów, które kandydat musi zdać, żeby pracować w firmie obracającej papierami wartościowymi.

Pierwszy test składał się z dwustu pięćdziesięciu pytań i Crowe miał na niego sześć godzin. Prawdopodobnie zdawał go w One Police Plaza w Nowym Jorku.

- W tamtych czasach formularze testowe wypełniało się ręcznie. Dwie trzygodzinne części z godzinną przerwą. Był to tak zwany test Series 7. Niektórzy zdają go dopiero za którymś podejściem. Ja też go zdawałam i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie jest łatwy.

Czy przypomina sobie, jaki Crowe osiągnął wynik?

- Zdał - odparła. - Może jest dziwny, może jest arogancki, ale nie jest głupi. To bardzo inteligentny człowiek.

Po zdaniu trudnych testów współpraca z ludźmi zatrudnionymi w S.N. Phelps musiała mu się wydawać bardzo łatwa.

- Wszystkich pracowników łączyły niezwykle bliskie więzi - powiedziała Samantha. - Wszyscy się ze sobą przyjaźnili, niektórzy

od dzieciństwa. Razem chodzili do Brunswick [ekskluzywnej szkoły prywatnej dla chłopców w Greenwich założonej w 1902 roku] lub Country Day [równie ekskluzywnej szkoły prywatnej w Greenwich założonej w 1926 roku w stodole na terenie posiadłości Williama A. Rockefellera], Razem jeździli na narty.

- A jak się w tym odnalazł Christopher Crowe?

- Christopher był dziwny. Przypominał brzydkie kaczątko, które czeka na to, aż zostanie łabędziem, ale on sam uważał, że już jest łabędziem.

Wyjaśnił Samancie i innym pracownikom S.N. Phelps, że jest nie tylko ekspertem od komputerów, ale również producentem nowego serialu *Alfred Hitchcock Presents*.

- I w napisach rzeczywiście pojawiał się Christopher Crowe - powiedziała Samantha. - Spytałam go kiedyś: „Christopher, to dla mnie nielogiczne. Jesteś producentem filmowym i zgłaszasz się do pracy w handlu obligacjami śmieciowymi za 24 000 rocznie?”. Odpowiedział mi, że chciał spróbować czegoś nowego.

Zabawiał ją historiami o czasach swoich sukcesów jako hollywoodzkiego producenta, raczył opowieściami o kulisach powstawania jego ulubionych odcinków *Hitchcocka*. Samantha zwróciła jednak uwagę na jego dziwne zachowanie w dziale technicznym.

- Kiedy wchodziłam do jego pokoju, zawsze zasłaniał monitory. Za każdym razem. Pomyślałam sobie, że robi coś, co nie jest związane z jego zadaniami. Później, kiedy przyszła policja i zaczęła zadawać pytania, moją pierwszą myślą było, że wchodził na konta klientów i ściągał pół procenta od obrotu, że w ten sposób sobie dorabiał. Bo zawsze żył na wysokim poziomie. Miał drogie ubrania, Burberry, Brooks Brothers i tak dalej. I te wszystkie jego opowieści. Powiedział mi, że mieszka nad warsztatem przy North Street. Pomyślałam sobie: „Za co?”.

Widziałem już wcześniej pierwszą pałacową kwaterę Crowea przy Rock Ridge Avenue, a teraz poprosiłem Samanthę, żeby opisała mi jego późniejsze lokum przy North Street.

Oczy jej się zaświeciły.

- To piękna ulica z wielkimi rezydencjami, równoległa do Round Hill Road.

Round Hill to najbardziej ekskluzywna dzielnica Greenwich, zamieszkała przez gwiazdy filmowe i miliarderów, widniejąca w rejestrze zabytków.

Okres pracy Crowea w spółce D.N. Phelps trwał niecały rok i zakończył się w połowie 1987 roku. Samantha pamiętała, że Christopher nie miał żadnych planów na Boże Narodzenie.

- Nie wybierasz się do Paryża, żeby zobaczyć się z matką i siostrą? - spytała go.

- Nie.

- To może przyjdiesz na Wigilię do mnie?

- Okej.

- W Wigilię wchodzi i mówi: „Wiesz co, Samantha, moja matka, siostra i ja oglądaliśmy dom obok twojego, kiedy był wystawiony na sprzedaż. Niewiele brakowało, a zostalibyśmy sąsiadami”.

Sąsiedni dom był wystawiony za 6 do 8 milionów - powiedziała mi Samantha, kiedy siedzieliśmy pod zielonym budynkiem firmy.

- Ciągłe sypał historiami, które wiązały się z pieniędzmi. Był lepszy od wszystkich, bogatszy od wszystkich. Totalna arogancja. Chociaż był niższy ode mnie, zawsze miałam poczucie, że patrzy na mnie z góry. Zaczęłam żałować, że zaprosiłam go do siebie.

Po jakimś czasie współpracownicy Crowea mieli dosyć jego arogancji, poczynając od Samanthy, którą znużyła jego wyniosłość, jego odzywki typu „No cóż, Samantha”, będące wstępem do w zamierzeniu błyskotliwych lub dowcipnych uwag. Jego rówieśnicy w firmie przyjaźnili się ze sobą, ale Crowea nie dopuścili do swojego kręgu.

- Nie bojkotowali go, ale on chyba czuł się bojkotowany - powiedziała Samantha i dodała, że w końcu zaczął grać na nerwach szefowi: - Stan przestał go lubić. Crowe go denerwował i szef nie chciał go już mieć w swojej firmie.

Od innej osoby dowiedziałem się, co przeważało szalę: Crowe nie chciał powiedzieć Stanowi Phelpsowi, jak zalogować się do jego komputera. Dla szefa firmy, który lubił cały czas trzymać rękę na pulsie, to było bluźnierstwo. Czy Crowe usiłował wykreować się na pracownika nie do zastąpienia? Niektórzy mówili później, że taki miał plan, ale Stan Phelps nie dał mu tej szansy.

Samantha nie przypominała sobie, czy osobiście zwolniła Crowea, ale tak jej się wydawało. Pamiętała natomiast, że po jego odejściu w S.N. Phelps zrobiło się jeszcze dziwniej niż w okresie jego pracy w firmie. Powody tego wyszły jednak na jaw dopiero po kilku latach. Wtedy Crowe po prostu zabrał swoje rzeczy, zarzucił na ramiona trencz Burberry i wyszedł.

Dwa lata później ktoś zwrócił uwagę na interesujący szczegół w formularzu wypełnionym przez Crowea przy rekrutacji. W rubryce „numer ubezpieczenia społecznego” Christopher Chichester Crowe wpisał numer niejakiego Davida Berkowitza, seryjnego mordercy znanego jako Son of Sam (Syn Sama), który w 1976 i 1977 roku sterroryzował Nowy Jork i zamordował co najmniej sześć osób.

ROZDZIAŁ 7

Wall Street

Latem 1987 roku Nikko Securities rozpoczęła projekt ekspansji. Spółka należąca do japońskiej „wielkiej czwórki” firm brokerskich chciała podbić kwitnący amerykański rynek papierów wartościowych i zwiększyć liczbę pracowników w USA z 250 do 500. W ramach tego programu stworzono dział obligacji korporacyjnych. 13 lipca 1987 roku ukazała się informacja dla prasy na ten temat. Opisano w niej nowy dział, po czym pojawiło się następujące zdanie: „Christopher Crowe, który wcześniej kierował Battenberg-Crowe-von Wettin Family Foundation, stanie na czele tego przedsięwzięcia w randze wiceprezesa spółki”.

Christopher Crowe, który zgłosił się do władz Nikko Securities, z pozoru był idealnym kandydatem do pracy na Wall Street w okresie boomu w latach osiemdziesiątych. Sprawiał wrażenie inteligentnego, wykształconego, ustosunkowanego człowieka. Znał żargon obligacji długoterminowych i szorcjarzy. W jego CV widniał zapis o pracy dla jednej z najbardziej renomowanych firm finansowych ze Wschodniego Wybrzeża, S.N. Phelps, a także o rzekomym kierowaniu fundacją rodzinną z arystokratycznymi nazwiskami i wielkimi majątkami. Co nie mniej istotne, ubierał się stosownie do tego wizerunku, w garnitury od J. Pressa i Brooks Brothers. Pośród lawiny pieniędzy, która stała się symbolem lat osiemdziesiątych, Christopher Crowe przypominał wielu innych ludzi, którzy chcieli wykorzystać swoją szansę i dorobić się poważnych pieniędzy.

Swoje porażki zostawił w spółce S.N. Phelps w Connecticut. Nie tylko przeżył, ale również trafił do większej, bardziej renomowanej firmy, i to na znacznie wyższe stanowisko. Miał prowadzić cały dział, odpowiadać za handel bardzo dochodowymi instrumentami finansowymi. Pewien makler powiedział mi: „W handlu obligacjami korporacyjnymi obraca się sumami od miliona w górę”. Według byłych współpracowników roczna pensja Crowea wynosiła około 125 000 dolarów, do czego dochodziły dodatki i premie.

Jak wywalczył sobie tak wysokie stanowisko? Jak zwykle zawdzięczał swój sukces jednej podatnej na wpływy osobie, a mianowicie Donowi Sheahanowi. Nieżyjący już Sheahan od lat pracował w branży papierów wartościowych i japońscy menedżerowie Nikko powierzyli mu budowę części nowojorskiego zespołu.

- Crowe prawdopodobnie poznał Sheahana na przyjęciu i naopowiadał mu bajek - powiedział Richard Barnett, podwładny Crowea w Nikko.

Inny weteran Wall Street, który pracował z Sheahanem i Crowem w Nikko, powiedział mi o Sheahanie:

- Don nie był żółtodziobem. Latał kiedyś w lotnictwie wojskowym i pracował w Goldmanie Sachsie. Don na pewno nie był frajerem.

W takim razie dlaczego dał się oszukać szarlatanowi?

- Crowe miał wielki talent - odparł człowiek z Wall Street. - Przypomniawszy postać graną przez Tonyego Curtisa w Wielkim oszuście, przedstawiającą się jako pilot samolotu, lekarz i tak dalej. Myślę, że Don dał się nabrać, ponieważ imponowali mu ludzie bardzo bogaci albo pochodzący z arystokratycznych rodzin. Takie nazwisko jak Mountbatten na pewno zrobiło na nim wrażenie.

(Chociaż Gerhartsreiter zostawił swoją przybraną tożsamość w San Marino, nie zrezygnował ze zmyślonych nazwisk. Jak wynikało z mojego dossier, na świadectwie urodzenia przedstawionym w Nikko widniało nazwisko Christopher

Chichester Crowe Mountbatten, urodzony w Los Angeles).

- Don Sheahan miał słabość do ludzi, w których żyłach płynęła błękitna krew - powiedział Bob Brusca, który pracował w nowojorskiej filii Rezerwy Federalnej, siedmioosobowego komitetu, który kieruje amerykańską polityką monetarną, zanim został głównym ekonomistą Nikko w czasach Sheahana. - Nie był typem człowieka, który dokładnie sprawdza referencje. Może ktoś mu powiedział, że Christopher jest dobrym człowiekiem, i to mu wystarczyło.

Ale czy intuicja Sheahana wystarczyłaby spółce Nikko Securities? - zapytałem. Czyjego japońscy szefowie nie mieli nic do powiedzenia w kwestii zatrudnienia tego kompletnego amatora?

- Japończycy mają coś, co się nazywa zarząd cieni - prawie każdemu Amerykaninowi na jakimś stanowisku zaglądał przez ramię Japończyk - powiedział Brusca. - Don Sheahan prowadził dział pod nadzorem Japończyków. To oznaczało, że Akira Tokutomi [wiceprezes wykonawczy] był cieniem Sheahana i na pewno zatwierdził przyjęcie do pracy Christophera Crowea.

Jego zatrudnienie stało się tematem artykułu w czasopiśmie branżowym „Bond Buyer”, zatytułowanego *NIKKO SECURITIES INTERNATIONAL WCHODZI NA KORPORACYJNĄ SCENĘ Z AKCENTEM NA PRZEMYSŁ*:

Christopher Crowe, który stanie na czele działu obligacji korporacyjnych w randzie wiceprezesa spółki, powiedział, że dział na razie bada rynkowy grunt, uczestnicząc w wartej 250 milionów dolarów emisji akcji Chevron Capital USA, które wczoraj trafiły na rynek, oraz w wartej 150 milionów dolarów emisji akcji Colgate-Palmolive Co., których cena została ustalona wczoraj wieczorem. Crowe ma nadzieję, że na dalszym etapie dział wejdzie na rynek poręczania emisji obligacji koncernów.

Powiedział, że kierowany przez niego wydział najmocniej zaangażuje się w długoterminowe papiery z sektora

przemysłowego i struktura portfela będzie się przedstawiała następująco: 65 procent sektor przemysłowy, 25 procent przedsiębiorstwa użyteczności publicznej i 10 procent miks banków, spółek finansowych i transportowych. „Mamy do czynienia z nadmiernym udziałem banków i spółek finansowych w obrocie rynkowym” - wyjaśnił.

Na razie dział zatrudnia tylko pięć osób, łącznie z samym Croweem, który uprzednio kierował Battenberg-Crowe-von Wettin Family Foundation. [...] Do końca roku zatrudnienie ma wzrosnąć do 15 osób, dodał Crowe.

Crowe, który nie skończył jeszcze trzydziestu lat i miał niewielkie doświadczenie i wiedzę fachową, był odpowiedzialny za rekrutację pracowników i szukał doświadczonych ekspertów od finansów. Richard Barnett, który właśnie zrezygnował z pracy analityka w renomowanej firmie brokerskiej E.F. Hutton, należał do pierwszych zatrudnionych przez Crowea osób.

- Szef działu analitycznego Merrill Lynch podał moje nazwisko Christopherowi Croweowi - powiedział mi Barnett. Po niedługim czasie spotkał się z elegancko ubranym młodym szefem działu, którego opisał jako „erudyte o arystokratycznym stylu bycia”.

Spotkaliśmy się w foyer Grand Hyatt przy 42nd Street. Powiedział mi: „Japończycy chcą zbudować dział obligacji korporacyjnych. Poprosili mnie, żebym postawił go na nogi najszybciej, jak to tylko możliwe”. Rozmowa trwała dwadzieścia minut, i wychodziłem z hotelu z posadą w kieszeni. Crowe powiedział, że są szanse na wielkie zyski, i przedstawił mi swoje plany: stworzyć dział handlujący obligacjami korporacyjnymi z częścią analityczną. Powiedział mi, że ma zamiar zatrudnić kilku analityków. Pracowali w trading roomie w siedzibie Nikko, która znajdowała się w World Financial Center koło World Trade Center na Manhattanie. Podobnie jak w S.N. Phelps wszyscy wiedzieli prawie wszystko o wszystkich - z wyjątkiem szefa, który zazwyczaj siedział sam w swoim sporym biurze i często patrzył w

dal.

- Pamiętam, że kiedyś przyszedł do mnie i zapytał: „Znasz kogoś, kto kupuje tego typu euroobligacje? [papiery wartościowe emitowane przez spółki międzynarodowe i w małym stopniu podlegające regulacjom]” - powiedział Bob Brusca. - Spojrzałem na niego i odpowiedziałem, że nie. Bardzo mnie to zdziwiło, bo na tym polegała jego praca. To tak, jakby dentysta przyszedł do kogoś i spytał, czy wie, co to jest przedtrzonowiec.

Crowe przez jakiś czas kierował działem, ale wszystko stało w miejscu.

- Nic się nie działo - nie było żadnych transakcji - powiedział mi Barnett. - Siedzieliśmy i kręciliśmy młynka palcami. Raz zaprosił mnie na lunch. Próbował zbajerować ludzi, a to jest niemożliwe, kiedy ma się do czynienia z osobami pracującymi w branży od dziesięciu czy piętnastu lat.

Wszyscy współpracownicy Barnetta w Nikko byli jednak zgodni, że trochę hucpy bardzo się przydaje w pracy handlarza obligacjami, a Christopher Crowe miał jej pod dostatkiem. Umiejętność opowiadania szumnych, prawie niewiarygodnych historii o swoim doświadczeniu zawodowym i życiu osobistym „może być wielką zaletą maklera” - powiedział Brusca.

- Mówią zupełnie niestworzone rzeczy, a jednak odnoszą sukcesy jako maklerzy.

Nikt jednak nie powiedział Croweowi „sprawdzam” albo dlatego, że mu wierzyli, albo dlatego, że byli zbyt zaabsorbowani własną karierą, jak twierdzi inny współpracownik Crowe a w Nikko Stan Forkner.

- Koncentrowałem się na swoich sprawach i nie zwracałem na niego zbyt dużej uwagi - powiedział. - Myślę, że starał się być jak najlepiej poinformowany, aby móc przekonująco odgrywać swoją rolę.

Ważnym elementem tej roli było zarabianie pieniędzy. Crowe z pewnością zdawał sobie sprawę, że będzie w tym potrzebował pomocy. Ściągnął do siebie eksperta od finansów, którego będę nazywał Jim Rivers.

- Jim to barwna postać - powiedział Richard Barnett. - Jedno z czasopism branżowych opublikowało o nim artykuł, w którym nazwano go burmistrzem Wall Street. Kiedy zliśmy napić się czegoś i bezdomny prosił nas o pieniądze, Jim kwaterował go w hotelu. Znał wszystkich barmanów na Manhattanie - nie tylko barmanów, ale także ich dzieci. Kiedyś był komandosem i jak wchodził do baru, natychmiast puszczały hymn marine corps.

Zadzwońnię do Jima Riversa i oczywiście zaproponowałem, żebyśmy spotkali się w barze. Nie puszczały hymnu marine corps, ale w lokalu siedział barczysty sympatyczny mężczyzna i snuł melancholijne wspomnienia o człowieku, którego nikt tak naprawdę nie znał.

- Crowe zatrudnił mnie w sierpniu 1987 roku, żebym pokierował handlem obligacjami korporacyjnymi - powiedział Rivers. - Teoretycznie szefował trzem maklerom. Wszyscy mieli niewielkie doświadczenie, a on jeszcze mniejsze.

Nikko wcześniej sprowadziła Mary Clarkin, która spędziła dwadzieścia siedem lat w nowojorskiej filii Rezerwy Federalnej. Clarkin miała nadzorować cały projekt, w tym dyrektora handlowego Christophera Crowea.

- Podlegał Mary i siedział dokładnie naprzeciwko mnie - powiedział Rivers. - Czasem żartowaliśmy. Nigdy nie zdejmował marynarki i zwracał uwagę innych na swoje ubrania: „Popatrz na mój nowy garnitur od J. Pressa”, czy jakiejś innej prestiżowej marki.

19 października 1987 roku, dwa miesiące po przyjeździe Riversa do Nikko, nastąpił krach giełdowy znany jako czarny poniedziałek. Zanotowano wtedy największy jednodniowy spadek indeksów w historii giełdy, a do końca miesiąca indeks w Hongkongu obniżył się o 45,5 procent i o 22,68 procent w Stanach Zjednoczonych.

Po krachu dyrektorzy Nikko w tokijskiej siedzibie firmy „panicznie bali się wszelkiego rodzaju ryzyka” - powiedział

Rivers. Dla Crowea był to jednak dzień jak każdy inny.

- Siedział w swoim biurze i dzwonił do różnych ludzi - wspominał Rivers. - Nic innego nie robił. Siedział tam cały dzień. Nie wiem, do kogo dzwonił. Bardzo często rozmawiał po niemiecku.

Grając rolę wysoko postawionego menedżera z Wall Street, Crowe jednocześnie nadal udawał bajecznie bogatego arystokratę, bez przerwy wspominając o swoich krewnych: lordzie Mountbattenie i rodzinie Battenbergów, a także o Battenberg-Crowe-von Wettin Family Foundation, którą kiedyś rzekomo prowadził. Twierdził, że fundacja posiada ogromną kolekcję luksusowych samochodów i zamków w Europie (w rzeczywistości taka fundacja nigdy nie istniała).

Pewnego wieczoru Rivers i jego szef Don Sheahan byli umówieni na rozmowę z kandydatem na maklera w Sparks Steakhouse przy East 46th Street.

- Czekala na nas limuzyna i Crowe spytał, czy możemy go podwieźć - relacjonował Rivers. - Odpowiedziałem, że nie ma problemu. To było tuż przed Świętem Dziękczynienia i Don i ja rozmawialiśmy o naszych planach. Spytałem Crowea, co planuje. Powiedział, że zostanie w domu i będzie czytał prospekty emisyjne. „No to będziesz miał super Dziękczynienie - zażartowałem. - Nie masz do kogo pójść?” Powiedział, że nie, więc zaprosiłem go do siebie. Rzucił się na moje zaproszenie jak wygłodniały wilk i powiedział: „Przyjadę jednym z moich samochodów”. Spytałem, ile ich ma. Powiedział: „Mam całą kolekcję samochodów - od Ferrari, Alfego Romeo, Lamborghini”. Powiedziałem: „Dobra, wybierz jeden i przyjeźdź. Chciałbym go zobaczyć”.

Rivers dopił swojego drinka i roześmiał się.

- Przyjechał chevroletem z 1965 roku, który pluł dymem gorzej niż wulkan St. Helens. Nie żartuję. Lakier był tak zdarty, że przeświecała spod niego blacha. „Gdzie twoje lamborghini albo ferrari?” Twierdził, że wyłączyli prąd i nie mógł otworzyć drzwi garażu, więc musiał pożyczyc auto od pokojówki.

Na kolację u Riversow w Święto Dziękczynienia Crowe przyszedł w asocie - „Jakby to było Kentucky Derby” - i raczył ich opowieściami o swojej rodzinie.

- Zbudował sobie całą legendę: „Lord Mountbatten jest moim [wujem] i pochodzę z królewskiej rodziny”. Miał ze sobą plik zdjęć z różnymi domami, które rzekomo do niego należały. Na kilku była willa w Greenwich w Connecticut. Powiedział, że ją remontuje i instaluje nowy basen.

Oczywiście Crowe powiedział rodzinie Riversow również o tym, że jest producentem filmowym i wyprodukował nowy cykl *Alfred Hitchcock Presents*.

Rivers pokręcił głową.

- Skończyło się na tym, że został u nas kilka dni. Na wszystkim miał monogram CCC, nawet na majtkach, szlafroku, piżamie. Mój syn, który miał wtedy chyba szesnaście lat, spytał go: „Na bieliźnie też ma pan monogramy?”. Crowe powiedział: „Oczywiście”.

Crowe pokazał się od innej strony, kiedy biura Nikko odwiedził znajomy Riversa, handlarz papierami wartościowymi.

- Mój znajomy ma prawie dwa metry wzrostu, a Crowe mniej więcej metr siedemdziesiąt. Znajomy wziął do ręki coś, co leżało na biurku - jakiś suvenir czy coś w tym rodzaju. Crowe się wściekł i zaczął na niego wrzeszczeć. Znajomy powiedział: „Przepraszam, nie wiedziałem, że to pana”. Kiedy odprowadzałem go do windy, powiedział: „Ten facet ma nierówno pod sufitem. Uważaj na siebie”.

Wróciłem do Crowea i wyjaśniłem mu:

- Christopher, tutaj do nikogo tak się nie zwracamy - do nikogo!

Crowe zripostował:

- Jeśli jeszcze raz dotkniesz czegoś ma moim biurku, to przyniosę mojego lugera!

Riversa mocno zdziwiła ta groźba, bo parę tygodni wcześniej dyskutowali w pracy o pistoletach i Crowe twierdził, że nie zna się na broni palnej.

- Spytałem go, jakiego kalibru jest jego luger. Powiedział, że dziewięć milimetrów. Odparłem, że zna się na broni dużo lepiej, niż twierdził - relacjonował rozmowę Rivers. Uśmiechnął się do mnie niepewnie i dodał: - Zacząłem się wtedy trochę bardziej zastanawiać nad jego charakterem.

Christopher Crowe prowadził typowe życie finansisty z Wall Street: sześciocyfrowa pensja, biuro w World Financial Center i willa w Greenwich - a w każdym razie kilka pokoiów za willą w Greenwich. Lista obciążeń jego karty kredytowej American Express (wydanej na nazwisko CCC Mountbatten) za okres od 1987 do 1988 roku pokazuje, że żył coraz bardziej wystawnie. Jadał w najlepszych manhattańskich restauracjach: między innymi „21” Club, Le Bernardin, Quilted Giraffe i Bellini by Cipriani. Regularnie chodził do teatru i opery, płacił kartą za bilety między innymi na Upiora w operze i Madame Butterfly. Często kupował ubrania w takich sklepach jak Burberry, Church’s English Shoes i J. Press - ekskluzywnych sieci z modą męską. Jego koledzy z Nikko powiedzieli mi, że do biura często przychodziły przesyłki. Prawie co tydzień kupował czekoladki i kwiaty - zapewne prezenty dla ludzi, w których łaski chciał się wkupić.

Crowe zaprosił kilku kolegów do siebie. Mówił im, że na czas remontu willi mieszka w domku przy basenie.

- Dom w Greenwich był typową rezydencją multimilionera - powiedział Stanley Forkner, który podobnie jak Crowe był wiceprezesem działu handlu papierami wartościowymi w Nikko Securities.

Sam Forkner nigdy nie był u Crowe a, ale szybko poznałem nazwiska ludzi, którzy byli, siedzieli z Croweem w domku przy basenie i oglądali filmy, które rzekomo wyreżyserował albo wyprodukował. Moje prośby o rozmowę z nimi pozostały bez odpowiedzi. Jeden możliwy powód odmowy nasuwał się sam: wstyd, że dali się tak oszukać. W końcu pracowali dla niego, a

część z nich Crowe osobiście zatrudnił. Mimo że rozmawiał przez telefon po niemiecku i wspominał o swoim lugerze - standardowym pistolecie armii niemieckiej podczas obu wojen światowych - nikt się nie domyślał, że ma do czynienia z anonimowym imigrantem.

- Mówił nienaganną angielszczyzną - relacjonował Wayne Campbell, który przez wiele lat pracował w bibliotece publicznej w Greenwich.

Dosyć dobrze znał Crowea, który często odwiedzał bibliotekę i pożyczał stare filmy - głównie z gatunku *film noir*. Z reguły pojawiał się w soboty, odpoczywał od presji Wall Street, prawie zawsze przychodził też na piątkowe projekcje filmowe, które Campbell organizował w sali kinowej biblioteki.

Odwiedziłem Campbella - emerytowanego siwego bibliotekarza o młodzieńczym sposobie bycia - w bibliotece w Greenwich, która dzisiaj, dzięki 25 milionom dolarów donacji od wieloletniego mieszkańca Greenwich, mieści się w dużym i nowoczesnym białym budynku.

Kolekcja filmowa składa się obecnie przede wszystkim z płyt DVD, zachowały się jednak dwie duże półki kaset VHS, które pożyczał Christopher Crowe. Campbell zaprowadził mnie pod te półki, gdzie Crowe, który twierdził, że jest nie tylko wielką szychą z Wall Street, ale również hollywoodzkim reżyserem, często rozmawiał z nim o swoich filmowych zamiłowaniach.

- Przemysł filmowy działa w Hollywood, więc co on robi w Greenwich, myślałem sobie - wspominał Campbell. - Ale rzeczywiście świetnie znał się na kinie. Reżyserzy, techniki filmowe. Nie wiem, skąd on to wziął - chyba że był żarłocznym czytelnikiem.

Zaczął szperać w starych kasetach i wybrał te, które zapamiętał jako ulubione filmy Crowea.

- Klasyka - powiedział. - Alfred Hitchcock i Orson Welles. Filmy wychwalane przez krytykę. Wypożyczaliśmy na trzy dni. Kiedy oddawał jeden, brał następny. Oglądał dużą część naszych zbiorów, w których mamy piętnaście tysięcy tytułów.

Na finansach znał się tak samo dobrze jak na filmie, kontynuował Campbell.

- Pytałem: „Co słyhać, Chris?”. A on mi na to: „Papiery długoterminowe poszły cztery czy pięć procent do góry i rentowność wynosi tyle a tyle”. Ja kiwałem głową i czekałem, aż skończy, żebyśmy mogli przejść do tematyki filmowej. Ale on zasypywał mnie różnymi bardzo przekonującymi koncepcjami finansowymi.

Były jednak pewne rzeczy, które zupełnie nie trzymały się kupy, mówił Campbell. Crowe twierdził na przykład, że mieszka w Greenwich z matką. Dlaczego przebojowy finansista pod trzydziestkę miałby mieszkać z matką? I dlaczego nigdy nie powiedział, jak ona się nazywa?

Campbell wspomniał również o sprawach damsko-męskich.

- Był bardzo zainteresowany, w sensie hormonalnym, dziewczyną, która pracowała w dziale filmowym - opowiadał Campbell. - Była bardzo energiczna, przebojowa, ładna i inteligentna.

W jego *dossier* znalazłem trochę informacji o tej kobiecie:

Poznała Christophera Crowea, kiedy pracowała jako kinooperatorka w bibliotece w Greenwich. Crowe mniej więcej raz w miesiącu przychodził na projekcje starych czarno-białych filmów.

Crowe powiedział jej, że jest producentem nowego serialu *Alfred Hitchcock Presents*. Powiedział jej, że jego matka była aktorką, która grała w niemych filmach. Gdyby to była prawda, matka Christophera musiałaby mieć ponad pięćdziesiąt lat, kiedy go urodziła. Powiedział, że matka mieszka w dzielnicy Greenwich, do której można dojechać tylko prywatną drogą.

Dziewczyna poszła z Croweem kilka razy na kawę. Nie miała nic przeciwko temu, ponieważ był zaręczony i nigdy nie próbował jej podrywać.

Crowe zaproponował jej kiedyś pracę w japońskiej firmie

finansowej, w której rzekomo pracował. Mimo że miałyby zarabiać 40 000 dolarów rocznie, wiedziała, jakie drogie jest życie na Manhattanie, więc odrzuciła ofertę.

Nietrudno było sobie wyobrazić Christophera Crowea, jak stoi pośród starych kaset filmowych, ogląda geniuszy *film noir*, jak gąbka chłonie fabuły i zawilości charakteru postaci - dodatkowa glina, z której lepił odgrywaną przez siebie w życiu postać. Na półce zobaczyłem *Psychozę*, *Chinatown* i *Przylądek strachu*.

- To go najbardziej rajcowało. Nerwowy klimat, świetny warsztat i niesamowite napięcie.

A morderstwo?

- Tego nie mówię - odparł Wayne Campbell.

W świecie papierów wartościowych wszyscy się znają, więc w końcu znalazłem kogoś, kto pamiętał trudny okres pracy Crowea w S.N. Phelps and Company - i to nie byle kogo, lecz samego szefa.

- Zadzwoił do mnie Stan Phelps - powiedział mi Jim Rivers przy drinku. - I mówi do mnie: „Po kiego diabła żeś zatrudnił tego Crowea?”. Ja mu na to: „Chwila, chwila, Stan. Ja go nie zatrudniłem, za to słyszałem, że ty go zatrudniłeś, a potem zwolniłeś”. On powiedział: „No, zwolniłem go, bo jak sprawdziliśmy jego numer ubezpieczenia społecznego, to się okazało, że to Son of Sam”. Jak to, David Berkowitz? On mi na to, że tak. „Czy Sheahan o tym wie? - pytam. - Nie sądzę, żeby wiedział”.

Rivers poinformował Dona Sheahana, że Crowe posłużył się kiedyś numerem ubezpieczenia społecznego zaburzonego psychicznie seryjnego zabójcy, który twierdził, że przyjmuje rozkazy od swojego psa.

- Don powiedział: „Sprawdzimy to”. Trwało to dosyć długo, bo Crowe pracował w Nikko jeszcze co najmniej pół roku, zanim sprawa wybuchła.

Zresztą według Boba Bruski ostrzeżenie Phelps'a i zmyślony numer ubezpieczenia społecznego to nie były prawdziwe powody, dla których Crowe stracił pracę w Nikko.

- Generalnie chodziło o to, że Crowe był po prostu słaby, nie miał żadnych klientów - powiedział. - Nie przysparzał firmie obrotów. Niezależnie od tego, jakie masz wykształcenie i pochodzenie, przychodzi moment, kiedy musisz się wykazać jakimiś wynikami. Musisz coś zrobić.

Cierpliwość zwierzchników Crowe'a powoli się wyczerpywała.

- Pamiętam, że parę razy dostał mocno po głowie - wspominał Stan Forkner. - Wie pan, od przełożonych albo maklerów, którzy są z natury dosyć agresywni.

Mimo to pracownicy Nikko byli zaskoczeni, kiedy Crowe wyleciał z pracy, ponieważ ta japońska spółka nigdy nikogo nie zwalniała. Wyznawano w niej filozofię, że człowiek powinien być dożywotnio związany z jedną firmą, w każdym razie tak było do czasu, kiedy fala kryzysu gospodarczego zmiotła stare tradycje.

- Niedługo po jego odejściu spotkałem go w Muzeum Sztuki Nowoczesnej - opowiadał Bob Brusca. - Przeszedł dwa metry obok mnie i udawał, że mnie nie zna.

Christopher Crowe stawał się już wtedy kimś innym.

ROZDZIAŁ 8

Osoby zaginione

Od początku swojej kariery w branży finansowej Christopher Crowe spadał... do góry. Jego praca dla Nikko zakończyła się katastrofą, ale była jedynie odskocznią do jeszcze większych rzeczy.

Kidder, Peabody & Co. to renomowana amerykańska spółka brokerska założona w 1865 roku i znana ze swojego pierwszorzędnego działu inwestycyjnego. (Nie istnieje już jako niezależny podmiot, ponieważ w 1995 roku została wykupiona przez PaineWebber, firmę później wchłoniętą przez UBS). Pewnego dnia latem 1988 roku Crowe zjawił się w centrali Kidder Peabody, zlokalizowanej w samym sercu dzielnicy finansowej na dolnym Manhattanie, i wszedł niezapowiadany do biura Ralpha Boyntona, który niedawno odszedł z Goldmana Sachsa, aby pokierować międzynarodowymi operacjami Kidder Peabody.

- W tamtych czasach w budynku nie było ochrony - Boynton wspominał czasy przed 11 września 2001 roku (i przed zamachem na World Trade Center z 1993 roku), kiedy biurowców nie uważano za potencjalne cele terrorystów. - Zapukał do moich drzwi i wyjaśnił, że szuka pracy. Niedawno dołączyłem do Kiddera i chciałem zbudować w Nowym Jorku niewielki zespół, który handlowałby euroobligacjami. Nie miałem na to budżetu, ponieważ w odróżnieniu od Goldmana Kidder czerpał zyski z prowizji.

Crowe zrobił na nim wrażenie człowieka inteligentnego, skromnego i dobrze wychowanego - może trochę zbyt

oficjalnego - któremu bardzo zależy na tym, żeby pracować u Kiddera. Mimo że w gruncie rzeczy przyszedł z ulicy, Boynton miał o nim bardzo dobre zdanie, przynajmniej na początku.

- Pomyślałem, że jest dobry - bystry, uprzejmy, zadbany. Nie trzeba być geniuszem, żeby sprzedawać euroobligacje. Na tle niektórych innych maklerów nie prezentował się źle.

A zatem Boynton, podobnie jak wcześniej wiele innych osób, postanowił dać temu człowiekowi szansę: zaproponował mu dwutygodniowy okres próbny.

- Nie zweryfikowaliśmy jego życiorysu, ponieważ nie dotarliśmy do tej fazy - powiedział. - Zabrałem go do Los Angeles na spotkanie z kilkoma klientami, którzy kupowali euroobligacje. Chciałem sprawdzić jego kompetencje jako handlarza i zobaczyć, jak sobie radzi w kontaktach z takimi ludźmi.

Polecieli do LA samolotem, Crowe jak zawsze w eleganckim płaszczu i krawacie.

- I jak wypadł? - spytałem Boyntona.

- Był inteligentny, wyrażał się jasno. Bardzo sympatyczny, nie był zbyt gadatliwy ani przemądrzały. Robił świetne wrażenie.

Gerhartsreiter okręcił sobie wokół palca kolejnego potencjalnego pracodawcę i wszystko zmierzało ku temu, żeby dostał trzecią prestiżową pracę w sektorze finansowym. Nagle jednak dopadła go przeszłość.

Akta policyjne pozwalają w miarę dokładnie odtworzyć tę historię. Są wśród nich wyciągi z kart kredytowych za okres od zwolnienia Crowea z Nikko w lipcu 1998 roku do podjęcia pracy w Kidder Peabody.

Obciążenia nie mają zbyt arystokratycznego charakteru: stacje benzynowe, delikatesy (w tym słynne Zabar s w Nowym Jorku) i tanie lokale gastronomiczne typu Ham Heaven czy Curry & Tandoor. 12 września, kiedy Crowe zaczął pracować w Kidder Peabody, jadł w Popover Café, popularnej jadalni na manhattańskim Upper West Side, znanej z ażurowych kruchych

pasztecików, którym to miejsce zawdzięcza swoją nazwę.

Dwa miesiące później, 3 listopada 1988 roku, policja w Greenwich otrzymała dalekopisem wiadomość od policji w San Marino, która prosiła o pomoc w starej sprawie zaginięcia dwóch osób. Funkcjonariusze z San Marino szukali „osób mogących posiadać informacje na temat miejsca pobytu Johna Roberta Sohusa - biały mężczyzna, ur. 20.12.1957, i jego żony Lindy Christine - biała kobieta, ur. 17.09.1956”. Do takich osób zaliczał się „Chris Gerhartsreiter alias Chichester - biały mężczyzna, ur. 21.02.1961, Connecticut OP # 024192788, [który] mieszkał u rodziny Sohusów, ale również zniknął miesiąc później”. Przesłano także numer rejestracyjny należącego do Sohusów pikapa marki Nissan z 1985 roku.

Funkcjonariuszem, który odebrał dalekopis, był Daniel Allen. Kiedy spotkałem się z nim w Greenwich, miał stopień porucznika. Z posterunku zabrał mnie na śniadanie do małej kawiarni przy Greenwich Avenue, głównej ulicy tego zamożnego miasteczka. Czuję się tak, jakbym powrócił do San Marino, ponieważ Greenwich jest tak samo bogate i czyste (łącznie z powietrzem), a jego mieszkańcy także wyznają wartości spod znaku Normana Rockwella. Jedliśmy jajka na bekonie i Allen, który od urodzenia mieszkał w Greenwich, opowiedział mi o dniu, w którym po raz pierwszy usłyszał nazwisko Gerhartsreiter.

- To była rutynowa sprawa, policja z innej miejscowości szuka informacji na temat osób zaginionych - powiedział Allen i dodał, że podczas tamtej zmiany, od 16.00 do północy, z dalekopisu zeszło kilkadziesiąt informacji. - Zaginięcie dorosłej osoby nie jest sprawą kryminalną. Jeśli ktoś jest pełnoletni i postanowi zmienić miejsce pobytu, nie mówiąc o tym nikomu, to nie można mówić o przestępstwie.

Oczywiście sprawa Lindy i Johna Sohusów była dużo bardziej skomplikowana, lecz Allen nie mógł wtedy tego wiedzieć.

- Ludzie znikają z różnych powodów - powiedział, próbując mnie przekonać, że ta niezwykła dla mnie sprawa z jego perspektywy miała najzupełniej zwykły początek. - Trzy lata

wcześniej w Kalifornii zniknęły dwie osoby. Policja z San Marino szukała informacji na ich temat, żeby sprawdzić, czy wszystko jest z nimi w porządku. Ponieważ ich pikap pojawił się w Greenwich, sądzili, że ktoś może znać ich miejsce pobytu.

Allen myślał, że to będzie szybka i prosta robota: porozmawia z tym obywatelem - „Chrisem Gerhartsreiterem alias Chichesterem”, jak określono go w dalekopisie - i przekaże uzyskane informacje do Kalifornii. Szybko odkrył, że mężczyzna ten od jakiegoś czasu przedstawia się jako Christopher Crowe. Im większą ilością informacji dysponował, tym silniejsze miał poczucie, które ja również znałem:

- Po prostu nie wiedziałem, kim on naprawdę jest.

Po śniadaniu Allen zawiózł mnie tam, gdzie zaczęły się jego poszukiwania zaginionego małżeństwa: do Christ Church, okazałej kamiennej budowli, w której Christopher Crowe znalazł swój duchowy dom i gdzie dzień przed naszą wizytą odbyło się nabożeństwo za duszę brata prezydenta George'a H. W. Busha Prescottta, który zmarł w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat.

W 1988 roku Allen poszedł do Christ Church, aby przesłuchać pastora Johna Bishopa i jego syna Chrisa, studenta szkoły filmowej, który zaprzyjaźnił się z Croweem. Pastor był na urlopie, ale Chris powiedział policjantowi wszystko na temat pikapa bez tytułu własności. Przeczytałem notatkę Allena z tej rozmowy: „W lipcu br. zwrócił się do Crowea z prośbą o wypożyczenie pikapa na potrzeby filmu, który kręcił. Crowe powiedział, że samochód jest na sprzedaż, ale on nie ma do niego tytułu”.

Tytuł został wystawiony w Kalifornii, powiedział Crowe znajomemu. Jeśli Chris Bishop chce mieć pikapa, to „musi się wysilić” i uzyskać tytuł z kalifornijskiego wydziału pojazdów mechanicznych. Crowe nie miał czasu ani ochoty sam się tym zająć.

Chris skontaktował się z kalifornijskim wydziałem pojazdów

mechanicznych i usłyszał, że musiałby przelać 10 dolarów na opłatę manipulacyjną za znalezienie tytułu. Siedemnastoletni Chris nie miał konta w banku, więc poprosił rodziców o zrobienie przelewu z ich konta. Pastor i jego żona zgodzili się na to. Po niedługim czasie Chris miał telefon z banku i dowiedział się, że Crowe nie powiedział mu prawdy: kredyt nie był spłacony, a żeby tytuł mógł być wydany, należałoby najpierw wpłacić całą - dosyć sporą - sumę.

Chris poszedł do Crowea go zbesztać.

- Chciałeś mnie naciągnąć! - rzucił, ale Crowe utrzymywał, że nic nie wiedział o zamieszaniu z tytułem.

Potem zrobiło się jeszcze dziwniej. Allen przesłuchał różne osoby w Greenwich, które wynajmowały Croweowi lokal, i jedna z nich „zeznała, że któregoś dnia z rozmowy z Croweem dowiedziała się, że ma pikapa. Nigdy nie widziała tego pojazdu, który był garażowany w nieznanym jej miejscu”. Po sprawdzeniu kartoteki wydziału pojazdów mechanicznych w Connecticut okazało się, że Christopher K. Gerhartsreiter mieszka lub mieszkał w tym stanie, ale jego prawo jazdy straciło ważność, a on nie podał adresu do korespondencji. „Policja zadzwoniła pod widniejący w aktach numer telefonu Crowea - czytamy w notatce - ale nowojorska firma telekomunikacyjna poinformowała, że numer ten został odłączony”.

Funkcjonariusz Allen rozmawiał z wieloma ludźmi, którzy znali Crowea lub wynajmowali mu lokal. Z ust wszystkich Allen słyszał zaskakujące stwierdzenie, że Crowe jest producentem *Alfred Hitchcock Presents*. Szybko sobie uświadomił, że to czysta fantazja. Zorientował się, że poszukiwany mężczyzna, o wielu nazwiskach, ze zmyślonymi zawodami i często zmieniającymi się adresami, nie zostawił prawie żadnych tropów, które policja mogłaby podjąć.

Allenowi i jego kolegom nie pozostało nic innego, jak wykorzystać jeden z nielicznych śladów, które mogły ich doprowadzić do poszukiwanego: listę obciążeń karty kredytowej American Express wystawionej na Christophera C. Crowea Mountbattena.

Oto kronika życia Crowea w tamtym okresie opracowana na podstawie tej listy przez biuro szeryfa hrabstwa Los Angeles:

28 września 1988 Crowe robił zakupy w nowojorskim Bloomingdale.

3 października 1988 Crowe oglądał spektakl w Teatrze im. Eugenea O'Neilla na Broadwayu.

4 października wyprowadził się z ostatniego znanego adresu w Greenwich - Loch Lane 7 - nie zostawiając kolejnego adresu.

14 października zgłosił na policji, że jego samochód, chrysler kombi, został skradziony w Stamford, Ct., gdzie go zaparkował, żeby wsiąść do pociągu do Bostonu. Sześć dni później pojazd został znaleziony w Nowym Jorku, ale Crowe dopiero po miesiącu zgłosił się na policyjny parking, zapłacił za holowanie, odmówił jednak odbioru pojazdu. (Zrobił to za radą swojego adwokata Solomona Rosenbauma, do którego nie podał jednak żadnych danych kontaktowych).

22 października 1988 po raz ostatni odebrał pocztę ze skrzynki pocztowej, którą wynajmował w Greenwich.

Szybko stało się oczywiste, że Christopher Crowe nie chce rozmawiać z Danielem Allenem. Policjant próbował skontaktować się z nim telefonicznie, ale Crowe nie odbierał telefonu. Za każdym razem, gdy Allen sądził, że depcze poszukiwanemu po piętach, trop nagle się urywał w piasku. Dane wpisywane przez Crowea do różnych urzędowych dokumentów okazywały się w dużym stopniu fałszywe. Ostatni podany przez niego adres w Greenwich - przy Loch Lane - nie istniał. „Crowe podał numer domu 8, kiedy instalowano mu telefon przy Loch Lane 7” - napisał Allen w jednej z notatek. Po

sprawdzeniu numeru ubezpieczenia społecznego wpisanego przez Crowea do różnych dokumentów okazało się, że nie należy on do Christophera Crowea, lecz do Stevena J. Biodrowskiego, studenta szkoły filmowej na USC, który poznał Christophera w okresie, kiedy ten często bywał w szkole filmowej. Biodrowski nie miał pojęcia, że Crowe używa jego numeru ubezpieczenia społecznego.

Kiedy policja skontaktowała się z Chrysler Financial, gdzie Crowe wziął w leasing samochód, którego kradzież później zgłosił, uzyskała następujące informacje: „Crowe napisał we wniosku kredytowym, że jego ojciec nazywa się H. Crowe i mieszka przy Rock Ridge Avenue 34 w Greenwich, Connecticut. Należy odnotować, że pod tym adresem znajduje się lokal zamieszkały przez przywołanego już w tym raporcie pana [Johna] Maddoxa”.

Równie mglista była tożsamość rzekomej matki Crowea, jak dowiedział się Allen od kobiety, która pracowała w bibliotece publicznej w Greenwich. Crowe powiedział jej, że jego matka jest aktorką występującą pod pseudonimem Gloria Jean. I rzeczywiście była taka hollywoodzka aktorka i piosenkarka, która w latach 1939-1959 zagrała w dwudziestu sześciu filmach, między innymi w *Never Give a Sucker an Even Break*. Ale kiedy Allen skontaktował się ze związkiem zawodowym aktorów, żeby uzyskać informacje na jej temat, dowiedział się, że „Gloria Jean była członkiem, ale wypisała się w 1956 roku”. Kolejna ślepa uliczka.

Parafianie Christ Church mieli adres miejsca pracy Crowea, ale w S.N. Phelps and Company, gdzie już od dawna nie był zatrudniony. Policjanci z San Marino sprawdzili tamtejszy adres, który Crowe swego czasu podawał - piękną posiadłość przy Circle Drive. Okazało się jednak, że od 1977 roku nikt tam nie mieszkał. Młody imigrant przyjechał do Ameryki rok później. Policjanci zwrócili się do kobiety, którą będą nazywał Rose Mina. Crowe podobno mieszkał u niej w Nowym Jorku - pracowała w dziale inwestycyjnym Moody's - ale „zeznała, że nie

widziała go od czasu, kiedy przekazała mu wiadomość, by skontaktował się z policją”. Telefon do wydziału imigracji w Hartford również nie przyniósł rezultatu. „Urząd nie posiada akt osoby o nazwisku Gerhartsreiter, Christopher lub Crowe z datą urodzenia 21 lutego 1961 roku” - napisał Allen.

- Dotarłem do Crowea przez inne osoby, a on nie zgłosił się do mnie, więc dałem znać policji kalifornijskiej, że ten człowiek raczej nie przyjdzie do mnie z własnej woli - powiedział mi Allen.

- Poprosiła mnie, żebym skontaktował się z nim osobiście. Udałem się więc do Kidder Peabody, ówczesnego pracodawcy Crowea.

Powiedziałem, że o ile mi wiadomo, Crowe został tam zatrudniony na okres próbny. Allen pokręcił głową.

- Odniosłem wrażenie, że pracuje tam na stałe. Podał Kidder Peabody jako swoje miejsce zatrudnienia. Pojechałem do Nowego Jorku. To była duża firma inwestycyjna. Czekałem, aż pojawi się w pracy, ale zgłosił, że jest chory.

W tym momencie nie potrafiłem już ukryć niecierpliwości i zacząłem trochę naciskać Allena. Jak to możliwe, że tak spokojnie i rzeczowo podchodzi do sprawy, która mnie prawie doprowadza do szału?

- Czy ta sprawa pana nie zafascynowała? - spytałem.

- Nie.

- Nie miał pan poczucia, że ugania się za cieniem?

Opowiedziałem mu, co czułem, podróżując po całym świecie w poszukiwaniu człowieka o wielu tożsamościach.

- Chciałem być bardzo ostrożny - powiedział Allen, starannie ważąc słowa. - Im dłużej to trwało i im więcej posiadałem informacji, tym większe miałem podejrzenia, że ten człowiek nie jest osobą, za którą się podaje. Im więcej nazwisk się pojawiało, tym większe rodziły się we mnie wątpliwości.

- Wątpliwości? - powtórzyłem.

Kłamstwo nie jest przestępstwem, wyjaśnił mi Allen, chyba że

prowadzi do przestępstwa albo dotyczy przestępstwa. I nie można aresztować człowieka za ukrywanie się przed policją, jeśli nie popełnił przestępstwa.

- Nie mogliśmy wydać nakazu, nie mogłem go zatrzymać - powiedział. - W Kalifornii zaginęło małżeństwo, ale policja nie miała żadnych informacji, które wskazywałyby, że stało się coś sprzecznego z prawem. Przepisy nie dawały nam możliwości zatrzymania Crowea lub zmuszenia go do współpracy.

Miałem wrażenie, że Allen nie chce zagłębiać się w szczegóły. Albo zawodziła go pamięć, albo uważał, że nie powinien informować mnie o zawiłościach śledztwa. Miałem już jednak całe akta prowadzonej przez niego sprawy, z których jednoznacznie wynikało, jak się dalej potoczyła. Kiedy Allen pojawił się w Kidder Peabody, skierowano go do bezpośredniego przełożonego Crowea Alpha Boyntona, który powiedział policjantowi z grubsza to samo co mi dwadzieścia lat później.

Podczas podróży do Los Angeles Crowe opowiadał Boyntonowi o swojej rodzinie.

- Mówił, że jego rodzice pracują dla jakiejś tajnej organizacji i są agentami, którzy się ukrywają - wspominał Boynton. - Powiedział mi, że mieszka niedaleko Gór San Gabriel i chętnie odwiedziłby tę część Kalifornii. Pozwoliłem mu się wygadać. Odniosłem wrażenie, że Crowe pochodził z rodziny, która prowadziła swego rodzaju podwójne życie, coś związanego ze szpiegostwem, i że się martwił, że jego rodzice mogą w każdej chwili zostać złapani.

Crowe nie chciał lecieć z Boyntonem z powrotem do Nowego Jorku, twierdził, że planuje zostać na jakiś czas w Kalifornii. Wyciągi z kart kredytowych i inne dokumenty w jego dossier wskazują, że zatrzymał się w hotelu Biltmore w Los Angeles, a potem zajął na chwilę do San Marino, gdzie w Halloween poszedł na nabożeństwo modlitewne do kościoła Zbawiciela. Tak się złożyło, że w tym dniu wypadała rocznica ślubu Johna i Lindy Sohusów. Został w kościele na kolację i poinformował

parafian, że przyleciał z Hongkongu, gdzie pracuje w bankowości, ale już następnego dnia musi pojechać do Oregonu.

Potem Crowe poleciał z San Diego do San Francisco, gdzie nocował w hotelu St. Francis i zjadł obiad w Ernies, jednej z najlepszych restauracji w mieście.

Po powrocie do Nowego Jorku Boynton zdrzemnął się po obiedzie, ale dźwięk telefonu wyrwał go ze snu. Dzwonił jego stary znajomy Richard Cook, wiceprezes S.N. Phelps and Company.

- Znasz człowieka, który nazywa się Christopher Crowe? - spytał.

- Tak - odparł Boynton.

- Słyszałem o nim złe rzeczy - powiedział Cook. - Na twoim miejscu trzymałbym się od niego z daleka.

- Kurczę, szkoda, że tego nie wiedziałem, zanim poleciałem z nim do Kalifornii!

Crowe prawdopodobnie był już wtedy w Nowym Jorku. Cook zeznał później na policji, że zanim zadzwonił do Boyntona do domu, próbował złapać go w biurze, aby ostrzec go przed człowiekiem, który udawał maklera.

„Pan Cook próbował dodzwonić się do pana Boyntona w Kidder Peabody, ale poinformowano go, że ten do piątku jest poza miastem - napisał Allen. - Jak się okazało w trakcie rozmowy, telefon odebrał Chris Crowe, poszukiwany przez policję w San Marino”.

Boynton podjął wątek.

- Kilka godzin później miałem telefon od policji w Greenwich. Policjant zapytał mnie: „Co pan robił w Kalifornii z Christopherem Croweem?”

Boynton wyjaśnił, że był to wyjazd służbowy z firmy Kidder Peabody.

- Potem zapytał, gdzie jest pikap - relacjonował Boynton. - Powiedziałem, że nic nie wiem o żadnym pikapie, wypożyczyłem samochód od Hertza. Potem policjant powiedział: „Chcielibyśmy

przesłuchać Crowea w związku z zaginięciem pewnego małżeństwa w Kalifornii. Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybyśmy przyszli w tej sprawie do biura?”.

Odpowiedział, że oczywiście nie.

- Przez trzy kolejne dni o 6.00, kiedy szedłem do mojego biura przy Wall Street, była tam policja z Greenwich i policja stanowa z Connecticut - czekały na Christophera Crowea - powiedział Boynton.

Crowe się jednak nie pojawił. Prawdopodobnie dowiedział się o śledztwie, ponieważ kiedy zgłosił chorobę w dniu pierwszej wizyty Allena w biurze Kidder Peabody, zadzwonił do Boyntona jeszcze raz i poinformował, że musi natychmiast wyjechać z Nowego Jorku, ponieważ wynikła jakaś nagła sprawa związana z jego rodzicami. Według Boyntona powiedział: „Moi rodzice zostali uprowadzeni, uciekają albo grozi im wielkie niebezpieczeństwo!”.

Raport policyjny rzuca więcj światła na te okoliczności:

Pan Boynton skontaktował się ze śledczym i przekazał informację, że Chris Crowe poprosił o co najmniej dwumiesięczny urlop, aby mógł zlokalizować swoich rodziców, którzy zaginęli w Pakistanie lub Japonii.

Pan Crowe rozmawiał w tej sprawie z ambasadą pakistańską i japońską i planował w najbliższym czasie opuścić kraj, aby poszukać rodziców.

Policja poprosiła Boyntona o jak najszybsze podjęcie próby skontaktowania się z Croweem, aby Allen mógł go „przesłuchać w związku z panem i panią Sohus oraz pojazdem poszukiwanym w kontekście ich zniknięcia”. Crowe powiedział Boyntonowi, że przyjedzie do biura i spotka się z nim, aby domknąć sprawę, nad którymi pracował, toteż Allen ponownie udał się do Kidder Peabody w nadziei, że zastanie tam Crowe a. Ale jak policjant napisał później w raporcie, „Crowe ponownie skontaktował się z panem Boyntonem [...] i poinformował go, że na skutek

niezależnych od niego okoliczności nie może się z nim tam [w Kidder Peabody] spotkać i proponuje restaurację przy 52nd Street”.

Boynton był gotów pójść na to spotkanie, ale policja uważała, że musi mieć ochronę, ponieważ ten człowiek może być niebezpieczny.

Crowe nie pojawił się w restauracji, lecz Allenowi w końcu udało się skontaktować z nim telefonicznie, 18 listopada 1988 roku w domu jego znajomego. Crowe zgodził się spotkać z Allenem na komendzie trzy dni później, 21 listopada o 16.30. Lecz w tym dniu zadzwonił do Allena i poprosił o przesunięcie terminu o dwa dni. Nie przyszedł jednak, a policjant nie miał później o nim żadnych wiadomości.

- Doprowadziłem sprawę do samego końca, jeśli chodzi o namierzenie go i skontaktowanie się z nim - powiedział mi Allen.
- Przekazałem kolegom z Kalifornii, że mi się nie udało. Miałem wiele innych spraw i skupiłem się na nich.

Po 21 listopada było jedenaście obciążeń na karcie kredytowej Crowe a, wszystkie transakcje zrealizowano w Nowym Jorku: księgarnia renomowanego wydawnictwa Rizzoli, księgarnia japońska Kinokuniya, Tower Records, Sam Goody Records, restauracja Raouls, Oyster Bar na dworcu Grand Central, restauracja Rhineland, delikatesy Zabar s, J. Press (dwukrotnie) i - ostatnie obciążenie, 6 grudnia 1988 roku - japońska restauracja Hayato.

Potem człowiek, na którego karcie kredytowej widniało nazwisko CCC Mountbatten, rozplynął się w powietrzu, zniknął nie tylko z Nowego Jorku i Greenwich, ale również z powierzchni ziemi.

ROZDZIAŁ 9

Clark Rockefeller, Nowy Jork, Nowy Jork

Od 6 grudnia 1988 roku do któregoś momentu w 1992 roku Crowe nie był widziany przez nikogo, kto go wcześniej znał, a w każdym razie nikt taki się nie zgłosił. Niektórzy uważali, że uciekł do Tokio albo Delhi, ponieważ wyciągi z jego kart kredytowych wskazywały, że zakupił bilety lotnicze do tych azjatyckich stolic. Policja utrzymuje jednak, że mieszkał sobie spokojnie w Nowym Jorku, u Rose Miny, spokojnej, inteligentnej i wykształconej Azjatki, którą poznał w czasie, kiedy pracowała jako tłumaczka dla Nikko Securities. Wstawił swój komputer do garderoby w jej mieszkaniu, z którego rzadko wychodził - głównie po to żeby wyprowadzić psa na spacer. Całymi dniami oglądał Star Trek i siedział przed komputerem, planując swój następny ruch, podczas gdy Mina chodziła do pracy i konsekwentnie wspinała się po szczeblach kariery w finansjerze. Po dwóch latach Mina uznała, że ma dosyć swojego dziwnego chłopaka, i chciała wypłatać się z tego związku, ale stwierdziła, że nie będzie to łatwe. W końcu zostawiła go w tym wynajmowanym mieszkaniu i wyprowadziła się do nowego.

Tajemniczy Niemiec utrzymywał później, że w ciągu tych czterech lat znajdował się pod kuratelą niejakiego Harryego Copelanda, który został jego mentorem. Crowe dawał do zrozumienia, że chodzi mu o niegdysiejszego regularnego bywalca toru wyścigowego Belmont Park na Long Island. Człowiek ten genialnie przewidywał wyniki wyścigów, czym zaskarbił sobie przydomek Harry the Horse. Harry Copeland

zmarł jednak pod koniec lat dziewięćdziesiątych, i ani jego córka, ani żadna inna osoba, z którą udało mi się skontaktować, nic nie wiedziały o jego rzekomej znajomości z Christianem Gerhartsreiterem, Christopherem Chichesterem czy Christopherem Croweem.

W jednej kwestii wszyscy są zgodni: jeśli w pierwszej dekadzie swojego pobytu w Ameryce Gerhartsreiter przypominał ducha, to przez następne cztery lata był prawdziwym duchem.

- Po prostu zniknął - powiedział Thomas Lee, zastępca komendanta głównego bostońskiej policji. Ten funkcjonariusz z długim stażem wiedział bardzo dużo o zmieniającym się jak w kalejdoskopie życiu imigranta z Niemiec, wyłączywszy lata 1988-1992. - Nie mamy wiarygodnych informacji o tym, co robił w tym czasie - powiedział Lee.

- A co pan sądzi? - spytałem.

- Gdzieś był i kogoś udawał, ale nie wiem kogo.

- Cztery lata i ani jednej poszlaki? - zdziwiłem się.

- W każdym razie niczego pewnego - odparł. - W 1992 roku podjęliśmy trop. Tym razem w nowojorskim mieszkaniu.

Gerhartsreiter jak zwykle pojawił się w kościele.

Kościół świętego Tomasza założony w 1823 roku jest najważniejszą świątynią episkopalną w Nowym Jorku, położoną przy jednym z najbardziej prestiżowych odcinków Fifth Avenue. Utrzymany w stylu francuskiego wczesnego gotyku budynek ukończono w 1913 roku. W broszurze czytamy, że „kościół ma katedralne rozmiary, kopuła wznosi się na wysokość niemal trzydziestu metrów”. Kiedy Crowe zaczął tam przychodzić, miał sposobność spotkać czołowych przedstawicieli nowojorskiego biznesu, polityki i śmietanki towarzyskiej, między innymi Brooke Astor, która często przychodziła na nabożeństwa ze swoją przyjaciółką Hope Preminger, była modelką, która została żoną reżysera filmowego Otto Premingera; a także legendarnego pianistę Georgea Shearinga i jego żonę Ellie.

Kościół zadziałał jak magnes na trzydziestoletniego imigranta, na cztery lata zepchniętego do podziemia przez poczynania policji, które zapewne uważał za niecywilizowane. Wieże kościoła musiały się wydawać latarniami nadziei przybyszowi, który po raz kolejny zamienił się w zupełnie inną osobę. „Jeśli obecnie nie możesz nazwać żadnego kościoła swoim duchowym domem albo jesteś w Nowym Jorku nowy i jeszcze nie znalazłeś swojego kościoła, przystąp do naszej parafii” - czytamy w broszurze.

Człowiek, który odpowiedział na to wezwanie, nie nazywał się już Christopher Crowe. Kiedy wszedł do prześwieczonego gotyckiego kościoła, miał równie prześwieczone nazwisko i wiążącą się z nim wnikliwie przestudiowaną rolę. „Dzień dobry” - mówił do innych wiernych z nienagannym akcentem absolwentów prestiżowej szkoły ze Wschodniego Wybrzeża, ubrany w niebieski blezer, krawat prywatnego klubu i buty żeglarskie Top-Sider bez skarpetek, a do tego z reguły spodnie khaki wyszywane maleńkimi kaczkami, ogarami lub trzmielami. Jego głos był równie charakterystyczny jak strój i bardzo głęboki - dla wszystkich, którzy go poznali w tym przełomowym okresie, ten melodyjny głos emanował dobrym wychowaniem, ogromnym bogactwem i doskonałym gustem. „Jestem Clark - przedstawiał się. - Clark Rockefeller”.

Być może nigdy się nie dowiemy, skąd wytrzasnął to imię i nazwisko, które po niedługim czasie było na ustach wszystkich nowojorczyków. Później rozbudował je do postaci James Frederick Mills Clark Rockefeller. W pierwszej fazie dla wszystkich nowych znajomych był jednak po prostu Clarkiem Rockefellerem, skromnym potomkiem najbardziej znanego amerykańskiego rodu.

- Pod koniec XIX wieku kościół świętego Tomasza był kościołem dużych, ale nowych pieniędzy - Vanderbiltów i im podobnych, a nie starych nowojorskich Jankesów - powiedział długoletni parafianin, którego będę nazywał Johnem Wellsem.

Wells należał do pierwszych osób, które poznały Clarka

Rockefellera na początku 1992 roku. Zawarł z nim bliską znajomość. Siedzieliśmy w jednym z nowojorskich parków i zanim Wells zaczął mówić o Clarku, uznał za istotne opisać wielką scenę, na której przebiegły Niemiec zadebiutował w swojej najważniejszej roli.

- Kościół otrzymuje setki milionów dolarów datków - powiedział Wells. - Jego program muzyczny nie ma sobie równych, chór jest fantastyczny. Główny organista pracował kiedyś w londyńskiej katedrze świętego Pawła. Kiedy zacząłem tam chodzić, proboszczem był John Andrew, były kapelan jednego z biskupów Canterbury i osobisty znajomy królowej matki. W tym samym czasie kościół przyciągnął wiele osób, które chciały się wkręcić do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej. W gronie wiernych byli ludzie, którzy do niej należeli, oraz ludzie, którzy do tego pretendowali.

Spotkałem się z Wellsem w sobotę i powiedziałem mu, że następnego dnia wstanę skoro świt, żeby przyjść na nabożeństwo i osobiście doświadczyć atmosfery, w której Clark Rockefeller nareszcie trafił na żyłę złota.

- Zobacz pan jutro - powiedział. - Odźwierni co niedziela noszą poranne garnitury - wie pan, pasiaste spodnie i szare marynarki. A w ważniejsze święta mają na sobie długie męskie żakiety, podobne do smokingów. To właśnie od kościoła świętego Tomasza zaczęła się tradycja parad wielkanocnych. Niesiono kwiaty z jego ołtarza do Szpitala świętego Łukasza, który wtedy jeszcze znajdował się przy Fifth Avenue, i ludzie wychodzili na ulice, żeby to zobaczyć. - Wells jeszcze raz powtórzył, że wielu wiernych udawało ludzi ważniejszych - czasem dużo ważniejszych - niż naprawdę byli. - Za moich czasów kręcił się tam człowiek, który fałszywie podawał się za lorda. Przychodził do kościoła w stroju myśliwskim z ostrogami. Wszyscy prezentują się tam trochę absurdalnie. Clark Rockefeller był tylko trochę bardziej absurdalny od innych. Jest tam również mnóstwo bardzo miłych i szczerych ludzi. Nie cała parafia uprawia teatr - ciągnął Wells. - Ale niewątpliwie są tam

osoby, które odgrywają swoje fantazje.

Świeżo upieczony Clark Rockefeller zapewne instynktownie wiedział, że ludzie tego pokroju powitają go z otwartymi ramionami, licząc na to, że poprawią swoją pozycję społeczną, ocierając się o magię dynastii Rockefellerów. John Wells odegrał podstawową rolę w zapoznawaniu Rockefellera z młodymi i podatnymi parafianami, którzy pomagali nowicjuszowi wspinać się po drabinie społecznego sukcesu.

- Pamiętam, że poznałem Clarka na niedzielnej kawie, czyli go-dzinnym przyjęciu po nabożeństwie - kontynuował Wells. - Na długim stole stały srebrne naczynia, z których dwie parafianki nalewały kawę. Funkcjonowało też przykościelne kółko teatralne. Nie pamiętam, czy to Clark przedstawił się mi, czy mnie przedstawiono jemu. Wydaje mi się, że spytałem go: „Jest pan kuzynem Rockefellerów?”, na co on odpowiedział, że jest kuzynem kuzyna.

Wells zinterpretował te słowa jako subtelny komunikat: „Tak, jestem Rockefellerem, ale nie traktuję mojej sławnej rodziny ani siebie zbyt poważnie”.

Rockefeller szybko wszedł do kręgu znajomych Wellsa, którzy po kościele często spędzali ze sobą czas i razem gdzieś wychodzili. Przy wczesnym lunchu z młodymi lwami z kościoła świętego Tomasza przybysz snuł niezwykłą i szaloną opowieść, która byłaby zupełnie niewiarygodna w ustach zwykłego śmiertelnika.

- Sugerował, że pochodzi z gałęzi Percyego Rockefellera - nie kosmicznie bogatej jak gałąź Johna D., ale bardzo bogatej - relacjonował Wells. - Miał nawet stary obraz, który według niego przedstawiał Percy'ego Rockefellera. Twierdził, że wychował się przy Sutton Place - powiedział Wells, wymieniając dzielnicę East Side z najbardziej okazałymi pałacami miejskimi i najbardziej prestiżowymi nazwiskami w całym mieście. - Utrzymywał, że z ogrodu za domem widział wieże kościelne Queens. Jako czternastolatek rzekomo zaczął studiować w Yale. Miał szalik tej uczelni w niebieskie pasy. Mówił, że od swoich dziadków ma

jedną z J-boatów - wie pan, klasycznych żaglówek regatowych z lat dwudziestych i trzydziestych.

Wells miał na myśli ogromne jachty zbudowane podczas wielkiego kryzysu dla takich bogaczy jak Vincent Astor i Cornelius Vanderbilt.

- Szkoda, że nie umiem naśladować jego głosu (w domyśle bardzo arystokratycznego).

- Clark powiedział Wellsowi, że jego jacht nazywa się True Love i że jego rodzice zezłościли się, kiedy producenci *Filadelfijskiej opowieści*, filmu z 1940 roku z Carym Grantem i Katharine Hepburn, podkradli tę nazwę i wykorzystali ją w swoim filmie.

- Powiedział, że rodzina była bardzo zirytowana.

Potem Rockefeller dodał, że sprzedał True Love gwiazdzie muzyki pop Mariah Carey i jej mężowi Tommyemu Mottoli, dyrektorowi wykonawczemu Sony Music, „którzy chcieli mieć luksusowy jacht, aby móc oglądać z niego fajerwerki”.

- Rockefeller powiedział to z „głęboką pogardą” dla tego małżeństwa nuworyszów: - „J-boat to łódź regatowa, nieprzeznaczona do tego, aby urządzać na niej przyjęcia”.

Ognisko zapalone przez Gerhartsreitera jak zawsze zaczęło się od maleńkich iskier, paru ustosunkowanych osób, którym ten przyjazny obcy człowiek zaimponował swoim barwnym życiem. W przypadku świeżo upieczonej roli Clarka Rockefellera jedną z tych osób była czternastolatka spacerująca z psem po Dag Hammarskjöld Plaza w zamożnym Midtown Manhattan. Chodziła do Spence, ekskluzywnej prywatnej szkoły dla dziewcząt. Jej rodzice dużo pracowali - matka jako lekarka, ojciec jako prawnik - i żadnej z trzynastu kolejnych niań nie udało się zatrzymać dziewczyny w mieszkaniu przy pełnej blasku United Nations Plaza.

W poszukiwaniu towarzystwa uciekała do parku z wyżłomionym angielskim i zadaniem domowym. Na początku 1992 roku

poznała tam uroczego mężczyznę, wówczas trzydziestoletniego, który miał na nosie olbrzymie okulary i spacerował z czarnobrunatnym seterem szkockim - przedstawicielem liczącej cztery stulecia rasy, która jest ceniona w Wielkiej Brytanii jako skutecznie polująca na bażanty, cietrzewie, kuropatwy i słonki. Pies wabił się Yates, od mało znanego dziewiętnastowiecznego brytyjskiego powieściopisarza i dramaturga Edmunda Hodgsona Yatesa. Spacerowicze nawiązali rozmowę i dziewczyna, którą będę nazywał Alice Johnson, natychmiast uległa urokowi osobistemu mężczyzny. Był taki przyjazny, taki mądry, a przede wszystkim taki zainteresowany nią. Zaczął jej pomagać w rozwiązywaniu zadań i razem spacerowali z psami po parku.

Dzień po pierwszym spotkaniu Alice była w parku z kuzynką, która znajdowała się w „fazie dociekliwości” i po prostu musiała zobaczyć, co nieznajomy ma w portfelu.

- Nie możesz mi zaglądać do portfela! - powiedział, co oczywiście tylko wzmogło ciekawość dziewczyn.

- Jest pan szefem gangu? - spytały zdziwione jego tajemniczością.

- Nie, nie...

- Jest pan Jamesem Bondem? Agentem CIA?

- Nie, nie...

Alice, która interesowała się historią, spytała:

- Jest pan dzieckiem Lindbergha?

W końcu ustąpił i pokonany, otworzył portfel, z którego wyjął dowód osobisty wystawiony na Clarka Rockefellera.

- Rockefeller! - zapiszczały dziewczęta, które w Spence zajmowały się historią tego rodu.

Po ujawnieniu swojej tożsamości Clark zasypał dziewczęta informacjami. Jego majątek jest wart dokładnie 450 milionów dolarów, twierdził. Ze względu na swoje ogromne bogactwo i sławne nazwisko musi być bardzo ostrożny. „To nie jest oczywiście nic nowego dla członków rodziny Rockefellerów” - przyznał, ale dodał, że życie w strachu przed porwaniem dla wielomilionowego okupu nie jest zbyt przyjemne. Ale są też

dobre strony. Na przykład posiadanie kluczy do wszystkich drzwi w Rockefeller Center. Mógłby tam zabrać Alice któregoś wieczoru i zrobiliby razem psikusa:

- Moglibyśmy wyłączyć wszystkie światła w budynku General Electric! - Gmach General Electric to utrzymany w stylu art déco najważniejszy budynek Rockefeller Center.

- Superżart! -zawołała Alice.

Albo mogliby pochodzić po scenografii Saturday Night Live (Sobotniej nocy na żywo) w NBC Studios, co Clark uwielbiał robić, dopóki „wujek David” - czyli filantrop David Rockefeller - nie kazał mu przestać. Clark był w trakcie pisania książki American Standard, która miała „nauczyć klasę średnią, jak się ubierać i zachowywać”. Jego elegancki strój i nienaganny akcent wskazywały, że dla niego samego nie ma w tych kwestiach tajemnic. Zawsze miał na sobie spodnie khaki, czerwoną czapkę bejsbolową z logo Yale i koszulkę polo Lacoste z podniesionym kołnierzykiem.

- Wierzył w tego aligatora - powiedziała później Alice.

Wszystko w tym człowieku było niezwykle i ważne, a dla czternastolatki również magiczne. Po niedługim czasie Clark i Alice prowadzali psy po alejce dla dzogarów East River Drive i na całe gardło śpiewali piosenki kabaretowe - Clark znał wszystkie - od muzyki do Annie po Cole a Portera. Szybko porzucili park na rzecz całego miasta. Jedli lody waniliowe z sosem czekoladowym w Rumpelmayerze, lodziarni w starym hotelu St. Moritz, i bajgle prosto z pieca w H&H Bagels w Upper West Side. Rockefeller zabierał ją do Metropolitan Museum of Art - wiedział wszystko o każdym obrazie i zawsze z czią zatrzymywał się na „minutę ciszy” w sali z Michael Clark Rockefeller Collection, nazwanej tak na część jego „kuchyna”, który w 1961 roku przepadł bez śladu w Nowej Gwinei. Na każdej wycieczce ciągle mówił coś do radiotelefonu, ponieważ musiał regularnie podawać swoją lokalizację ochronie. „Widzisz?” - mówił do Alice, pokazując na ciemne sedany, którymi rzekomo jeździli za nim jego ochroniarze.

Alice przedstawiła go rodzicom. Jej matka była nim tak samo zauroczona jak ona sama. Bardzo szybko się zaprzyjaźnili i Alice zaczęła go nazywać wujkiem, a Clark przedstawiał ją jako swoją kuzynkę. Jej matka tak go uwielbiała, że wszystkim mówiła o nim jako o swoim ukochanym kuzynie. Obie odwiedzały go w jego mieszkaniu przy Dag Hammarskjöld Plaza na rogu Second Avenue i East 47th Street. Jego urządzenie - głównie meble ogrodowe - trochę je zaskoczyło, ale spisały je na karb ekscentryczności Rockefellera. Kiedy zaprasza! na lunch babcię Alice, ustosunkowaną towarzysko nestorkę Upper East Side, po posiłku zawsze wręczał jej rachunek, tłumacząc, że w dzieciństwie nauczono go „nigdy nie nosić przy sobie pieniędzy”. To również uznały za przejaw jego ekscentryczności.

Mówił, że w Święto Dziękczynienia klan Rockefellerów tradycyjnie spotyka się na obiedzie w Kykuit, zabytkowej wiejskiej rezydencji w pobliżu Tarrytown w stanie Nowy Jork. John D. Rockefeller zbudował ją w 1913 roku i od czterech pokoleń była siedzibą rodu. Clark czasem zabierał psa Alice razem ze swoim seterem szkockim i twierdził, że ich ulubieńcy wzięli udział w rodzinnym bankiecie. Opowiadał, jak było przyjemnie z „wujkiem Davidem, wujkiem Lauranceem i wujkiem Jayem”. Alice i jej matka zachwyciły się opisami gigantycznej posesji z chmurą służących i jej rodzinnym ciepłem.

Mimo swojego arystokratycznego pochodzenia i wiążących się z tym przywilejów Clark miał w sobie coś smutnego. Powiedział, że jest zupełnie sam na świecie - rodzice zmarli tragiczną śmiercią, kiedy był bardzo młody, a wcześniej, kiedy miał czternaście lat, zmusili go do studiowania w Yale ze względu na jego „genialne” IQ. Nawet do urodzin nie miał szczęścia: wypadły 29 lutego (przyszedł na świat w przestępnym 1960 roku), co oznaczało, że mógł je obchodzić tylko raz na cztery lata. „Opowiadał te historie bardzo emocjonalnie” - wspominała Alice - całkiem często towarzyszyły temu łzy. Co się tyczy jego pracy, to była ważna, skomplikowana, na najwyższym szczeblu i ściśle tajna - ale zawsze znajdował czas dla ludzi, na których mu

zależało. „Nie potrafię kochać nikogo ani niczego, co nie jest wyjątkowe”. Alice i jej matka czuły się zaszczycone, że należą go jego jakże elitarnego kręgu.

Z błogosławieństwem matki Alice Clark z czasem stał się dla dziewczyny kimś w rodzaju zastępczego ojca. W 1994 roku, kiedy Alice miała zostać wprowadzona do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, Clark ją do tego przygotowywał. Był z nią nawet na paru balach, we fraku, muszce i lakierkach, zawsze bez skarpetek. „Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to znowu, ponieważ był dla mnie ważny, a ja byłam ważna dla niego” - wspominała później Alice. „Potrzebowałam go wtedy. Był moim ojcem chrzestnym, moim wujkiem, moim kuzynem. Był kimś, do kogo zawsze mogłam się zwrócić”.

Ze swojej strony Alice i jej matka zapewniły Clarkowi Rockefellerowi dwie rzeczy, które były mu bardzo potrzebne: podżywały jego niewiarygodną nową tożsamość i - co nie mniej istotne - stworzyły mu rodzinę, prawdziwą rodzinę, która obracała się w najbardziej elitarnych nowojorskich kręgach towarzyskich.

A zatem środowisko, którym Clark Rockefeller miał niedługo zawładnąć, zaczęło się rozrastać.

Na początku okresu nowojorskiego Clark Rockefeller był znany w kościele świętego Tomasza z zachowania, które stało się nieodłącznym elementem jego modus operandi: wybuchów wściekłości. Według Johna Wellsa uciekł ze swojego poprzedniego „kościelnego domu”, czyli świątyni prezbiteriańskiej na rogu Fifth Avenue i 55th Street, nobliwego domu Bożego, który reklamował się jako „enklawa osobistego kontaktu z Jezusem Chrystusem pośród zgiełku i wrzawy centrum Manhattanu”. Powiedział, że odszedł z tego kościoła, ponieważ odmówiono mu tam ochrzcenia dziewczynki, dla której był wujkiem, czyli Alice Johnson.

- Clark opowiadał nam, że sam został ochrzczony u świętego

Tomasza, że nie był członkiem, ale rodzice w latach sześćdziesiątych dali go tam do chrztu - powiedział Wells. - Twierdził, że jego rodzina jest od wielu pokoleń związana z tym kościołem.

- Chciał, żeby Alice została ochrzczona i jej matka z wielką chęcią się na to zgodziła - powiedział ojciec Alice Johnson, który wyjaśnił, że jego żona (teraz już eks) była bardzo podatna na wpływy, zwłaszcza człowieka z tak nobliwym nazwiskiem.

Matka Alice zaczęła potwierdzać różne informacje na temat swojego młodego przyjaciela, który podawał się za Rockefellera. Potwierdziła na przykład, że Rockefeller wcześniej regularnie uczęszczał do kościoła prezbiteriańskiego przy Fifth Avenue, i dodawała, że „rodzina Rockefellerów miała dom za rogiem, zmarł tam Nelson Rockefeller. Podobno zmarł w łóżku ze swoją sekretarką. Wygląda więc na to, że odszedł z tego świata szczęśliwy”. Clark Rockefeller znał mnóstwo takich pikantnych szczegółów z życia rodu.

Był świetny - przyznał John Wells. Clark Rockefeller kreował się na ekscentryka i powiedział Wellsowi dokładnie to co czternastoletniej Alice Johnson: że ma „paranoję na punkcie swego bezpieczeństwa”.

- Chodził z radiotelefonem, który rzekomo zapewniał mu łączność z ochroną - powiedział Wells. - Nosił go przy sobie i co jakiś czas meldował, gdzie jest, z kim jest i w którą stronę się kieruje. Twierdził, że jest to biuro ochrony jakiegoś bardzo wysokiego szczebla i dlatego musi regularnie zgłaszać się do centrali.

Obsesja na punkcie bezpieczeństwa była sprytnym fortem, który pozwalał Rockefellerowi wykręcać się od odpowiedzi na pytania o jego życie.

- W Świecie Clarka - relacjonował Wells - wszyscy chcieli się dowiedzieć, jaki jest bogaty. Kiedy już dał wszystkim do zrozumienia, że maniakalnie boi się o swoje bezpieczeństwo, mógł schować się za tą fasadą i odmawiać odpowiedzi na wszelkie pytania związane z jego prywatnym życiem.

Następnego dnia po spotkaniu z Johnem Wellsem poszedłem do kościoła świętego Tomasza. Nabożeństwo robiło wrażenie - odzwiercieli we frakach, pastory niczym procesja zmierzający między ławkami z ogromnymi świecami, wierni w drogich ubraniach. Podobnie jak Rockefeller tak naprawdę zjawilem się tam ze względu na przyjęcie po nabożeństwie odbywające się w podziemiach kościoła. Zgodnie z opisem Johna Wellsa był to ciekawy spektakl teatralny. Kobiety nalewały kawę ze srebrnych dzbanków. Mężczyźni nalewali wino z butelek z imponującymi etykietkami. Były hors d'oeuvres i swobodna rozmowa - a także atmosfera gościnności, wspólnoty, życzliwości i zaufania. Ci ludzie sprawiali wrażenie absolutnie przekonanych, że jednego z najwspanialszych domów Bożych na świecie nie może nawiedzić żadne zło.

„Wczesny Clark Rockefeller” po raz kolejny był w nim widziany w lutym 1992 roku.

Z pewnością świetnie znał się już wtedy na sygnałach, które pomagają nawiązywać znajomości. Najważniejszy z nich: rasowy pies, w przypadku Rockefellera - seter szkocki, który wabił się Yates. Nic nie pozwala szybciej przełamać lodów niż pies i Rockefeller po krótkim czasie zaczął poznawać wielu wpływowych ludzi, między innymi Henry ego Kissingera.

Pewnego dnia, spacerując z Yatesem w nowojorskiej dzielnicy Tudor City, poznał Sharlene Spingler, młodą kobietę, która tego samego dnia przeprowadziła się z kamienicy z 1905 roku do dwupokojowego mieszkania, ponieważ przegrała proces spadkowy ze swoimi braćmi. Sharlene wyprowadziła na spacer czarnego shar pei i białorudego setera angielskiego. W przeciwną stronę szedł „niski młody blondyn, na oko trzydziestoparoletni”, który pozdrowił nieznajomą i jej dwa psy.

- Fantastyczny jest ten pan seter angielski! - entuzjasmował się. - Zrobię dla pani wszystko, mogę go poprowadzić.

- Pomyślałam, że jest trochę nachalny - powiedziała mi Sharlene, uznała jednak wtedy, że człowiek ten ma w sobie coś pociągającego.

Siedzieliśmy w restauracji na nowojorskim dworcu Grand Central. Sharlene, bardzo inteligentna blondynka o ciętym dowcipie, której rodzina przybyła na Manhattan w 1643 roku, opowiedziała mi o tym spotkaniu.

- Tego samego dnia wprowadziłam się do nowego mieszkania - relacjonowała. - Zobaczył mnie na ulicy z psami. Ale psiarze tacy są, że zaczepiają nieznanym na ulicy.

Naturalnie, Clark właśnie to zrobił. Dzięki psom on i Sharlene stali się może nie przyjaciółmi, ale na pewno znajomymi. Potem zagadkowy młody człowiek zaczął snuć niezliczone opowieści. Sharlene powtórzyła mi je. Z obecnej perspektywy wydawały się jej nieprawdopodobne, ale słysząc je z ust rzekomego Rockefellera, we wszystkie wierzyła: że jest znajomym Kissingera; że lata Learjet ze swoim psem do Londynu, gdzie „żarcie jest takie okropne, że jem tylko płatki”; że regularnie zaprasza znajomych z psami do liczącej 1300 hektarów posiadłości Rockefellerów w Pocantico Hills niedaleko Tarrytown; że „doradza zagranicznym rządowi, ile pieniędzy mają wydrukować”. Pewnego razu ustosunkowana towarzysko Sharlene przedstawiła go znajomym, którzy doszli do wniosku, że korzystnie byłoby mieć Rockefellera w zarządzie telewizji satelitarnej, którą właśnie zakładali. Spytałi go, czego chciałby w zamian. Rockefeller podniósł się z krzesła i powiedział:

- Panowie, nie możecie nic dla mnie zrobić. Nie chcę narażać mojego statusu podatkowego. Ustawa kongresowa zwalnia mnie od płacenia podatków i oficjalnie mieszkam w Teksasie.

(Powiedział również Sharlene o zaprzysiężeniach różnych prezydentów, w których brał udział). Jeśli takie historie komuś nie wystarczały, strój Clarka dopełniał tego obrazu.

- Zawsze chodził w jasnozielonych sztruksach z naszytymi kaczuszkami albo czymś w tym rodzaju - powiedziała Spingler. - Do tego różowa koszula, niebieski blezer i zielona muszka. Wyglądał jak typowy absolwent Yale.

Pomógł jej skonfigurować komputer. Nie ulegało wątpliwości, że się na tym zna. Zabrał też jej komputer do swojego

rzekomego biura pod prestiżowym adresem Tudor City Place 5.

Był jak gąbka, chłonna idea, marzenia, tożsamości i role. Od Sharlene Spingler uzyskał coś, co ogromnie poszerzyło jego nowojorskie horyzonty: otwartą się przed nimi drzwi najbardziej ekskluzywnych prywatnych klubów świata.

- Umiał już wykorzystywać do swoich celów kościoły, więc oczywistym następnym krokiem były prywatne kluby - powiedziała Sharlene. - W 1993 roku do India House, prywatnego klubu dla dżentelmenów na Wall Street, można było wstąpić za 850 do 1200 dolarów, co automatycznie dawało dostęp do wielu innych klubów.

Tu wymieniła kilka spośród najbardziej renomowanych prywatnych klubów w mieście, między innymi Lotos, jeden z najstarszych i najbardziej cenionych klubów literackich w Ameryce, którego członkami od 1870 roku byli Vanderbiltowie, Whitneyowie, Rooseveltowie i Rockefellerowie, oraz Metropolitan Club, założony w 1891 roku przez nowojorskich patrycjuszki.

To tylko niewielka część prywatnych klubów, które z otwartymi ramionami witały członków India House.

- Wszedł tylnymi drzwiami - powiedziała do mnie Sharlene, która wyjaśniła tę procedurę Clarkowi.

A zatem dzięki jednorazowemu wydatkowi od 850 do 1200 dolarów Rockefeller uzyskał wstęp do klubów, w których spotykali się najbogatsi i najbardziej wpływowi mieszkańcy Wschodniego Wybrzeża. I nie tylko to: członkostwo pomogło mu przekonać tych ludzi, że jest jednym z nich.

Niedługo po swoim powrocie w 1992 roku Clark Rockefeller przeprowadził się do dwupokojowego mieszkania przy East 57th Street 400, okazałego przedwojennego budynku z białej cegły w stylu art déco. Pewnego dnia w 2008 roku pojechałem windą na siódme piętro, gdzie powitała mnie energiczna posągowa brunetka Martha Henry, szefowa Martha Henry Inc. Fine Art.

Zajmowała mieszkanie 7L, a niegdysiejszy lokal Rockefellera, 7M, znajdował się naprzeciwko.

- Często zostawiałam swoje drzwi uchylone - powiedziała. Wyjaśniła, że jest palaczką i wietrzyła w ten sposób swoje mieszkanie. - Przedstawił się jako Clark Rockefeller. Nie obnosił się z tym ani nie rozwijał tego tematu. - Rzucił to nazwisko w eter i pozwolił, aby wywierało swój magiczny efekt. - Powiedział mi, że rozwiązuje problem zadłużenia Trzeciego Świata, zwłaszcza w regionie pacyficznym.

Zaśmiała się. Drzwi jej mieszkania były otwarte i patrzyła na drzwi naprzeciwko, jakby wciąż widziała tam Clarka - w jego typowym stroju i z blond pasemkami.

- Kiedy usłyszałam ten tekst o zadłużeniu Trzeciego Świata, w pierwszej chwili pomyślałam, że to wariat, że snuje jakieś teorie ekonomiczne, z których nic nie wynika. Ale potem pomyślałam: „Okej, to Rockefeller, jest ekscentrykiem”. Powiedział mi, że kiedy miał szesnaście lat, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, że wychowywał się w Cambridge i Bostonie, że studiował na Harvardzie. Spytałam go, kto się nim opiekował po śmierci rodziców. Powiedział mi: „Sam się sobą zajmowałem, mieszkałem w kamienicy, chodziłem do szkoły. W młodym wieku zacząłem i zakończyłem edukację”. Pomyślałam sobie, aha, jest geniuszem matematycznym i może rzeczywiście rozwiązuje problemy zadłużenia Trzeciego Świata.

Zapraszał ją na imprezy, które u siebie urządzał, z udziałem młodych mężczyzn, którzy ubierali się dokładnie tak samo jak on, „w szale z madrasu i spodnie khaki i pili gin z tonikiem”. Poznała jego „bratanicę” Alice Johnson, którą przedstawił jej jako debiutującą w towarzystwie. Z czasem, w miarę rozwoju znajomości, zaczęła dostrzegać coraz więcej jego „kaprysów, dziwactw i paranoi”.

- Powiedział mi kiedyś, że nigdy nie jada w restauracjach - wspominała. - Spytałam go: „Clark, to szaleństwo! Dlaczego nie jesz w restauracjach?”. Wytłumaczył mi, że nie ma zaufania do kucharzy i żywi się tylko w prywatnych klubach. Był bardzo

wybredny w kwestii jedzenia - kontynuowała. - Jadał tylko kanapeczki - wie pan, z ogórkiem i rzeżuchą na białym chlebie z obciętą skórką. Uznawał tylko herbatniki nantucket firmy Pepperidge Farm. Pił tylko earl greya. Jakie było jego ulubione danie? Mój Boże, jego ulubionym daniem było haggis.

- Haggis? - powtórzyłem.

- Szkocka potrawa narodowa - wyjaśniła. - A jego ulubionym drinkiem było sherry Harveys Bristol Cream.

Dodała jednak, że wszystkie te dziwactwa związane z tym bogatym i wybitnym człowiekiem o wyrafinowanym guście mimo wszystko komponowały się w jakąś całość, którą spajało nazwisko Rockefeller. Wiele razy pomyślała: „Och, w końcu to Rockefeller, jest ekscentrykiem!”

Pewnego dnia Clark zadzwonił do Marthy i powiedział, że odziedziczył trochę obrazów, i poprosił o pomoc w ich wycenie.

- Mam Jacksona Pollocka, Mondriana, artystę o nazwisku Rothko i jakiegoś Twombly czy coś w tym guście - powiedział Rockefeller, błędnie wymawiając nazwiska mistrzów współczesnej sztuki.

- Szczęka opadła mi do podłogi - relacjonowała Henry. - Rothko był wtedy wart osiem milionów dolarów, a dzisiaj trzydzieści do czterdziestu.

Marszandka rozłączyła się i pognąła do jego mieszkania, „robiąc w głowie obliczenia”. Kiedy otworzyły się przed nią drzwi mieszkania 7M, odebrało jej mowę. Wyjątkowa, warta dziesiątki milionów dolarów kolekcja, której miejsce było w muzeum, wisiąca na ścianach albo stała na podłodze.

- Musisz to natychmiast ubezpieczyć i założyć alarm! - wypaliła.

- Rynek sztuki dopiero zaczyna wychodzić z recesji, ale to są bardzo drogie obrazy, Clark! - wyjaśniła, a potem spytała: - Skąd to wszystko wzięłeś? - Powiedział mi, że odziedziczył je po swojej stryjecznej babci Blanchette, która założyła to małe stare muzeum przy 53rd Street. Blanchette Rockefeller była mecenasem Museum of Modern Art i wdową po Johnie D. Rockefellerze III.

Henry osłupiała.

- Jestem bardzo rozczarowany, bo tak naprawdę chciałem odziedziczyć Bierstadta.

Chodziło mu o to, że wolałby, aby zamiast „całego tego nowoczesnego szajsu” stryjeczna babcia zostawiła mu prace dziewiętnastowiecznego niemieckiego malarza krajobrazowego Alberta Bierstadta.

- Wszystko się zgadzało - powiedziała Henry. - Zbadalam sprawę i okazało się, że Blanchette Rockefeller rzeczywiście zmarła w 1992 roku, więc mógł po niej odziedziczyć kolekcję. Pomyślałam: „On naprawdę jest Rockefellerem! Nie ma innej możliwości!”. Nie można pójść na Madison Avenue i kupić takich obrazów! Nie można tego załatwić w jedno popołudnie!

Kolekcja ostatecznie ją przekonała.

Potem Henry zdenerwowała się, nie na Rockefellera, ale na siebie, że przegapiła ogromną okazję.

- Tuż pod moim nosem mieszkał ktoś, kto miał środki potrzebne do tego, żeby kupować drogie dzieła sztuki, a ja tego nie zauważyłam. Jestem marszandką, więc zezłościłam się na siebie.

I rzeczywiście, z sąsiadki przeistoczyła się w marszandkę. Koniecznie musiała zacząć robić z nim interesy, związać go ze sobą jako swojego klienta. Stało się to oczywiste, kiedy zaprosiła go na otwarcie wynajętej przez siebie galerii. Kiedy tylko poszło w eter sławne nazwisko, inni marszandzi zaczęli do niego ciągnąć jak pszczoły do miodu.

- Następnego dnia dzwoni do mnie i mówi: „Wszyscy ci marszandzi mnie bombardują!” - wspominała Martha Henry. - Powiedziałam mu: „Nie możesz chodzić na wernisaże i mówić wszystkim, że jesteś Clark Rockefeller! Jeśli nie chcesz rzucać się w oczy, musisz to pomijać”.

Martha Henry poznała go jako pierwsza i przyszedł czas, żeby wybrać się z nim na artystyczne zakupy. Pierwszy przystanek: Knoedler & Company, renomowana galeria przy Upper East Side, która istniała od czasów wojny domowej i do jej klientów

zaliczał się John D. Rockefeller. Henry pokazała Clarkowi dzieło Adolpha Gottlieba, ważny obraz z lat pięćdziesiątych XX wieku. Uzgodnili, że przy cenie 300 000-400 000 dolarów byłoby to dobre uzupełnienie jego kolekcji.

- Dla kogoś takiego jak Clark było to dzieło idealnej proveniencji - powiedziała Henry. - Spadkobiercy Gottlieba chcieli je sprzedać, ale niekoniecznie pierwszemu lepszemu nabywcy. Co do Rockefellera nie mieli wątpliwości.

Clark wiele razy przychodził do Knoedlera, czasem sam, aby obejrzeć Gottlieba. Rozmawiałem z kobietą, która pokazywała mu ten obraz. Była członkiem dyrekcji Whitney Museum of American Art, najważniejszego muzeum sztuki współczesnej przy Madison Avenue w Nowym Jorku. Była zatem ekspertem od sztuki współczesnej i szybko się zorientowała, że Rockefeller również.

- Znał się na historii sztuki - wspominała. - Mówił o innych pracach z naszej kolekcji.

Rozważając zakup Gottlieba, zaprosił kobietę z Knoedlera do siebie, żeby zobaczyła jego obrazy. Jak wszyscy inni była pod ogromnym wrażeniem wielkich dzieł wybitnych amerykańskich malarzy współczesnych.

- Przyznam szczerze, że ani przez chwilę nie wątpiłam w autentyczność tych obrazów.

W kwestii zakupu Gottlieba Rockefeller odwlekał decyzję. Pewnego dnia, kiedy po raz kolejny oglądał ten obraz wraz ze swoją marszandką Martha Henry, potomek wybitnego rodu nareszcie wydał werdykt:

- Na tym obrazie jest zieleń. Nie kupuję obrazów z zielonym kolorem.

- O czym ty mówisz?

- Mondrian używał tylko kolorów podstawowych i nigdy nie położyłby na płótnie zieleni.

- Oj, Clark, musisz wyjść poza fazę kolorów podstawowych - powiedziała mu Henry. - Nie jesteśmy w przedszkolu.

On jednak nie ustąpił i do transakcji nie doszło.

Tymczasem w 7M działy się dziwne rzeczy. Clark upiekł bochenek chleba dla sąsiadki, której prawie nie znał, co Marcie Henry wydało się dziwne. Większość nowojorczyków nie ma czasu na tostowanie chleba, a co dopiero pieczenie, a Rockefeller sprawiał wrażenie, że ma czas na wszystko, zwłaszcza na rozrywki.

- Wyglądało na to, że nie pracuje, ale pieniędzy mu nie brakowało - powiedziała Henry, która czasem jadła z nim lunch. - Płacił gotówką. Pewnego dnia zadzwonił i spytał, czy znam jakichś młodych mężczyzn, którzy mogliby pójść z jego nastoletnią kuzynką na bal dla debiutantek. Powiedział: „Rodzina weźmie na siebie koszty. Jej partner zrezygnował”.

Henry postanowiła zrobić mu małego psikusa. Tak się złożyło, że знаła kogoś, kto niedawno jej powiedział, że z wielką chęcią poszedłby na prawdziwy nowojorski bal dla debiutantek. W rzeczywistości był to jej chłopak, ale zataiła tę informację przed Rockefellerem.

- Do której szkoły chodził? - spytał Rockefeller.

- Do St. Pauls - odparła Martha.

St. Pauls była szkołą prywatną w New Hampshire.

- Świetnie.

Kiedy Henry wyjaśniła, że proponowany partner ma czterdzieści trzy lata, Rockefeller powiedział:

- To nie jest śmieszne, Martha!

Również Rose Mina, którą poznał, kiedy pracował w Nikko jako Christopher Crowe, odgrywała w tym okresie ważną rolę w jego życiu. Znalazłem jej nazwisko na liście transakcji dokonanych przez Rockefellera pod jego dawnym pseudonimem: „14 października 1988 roku: Bilet lotniczy dla [MINA/R] linią United Airlines z JFK przez Londyn do Delhi zakupiony w Thomas Cook Travel”. Był również bilet powrotny: „Dla [MINA/R] linią United Airlines z Delhi przez Tokio Narita do JFK”. Zakupił także bilety dla osoby o nazwisku Flenry Mina

na inną skomplikowaną trasę, z Pittsburgha do Delhi. Bilet został anulowany i wystawiony ponownie.

Dlaczego Gerhartsreiter kupował Rose i Henry emu Minie przeloty do Delhi i Tokio? Później Rose Mina była określana przez media jako jego współpracowniczka w interesach i osoba zarządzająca jego majątkiem. Ale mimo dziesiątków indagacji prasowych, a także licznych e-maili i listów ode mnie Rose Mina nie powiedziała publicznie ani słowa na temat Clarka Rockefellera.

Mina z pewnością odegrała niepoślednią rolę w jego nowojorskiej karierze.

- Próbowałam rozgryźć tę kwestię - powiedziała mi Martha Henry w swoim mieszkaniu. - Bo kiedy tu mieszkał, co wieczór ktoś do niego przychodził między 23.30 a 1.00. Słyszałam, jak drzwi się otwierały i zamykały. Budziło mnie to, jeśli spałam. Ktoś go odwiedzał prawie każdej nocy.

Wstaliśmy i wyglądaliśmy przez judasza, przez którego doskonale widać było korytarz.

- Którejś nocy podeszłam do drzwi i sprawdziłam, kto go odwiedza. Zobaczyłam Azjatkę, która w ciemnym kostiumie i z aktówką pod pachą wyglądała na bizneswoman. Kiedyś powiedziałam do niego: „Clark, masz dziewczynę!”, na co on odparł: „Nie, nie, nie! To nie jest moja dziewczyna. Ona zarządza moimi pieniędzmi”.

Henry uwierzyła mu i pomyślała, że ona jest bankierką inwestycyjną i czasem sypia na jego sofie, ponieważ bankierzy inwestycyjni rzeczywiście długo pracują. Ale nadal droczyła się z nim w tej kwestii, a on udzielał ciągle tej samej odpowiedzi. Potem Azjatka przestała przychodzić.

- Nigdy więcej się nie pojawiła.

Niedługo później Clark Rockefeller również zniknął. Mniej więcej dwa lata po pojawieniu się na East 57th Street powiedział do Henry, że szuka większego lokum, spytał, czy mogłaby mu pomóc. Zadzwoiła do znajomej agentki nieruchomości, która zaproponowała Alwyn Court, kamienicę z przełomu XIX i XX

wieku przy West 58th Street, z misternymi zdobieniami z terakoty na fasadzie. Rockefeller powiedział jednak, że nigdy by tam nie zamieszkał.

- To taki ponury i przygnębiający budynek. Mieszkania są ciemne. - ltd., itp. Poza tym chciałby wynająć coś w budynku Cushman & Wakefield. - Te budynki należą do naszej rodziny i nie musiałbym płacić zbyt wysokiego czynszu.

Potrzebował dużego lokalu z wystarczającą ilością miejsca na jego kolekcję sztuki, setera szkockiego, a także - byłby zapomniał - narzeczoną. Wyjaśnił Marcie Henry, że się żeni, a szczęśliwa wybranka nazywa się Sandra Lynne Boss.

ROZDZIAŁ 10

Sandra

Wkroczyła na salę sądową w stylu, który uznałem za typowy dla niej: pewna siebie, poukładana i niewątpliwie opanowana. Wysoka, szczupła, elegancka i atrakcyjna, miała na sobie stonowany granatowy kostium. Brązowe włosy z pasemkami miała obcięte na pazia, a jej czysta skóra zdawała się prawie nie wymagać makijażu. Nawet na sali sądowej czterdziestodwuletnia Sandra Lynne Boss wyglądała na wyjątkową kobietę.

- Nazywam się Sandy Boss. Moje nazwisko pisze się B-O-S-S - poinformowała prokuratora energicznym głosem, precyzyjnie wymawiając każdą sylabę.

Mieszkała w Londynie, gdzie pracowała jako dyrektorka albo wspólniczka w McKinsey & Company, znanej firmie konsultingowej, która doradza koncernom, instytucjom i rządowi, jak zoptymalizować ich działania.

Na pytania związane z życiorysem odpowiadała krótko i zwięźle. Urodzona: „Seattle”. Najbliższa rodzina: „Mój ojciec ma na imię Bill, a matka Verla. Mam siostrę bliźniaczkę, która ma na imię Julia”. Szkoła średnia: „Blanchet High School”. College: „Stanford”. Dyplomy: „Z amerykańistyki i ekonomii”.

Boss nie zdradziła natomiast, że jej życie, podobnie jak życie jej byłego męża, było epicką podróżą. Jako córka inżyniera Boeinga pochodziła z wyższej klasy średniej w Seattle i wychowała się w „luksusowym dwupiętrowym domu na Cape Cod z urządzonym przyziemiem”, jak powiedziała jej znajoma. Już w dzieciństwie ujawniła się jej najważniejsza cecha charakteru. „Ma niewiarygodnie rozwiniętą żyłkę kon-

kurencyjną”, powiedziała mi ta sama znajoma i dodała, że najbardziej zażarcie Sandra rywalizowała ze swoją siostrą bliźniaczką Julią. Już w 1985 roku napisano w „Seattle Times”: „Julia i Sandra, dwie dziewczyny z ostatniej klasy Blanchet High School, to jedyne rodzeństwo z tej okolicy, które zostało uznane za »wyróżniających się uczniów«. Nigdy nie spędziły więcej niż trzech dni osobno. [...] Ale kiedy Julia oznajmiła: »Chcę studiować w Yale«, Sandra odparła: »Okej, a ja w Stanfordzie«.

- Julia i Sandy już jako dzieci bawiły się w zwariowaną grę - powiedziała znajoma ich obu. - Ze wszystkiego robiły konkurencję i dyskutowały o tym, kto wygrał daną rundę. - W dzieciństwie było to na przykład sprzedawanie ciastek, w szkole średniej i na studiach wyniki, w życiu dorosłym często rzeczy materialne.

Jeśli jedna z nich miała szalik od Hermesa, a druga buty od Christiana Louboutina, w podobnej cenie, to spierały się o to, co jest lepsze.

Jako świadek Sandra powiedziała na ten temat raczej niewiele:

- Bliźnięta są do siebie bardzo podobne i często jesteśmy porównywane. Nasze relacje nazwałabym normalnymi relacjami między bliźniaczkami, czyli kochamy się i porównujemy, jakiego mamy życie.

Po rocznym programie magisterskim na Oksfordzie Julia Boss zrobiła doktorat z historii na Yale i podjęła pracę redaktorki w nowojorskim wydawnictwie Algonquin Books. W 1994 roku wyszła za Charlesa Knappa, również absolwenta Yale i pracownika branży wydawniczej.

Sandra pracowała w różnych firmach - zawsze na wysokich stanowiskach. Uchodziła za inteligentną, ale wyniosłą, ambitną i bardzo skrytą.

- Byliśmy niezwykle towarzyską ekipą - powiedziała osoba, która pracowała z Boss. - Robiliśmy wszystko razem - wszyscy z wyjątkiem Sandy. Sandy trzymała się z boku. Mimo tej nieśmiałości miała wielkie aspiracje. Chciała być członkiem wewnętrznego kręgu, ale zawsze stała na zewnątrz.

Potem poznała swojego przysłego męża.

Po krótkim wstępie prokurator David Deakin dotarł do kluczowego pytania. Spojrzał na oskarżonego, który siedział na ławie z nieprzeniknioną twarzą i patrzył prosto przed siebie.

- Czy zna pani osobę siedzącą na ławie oskarżonych? - spytał Deakin świadka.

Jak tylko Boss spojrzała na Rockefellera, z jej twarzy zniknął uśmiech, a pojawiły się srogość i chłód.

- Tak, znam - odpowiedziała natychmiast.

- Czy była pani kiedyś żoną tego mężczyzny?

- Tak, byłam.

- Pod jakim nazwiskiem pani go znała, kiedy była pani jego żoną?

- Clark Rockefeller.

- Kiedy go pani poznała?

Wyprostowała się na krześle i opowiedziała historię, która zahipnotyzowała całą salę.

- Wiosną 1993 roku - zaczęła Boss - byłam w Nowym Jorku i szukałam pracy na lato. - Miała wtedy dwadzieścia sześć lat i jesienią zaczynała ostatni rok studiów w szkole zarządzania na Harvardzie. - Rozmawiałam z nim przez telefon. Był znajomym mojej siostry z episkopalnego kościoła świętego Tomasza przy Fifth Avenue. Nie wiem, czy formalnie była członkiem, ale regularnie chodziła tam na nabożeństwa.

Sandra Boss wychowywała się w parafii episkopalnej w Seattle. Podczas rozprawy przed rozszerzoną ławą przysięgłych, która miała doprowadzić do postawienia Rockefellerowi zarzutu uprowadzenia dziecka, prokurator poprosił ją, aby oceniła zaangażowanie swojej rodziny w życie kościelne w skali od jednego do dziesięciu - od obojętnego do pobożnego.

- Osiem albo dziewięć. W każdą niedzielę chodziłam do kościoła, była szkołka niedzielna, uczęszczałam do chrześcijańskich szkół.

- Jak ważne było dla pani, aby człowiek [, którego pani poślubiła,] podzielał pani przekonania religijne?

- Było to dla mnie ważne - odparła. - Nie miałam obsesji na tym punkcie, ale chciałam być z kimś, kto ma taki sam system wartości.

Można zatem powiedzieć, że sama obecność Clarka Rockefellera w kościele świętego Tomasza posłużyła za swoistą weryfikację.

Na temat ich pierwszego spotkania Boss powiedziała sądowi, co następuje:

- Organizował imprezę i dowiedział się od mojej siostry, że jestem w mieście, i mnie zaprosił.

- Co to była za impreza?

- Każdy miał się wcielić w postać z Clue.

Clue to gra planszowa, której uczestnicy są gośćmi w willi i mają ustalić, kto z nich zabił pana Boddy, gospodarza milionera.

Rockefeller przydzielił każdemu z ośmiorga gości jakąś postać i poinstruował ich, aby się za nią przebrali i powiedzieli jego odźwiernemu, że przyszli do pana Boddy. Rockefeller grał rolę profesora Pluma, archeologa z Harvardu, który tak samo jak Rockefeller jest zakłopotany, kiedy zadaje mu się pytania o jego przeszłość.

- Miałam być panną Scarlet - zeznała Boss.

Panna Scarlet z Clue to femme fatale i hollywoodzka aktorka, której kariera utkwiała w martwym punkcie. Panna Scarlet postawiła sobie za cel usidlić bogatego człowieka i z tego powodu przyszła do willi pana Boddy.

Sandra przybyła na imprezę z siostrą. Drzwi otworzył im profesor Plum, który miał na sobie fioletowe spodnie i trzymał w ręku kieliszek sherry. Pierwsze wrażenie Sandry było bardzo pozytywne.

- Blondyn, niebieskooki, elegancki, zadbany i atrakcyjny - powiedziała Boss na rozprawie. - Poza tym dbał o gości. Nie wszyscy mężczyźni tacy są, a jemu wyraźnie zależało, żebym dobrze się tam czuła.

- Jestem przekonany, że Clark zorganizował grę w Clue po to, żeby poznać Sandy - powiedział Tom Rizer, zaproszony jako

pan Green, człowiek, który straciłby pracę, gdyby wyszły na jaw jego seksualne przygody. - Zainteresował się wcześniej jej siostrą Julią, ale była zajęta. Więc kiedy usłyszał, że ma siostrę... Na moje oko to była miłość od pierwszego wejrzenia z obu stron. Sandy była nim zauroczona. Był bardzo przystojnym mężczyzną.

Sandra zeznała przed sądem, że na imprezie prowadziła z Rockefellerem czysto towarzyskie rozmowy, ale niedługo po jej powrocie do Bostonu zadzwonił do niej i powiedział, że chciałby się z nią zobaczyć.

- Pomyślałam, że to może być całkiem przyjemne - zeznała.

Podczas jej następnego pobytu w Nowym Jorku zaczęli się „niezobowiązująco spotykać”, jak to nazwała. Sandra nie paliła się do stałego związku, zwłaszcza na odległość. Chciała się skoncentrować na swojej karierze.

Wcześniejsze związki Boss były nieudane, powiedziała - między innymi dlatego że przytłaczała partnerów swoją inteligencją. Rockefeller był inny.

- Podkreślał, że podziwiał mnie za inteligencję, zamiast mówić: „Byłabyś całkiem fajna, gdybyś była trochę głupsza”, co mnie ujęło.

Przyznała przed sądem, że zachwyciło ją, że takiemu człowiekowi jak Clark Rockefeller „bardzo zależy na poznaniu mnie i jest mną zainteresowany jako potencjalną partnerką”.

- Jak się pani czuła? - spytał prokurator.

- Dobrze, pochlebiało mi to. Podobał mi się.

W dalszym ciągu swoich zeznań Sandra Boss wspominała:

- Powiedział, że jego ojciec nazywał się George Percy Rockefeller i że jest spokrewniony z linią Williama [Rockefeller]. Jego matka nazywała się Mary Roberts i pochodziła z Wirginii. Ojciec był inżynierem i pracował dla marynarki wojennej. Jego matka była gospodynią domową, jeśli można tak to określić, według Clarka dzieliła swój czas między działalność charytatywną i zakupy. Powiedział, że mają mnóstwo pieniędzy. Że wychowywał się w dużej nowojorskiej kamienicy przy Sutton Place 19, pokazał mi ją. - Sutton Place to enklawa starych

pieniędzy, która ciągnie się przez sześć przecznic wzdłuż East River - doskonały adres dla Rockefellera. - Powiedział, że mają domy w Maine, w New Hope w Pensylwanii i w Pound Ridge. Był też duży jacht i inne tego typu rzeczy.

Rockefeller podkreślał jednak, że jest zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

- Przyjął interesującą strategię. Mówił o tym wszystkim, ale jednocześnie sugerował, że jest skromnym człowiekiem.

Wyjaśnił Sandrze Boss, że wbrew pozorom jego życie nie było usłane różami. Kiedy miał dwa albo trzy lata, spadł ze schodów w domu przy Sutton Place.

- Wypadek ten upośledził mu mowę i chociaż Clark łatwo przyswajał wiedzę, nie mówił.

Jako niemowa nie poszedł do szkoły (nie licząc jednego dnia w Collegiate School, założonej w 1628 roku szkole dla chłopców na Upper West Side) i uczył się w domu.

Zdiagnozowano u niego afazję, zaburzenie mowy. Pewnego dnia nastąpił jednak przełom: sąsiad przyprowadził do domu Rockefellerów psa, żeby się nim zaopiekowali, bo wyjeżdżał na jeden dzień.

- Pies był w domu. Clark go zobaczył, powiedział: „Szczekactwo” i odzyskał mowę.

Boss relacjonowała to wszystko z kamienną twarzą. Słowo „szczekactwo” wystarczyło do odczynienia uroku. Od tej pory Clark osiągał fantastyczne wyniki w szkole i w wieku czternastu lat został przyjęty na studia w Yale.

- Wyjaśnił, jak to możliwe, że czternastolatek studiował w Yale?
- spytał prokurator w sądzie.

- Twierdził, że na uniwersytecie był specjalny program dla takich młodych studentów - odparła Boss.

Uwielbiał mówić o pięknych uniwersyteckich czasach - poznanych ludziach, zajęciach i znakomitych wynikach z matematyki. Do tego stopnia otworzył się na Sandrę, że opowiedział jej o traumatycznym wydarzeniu z ostatniego roku studiów.

- Powiedział, że rodzice pragnęli go odwiedzić.

Clark chciał zostać w ten weekend na kampusie, więc przekonał ich, żeby przyjechali jednym z dwuosobowych samochodów sportowych, a nie jedną z limuzyn. Chodziło mu o to, żeby nie musiał jeździć z nimi po New Haven. Powiedział Boss, że podczas jazdy do niego jego matka straciła panowanie nad kierownicą sportowego samochodu i oboje zginęli. Ich jedyne dziecko, wówczas osiemnastoletnie, zostało samo.

- Powiedział, że rodzina jego ojca próbowała uzyskać opiekę nad nim, ale zablokował to, bo był już pełnoletni, i mieszkał sam w kamienicy przy Sutton Place.

- Miała pani [...] jakiegokolwiek powody, aby wątpić w to, że [Rockefeller] mówi prawdę? - spytał prokurator.

Cała sala wstrzymała oddech.

- Nie - odparła.

Oskarżyciel nie odpuszczał. Wierzyła, że jest taki genialny, aby jako czternastolatek studiować w Yale?

-Tak.

- Dlaczego?

- Z dwóch powodów: po pierwsze, był bardzo inteligentny, należał do najinteligentniejszych ludzi, jakich znałam, a po drugie, mnie samej proponowano, żebym zaczęła studiować w bardzo młodym wieku, toteż wiedziałam, że to jest możliwe, chociaż tego nie zrobiłam.

Związek Boss i Rockefellera szybko się rozwijał, powiedziała na rozprawie Sandra.

- Był bardzo czytany. Czytał dużo klasyki, co mi się podobało. Poza tym był zaangażowany w sprawy kościelne. Mieliśmy wiele wspólnych wartości i celów. Był bardzo troskliwy i życzliwy. Zasypywał mnie komplementami.

Podobało jej się również, że sprawiał wrażenie człowieka, któremu nie zależy na sprawach materialnych. Nie przeszkadzało mu zbytnio, że „fortuna”, którą zostawił mu w spadku ojciec,

„niestety” nie była dla niego dostępna z powodu komplikacji prawnych. Rockefeller twierdził, że jego ojca oskarżono o defraudację pieniędzy marynarki wojennej. Sandra ceniła w nim również to, że „podzielał z nią nadzieję, iż można zmienić świat”, i mówił, że chce poświęcić się pomaganiu innym.

- Powiedział mi, że pomaga małym krajom renegocjować długi
- zeznała Boss przed sądem.

Kiedy przeprowadziła się do Nowego Jorku w lecie 1993 roku, aby podjąć pracę w Merrill Lynch (wyceniała instrumenty pochodne), „byliśmy parą”, powiedziała. Kiedy lato się skończyło i Sandra wróciła do Massachusetts, aby studiować na drugim roku w Harvard Business School, podtrzymywali związek na odległość. Boss co najmniej dwa razy w miesiącu przyjeżdżała po niego samochodem do Nowego Jorku - „powiedział, że nie ma prawa jazdy” z powodu problemów ze wzrokiem.

Chociaż znali się dopiero od kilku miesięcy, „było bardzo romantycznie i nasz związek stale się pogłębiał. [...] Całkiem poważnie rozmawialiśmy o ślubie”.

Miał swoje chimery, ale który inteligentny, bogaty i wysoko urodzony mężczyzna ich nie ma?

- Był wielkim fanem Star Trek - zeznała przed sądem - i bardzo zależało mu na tym, żeby oglądać ten film o konkretnej porze w niedzielę wieczorem. Można powiedzieć, że zaliczał się do trekkies. Miał ekscentryczny, ale jednocześnie uroczy stosunek do swojego psa. Gotował dla niego i codziennie czesał mu sierść. Ciągłe mówił, że nie pójdzie na jakąś imprezę, jeśli nie będzie mógł zabrać ze sobą psa. To było ujmujące, ale także ekscentryczne.

Ujmujące przeważało nad ekscentrycznym i Sandra Boss zakochała się w Clarku Rockefellerze. Wiosną 1994 roku zabrał ją na Islesboro koło wybrzeża Maine - zaciszną wysepkę, na której wielu bogatych ludzi ma domy letniskowe. Przywiózł ze sobą pierścionek z trzema brylantami od Tiffany ego. Pasował idealnie i Sandra później dowiedziała się, jak to zrobił - Rockefeller poszedł do słynnego sklepu przy Fifth Avenue z jej

siostrą bliźniaczką Julią, która przymierzyła biżuterię. Później twierdził, że kupując ten pierścionek, splukał się do ostatniego centa.

Clark się oświadczył i Sandra powiedziała „tak”. Niedługo później polecili do Seattle, żeby Clark mógł poprosić ojca Sandry o jej rękę. William Boss uznał to za staroświeckie i piękne i oczywiście wyraził zgodę. W rodzinie Rockefellera Sandra prawie nie miała kogo poznawać. Była kobieta, którą nazywał swoją ciotką, i jej córka Alice Johnson, którą nazywał swoją kuzynką. Oczywiście zabrał Sandrę do ich mieszkania przy United Nations Plaza. Uściskały go tak, jakby należał do rodziny, i rzeczywiście tak go traktowały.

- To jest moja kuzynka Alice, a to moja ciocia - powiedział Clark.

Alice i jej matka szybko pokochały Sandrę tak samo jak wcześniej Clarka.

„Taką kobietą chciałabym być: inteligentną, piękną, niezależną” - powiedziała później Alice i dodała, że kiedy rodzice Sandry poznali jej rodzinę, sprawiali wrażenie zauroczonych Clarkiem i przekonanych, że ich córka rzeczywiście wychodzi za Rockefellera. „Przez dwa lata spotykaliśmy się prawie codziennie”, zeznała Sandra Boss przed sądem, opowiadając o rodzinie Johnsonów.

Nie wzbudziło to w Boss żadnych podejrzeń, ale pojawiły się pewne oznaki tego, że Clark Rockefeller może nie być idealnym kandydatem na męża.

- Przez dwa lata przez ślubem prawie zawsze był takim miłym, uroczym, inteligentnym człowiekiem jak na początku - kontynuowała. - Ale parę razy widziałam, że potrafi się mocno zezłościć, co mnie zaniepokoiło. Raz nawet powiedziałam: „Nie wiem, co mam myśleć o twoich wybuchach wściekłości”. On mi na to odpowiedział: „Zaciągnęłaś już wobec mnie zobowiązanie, bo ze względu na ciebie poszedłem na ugodę z sądem w sprawie mojego ojca”. - Miał na myśli rzekomy proces o defraudację, który marynarka wojenna wytoczyła jego ojcu. Powiedział jej, że

ugoda kosztowała go 50 milionów dolarów, czyli tyle, ile wynosił jego spadek.

- Poszedł na ugode, [...] żeby nie narażać mnie na ryzyko finansowe - wyjaśniła Boss. - Kilkakrotnie powtarzał, że miłość jest dla niego ważniejsza niż pieniądze i że chce mnie chronić.

Jak mogła uwierzyć w takie oczywiste kłamstwo? - spytano Boss przed sądem.

- Inteligencja intelektualna to nie to samo co inteligencja emocjonalna. Uznałam to za szlachetny gest i uważałam, że nie musi tego robić, co mu wprost powiedziałam.

Kiedy prokurator powiedział, że „na zdrowy rozum” to nie mogła być prawda, Boss odparła:

- Pewnie tak. Nie zamierzam twierdzić, że idealnie trafiłam z wyborem męża. To oczywiste, że byłam zaślepiona. Chcę tylko powiedzieć, że można być świetnym i błyskotliwym w jednym obszarze życia i równocześnie głupim w innym.

Po uzyskaniu dyplomu MBA na Harvardzie Boss zaczęła pracować jako współpracowniczka w McKinsey & Company i zarabiała około 80 000 dolarów rocznie.

- Czym zajmował się w tym czasie Clark Rockefeller? - zapytano Sandrę podczas rozprawy przed wielką ławą przysięgłych.

- Zaskoczył mnie, oznajmiając pewnego dnia, że zrezygnował z pracy przy renegotjacji zadłużenia i zaczął doradzać krajom Trzeciego Świata z problemami gospodarczymi.

- Czy przed ślubem mówił pani o jakichś innych źródłach dochodu oprócz restrukturyzacji długu i doradztwa dla Trzeciego Świata?

- Nie. Podkreślił, że ugoda sądowa pozbawiła go majątku. Mówiąc otwartym tekstem: „Bierz mnie takiego, jaki jestem”.

I tak zrobiła. Ale to, jaki był - co robił, zanim pojawił się w życiu robiącej wielką karierę Boss - pozostało dla niej zagadką, przynajmniej na jakiś czas. Nigdy się nad tym nie zastanawiała, a tym bardziej nie pytała o to narzeczonego.

Siostra Sandry Julia i Charles Knapp wzięli ślub pół roku przed

Clarkiem i Sandrą. Uroczyste nabożeństwo ślubne odbyło się w kościele świętego Tomasza, a wesele w Great Hall. Julia i Charles w 1990 roku skończyli studia w Yale. Charles był członkiem Whiffenpoofs, istniejącym od 1909 roku zespołu a capella, do którego wybiera się czternastu studentów ostatniego roku. Nic zatem dziwnego, że „Whiffs” - tak ich nazywano - z czasów Charlesa śpiewali na weselu.

Żeby nie dać się przyćmić, Sandra i Clark w tym samym dniu urządzili przyjęcie zaręczynowe, toteż goście przenieśli się z kościoła świętego Tomasza do mieszkania Clarka.

- Podano stiltona i sherry - wspominał jeden z gości. - Pies Yates ciągle lizał ser. Mówili do niego: „Yates! Zabierz pysk ze stołu”.

Sandra wiedziała już wtedy o dziwactwach i ekscentryzmach narzeczonego. Nawet urodziny miał dziwne i rzadkie, jak przystało na oryginała.

- Współorganizowałem jego urodziny razem z Charlesem Knappem w pięknej sali na drugim piętrze Landmark Tavern w Nowym Jorku - powiedział Tom Rizer. - Clark obchodzi urodziny tylko w latach przestępnych, bo urodził się 29 lutego, a przynajmniej tak twierdził.

W rzeczywistości urodził się 21 lutego 1961 roku. Nikt jednak nie miał powodów wątpić w słowa Clarka, który budował swoją legendę. Stał się mistrzem przekonywania ludzi o prawdziwości tego, co mówił. Nawet jego nowojorskie towarzystwo, inteligentni, świetnie wykształceni ludzie, którzy uczyli się w prestiżowych szkołach i na prestiżowych uniwersytetach Wschodniego Wybrzeża, nie mieli wątpliwości, że ich znajomy jest kimś. „Zawsze sądziliśmy, że Sandy zna całą historię [jego życia], ale nie chce nam jej zdradzić”, powiedział John Wells. Ktoś inny, kto dobrze znał Rockefellera, dodał: „Sądziliśmy, że jest nieślubnym dzieckiem [któregoś z Rockefellerów] i jego matka dostała pieniądze w zamian za milczenie, a potem zmarła, i że z zemsty przybrał nazwisko swojego biologicznego ojca, który nie chciał go uznać. To był dla nas rodzaj gry salonowej.

Siostra Sandy Julia nie chciała w niej uczestniczyć. Ten temat bardzo ją przygnębiał. Nie chciała o tym rozmawiać”.

Zadałem oczywiste pytanie:

- Sądzi pan, że Sandy wierzyła we wszystko, co Clark jej mówił?

- Sądzę, że chciała wierzyć - odparł znajomy. - Spytałem ją o to kiedyś i poczuła się potwornie urażona. Byłem pijany i zachowałem się chamsko, pytając: „Skąd wiesz, że on naprawdę jest Clarkiem Rockefellerem, a nie seryjnym mordercą, który się ukrywa przed policją?”. Ona odparła: „Jestem jego narzeczoną. Wyjdę za niego za mąż. Mam nadzieję, że mówi mi o swojej przeszłości więcej niż tobie”.

Ślub Boss i Rockefellera odbył się 14 października 1995 roku w kwakerskim Domu Spotkań na wyspie Nantucket w Massachusetts, ulubionym letniku wielu amerykańskich superbogaczy. Było tylko siedmioro gości - „moja siostra, jej mąż, moi rodzice i trzy osoby związane z [kwakerskim] Domem Spotkań”, zeznała Sandra - plus jeden pies, seter szkocki Clarka.

Sandra i Clark byli zaangażowanymi episkopalianami. Dlaczego pobrali się jako kwakrzy? Było to związane z kolejnym z jego osławionych wybuchów wściekłości, który znowu dotyczył jego „kuzynki” Alice Johnson.

- Poszedł do świętego Tomasza, żeby się dowiedzieć, czy [Alice] może wstąpić do tego kościoła i zostać konfirmowana bez kursu przygotowawczego - relacjonował znajomy Rockefellera Tom Rizer. - Przecież Alice jest z Rockefellerów, przekonywał Clark, i nie powinna przez to wszystko przechodzić. Jego prośbę oczywiście odrzucono. Powiedział, że już nigdy nie pójdzie do św. Tomasza, i został kwakrem.

Sandrze opowiedział inną historię.

- Twierdził, że parafia świętego Tomasza wywiera na niego coraz większą presję, by wspomógł ją finansowo, co było prawdopodobne - zeznała Sandra na rozprawie przed wielką

ławą przysięgłych. - To bogaty kościół, który stale prosi swoich wiernych o datki. Clark był zachwycony prostotą kwaków. To bardzo demokratyczna wspólnota, dla której liczy się tylko życie duchowe każdej jednostki.

Zabytkowy dom kwakerski na Nantucket nie stwarzał Rockefellerowi zbyt wielkich możliwości poszerzenia swojego kręgu towarzyskiego, ale to miał już załatwione dzięki kościołowi świętego Tomasza. Kwakrzy zapewнили mu dyskrecję. Ich Dom Spotkań był idealnym miejscem na ślub dla kogoś, kto nie chce, aby jego dane osobowe przedostały się do wiadomości publicznej.

- Jeśli ktoś zamierza wziąć ślub z pominięciem kontaktu z administracją publiczną, to kwakrzy są pod tym względem idealni - powiedział John Wells.

Sandra zeznała, że przed ślubem podpisała „wszystkie papiery dla urzędu stanu cywilnego” i dała je mężowi do wysłania, „żebyśmy mogli uzyskać zezwolenie na ślub. Zapewnił mnie, że wszystko załatwi”.

Clark nie przesłał formularzy do urzędu stanu cywilnego. Wzięli zatem ślub bez zezwolenia, a uroczystość była, delikatnie mówiąc, dziwna. Kwestia pierwsza: rodzina Rockefellerów. Jego rodzice nie żyli. Clark twierdził, że inni krewni wybierają się na ślub, ale z powodu różnych problemów odwołali swój przyjazd. Nie martw się, uspokajał Sandrę, poznasz ich później. „Świadkiem” ze strony pana młodego został Yates.

Uroczystość odbyła się w ascetycznym kwakerskim Domu Spotkań, zbudowanym w 1838 roku dla kongregacji, która wcześniej zbierała się w Quaker Mary Coffin Starbuck. Yates dreptał w stronę ołtarza z cieknącą mu z pyska śliną, siedmioro gości siedziało na twardych drewnianych ławkach, a Rockefeller i Boss stali w milczeniu naprzeciwko siebie. „Na kwakerskim ślubie wszyscy siedzą i czekają, aż ktoś coś powie” - wyjaśnił jeden z gości i dodał, że państwo młodzi sami wybierają sobie tekst przysięgi. Sandra Boss zeznała przed sądem: „Ciekawe u kwaków jest to, że nie ma celebransa. Na nabożeństwie

kwakerskim każdy mówi to, co mu serce dyktuje”. Gość, z którym rozmawiałem, nie przypominał sobie, co Rockefeller i Boss sobie powiedzieli, pamiętał tylko, że „wszystko skończyło się bardzo szybko, a potem poszliśmy na kolację do restauracji na Nantucket”.

Następnie państwo młodzi udali się do skromnie urządzonego domku, który wynajęli na noc poślubną. Miesiąc miodowy (tak naprawdę tydzień) spędzili na wyspie, a potem wrócili do Nowego Jorku.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 11

„Kości z San Marino”

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Clark Rockefeller rozpoczął nowe życie w Nowym Jorku jako mąż Sandry Boss, „zza grobu” pojawił się ślad po dawno zaginionym małżeństwie Johna i Lindy Sohusów. Do tej pory świat zdążył o nich zapomnieć, a zagadka ich zniknięcia pozostawała nierozwiązana. W końcu chodziło o dwie mało znaczące osoby, toteż nawet ludzie, którzy ich znali i pracowali z Sohusami, szybko wymazali ich z pamięci.

Wszyscy poza Sue Coffman, najlepszą przyjaciółką Lindy. Od momentu zaginięcia Lindy i Johna z ich bajką o tym, że wyjeżdżają do pracy w jakiejś ściśle tajnej instytucji państwowej, i z przedziwnymi pocztówkami, które Linda przysyłała z Paryża - Coffman instynktownie czuła, że coś jest nie w porządku. Miała „wielką dziurę w życiu, wielki znak zapytania w głowie”, jak mówiła wszystkim, którzy chcieli słuchać. Niekiedy wydawało jej się, że zwariuje, gdy próbowała znaleźć odpowiedzi na różne pytania i znaleźć rozwiązanie zagadki zniknięcia przyjaciół.

- Miałam dziwne sny - powiedziała mi w salonie swojego domu w kalifornijskim Orange, niedaleko Disneylandu.

Sue Coffman, chuda, emocjonalna kobieta, która po zniknięciu swojej najlepszej przyjaciółki wyszła za mąż i miała małe dziecko, nie zaprzestała poszukiwań. Trzymała w komputerze listę

wszystkich zdarzeń, które poprzedziły zniknięcie Sohusów. Wydrukowała ją, a także pokazała mi zdjęcia i inne rzeczy związane z tą sprawą, którą od trzydziesto lat starała się rozwikłać.

Linda Sohus ciągle pojawiała się w jej snach, powiedziała Sue Coffman. Usiłowałam sobie wyobrazić zwałistą rudą artystkę i miłośniczkę *science fiction* przemykającą przez sny przyjaciółki jak jeden z rysowanych przez nią dziwacznych koni.

- Linda pokazywała się w moich snach i mówiła: „O co się martwisz? Jestem tutaj”.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? - Coffman pytała przyjaciółkę.

- Bo nie miałam czasu - odpowiadała Linda.

Coffman traktowała te sny jak omeny i ponaglenia do tego, by naciskać policję w sprawie śledztwa.

- W tych snach byłam bardzo przejęta, bo nie miałam świadomości, że śnię. Czułam, że to się dzieje naprawdę.

W odpowiedzi na jej interwencje policja kilka razy poinformowała ją, że wznawia dochodzenie, ale nie natrafiono na żadne nowe tropy. Sue pokazała mi list od funkcjonariusza, który otrzymała we wczesnej fazie śledztwa: „Ona ma dwadzieścia jeden lat. Może wyjechać kiedy chce i dokąd chce. Nie ma czego badać. Niech się pani nie martwi. Niech pani przestanie ich szukać”.

- Z jego ustaleń wynikało, że Linda i John mieszkali we Francji i na zawsze zerwali ze swoim dawnym życiem - powiedziała Coffman. - Nie uwierzyłam w to.

Nawet znalezienie pikapa Johna i Lindy w Greenwich, gdzie omal nie został kupiony przez syna miejscowego pastora od tajemniczego Christophera Crowea - o którym władze wiedziały, że wcześniej przedstawiał się jako Christopher Chichester, a jeszcze wcześniej jako Christian Karl Gerhartsreiter - nie wzbudziło w policji podejrzeń. Sue Coffman nie chciała jednak odpuścić.

„Droga Kathy” - napisała do siostry przyrodniej Lindy 15 marca 1990 roku, pięć lat po zniknięciu Lindy i Johna.

Mam nadzieję, że mnie pamiętasz - starą znajomą Lindy sprzed lat?

Jak się masz i czy słyszałaś coś nowego na temat zniknięcia Lindy? [...] Chociaż minęło już pięć lat (potrafisz w to uwierzyć?), wciąż nie mogę pogodzić się z jej zniknięciem. Czasem przez wiele tygodni o niej nie myślę, a potem nagle mam sen albo przypominam sobie o czymś, co robiłyśmy razem, i jestem zła na siebie, że nie robię więcej, żeby ją znaleźć.

Kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiałyśmy, miałam dla Ciebie nową informację: gdzieś na wschodzie znaleziono ich pikapa, zarejestrowanego na nowych właścicieli. Miałam wielką nadzieję, że uzyskam jakieś odpowiedzi na kilka pytań, ale minęły trzy miesiące i policja się ze mną nie skontaktowała, więc sama na nią zadzwoniłam. Było to chyba w marcu ubiegłego roku. Dowiedziałam się wtedy, że śledczy, z którym byłam w dobrych stosunkach, został przeniesiony do innego wydziału.

Coffman stale natrafiała na tego typu przeszkody. Przychodzili nowi funkcjonariusze, których nie interesowały stare, nierozwiązane sprawy. Rodzina Lindy, w tym jej siostra przyrodnia, w końcu uznała, że trzeba żyć dalej. „Kathy, w ubiegłym roku napisałam do Ciebie list i do tej pory nie dostałam odpowiedzi - napisała Sue Coffman do siostry przyrodniej Lindy. - Jeśli nie jesteś już zainteresowana poszukiwaniami (mam świadomość, że minęło już 7 lat i Linda albo jest w programie ochrony świadków, albo nie żyje), rozumiem Cię, ale proszę, daj mi znać, czy dostałaś ten list. Wtedy przestanę Cię nękać. Ta sprawa nie daje mi spokoju”.

Sue Coffman nie poddawała się. Kiedy przeczytała w rubryce „Dear Abby”, że „Armia Zbawienia pomaga w zlokalizowaniu zaginionych członków rodziny”, zamówiła odpowiednie formularze, ale poinformowano ją, że tylko krewni mogą złożyć

wniosek. Zdesperowana, napisała list do programu telewizyjnego *Unsolved Mysteries* (Nierozwiązane tajemnice), którego gospodarzem był Robert Stack, emitującego paradokmentalne filmy o nierozwiązanych i często zapomnianych sprawach. Nie знаła nikogo z autorów programu i wysłała list na adres firmy produkcyjnej w kalifornijskim Burbank.

„CO SIĘ STAŁO Z LINDĄ CHRISTINE HOPE BLACKFOOT MAYFIELD SOHUS?” - tak zaczęła swój list z 23 września 1993 roku. Na trzech stronach maszynopisu z pojedynczą interlinią przedstawiła dziwną historię życia i zniknięcia Lindy Sohus. „Nie mam pieniędzy na wynajęcie prywatnego detektywa, a policja uważa, że skoro Linda jest dorosła, ma prawo zniknąć (a teraz, po siedmiu latach, mówi, że sprawa jest zamknięta, a Linda „nie żyje”), ale w tej historii jest po prostu za dużo niezrozumiałych rzeczy. Poniżej podaję listę elementów związanych z jej zniknięciem, które po prostu nie trzymają się kupy”.

Wymieniła wszystkie: tajemnicza praca szpiegowska dla rządu, sześć kotów pozostawionych przez Lindę, porzucony na Lorain Road pikap, którego bank nie mógł znaleźć i który później pojawił się w Greenwich w stanie Connecticut. Coffman wyraziła nawet podejrzenie, że policja jest zamieszana w tę sprawę. „Może to zbieg okoliczności, ale gdy kontaktowałam się z policją w sprawie zniknięcia, za każdym razem przypisany był do niej inny funkcjonariusz. Kiedy tylko ktoś wpadł na jakiś trop, przenoszono go do innego wydziału” - napisała do *Unsolved Mysteries*.

Poprosiła, żeby poświęcono historii Lindy jeden z odcinków, i wyjaśniła: „[mam] wielką dziurę w swoim życiu, bo nie wiem, gdzie ona jest. Chcę ruszyć dalej ze swoim życiem. [...] Jeśli ona żyje, to bardzo chcę się z nią zobaczyć. Jeśli nie żyje, to mogę zamknąć ten rozdział i pójść dalej. Niepewność doprowadza mnie do obłędu. Nie potrafię machnąć na to ręką. [...] Byłyśmy zbyt bliskimi przyjaciółkami”.

Na końcu listu zwróciła się bezpośrednio do przyjaciółki:

„Lindo, mam Ci tyle rzeczy do opowiedzenia!”.

Z *Unsolved Mysteries* przysłano jej list z podziękowaniami, redakcja programu nie przejawiała jednak zainteresowania sprawą. Ale osiem miesięcy po wysłaniu przez Coffman listu Linda Sohus w pewnym sensie sama na niego odpowiedziała, w typowy dla siebie surrealistyczny sposób.

- Ja cię kręcę! - krzyknął ktoś według relacji jednego z sąsiadów, kiedy Jose Perez, operator buldożera, który pracował dla firmy California Pools, 5 maja 1994 roku tuż po południu wykopał spod ziemi coś dziwnego.

Kopał długi na jedenaście metrów dół pod basen w ogrodzie za domem przy Lorain Road 1920 w San Marino. Kiedyś była to własność Didi Sohus, a teraz mieszkali tam Bob i Martha Parada wraz z trzyletnim synem. Kupili dom w 1986 roku od Didi, która wyprowadziła się na parking wozów kempingowych po tajemniczym zniknięciu jej syna Johna, synowej Lindy i lokatora Christophera Chicheстера.

Nowi właściciele zburzyli sypiący się stary dom i wzniesli na jego miejscu dwukondygnacyjną willę. Domku gościnnego nie ruszyli i postanowili zbudować basen. W tamto majowe przedpołudnie w 1994 roku tyżka buldożera Pereza uderzyła w coś twardego znajdującego się metr pod ziemią. Sądził, że to śmieci, ponieważ poczuł smród zgnilizny. „Normalna sprawa - powiedział później Perez w rozmowie z dziennikarzem »Pasadena Star-News«. - Kopałem doły pod sześć tysięcy basenów i znalazłem samochód, konia i psa”.

Zeskoczył z buldożera, żeby usunąć przeszkodę. Jego ojciec Jose Perez senior, który również był członkiem ekipy budowlanej, podszedł zobaczyć, dlaczego robota stanęła. Okazało się, że tyżka buldożera rozbiła na kawałki pojemnik z włókna szklanego, w którym były plastikowe worki. Starszy Perez wziął do ręki metalową rurę i zaczął szturchać worki.

Właśnie wtedy Jose krzyknął, relacjonował Bill Woods, który mieszkał kilka domów dalej i usłyszał krzyk. W jednym z worków była ludzka czaszka „z włosami”, powiedział Perez miejscowej

gazecie. „Upuścił ją na ziemię i zobaczył coś, co wyglądało jak zęby i szczeka”, można przeczytać w raporcie policyjnym z tego zdarzenia. „Perez powiedział, że w pobliżu torby zobaczył inne kawałki kości, między innymi przedramię i fragment kręgosłupa”.

W dalszej części raportu można było przeczytać: „Rodzina Para-dów usiłowała zachować spokój, kiedy policja zajmowała się ustaleniem, kto zakopał ciało”.

- Niewątpliwie mamy do czynienia z przestępstwem - powiedział jeden z funkcjonariuszy.

Ekipa budowlana zatrzymała przejeżdżający radiowóz. Jednym z pierwszych funkcjonariuszy na miejscu zdarzenia była Tricia Gough. Czternaście lat później spotkałem się z Gough, posagową brunetką w czarnym T-shircie z emblematami motocyklistów, w kawiarni Starbucks. Nie badała już zabójstw, tylko uczyła w szkole policyjnej, ale jak większość osób, która tego dnia miała styczność z tą historią, zachowała o niej niezatarte wspomnienie.

- Obrys basenu był już widoczny - powiedziała - i tak trochę z boku leżały szczątki ludzkie w plastikowych workach, takich jak reklamówki z supermarketu. Ciało było do nich zapakowane, w dżinsach i - jeśli dobrze pamiętam - koszuli w kratkę. Były też skarpetki. Zawieźliśmy to wszystko do zakładu medycyny sądowej i tam rozcięli ubrania. W skarpetkach były kości palców stóp. Ktoś zapakował całe ciało do reklamówek.

Czy były to zwłoki Johna Sohusa? Ich wielkość odpowiadała jego mikremu wzrostowi. Zgadzało się też ubranie, Sohus prawie codziennie chodził w dżinsach i flanelowej koszuli. Ale twardych dowodów brakowało. Testów DNA nie dało się przeprowadzić, ponieważ John był adoptowany, a biologicznych rodziców nie zlokalizowano. Kartoteka dentystyczna rozwiązałaby sprawę, ale zaginęła, jak dowiedziała się Tricia Gough od dentysty Johna.

Policja skupiła uwagę na Christopherze Chichesterze - Gough powiedziała, że wielu mieszkańców San Marino było nim zauroczonych.

- Ludzie chcieli, żeby należał do ich kręgu - stwierdziła. - Z ich opowieści wynikało jednak, że był hochsztaplerem, który chciał się dorwać do ich pieniędzy. Ci ludzie tego nie dostrzegali. Twierdził, że pochodzi z rodziny bogatych przemysłowców. Jeśli ktoś jest taki bogaty, to dlaczego mieszka w domku gościnnym w zarośniętym ogrodzie za zaniedbanym domem?

Kiedy wyszło na jaw, że Chichester był oszustem, wszyscy nagle zachowywali się tak, jakby od początku to wiedzieli.

- Zwłaszcza wszystkie te urocze panie - powiedziała Gough, mając na myśli wdowy z San Marino, które zapraszały młodego przybysza do siebie, woziły go do kościoła i łykały wszystko, co im mówił.

- Podobno spędzał dużo czasu w Alhambrze - stwierdziła (Alhambra to miasteczko w pobliżu San Marino). Gough dowiedziała się, że Chichester jeździł do Alhambry z Johnem i Lindą Sohusami, którzy mieli tam znajomych. Lubił czytać i to go zbliżyło do Lindy. - Należy do tego typu ludzi, którzy powiedzą ci to, co chcesz usłyszeć. W stylu: „O, lubisz książki? Ja też!”. Można tak zareagować, nawet jeśli nie przeczytało się w życiu ani jednej. Chodzi o to, żeby zagaić rozmowę. Chichester jak kameleon zamienia się w kogoś, kto najlepiej pasuje do danej sytuacji.

- Kto pani zdaniem zamordował Johna Sohusa? - spytałem.

- Od początku uważałam, że Chichester maczał w tym palce, i nadal tak uważam - odparła. - Natomiast co do Lindy Sohus nie mam pewności. Intuicja mi podpowiadała, że ona w jakiś sposób brała w tym udział. Sądzę, że żyje, że gdzieś się ukrywa.

Ukrywa się gdzieś ze swoimi sześcioma kotami, które Gough uważała za bardzo silną poszlakę. Wszyscy mówili, że koty były dla Lindy jak dzieci i dlatego Gough była przekonana, że Linda kogoś po nie przysłała, zanim je uśpiono - kogoś, kto znał jej miejsce pobytu po śmierci Johna Sohusa i najprawdopodobniej znał Christophera Chicheстера.

- Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności - podsumowała.

W styczniu 1995 roku, dziesięć miesięcy po ślubie Clarka Rockefellera i Sandry Boss, John i Linda Sohusowie nagle znaleźli się na ustach wszystkich. Na ekranach telewizorów w całej Ameryce ukazał się odcinek *Unsolved Mysteries* zatytułowany San Marino Bones (Kości z San Marino), dzięki wytrwałym staraniom Sue Coffman i wznowionemu zainteresowaniu sprawą po odkryciu ludzkich szczątków, które najprawdopodobniej należały do Johna Sohusa.

Odcinek zaczyna się od wirującego logo *Unsolved Mysteries*. „Maj 1994 roku, San Marino, Kalifornia, kawałek na północ od Los Angeles - intonuje gospodarz, aktor Robert Stack. - Kopanie dołu pod basen w ogrodzie nagle ustało, kiedy robotnicy dokonali makabrycznego odkrycia: znaleźli trzy plastikowe torby i pojemnik z włókna szklanego z częściami ludzkiego szkieletu”.

Następne ujęcie: zbliżenie na dwóch członków ekipy budowlanej, jeden z nich otwiera plastikową torbę, w której znajduje się ludzka czaszka w stanie rozkładu. Zza kadru słychać głos policjanta: „Nie wiedzieliśmy, kim była ta osoba, i dowiedzieliśmy się później od umundurowanych funkcjonariuszy z San Marino, że w 1985 roku kobieta zamieszkała w tym domu zgłosiła zaginięcie dwóch osób”.

Potem cięcie na fotografii Johna i Lindy Sohusów w dniu ich ślubu: konusowaty maniak komputerowy w szarym garniturze i lotniczych goglach obok swojej wybranki, zwalistej dziewczyny z powiewającym wokół twarzy białym welonem, rozkojarzonym wzrokiem zapatrzonym w dal.

- Zaginionymi osobami byli John Sohus i jego żona Linda, oboje pod trzydziestkę - mówi Robert Stack. - Ich nagłe zniknięcie całkowicie zaskoczyło wszystkich, którzy ich znali. To ponure odkrycie było makabrycznym zwrotem w tej nierozwiązanej od prawie dziesięciu lat zagadce. Nagle się okazało, że albo John, albo Linda Sohus prawdopodobnie padli ofiarą przestępstwa.

Stack podchodzi do kamery w wypełnionym książkami gabinecie.

- Policjanci prowadzący śledztwo natrafili na grupę postaci, którą mógłby wymyślić autor powieści kryminalnych. Chociaż John i Linda od dwóch lat byli małżeństwem, nadal mieszkali z matką Johna Didi Sohus, którą wszyscy uważali za alkoholiczkę. Najbardziej intrygującą postacią okazał się jednak tajemniczy młody człowiek, który przedstawiał się jako Christopher Chichester.

Na ekranie wyświetla się zdjęcie okularnika w garniturze i krawacie. Lekko uchylone usta mają wyraz typowy dla snobistycznych przedstawicieli śmietanki towarzyskiej.

Następnie widzowie oglądają rekonstrukcję życia młodego małżeństwa, ich klaustrofobiczne współzamieszkiwanie z Didi Sohus, zakończone „przełomem, o którym marzyli” - ważną, ściśle tajną pracą dla rządu - i zniknięciem. Potem oglądamy sceny rozmów Didi ze znajomymi i rodziną Johna i Lindy, a w końcu z policjantami - część z nich zagrali prawdziwi funkcjonariusze, którzy prowadzili śledztwo.

Aktorka grająca Didi dygoczącą ręką podnosi słuchawkę i bełkotliwym głosem mówi „halo”. Ma na sobie wytarty różowy szlafrok, a w pomarszczonej dłoni trzyma wczesnopopołudniowego drinka.

- Czy Linda już wróciła? - pyta aktorka grająca siostrę przyrodną Lindy.

- Nie wolno mi nic mówić! - odpowiada Didi stanowczym tonem, ale po chwili dodaje wahania: - Misja!

- Misja? Jaka misja? O czym ty mówisz? - pyta siostra przyrodną Lindy.

Didi bardzo ogólnie mówi o pracy dla rządu, z powodu której John i Linda Sohusowie musieli tak nagle opuścić San Marino, po czym raptem ucina rozmowę słowami: „To wszystko, co mogę ci powiedzieć”, i ponownie kieruje uwagę na trzymanego w rękę drinka.

- Didi odmówiła podania tożsamości osoby, którą nazwała

swoim źródłem - mówi Robert Stack. - Nie mając dowodów na to, że doszło do przestępstwa, organy ścigania nie mogły wszcząć śledztwa.

Następnie program *Unsolved Mysteries* przedstawia fakty związane z wyprowadzką Didi z San Marino i jej śmiercią. „Dziewięć miesięcy później sprawa nieoczekiwanie przypomniła o sobie” - mówi Stack. Cięcie z wyniszczonej twarzy Didi na białego pikapa Johna i Lindy, który zatrzymuje się koło kościoła. Z samochodu wyskakuje aktor podobny do Christophera Chicheстера i podchodzi do młodego człowieka, który zamiata kościelne schody - syna pastora.

Potem widzimy, jak Chichester, który teraz stał się Christopherem Croweem, pokazuje samochód synowi pastora, wyjaśnia, że nie ma do niego tytułu własności, i mówi, że nabywca będzie musiał załatwić go sam w kalifornijskim wydziale pojazdów mechanicznych. Syn pastora składa wniosek o wydanie mu tytułu, dowiaduje się, że pikap jest obciążony niespłaconymi ratami leasingowymi, i postanawia go nie kupować. Ale dzięki poszukiwaniom tytułu własności policja w San Marino dowiaduje się, że pojazd należący do zaginionej pary znajduje się w Greenwich, skutkiem czego funkcjonariusz Daniel Allen z Greenwich odkrywa, że „pan Christopher i pan Crowe to ta sama osoba”.

Ekran znowu wypełnia obraz Crowea/Chicheстера w garniturze i krawacie.

- To było zdumiewające odkrycie - mówi Stack. - Crowe, Chichester - wszystko jedno, jakim nazwiskiem się posługiwał, tajemniczy były lokator wydawał się jedyną osobą, która mogłaby rzucić światło na zniknięcie Sohusów. Ale Christopher Crowe alias Christopher Chichester znowu rozplątał się w powietrzu... W konsekwencji śledztwo stanęło w miejscu - aż do odkrycia porąbanego szkieletu w maju 1994 roku.

Pracownicy zakładu medycyny sądowej ustalili, że zwłoki należały do młodego człowieka drobnej postury, co oczywiście zgadzało się z rysopisem Johna Sohusa. Nie było jednak

kartoteki dentystycznej, która pozwalałaby niepodważalnie potwierdzić tożsamość zmarłego. Nie było również żadnych śladów - takich jak otwory po kulach - które wskazywałyby, że popełniono morderstwo. Ale sposób pochowania kości - w trzech reklamówkach, osobno z czaszką w czwartej - kazał podejrzewać, że doszło do przestępstwa.

Potem odegrana zostaje scena, w której ekipa śledcza wchodzi do domku gościnnego za willą Didi Sohus. Policjanci spryskują betonową podłogę luminolem, związkiem chemicznym, który „świeci, jeśli wejdzie w kontakt z krwią, nawet jeśli plamy zostały usunięte przed wielu laty” - wyjaśnia Stack.

Dysponowałem dokumentami odnoszącymi się do testu z luminolem, które rzuciły dodatkowe światło na sprawę. Starsza kobieta, która mieszkała w domku gościnnym przed Christopherem Chichesterem, uszyła pokrowiec na sofę. Opuszczając domek, Chichester zabrał ze sobą pokrowiec, chociaż pasował tylko na tę konkretną sofę. Brakowało również dwóch kawałków wykładziny.

Śledczy, którzy w 1994 roku zjawili się w domku gościnnym, uznali, że pokrowiec został zabrany, ponieważ stanowił „obciążający dowód”, czyli była na nim ludzka krew. Postanowili wtedy spryskać podłogę luminolem. Test przeprowadzono 21 czerwca 1994 roku, czyli w dzień przesilenia letniego. Tego rodzaju testy wymagają całkowitych ciemności, żeby można było zobaczyć ewentualne świecenie śladów krwi. Śledczy musieli zaczekać do zachodu księżyca, czyli do 2.00. „Podłogę domku gościnnego na dawnej posesji Sohusów spryskano luminolem - mówi Stack. - Po chwili miało się okazać, czy są dowody na to, że popełniono morderstwo”.

Policjanci wkładają maski gazowe, gaszą światła i z napięciem wpatrują się w podłogę, na której wykwitła wielka rozjarzona plama - „na podłodze rozlała się duża ilość jakiejś substancji, naszym zdaniem krwi” - wyjaśnia śledczy z San Marino w programie *Unsolved Mysteries*.

- Plama światła była jednoznaczna - mówi Stack. - Ale czyja

krewni? Czy to John Sohus został zamordowany w domku gościnnym i zakopany w ogrodzie za domem? Jeśli tak, to co się stało z Lindą? Oficjalnie John i Linda nadal są zaginieni, być może szaleją w tej chwili po Europie i bawią się jak nigdy w życiu.

Odcinek *Unsolved Mysteries* kończy się wypowiedzią Roberta Stacka zza kadru stojącego na tle zdjęcia Christophera Chicheстера Crowea.

- Organy ścigania chciałyby porozmawiać z młodym człowiekiem znanym jako Christopher Chichester. Wiedzą, że naprawdę nazywa się Christian Gerhartsreiter i urodził się w Niemczech. Płynnie mówi po angielsku i posługuje się nazwiskami Christopher Crowe i Christopher Mountbatten. Gerhartsreiter urodził się w 1961 roku. Ma sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, waży siedemdziesiąt kilo i ma bardzo rzadkie ciemnoblonde włosy. Nie jest podejrzany, ale organy ścigania liczą na to, że może pomóc w wyjaśnieniu zagadki zniknięcia Johna i Lindy Sohusów. Jeśli ktoś posiada jakiegokolwiek informacje na ten temat, prosimy o zgłoszenie się w wydziale zabójstw Komendy Głównej w Los Angeles lub najbliższym komisariacie policji”.

Organy ścigania wiedziały teraz prawie wszystko - ustalono prawdziwe nazwisko oszusta, jego datę urodzenia, narodowość i rysopis, a także poprzednie miejsce pobytu i nazwisko, którym posługiwał się w Greenwich w stanie Connecticut.

Ale tak naprawdę nie wiedziały nic, ponieważ człowiek poszukiwany przez policję i - dzięki *Unsolved Mysteries* - amerykańską publiczność telewizyjną, zdążył zatrzeć wszelkie tropy. Nie występował pod żadnym nazwiskiem, którego używał w przeszłości lub które widniało w publicznych dokumentach. Teraz był Clarkiem Rockefellerem i w momencie emisji *Unsolved Mysteries* prowadził wystawne życie w nowojorskim Upper East Side ze swoją harwardzką narzeczoną, inteligentną, piękną i absolutnie niczego nieświadomą Sandrą Boss.

ROZDZIAŁ 12

Ostatnia wola Didi Sohus

W nadziei, że zgłębię tajemnicze wydarzenia w San Marino, umówiłem się na rozmowę z osobą kierującą śledztwem w sprawie Lindy i Johna Sohusów, sierżantem Timothyem Mileyem z wydziału zabójstw policji w Los Angeles. Spotkaliśmy się w barze hotelowym i Miley, który badał setki zabójstw, opowiedział mi o chyba najbardziej zawilej i skomplikowanej sprawie w swojej karierze.

- To jest jak puzzle z tysiącem elementów - powiedział. - Zostało sporo luk, ale sądzę, że cały obraz będzie dla pana względnie czytelny.

Historia, którą usłyszałem, zdawała się żywcem przeniesiona z annałów *film noir* - gatunku, który zawsze fascynował młodego imigranta we wszystkich jego wcieleniach.

- Różne starsze panie dawały mu trochę pieniędzy. Robił mnóstwo przekrętów, próbując wyłudzić od mężów tych pań 10 000 czy 15 000 dolarów. - Chociaż nikt nie chciał przyznać się do tego, że dał Chichesterowi pieniądze, Miley był pewien, że część mieszkańców San Marino to zrobiła. - Miał z czego żyć, chociaż nigdy nie pracował.

- Nie uważam go za geniusza - ciągnął Miley. - To zwykły manipulator. Znajduje ludzi, których łatwo zmanipulować, i wykorzystuje ich.

W cierpiącej na demencję alkoholiczce wynajmującej mu domek gościnny Christopher znalazł ofiarę, na której chciał zbić grubszą kasę, wyjaśnił policjant. Didi Sohus miała sporo wart dom, antyki otrzymane w spadku po matce i dużo środków

zainwestowanych w akcje i obligacje. Chichester prawdopodobnie próbował nakłonić ją do przepisania majątku na niego.

Główną przeszkodą na drodze do osiągnięcia tego celu był John Sohus, jedyny spadkobierca Didi, która musiałaby go wydziedziczyć, aby ktoś zajął jego miejsce. I tak właśnie Didi postąpiła, kiedy John wyruszył na swoją „tajną misję”. Po zniknięciu Johna i Lindy Didi zmieniła testament: „Będąc w pełni władz umysłowych i mając świadomość znaczenia swoich słów, niniejszym wydziedziczam Johna Roberta Sohusa i pozbawiam go udziału W spadku”. Według Mileya „Chichester przekonał Didi, że John i Linda ją porzucili, że nie chcieli mieć z nią nic więcej wspólnego”.

Policjant przedstawił swoją wersję tego, co się stało z Johnem i Lindą. Po pierwsze, Chichester wmówił małżeństwu, że załatwił im pracę w administracji państwowej w Nowym Jorku. Mieli polecieć na Wschodnie Wybrzeże osobno. Dzień przed planowanym wylotem Lindy widziano ją jednak płaczącą w kalifornijskiej miejscowości Loma Linda - siedziała w pikapie przed domem Elmera i Jean Kellnów, małżeństwa, które Chichester (wtedy jeszcze Gerhartsreiter) poznał, kiedy jeździł autostopem po Niemczech. Chichester pojechał do Kellnów po jakieś pudła. John Sohus prawdopodobnie już wtedy nie żył, zamordowany „tępy m narzędziem, uderzony twardym, płaskim przedmiotem w tył głowy”, jak napisał ekspert z zakładu medycyny sądowej. Linda nie mogła jednak tego wiedzieć. Przypuszczalnie płakała dlatego, że Chichester ciągle zmieniał plany. Miała być już w drodze do Nowego Jorku, ale wciąż tkwiła w Kalifornii. Była zdezorientowana i wystraszona, może zaczęła podejrzewać, że Chichester od początku okłamywał ją i Johna.

Spytalem Mileya, czy jego zdaniem Linda i Chichester sypiali ze sobą albo zawiązali jakiś spisek.

- Wszyscy tak sądzą, ale ja nie - odparł.
- Co się stało z Lindą?
- Myślę, że nie żyje, została zakopana gdzieś na pustyni -

powiedział Miley. - Nie sądzę, żeby mieszkała we Francji i wysyłała stamtąd pocztówki. - Na uzasadnienie swojej tezy, że kartki pocztowe, które dostawali znajomi i rodzina Lindy, nie były od niej, Miley dodał: - Nigdy nie miała paszportu, nie ma śladu po tym, żeby kiedykolwiek wyjeżdżała z kraju i wjeżdżała do niego z powrotem. Nie dysponowała środkami na wyjazdy zagraniczne i była za mało rozgarnięta, żeby załatwić sobie fałszywy paszport albo inny dokument tożsamości.

Chichester pozostał przy Lorain Road mniej więcej przez cztery miesiące po zniknięciu Johna i Lindy, „żeby dalej manipulować Didi”, powiedział Miley. Kiedy syn i synowa Didi rozplłynęli się w powietrzu, Chichester całkowicie opanował sytuację.

- Można założyć, że to on wszystkim sterował i miał pełną kontrolę nad Didi.

Trochę wiedziałem na temat okresu, który Chichester spędził sam na sam z Didi po rzekomym wyjeździe Johna i Lindy, zarówno z dossier otrzymanego w Bostonie, jak i z rozmów z sąsiadami. Jeden z mieszkańców San Marino wspominał, że pewnego dnia Chichester przyszedł pożyczyć piłę łańcuchową, co zdziwiło sąsiada, ponieważ Chichester był człowiekiem tak wątlej postury, że sprawiał wrażenie niezdolnego do jakiegokolwiek pracy fizycznej. „Powiedział, że chce przyciąć chaszczę” - zeznał później sąsiad na policji. W raporcie policyjnym zacytowano też sąsiadkę, która zeznała, że mniej więcej w tym samym czasie Chichester spalił coś w kominku w domu przy Lorain Road 1920. Smród był „ohydny, do niczego niepodobny” - powiedziała kobieta.

W maju 1985 roku Chichester zaprosił swoją znajomą Danę Farrar, studentkę szkoły filmowej na USC, na grę w Trivial Pursuit. Zjawiała się na Lorain Road z koleżanką i Chichester przyjął je nie w domku gościnnym, tylko w willi. Didi nigdzie nie widziały. Wszyscy usiedli na tarasie i zaczęli grać. Chris kilka razy wchodził do środka po mrożoną herbatę i przekąski, zachowywał się jak pan domu. „Wyjechali.

Nie będą mieli nic przeciwko temu” - wyjaśnił, kiedy Farrar spytała go, gdzie jest gospodyni i jej syn z żoną.

W pewnym momencie Dana podniosła wzrok znad planszy i zauważyła coś dziwnego. Ogród za domem został bardzo niedawno przekopany, wyglądało to tak, jakby ktoś wykopał dużą dziurę, a potem zasypał ją świeżą ziemią.

- Co się dzieje w ogrodzie, Chris? - spytała.

- Nic takiego, było trochę problemów z hydrauliką.

Tim Miley mówił również o Donie i Lindzie Wetherbee, na których natrafiłem, kiedy badałem życie Didi Sohus. Mieszkali dwadzieścia minut od San Marino, na parkingu wozów kempingowych w La Puente, gdzie mieli salon sprzedaży wozów kempingowych Lindas Mobile Homes.

Chociaż byli oddaleni o lata świetlne od elitarnego świata San Marino, zostali najbliższymi przyjaciółmi Didi Sohus w ostatnich latach jej życia, opiekowali się nią po „porzuceniu” jej przez syna. Przeprowadzili transakcję sprzedaży jej domu przy Lorain Road, kiedy prawdopodobnie była już zbyt chora i miała za mało środków, żeby mieszkać tam sama. Sprzedali jej wóz kempingowy znajdujący się prawie obok ich wozu w La Puente i byli jej jedynymi opiekunami, a później stali się również wykonawcami testamentu i spadkobiercami Didi. Don Wetherbee zmarł w 2001 roku, a Linda siedem lat później, ale Tim Miley dotarł do Lindy na krótko przed jej śmiercią. Była stara i schorowana, mieszkała w domu starców, ale zachowała jasność umysłu. Przedstawiła „szkielet przyznania się do winy”, jak to określił policjant.

- Mówiła bardzo cicho i niepewnie, kiedy odpowiadała na moje pytania.

- Jak pani poznała Didi? - brzmiało jedno z nich.

- Przez lokatora domku gościnnego - odparła.

- Państwo Wetherbee zostają przedstawieni Didi i przejmują kontrolę nad jej życiem - powiedział mi Miley. - Po sprzedaży jej

domu pożyczają od niej 40 000 dolarów. W testamencie Didi umarza tę pożyczkę.

- Co się stało z tymi pieniędzmi? - spytał Miley Linde Wetherbee.

- Daliśmy je Chichesterowi - odparła i dodała, że był to element układu, jaki z nim zawarli - honorarium za przedstawienie ich Didi.

Po śmierci Didi Chichester miał otrzymać kolejną zapłatę, może nawet 100 000 dolarów. Stanowiło to połowę szacowanej wartości jej majątku - dochodu ze sprzedaży domu, wozu kempingowego, inwestycji i osobistego dobytku.

Czy Chichester powiedział państwu Wetherbee prawdę o Didi Sohus i jej zaginionym synu i synowej? Próbując dowiedzieć się więcej, skontaktowałem z dwojgiem potomków Wetherbee. Nie wyrazili zainteresowania rozmową. Jedyne żyjące krewny Didi Sohus nie chciał rozmawiać o śledztwie w sprawie morderstwa, ale powiedział, że kiedy odwiedził Didi w 1986 roku, słabo słyszała, była schorowana i bardzo samotna. „Chciała, żebym z nią zamieszkał”. Odmówił. Jeśli chodzi o Christophera Chicheстера, to adwokaci reprezentujący go jako Clarka Rockefellera stanowczo utrzymywali, że nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Johna i Lindy Sohusów.

Kiedy Didi znajdowała się pod czujną opieką Dona i Lindy Wetherbee Chichester w połowie 1985 roku wyjechał z San Marino pikapem Johna i Lindy Sohusów, prawdopodobnie z 40 000 dolarów Didi - w tamtych czasach niebagatelna suma - aby rozpocząć nowe życie na Wschodnim Wybrzeżu jako Crowe.

- Był to jego kapitał założycielski w grze o to, żeby zostać kimś - powiedział Miley. - Po zainstalowaniu Wetherbee w życiu Didi Chichester znika, tak jak się umówili. Taki jest plan. Teraz oni przejmują stery. Didi jest zestresowana, bo nie ma jej doradcy, czyli Chicheстера. Nie pozostaje jej nic innego, jak w całości zdać się na Wetherbee.

Chichester ponownie przyjechał do San Marino dopiero w listopadzie 1988 roku, już jako Christopher Crowe. Odwiedził

swój dawny dom po wizycie w Kalifornii z Ralphem Boyntonem z Kidder Peabody, który chciał go wypróbować jako handlarza obligacjami. Na chwilę znowu przybrał nazwisko Christopher Chichester i spędził w San Marino tylko jeden dzień. Właśnie zakończył się podział majątku Didi Sohus i Chichester przyjechał po swoje. Ale nie dostał, ponieważ Don i Linda Wetherbee go „wykiwali”, jak to nazwał Miley.

- Zjawił się w 1988 roku po podziale spadku, a oni kazali mu spieprzać. Już wydali te pieniądze.

- Powiedzieliśmy mu, że nie możemy mu dać żadnych dodatkowych pieniędzy, bo włożyliśmy je w nietrafione inwestycje - powiedziała Linda Wetherbee Mileyowi i dodała, że razem z mężem uważali, że cały majątek Didi słusznie im się należał jako rekompensata za czas, który poświęcili Didi przed jej śmiercią.

- Opiekowałam się nią do końca życia - powiedziała Linda. - To nie było tak, że wzięłam jej pieniądze i na tym koniec. Woziliśmy ją do lekarzy i przez ostatnie dwa lata spędzaliśmy z nią wiele czasu.

W tym momencie do pokoju Lindy weszła pielęgniarka i poprosiła Mileya, żeby przerwał przesłuchanie i wrócił kiedy indziej.

- Przyszedłem za jakiś czas, ale już nie żyła - powiedział policjant.

Tak wyglądała cała ta przekłeta sprawa, żalił się: świadkowie umierali, prokuratorzy okręgowi odchodzili z pracy, jak tylko zaczęli robić postępy, śledczy frustrowali się tą sprawą i postanawiali zająć inną, prostszą. W konsekwencji jej najważniejszy aktor nie tylko pozostawał na wolności, ale też wspinał się po drabinie społecznej w butach Rockefellera.

Po kwakerskim ślubie Clarka i Sandry w październiku 1995 roku stało się coś dziwnego. Pan młody zażyczył sobie, aby wszyscy goście - rodzice, siostra i szwagier Sandry - opuścili wyspę Nantucket, bo chciał być sam z żoną. Zastosowali się i odpłynęli promem na stały ląd. Było oczywiste, że w tym

małżeństwie rządu Rockefeller.

- Czy w momencie ślubu lub w ciągu następnych kilku miesięcy charakter waszego związku uległ zmianie? - zapytano Sandrę w sali bostońskiego sądu.

- Powiedziałabym, że oskarżony - wtedy mój mąż - zaczął dawać większy upust swojej prawdziwej naturze - odparła. - Dawniej zdarzało mu się już kilka razy być rozdrażnionym, ale później zawsze mnie przeproszał. Teraz częściej się złościł. Druga ważna zmiana polegała na tym, że w znacznie większym stopniu chciał kontrolować moje życie.

Upał się, że będzie ją codziennie odprowadzał do pracy i z pracy. Poza tym zaczął ograniczać i kontrolować jej kontakty towarzyskie. Wygłaszał coraz bardziej krytyczne uwagi, zeznała. Mówił jej, że „ta czy inna osoba jest głupia, ma zły gust czy coś tam i że nie powinnam się z nią zadawać”.

Przeprowadzili się do mieszkania na rogu 55th Street i Sixth Avenue w Nowym Jorku. Rockefeller rzekomo kierował firmą Asterisk LLP, która doradzała krajom Trzeciego Świata w kwestiach finansowych - tak mówił Sandrze i innym.

- Żeby podejmowały dobre decyzje co do stóp procentowych i poziomu wydatków - wyjaśniła Sandra.

Nie zarabiał na tej pracy, ponieważ kraje, które postrzegały go jako swojego wybawcę finansowego, były biedne jak myszy kościelne, w związku z tym uważał, że pobieranie od nich honorarium za doradztwo byłoby „bezduszne”.

Wydawało się to najzupełniej wiarygodne, ale teraz nie ulega wątpliwości, że Clark wymyślił sobie tę pracę. Tymczasem Sandra robiła karierę w McKinsey & Company.

- Obsługujemy duże instytucje i pomagamy im przygotowywać programy rozwiązywania problemów, z którymi same nie są w stanie się uporać. Tym się zajmuję - powiedziała sądowi.

Mimo że mąż w coraz większym stopniu ją kontrolował, szybko wspinała się po szczeblach korporacyjnej hierarchii. Doszło do tego, że z ramienia McKinseya doradzała nowojorskiemu senatorowi Charlesowi Schumerowi i burmistrzowi Nowego

Jorku Michaelowi Bloombergowi. Rockefeller twierdził potem, że po części zawdzięczała to magii jego nazwiska, którą wykorzystywała, „kiedy mogło to przynieść jej korzyść”, jak powiedział później w wywiadzie prasowym.

- Z reguły robiła to bardzo subtelnie, zwracając uwagę na swoje nazwisko w ten sposób, że nie wspominała o nim ani słowem. „Cii, ona jest żoną Rockefellera”, w tym stylu.

Znajoma Sandry dodała:

- Wszyscy wiedzieli, że wyszła za Rockefellera, a ona zachowywała się tak, jakby nie przywiązywała do tego wagi, ale przywiązywała.

Jej mąż bardzo podobnie wykorzystywał swoje otwierające wszystkie drzwi nazwisko: im mniej o nim mówił, tym większym blaskiem świeciło i nikt nie miał powodów wątpić w jego autentyczność - tak jak nikt nie miał powodów wątpić w autentyczność dzieł sztuki, które wisały na ścianach mieszkania młodożeńców. Obrazy uwiarygodniały nazwisko i vice versa.

Dlaczego nie mógł sprzedać choćby jednego z tych obrazów - za każdy dostałby miliony - w ramach swojego wkładu finansowego w małżeństwo? Tłumaczył Sandrze, że obrazy należą do rodzinnej fundacji.

- Mówił: „To wielki majątek i obowiązują ściśle reguły dotyczące dysponowania nim. Możemy je sprzedać za dziesięć lat”.

A do tego czasu można cieszyć nimi oczy.

„W zimne, deszczowe nowojorskie popołudnie świętowaliśmy nasz pierwszy zakup dzieła sztuki, dużego obrazu Marka Rothki” - można przeczytać w artykule zatytułowanym The Spitting Image opublikowanym na łamach czasopisma „ARTnews”. Jako autora tekstu podano Sandrę Boss, ale w powszechnym przekonaniu napisał go jej mąż. „Nasz marszand i ekspert od twórczości Rothki właśnie przyszedł do naszego mieszkania, kiedy Yates, nasz czterdziestokilowy seter szkocki, wrócił ze spaceru, wskoczył na swoje ulubione miejsce na sofie i pokręcił głową. Z pyska ściekała mu dziesięciocentymetrowa wstęga

śliny”. Ślina wylądowała na jednym z obrazów Rothki i Rockefeller nonszalancko wytarł ją ręczniczką kuchenną, co według Sandry potwierdzało prawdziwość tezy jej męża, że sztuka i rasowe psy mogą żyć ze sobą w harmonii, mimo pewnych „drobnych konfliktów interesów”.

Pan i pani Rockefeller też różnili się od siebie, ale żyli ze sobą we względnej harmonii, przynajmniej na początku. „Oboje byli bardzo sztywni, bardzo formalni; ona sprawiała wrażenie zdystansowanej, prawie speszonej” - powiedziała znajoma, która kilka razy poszła z nimi na kolację. Zaczynali od drinków w jednym z klubów Rockefellera, na ogół w Lotosie, snobistycznym klubie literackim w pałacu Vanderbilta, gdzie obsługa zawsze witała Clarka chóralnym „Dobry wieczór, panie Rockefeller”.

Pewnego razu poszli do klubu, z którego roztaczał się wspaniały widok na nowojorskie morze dachów. Znajoma wspominała:

- Wyjrzałam przez okno i powiedziałam: „Popatrz, Clark, widać stąd Rockefeller Center!”. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął jakiś klucz i powiedział: „Tak, mam tutaj klucz”. To był pierwszy raz, kiedy ogarnęły mnie wątpliwości. Pomyślałam: „To niemożliwe, żeby był tylko jeden klucz do Rockefeller Center”. Co powiedziała Sandra? Prawdopodobnie nic. Pamiętam tylko, jak wymawiała jego imię - rozciągała je do dwóch sylab: „Och, Cla-aaaark!” A on nazywał ją Sohn-dra”.

Chociaż mąż znajomej, znany i szanowany specjalista, był pod wielkim wrażeniem, ona nie dała się kupić.

- Byłam zniesmaczona rzucaniem znanymi nazwiskami, nadmiernym bogactwem, spodniami khaki i koszulką polo. Poza tym to nie byli ludzie, z którymi miałabym ochotę przebywać. Nie byli serdeczni. Co chwila patrzyłam na zegar i myślałam sobie: „Proszę Cię, Boże, niech ta kolacja już się skończy”. Myślę, że innym imponowało, że są z Rockefellerem. Nie miało dla nich znaczenia, czy dobrze się czują w jego towarzystwie, liczył się prestiż.

Wielka kariera w finansjerze, jedwabne ascoty i muzealnej jakości kolekcja dzieł sztuki (której autentyczności nigdy nie zakwestionowano) - wszystko to uwiarygodniało oszustwo Rockefellera.

Sandra pięła się coraz wyżej w hierarchii McKinseya, przez co miała mniej czasu dla męża, który dużo spacerował z Yatesem po Central Parku. „Mój pies był zakochany w Amelii, psie Henrygo Kissingera”. Pewnego dnia broadwayowski producent Jeffrey Richards spotkał w parku Rockefellera, który spacerował z psem. Zaczęli rozmawiać i Richards powiedział mu, że jest producentem nowej sztuki Davida Ivesa, autora *All in the Timing*. „Sześć razy widziałem ten spektakl!” - zawołał Rockefeller i dodał, że może zasponsoruje nową produkcję.

Byłoby świetnie mieć w CV Rockefellera, pomyślał Richards, który przedstawił potencjalnego inwestora Ivesowi. Rockefeller zaproponował, że zawiezie dramaturga na południe Francji swoim odrzutowcem, który trzymał w Teterboro, na lotnisku dla prywatnych samolotów w New Jersey. Jednakże ani odrzutowiec, ani sponsoring nigdy się nie zmaterializowały.

W domu Clark coraz bardziej skupiał się na Sandrze i jej pracy.

- Zwłaszcza w początkowym okresie był niezadowolony z tego, że za mało zarabiam, i ciągle naciskał na mnie w tej sprawie - zeznała. - Zwróciłam mu uwagę, że mógłby sobie znaleźć płatną pracę i dokładać się do domowego budżetu, a on mi odpowiedział, że jego społeczna praca doradcza jest bardzo ważna i doprowadzi do wielkich rzeczy.

Do jakich wielkich rzeczy?

- Powiedział, że być może uda mu się dzięki temu zdobyć pracę na wysokim stanowisku - zeznała Sandra.

Obrońca oskarżonego Jeffrey Denner zasugerował, że słowa te - podobnie jak stwierdzenie Rockefellera, że zapłacił marynarce wojennej 50 milionów dolarów, aby zakończyć proces o defraudację przeciwko jego ojcu - powinny wzbudzić

podejrzliwość każdej rozsądnie myślącej osoby.

- Jest pani znakomitą ekonomistką i konsultantką biznesową, prawda? - spytał prawnik.

- Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat i nie znałam życia.

Jej długie godziny pracy w McKinseyu spowodowały, że bezrobotny Clark mógł z jeszcze większym zaangażowaniem oddawać się swojemu ulubionemu zajęciu: chodzeniu na spacerzy z psem i zdobywaniu nowych przyjaciół. Jednym z nich był artysta William Quigley, którego prace kupowali politycy, przedstawiciele świata rozrywki i znani ekonomiści. Pewnego dnia znajoma poinformowała go, że chodziła z psem po Central Parku i spotkała człowieka z seterem szkockim.

- „Bill - powiedziała - ten człowiek zabrał mnie do swojego domu i okazało się, że ma niesamowitą kolekcję sztuki!” - relacjonował mi Quigley.

Siedzieliśmy w jego studio w SoHo na dolnym Manhattanie, w otoczeniu jego dużych, jasnych płócien. Ten grubawy, sympatyczny mężczyzna z długimi włosami szybko zapalił się do tematu Rockefellera, wyciągał listy i inne pamiątki z okresu, kiedy spędzał sporo czasu z rzekomym koneserem sztuki. Powiedział, że jego znajoma, Kanadyjka, nigdy wcześniej nie słyszała o rodzinie Rockefellerów, ale jego zbiory sztuki powaliły go na kolana. „Musisz ją zobaczyć!” - nakłaniała Quigleya, który mieszkał wtedy w Los Angeles. W ramach dodatkowej zachęty powiedziała mu, że pokazała swojemu nowemu znajomemu przezrocza z jego twórczością i wielki kolekcjoner był pod dużym wrażeniem.

- Chce cię poznać! - entuzjasmowała się.

- Spytałem ją, jak się nazywa. - Quigley uśmiechnął się do mnie zgrzyliwie. - Odparła, że nie pamięta, że to jakieś ważne amerykańskie nazwisko, ale ciągle wypada jej z głowy. Powiedziałem jej na to: „Jak można zapomnieć coś takiego? Vanderbilt? Mellon?”.

- Nie, ma dłuższe nazwisko.

Podsuwał jej inne sugestie, ale nie trafił. Następnego dnia

zadzwońiła do niego i powiedziała:

- Ma na imię Clark, a na nazwisko Rockefeller!

Quigley o mało nie upuścił słuchawki.

Jego znajoma wyprowadza psa na spacer z Rockefellerem?

Quigleyowi opadła szczęka - zwłaszcza kiedy powiedziała mu:

- No. Przesympatyczny facet. Musisz go poznać.

Quigley poleciał do Nowego Jorku i znajoma umówiła go na spotkanie. W foyer nowojorskiego apartamentowca zobaczył drobnej postury mężczyznę odzianego w jego codzienny strój, jak się później okazało: czapka bejsbolowa, koszulka polo, niebieski blezer, spodnie khaki. Typowy obraz przedstawiciela wyższych sfer. Człowiek ten emanował starymi pieniędzmi, dobrym wychowaniem i nienagannym gustem. Quigley od razu wiedział, że ma do czynienia z Clarkiem Rockefellerem.

- Pan Quigley, jak sędę - Rockefeller powitał artystę chłodnym tonem.

W dalszej fazie ich znajomości nadal zwracał się do niego po nazwisku.

Poszli do mieszkania Rockefellera, gdzie gospodarz poczęstował artystę kieliszkiem sherry, ale nie pokazał mu swojej kolekcji. Jeszcze nie. Zdążył już poznać siłę powściągliwości. Nie wykładając od razu wszystkich kart na stół, pogłębiał aurę tajemniczości, która go otaczała. Spytał Quigleya, jak długo będzie w Nowym Jorku.

- Trzy dni - odparł Quigley.

Chwilę porozmawiali o różnych sprawach i artysta sobie poszedł. Minęły dwa dni i Rockefeller nie kontaktował się z Quigleyem. Wieczorem w przeddzień wyjazdu artysty zadzwonił telefon.

- Quigley, chciałbym, żeby pan do mnie przyszedł i obejrzał kolekcję.

Poinstruował go, by przyszedł o 22.00, bo o tej porze wyprowadza psa na spacer.

Długo chodzili po parku, a potem Rockefeller powiedział, że czas już wrócić do mieszkania i zobaczyć jego zbiory.

- Idziemy do mieszkania - wspominał Quigley. - Było koło 22.30. Nagle znalazłem się pośród tych niesamowitych prac. Czytałem wtedy *The Legacy of Mark Rothko*, jedną z najlepszych książek, z jakimi miałem w życiu do czynienia. Przedstawia rynek sztuki od kuchni. - Na ścianie zobaczyłem *Black on Grey*, obraz z przełomowego późnego cyklu Rothki - należąca do tego cyklu pracę z 2007 roku sprzedano w domu aukcyjnym Christies za 10 milionów dolarów. - Zobaczyłem, że facet rzeczywiście zgromadził bardzo cenną kolekcję - ciągnął Quigley. - Pomyślałem sobie: „Nie do wiary!”. W holu zobaczyłem kolejnego Rothkę. Potem wróciłem do salonu, stosunkowo niedużego i oszczędnie umeblowanego pomieszczenia. Dwie czarne sofy z mnóstwem psiej sierści i mały stolik do kawy. Jasny dębowy parkiet był trochę zniszczony - w sumie nie robiło to powalającego wrażenia.

Na ścianie wisiało jednak kolejne płótno, którego miejsce z pewnością nie było w prywatnym mieszkaniu.

- Trzymetrowy Barnett Newman - powiedział (Newman to jeden z pionierów abstrakcyjnego ekspresjonizmu, który zmarł w 1970 roku). - U dołu po lewej zobaczyłem brązową smugę. Powiedział, że to sprawka jego psa, który pewnego dnia wrócił ze spaceru ubłocony i zabrudził obraz, a Clark po prostu tak to zostawił.

Typowe dla arystokraty, pomyślał Quigley. Ale na tym nie koniec.

- Dwa obrazy Clyfforda Stilla, jednego z moich ulubionych artystów - powiedział. - Naprawdę duże obrazy. A potem Robert Motherwell nad kominkiem. I jeszcze dwie albo trzy prace Rothki.

Wartość kolekcji była gigantyczna, ale nie to zrobiło na Quigleya największe wrażenie. Przede wszystkim poruszyło go, że te dzieła znajdują się w prywatnym mieszkaniu, a nie w muzeum.

- Byłem podekscytowany i powalony na kolana, ale nie dlatego że poznałem Rockefellera. To też odgrywało pewną rolę, ale... -

Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. - Ostupiałem. Pomyślałem: „No nie, Mondrian!” Uważnie przyjrzałem się obrazom. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że to falsyfikaty czy reprodukcje. Dokładnie je oglądałem i pomyślałem: „To są niesamowite obrazy”. Czułem swego rodzaju więź z tymi artystami. Znałem ich twórczość. Manny Silverman zorganizował mi wtedy wystawę, a jest może najważniejszym marszandem tego typu prac w Stanach Zjednoczonych. Ci artyści byli moimi bohaterami. Pewnie właśnie dlatego Clark i ja tak dobrze dogadywaliśmy się na początku, naprawdę znałem historię abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Specjalizowałem się w tym.

Quigley i Clark rozmawiali przez około czterdzieści pięć minut.

- Chyba nawet nie usiedliśmy. Obrazy mnie powaliły. W pewnym momencie pogłaskałem psa, a on powiedział: „O tej porze zwykle kładę się do łóżka. Robi się późno. Pozostajemy w kontakcie. Zgłoszę się do pana, dobrze?”

Quigley poleciał z powrotem do Los Angeles. On i Rockefeller utrzymywali ze sobą kontakt telefoniczny i mailowy. Clark pomógł artyście zaprojektować stronę internetową, podobnie jak wielu innym znajomym.

- Clark i ja zaczęliśmy pogłębiać naszą znajomość, kontaktując się ze sobą mailowo i przez telefon.

Jakiś czas później Quigley przeprowadził się do Nowego Jorku, gdzie ich znajomość jeszcze bardziej się pogłębiła. Później, kiedy Rockefeller trafił na czołówki gazet i Quigley był oblegany przez media, wydał oświadczenie na temat swojej przyjaźni z rzekomym potomkiem wielkiego rodu:

Wydawało się, że zna wszystkich w świecie sztuki, chociaż nienawidził idei sztuki jako inwestycji. Był purystą o znakomitym guście, dzięki czemu znakomicie nam się rozmawiało. Chodziłem do galerii, których właściciele pokazywali mi wszystkie posiadane prace jakiegoś artysty

tylko dlatego, że Clark do nich zadzwonił.

Clark znał się na historii sztuki i estetyce lepiej od większości artystów, których znam. Posiadał niezwykle szeroką wiedzę z historii sztuki i wyrażał bardzo zdecydowane poglądy na temat niektórych malarzy i artystów. Naturalnie, pochlebiało mi, że jestem znajomym członka rodu Rockefellerów.

Jego rodzina jest w posiadaniu dzieł najwybitniejszych dwudziestowiecznych artystów. Po obejrzeniu kolekcji obrazów ani przez chwilę nie wątpiłem, że ten człowiek jest Rockefellerem. Zabierał mnie do snobistycznych prywatnych klubów, w których wszyscy zwracali się do niego per pan Rockefeller.

Chociaż miałem szczęście osobiście poznać wielu wybitnych ludzi z różnych środowisk, którzy wspierali moją twórczość, ta konkretna znajomość dodała mi pewności siebie i wzbudziła we mnie przekonanie, że moje malarstwo może posiadać pewną trwałą wartość.

Gdzieś z tyłu głowy Quigley miał nadzieję, że nowy znajomy okaże zainteresowanie zakupem niektórych jego prac. To, co zaczęło się jako relacja czysto biznesowa, szybko jednak przerodziło się w przyjaźń. Quigley bardzo interesował się życiem tego wielkiego człowieka. Wypracowali sobie stały program dnia, spotykali się punktualnie o 15.00 w jednym z prywatnych klubów, do których należał Rockefeller, najczęściej w Lotosie.

- Siedzieliśmy w bibliotece i dyskutowaliśmy o wydarzeniach tygodnia.

W Lotosie wszyscy go znali. W gablocie w holu wisiała lista członków klubu. Widniał tam L. Rockefeller - znany przyrodnik i filantrop Laurance Rockefeller - i blisko niego C. Rockefeller.

- Quigley, gdybym zrobił cię członkiem - może załatwiłbym ci zniżkę na roczne wpisowe - twoje nazwisko znalazłoby się tuż powyżej mojego - powiedział Clark, który sprawiał wrażenie zachwyconego tym pomysłem.

Z rzadka towarzyszyła im Sandy, która z reguły pracowała. Uczestniczyła wtedy w dużym projekcie McKinseya wymagającym częstych podróży do Toronto. Dwaj przyjaciele mieli dzięki temu sporo czasu na walenie się po Nowym Jorku. Czasem Rockefeller zapraszał do ich stolika jakiegoś wybitnego gościa, jak na przykład pewnego razu w Metropolitan Club.

- Siedział z nami profesor Harvardu, wielki erudyta - powiedział Quigley. - Rozmawiali o literaturze, ale przede wszystkim o Gwiezdnym wojnach i fizyce kwantowej. Siedziałem między nimi i to było jak ping-pong. Nie nadażalem za nimi.

W bibliotece Lotos Club Rockefeller wypijał czasem drinka manhattan. Któregoś razu Quigley zauważył, że Rockefeller intensywnie wpatruje się w biblioteczne regały. Artysta odniósł wrażenie, że dręczy go jedna z setek książek. W końcu Rockefeller wstał, wyjął jakiś tom i odwrócił go, tak żeby nie widać było grzbietu.

- Nie mogłem już na nią patrzeć - powiedział Clark.

Quigley podniósł wzrok, żeby zobaczyć tytuł: Titan, biografia Johna D. Rockefellera pióra Rona Chernowa.

Z biblioteki przechodzili do jadalni. Clark z reguły zamawiał to samo - potrawy znane z dzieciństwa, jak sądził Quigley. „A, weźmy ostrygi Í la Rockefeller!” - mówił, kiedy pochylali się nad nimi kelnerzy, a oczy innych członków były skierowane w ich stronę.

Szybko stało się to tradycją: ostrygi Í la Rockefeller z Rockefellerem.

- Wiesz, dlaczego nazywają je ostrygi Í la Rockefeller? - spytał pewnego razu Clark, kiedy na stole stanęły ostrygi pieczone w szpinaku. - Bo są zielone.

Clark lubił się stołować również w Seventh Regiment Mess, restauracji w Park Avenue Armory, jednego z klubów dla nadzianych stałych bywalców. „Jesteśmy członkami od lat” - powiedział Rockefeller w zabytkowej sali, w której często jadał „wujek David”, jedyny żyjący wnuk Johna D. Rockefellera.

- Clark ciągle używał słowa „nadzwyczajne” - wspominał Quigley. - Wszystko, co jedliśmy albo o czym rozmawialiśmy, mogło być „nadzwyczajne”. Uwielbiam to słowo. Uważałem je za bardzo charakterystyczne dla Clarka.

Po posiłku złożonym z żeberek wołowych i gotowanej kukurydzy z fasolą - specjalność Seventh Regiment Mess - Rockefeller składał serwetkę i wołał: „Czy to nie nadzwyczajne?”. Jeśli wieczór był wyjątkowo nadzwyczajny, Clark dodawał: „To jest wieczór melby z brzoskwiniami!”. Zamawiał melbę z brzoskwiniami i dwaj dorośli mężczyźni siedzieli i zajadali lody.

Jeśli chodzi o zakup dzieła sztuki przyjaciela, przedsięwzięcie to nie miało nadzwyczajnego zakończenia. Wbrew obietnicom, Rockefeller zwlekał z nabyciem obrazu Quigleya - w tamtym czasie kosztowałoby go to około 10 000 dolarów. Zabiegał jednak o innych kupców - namówił Larryego Gagosiana, jednego z najbardziej znanych marszandów świata, żeby reprezentował artystę. „Niektórzy uganiają się za nim, a on nigdy nie oddzwania. Do mnie dzwoni za często” - powiedział Rockefeller Quigleyowi.

Zatelefonował do Gagosian Gallery i powiedział, że chce kupić obraz Quigleya. Jeden ze wspólników Gagosiana natychmiast skontaktował się z artystą i poprosił go o przysłanie przezroczy z jego pracami. „Jutro Sandy i ja pójdziemy do Gagosiana w Nowym Jorku i przyjrzymy się twojemu portfolio - napisał Rockefeller w e-mailu do Quigleya z 11 października 1998 roku. Zabierzemy ze sobą bardzo ważną osobę z Whitney Museum i złożymy zamówienie na dwanaście obrazów. [...] Ta operacja powinna zrobić niemałe wrażenie na Gagosianie”.

Rockefeller wielokrotnie zapewniał Quigleya, że cena nie gra roli, jeśli chodzi o sztukę. Wyraził to wprost w liście polecającym dla artysty:

Szanowni Państwo,
pan Quigley poprosił mnie, abym ocenił jego talent, wartość finansową jego dzieł i jego potencjał finansowy jako artysty. Każdego kolekcjonera proszącego o takie referencje uważam za niegodnego posiadania jakiegokolwiek dzieła sztuki. Jestem właścicielem jednej z największych prywatnych kolekcji sztuki współczesnej i wiem, że prace pana Quigleya mogą się mierzyć z obrazami wielu spośród najwybitniejszych artystów z mojej kolekcji. Nie znam cen obrazów pana Quigleya i nie umiem nic powiedzieć na temat ich wartości. Za każde dzieło, którego jestem właścicielem, płaciłem czekiem in blanco i prosiłem mojego bankiera, żeby nie podawał mi sumy. Uważam, że jest to jedyny sposób na zbudowanie zaufania pomiędzy żyjącymi artystami i autentycznymi kolekcjonerami.

Na pytanie, czy uważam prace pana Quigleya za tak zwaną dobrą inwestycję, mogę tylko odpowiedzieć, że nie mam szacunku do ludzi, którzy przy zakupie dzieł sztuki kierują się wyłącznie chęcią zysku. Mam szczerą nadzieję, że tak zwani inwestorzy stracą swoje pieniądze do ostatniego centa. Niestety, tak się nie stanie, jeśli kupią Quigleya.

Podpisał się samym nazwiskiem, zamaszystymi zawijasami. Rockefeller twierdził później, że kupił tylko jedną małą pracę Quigleya, dzięki czemu był on jedynym żyjącym artystą w jego kolekcji.

Nie uwierzysz, Quigley. Właśnie kupiłem jeden z twoich obrazów. Szedłem Eight Avenue i szukałem taśmy klejącej. W pewnym momencie spojrzałem w witrynę antykwariatu, który czasem sprzedaje dzieła sztuki. Mój znajomy znalazł tam kilka lat temu autentycznego Murilla [Bartolomé Esteban Murillo, hiszpański malarz barokowy, 1617-1682] wartego prawdopodobnie ponad milion dolarów. Sklep, którego

właścicielem jest antykwariusz wyspecjalizowany w starych amerykańskich meblach, skupuje całe masy spadkowe, z reguły po to, żeby tanio dostać antyczne meble. Nie wie, co kupuje, i często sprzedaje rzeczy, których prawdziwej wartości nie zna. Wpadł mi w oko abstrakcyjny obraz w rogu witryny i nie wyobrażasz sobie, jak się zdziwiłem, kiedy w prawym dolnym rogu zobaczyłem inicjały W.Q. i datę 1991. Z tyłu, jak na każdym prawdziwym Quigleyu, widniał napis: „W.Q. 1991. Tytuł: Abrupt Break. [...] Kupiłem go. [...] Kocham ten mały (12 na 16 cali) obrazek. Masz wyjątkowy talent. Dostałeś moją wiadomość o Gagosianie? Powiedz mi, co o tym myślisz. Spotkam się z nim w przyszłym tygodniu i będę go naciskał.

Jednakże ani Rockefeller, ani Whitney Museum nie kupiły obrazu Quigleya od Gagosiana czy też bezpośrednio od samego artysty.

Za tą radosną fasadą nie wszystko przedstawiało się jednak tak różowo dla Clarka Rockefellera, zwłaszcza w domu.

Do znajomych puszczał teksty typu: „Sandy przyjeżdża na weekend. Będzie cudownie. Pojedziemy na Nantucket albo Marthas Vineyard”.

W rzeczywistości Sandra ciężko i dużo pracowała i coraz bardziej oddalała się od męża. Często zachowywał się nieracjonalnie, zwłaszcza w kwestii wyjazdu do Connecticut. Bardzo chętnie opowiadał znajomym o swoich pobytach na Nantucket albo Marthas Vineyard, ale już nigdy więcej nie chciał przekroczyć granicy stanu Connecticut, gdzie żył kiedyś jako Christopher Crowe i gdzie ukrywał się przed organami ścigania, które chciały go przesłuchać w związku ze zniknięciem Johna i Lindy Sohusów. „Nie chciał jeździć do Connecticut - powiedział jego przyjaciel John Wells. - Tłumaczył, że jego rodzice zginęli tam w wypadku. Mieliśmy tam mieszkanie z mnóstwem wolnego miejsca. Sandy pojechała tam kiedyś, bo Clark miał do

przechowania całą górę starych numerów »New Yorkera«. Były tam również publikacje Rockefeller Center”.

- Miał obsesję na punkcie Connecticut - dodał inny znajomy. Był w tej kwestii tak nieprzejednany, że pewnego razu „dostał szału”, kiedy się zorientował, że samochód, którym jechał, zaraz przekroczy granicę tego stanu. - Zanim wjechaliśmy do Connecticut, Clark poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał, i kazał nam wszystkim skorzystać z ubikacji, bo następny przystanek miał być dopiero po wyjeździe ze stanu.

Kiedy wjechali do Connecticut, Rockefeller postawił kołnierz, włożył kapelusz i osunął się na siedzeniu.

- Pies rzucał się po całym aucie i szczekał jak wariat, a Clark... Clark zachowywał się tak, jakby nie chciał być widziany. To było zupełnie niezrozumiałe.

Pod koniec 1999 roku Sandra miała zostać udziałowcem McKinsey & Company, jednym z najmłodszych w historii firmy. Świetnie teraz zarabiała, ale pieniędzmi nadal zarządzał jej mąż, który realizował jej czeki, płacił rachunki i wypełniał formularze podatkowe. Kontrolował zresztą nie tylko pieniądze.

- Odciał mnie od kontaktów ze znajomymi - zeznała Sandra przed sądem. - Odciał mnie od kontaktów z rodziną. Nie pozwalał mi wykonywać rozmów międzymiastowych. Wrzeszczał na moich znajomych. [...] Szybko się przekonałam, że potrafił być bardzo agresywny i nieprzyjemny. - Nie trzeba jej było prosić o rozwinięcie tematu. - Wrzeszczał na mnie i wrzeszczał, aż w końcu ustępowałam. Nigdy nie uderzył mnie w twarz, bo wiedział, że tak zostałam wychowana: nie wolno odejść od męża, jeśli nie bije cię po twarzy ani cię nie zdradza. Jeśli tego nie ma, kobieta musi pielegnować związek, bo wzięła na siebie takie zobowiązanie. Nie bił mnie po twarzy, a dopiero później się dowiedziałam, że mnie zdradzał.

- Czy to znaczy, że bił panią w inne miejsca? - dociekał prokurator.

- W tym okresie stosował inne techniki - powiedziała i wymieniła między innymi uniemożliwienie jej snu i zmuszanie do seksu.
- Wszystko to miało pokazać, że to on jest panem i władcą.

- Dlaczego pani z nim została?

- Po pierwsze, bardzo się bałam - odparła Sandra. - Wiedziałam, że nie pozwoli mi odejść. Nie miałam pojęcia, dlaczego upatrzył sobie akurat mnie, ale miał silną osobowość i nie widziałam wyjścia z tej sytuacji. Po drugie, tak byłam wychowana: poczucie obowiązku, honor, konieczność pielęgnowania swojego małżeństwa i tak dalej. Moi rodzice mieli fatalne małżeństwo, ale byli ze sobą przez trzydzieści pięć lat. Nauczono mnie, że życie jest ciężkie, ale trzeba po prostu zacisnąć zęby i radzić sobie.

Mieszkała z mężem w Nowym Jorku od jesieni 1994 roku do końca 1998 roku. A potem:

- Nagle Clark, który był bardzo nieprzyjemny, ale jeszcze jakoś funkcjonował, kompletnie się rozsypał. Nie wiem, czym to tłumaczyć, ale twierdził, że przechodzi załamanie nerwowe. Był coraz bardziej wściekły i agresywny.

Przyczyną załamania nerwowego Clarka mogło być pewne wydarzenie. Wdał się w kłótnię z jakimś „przechodniem w Central Parku”, prawdopodobnie podczas spaceru z psem. Awantura była głośna i ktoś wezwał policję.

- Policja jechała za nim radiowozem. Widziałam go, jak wraca do mieszkania, a potem zobaczyłam, jak podjeżdża radiowóz, wysiada z niego policjant i rozmawia z Clarkiem.

Clark wbiegł do mieszkania i powiedział Sandrze, że ma dosyć Nowego Jorku. To miasto go przytłacza, wyjaśnił.

- Miał bardzo stresującą pracę. Było to w okresie azjatyckiego kryzysu finansowego [który zaczął się w lipcu 1997 roku w Tajlandii od załamania kursu bahta, a potem rozlał się na całą Azję, budząc obawy przed ogólnoswiatowym krachem]. Powiedział, że część jego klientów ma poważne problemy.

Klienci mają chętność obciążać go odpowiedzialnością za swoje kłopoty, tak jakby mógł zapobiec finansowemu tsunami na

drugim końcu świata.

Sandra wierzyła mi, chociaż nigdy nie spotkała ani jednego jego „współpracownika, zwierzchnika, podwładnego” bądź jakiegokolwiek osoby, która by z nim pracowała w branży doradztwa finansowego wysokiego szczebla. Wierzyła mi do tego stopnia, że przystała na jego żądanie wyprowadzki z Nowego Jorku na Nantucket, chociaż oznaczało to dla niej konieczność codziennego dojeżdżania do pracy lub mieszkania w hotelu w dni robocze.

- Miałam nadzieję, że to go uspokoi, a bardzo mi na tym zależało - powiedziała.

Pod koniec 1998 roku wysłał - rzekomo z siedziby Asterisk LLP - okólny list elektroniczny do rosnącego kręgu przyjaciół i znajomych:

Najpierw chcę wyjaśnić, dlaczego ostatnio się z Wami nie kontaktowałem. Podczas spotkania w ONZ w piątek przed Świętem Pracy studiowałem jakieś dokumenty, które wręczył mi jeden z delegatów. Dalej pamiętam tylko tyle, że odzyskałem przytomność pięć godzin później w nowojorskim szpitalu. Lekarze powiedzieli mi, że jestem przemęczony, i wypisali mnie. Innymi słowy: „wypalenie”. Przyczyna nie budzi wątpliwości: za dużo dni z dziewiętnastogodzinnym trybem pracy. W czerwcu, lipcu i sierpniu przepracowałem 1085 godzin, około 400 więcej od osób wykonujących podobną pracę. Tego lata miałem też inne stresujące sytuacje, między innymi niespodziewane przejście na emeryturę mojego wspólnika z Maine, które o mało nie doprowadziło do upadku firmy. Do tej listy muszę też dopisać Shelby [drugiego setera szkockiego, sukę].

Kocham ją, ale dodaje mi całkiem sporo pracy, a jej skłonność do wczesnego wstawania nie pozwalała mi się wysypiać, czego rozpaczliwie potrzebowałem. Za radą mojego lekarza postanowiłem zmienić tryb życia. Mój plan: wezmę urlop i pomieszkać w willi kuzyna w Cap-Ferrat, małej

miejsowości na półwyspie między Niceą i Monako. Shelby i Yates będą mi towarzyszyli. Jak długo tam zostanę? To zależy, jak będę się czuł. Wrócę za pół roku, chyba że uznam, że potrzebuję dłuższego odpoczynku. Jeśli mój urlop potrwa do lata '99 roku, to albo zatrzymam się w domu letniskowym znajomego w Bretanii/Normandii, albo odwiedzę dawny stan Shelby, czyli Montanę.

Sandy popiera mój pomysł, który dla niej oznacza, że będzie mogła cały czas mieszkać w Toronto i nie będzie musiała przylatywać do Nowego Jorku, żeby się ze mną zobaczyć. Między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem zrobi sobie wakacje i pojedziemy do Cortina d'Ampezzo we włoskich Dolomitach. Byliśmy tam w zeszłym roku, przez miesiąc, nic nie robiliśmy i oboju bardzo nam się to podobało. Yates też świetnie się bawił.

Chciałbym Was również poinformować, że nowojorska siedziba mojej firmy zostanie w marcu zamknięta. Stale podnoszący się czynsz i nowy właściciel, który nie chciał przedłużyć zgody na wprowadzanie psów do budynku, zmusiły nas do szybszej realizacji planu, żeby - cytuję - „zwirtualizować się”. Od tej pory ja i moi współpracownicy nie będziemy spotykać się fizycznie, lecz będziemy prowadzić interesy w formie elektronicznej. Postanowiliśmy zainwestować 5 milionów w stworzenie prywatnej sieci w naszym biurze w Waszyngtonie.

Clark nie wyjechał do Cap-Ferrat ani Cortina d'Ampezzo, lecz na Nantucket. Większość czasu spędzał tam sam, jego żona przez co najmniej cztery dni w tygodniu pracowała. Kiedy zbliżał się sezon wakacyjny i czynsz zwiększył się czterokrotnie z powodu najazdu turystów, Clark i Sandra przenieśli się do letniej rezydencji Laurancea Rockefellera w Woodstock w stanie Vermont. Przez cały ten czas Sandra wspinała się coraz wyżej w hierarchii McKinseya. Jej mąż wałkoń utrzymywał, że też odnosi sukcesy biznesowe, chociaż nie przekładało się to na żadne

pieniądze do domowego budżetu. Zamiast tego naciskał, żeby ona zarabiała coraz więcej.

W tym okresie Rockefeller wmawiał jej, że niedługo zostanie mianowany do zarządu Rezerwy Federalnej, siedmioosobowego komitetu, który kieruje amerykańską polityką monetarną.

Obrońca Rockefellera zapytał Sandrę, jak mogła uwierzyć w tak ewidentną konfabulację.

- Oskarżony mnie okłamywał - odparła.

Wyjaśniła, że chociaż mimo młodego wieku doskonale sobie radziła w życiu zawodowym, była naiwna w życiu osobistym. Słuchacze nie bardzo wiedzieli, do czego zmierza adwokat, który skupił uwagę na licznych kłamstwach Clarka wobec Sandry. Czy nie powinna w pewnym momencie uświadomić sobie, że poślubiła twór wyobraźni człowieka, dla którego jedyną nicią łączącą go z rzeczywistością była kobieta zeznająca obecnie przeciwko niemu?

Adwokat Clarka, który zwracał się do niej per pani Boss, zapytał ją o jej pierwszą pracę w Nowym Jorku.

- Czy uznała pani za zbieg okoliczności, że właśnie dostała pani pracę w Merrill Lynch związaną z rynkiem zadłużenia, a człowiek, który się za panią ugaśniał, pracował w tej samej branży?

- Papiery dłużne to bardzo szeroka dziedzina i było niewielkie podobieństwo między tym, czym ja się zajmowałam - strukturyzacja municypalnych instrumentów pochodnych - a jego pracą, czyli renegocjacją zadłużenia krajów Trzeciego Świata.

- Porozmawiajmy o kartach kredytowych. Widziała go pani kiedyś z kartą kredytową w ręku?

- Tak. Kiedy go poznałam, miał kartę kredytową na swoje nazwisko.

- Wie pani, czy miał konto w banku?

- Nie, nie wiem.

- Widziała go pani kiedyś z książeczką czekową?

- Tak, z moją.

Sala wybuchła śmiechem.

- Wierzę pani - powiedział obrońca Rockefellera. - Ale zapomnijmy na chwilę o pani księżeczce czekowej. Widziała go pani kiedyś z jego własną księżeczką czekową?

- Nie, tylko z kartami kredytowymi.

Nigdy nie widziała, żeby wypisywał czek z własnego konta. Chociaż nie miała dowodów na to, że jej mąż posiadał rachunek bieżący albo oszczędnościowy, uznała to za oczywiste. Bo większość ludzi ma konto. Nie widziała potrzeby pytania go o to.

Adwokat wyraźnie chciał sprowokować Sandrę do tego, aby się rozkleiła albo okazała po sobie jakieś emocje, ale nie dała się wytrącić z równowagi.

- Była pani żoną tego człowieka od ponad dwunastu lat, a partnerką od piętnastu - ciągnął obrońca Rockefellera. - Jest pani ekonomistką. Pracuje pani jako konsultantka w jednej z najbardziej renomowanych firm doradczych świata. Nie wiedziała pani, czy pani mąż ma konto i w kontekście waszej wspólnoty majątkowej ten temat nigdy się nie pojawił?

- Konsekwentnie wiąże pan ze sobą inteligencję biznesową i inteligencję osobistą. Pochodzę ze środowiska, w którym ludzie nie oszukują się nawzajem - to bardzo uczciwy świat. Nie przyszło mi do głowy, że żyję z kimś, kto kłamie w takich podstawowych sprawach.

Adwokat jeszcze mocniej przykręcił śrubę. Czy widziała kiedyś u męża dowód rejestracyjny?

- Tak, niejeden. - (Dziwna rzecz, skoro nie prowadził samochodu).

- Były wystawione na jego nazwisko?

- Nie, na fundację, która była właścicielem tych samochodów.

A kto finansował tę fundację?

Ona.

Czy przez piętnaście lat wspólnego życia widziała rachunek inwestycyjny albo maklerski na nazwisko męża?

- Nie. Mogę z góry powiedzieć, że moja odpowiedź zawsze będzie przecząca, niezależnie od tego, o ile dokumentów

wystawionych na jego nazwisko mnie pan zapyta.

Pytania padały jednak dalej, a Sandra odpowiadała na nie spokojnie i inteligentnie. Nie widziała jego zdjęć jako małego dziecka, ale pokazywał jej swoje fotografie jako nastolatka. Widziała zdjęcia ludzi, o których mówił, że byli jego rodzicami i zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał osiemnaście lat. Nigdy nie była na rodzinnym spotkaniu Rockefellerów, chociaż jej mąż wielokrotnie twierdził, że została zaproszona. Widziała kiedyś takie zaproszenie? „Nie widziałam”. Przez piętnaście lat (w tym dwanaście jako żona) była tak głęboko wpleciona w życie swego męża, że nie potrafiła zobaczyć, kim on naprawdę jest. Kiedy adwokat uznał, że niczego więcej się nie dowie, powiedział: - Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Proces został odroczony.

ROZDZIAŁ 13

Pan na zagrodzie

Dla przyjaciół i znajomych Clark Rockefeller był księciem. Był przyjazny i troskliwy, bardzo starał się wszystkim dogodzić. Zależało mu na ludziach i sprawiał wrażenie autentycznie zainteresowanego nimi. Był człowiekiem, o którego zabiegano, pożądanym gościem na przyjęciach, prawdziwym arystokratą, który rzucał bon motami i staroświeckimi zwrotami. „W rzeczy samej!”, „Jezusie Nazareński!” i „Wielkie nieba!” należały do jego ulubionych wyrażen. Robił też częste i nie zawsze subtelne aluzje do swojej słynnej rodziny.

Wobec żony był jednak zupełnie inną osobą - depresyjny, zaborczy, wybuchowy i - zwłaszcza po sprzeczce w Central Parku, która doprowadziła do policyjnego pościgu - paranoiczny. Przystojny młody człowiek, który otaczał Sandrę troskliwością i zasypywał prezentami, przestał istnieć.

Przeprowadzka z Nowego Jorku na Nantucket, a potem do Woodstock nie wystarczyła, żeby wyrwać Clarka z ponurego nastroju, w który wtrąciło go rzekome załamanie nerwowe. Pod koniec 1999 roku chciał uciec jeszcze dalej i namawiał Sandrę, żeby wyjechali do Cornish w New Hampshire.

W artykule, który ukazał się w „New York Timesie” w lutym 2010 roku, opisano Cornish jako „liczącą około tysiąca siedmuset mieszkańców miejscowość nad brzegami rzeki Connecticut, z dwoma sklepami spożywczo-przemysłowymi, pocztą, kościołem i hektarami sosen, dębów, pól i pagórków”. Jej najbardziej znany mieszkaniec to Augustus Saint-Gaudens, wybitny dziewiętnastowieczny rzeźbiarz, dzięki któremu Cornish

stało się popularną kolonią letnią dla artystów, takich jak malarze Maxfield Parrish i John White Alexander. Prezydent Woodrow Wilson kilka razy spędził letnie wakacje w domu pisarza Winstona Churchilla (zbieżność imion i nazwisk z brytyjskim premierem jest przypadkowa).

Po pierwszej wojnie światowej Cornish straciło status artystycznej kolonii i na początku 2000 roku, kiedy Clark Rockefeller za 750 000 dolarów z pieniędzy żony kupił Doveridge, majątek należący kiedyś do znanego prawnika Learned Hand, Cornish mogło się poszczycić tylko jednym znanym obywatelem: stroniącym od ludzi powieściopisarzem J.D. Salingerem. Niektórzy twierdzili, że to właśnie Salinger, którego arcydzieło z 1951 roku Buszujący w zbożu jest najdoskonalszym w dziejach literatury portretem nastoletnich lęków i wyobcowania, przyciągnął Rockefellera do Cornish.

Historię przybycia Rockefellera do Cornish najlepiej będzie przedstawić z perspektywy Petera Burlinga, przez wiele lat senatora stanowego, który wychowywał się w okolicy Cornish i studiował prawo na Harvardzie. Spotkaliśmy się w kawiarni kilka kilometrów od Cornish i zapytałem go, czemu jego zdaniem Rockefeller wybrał tę miejscowość.

- Myślę, że miało to coś wspólnego z jej historią kolonii artystycznej - odparł. - Cornish to spokojna miejscowość, która leży na uboczu. Jest mała. Dla hochsztaplera to idealne miejsce na ćwiczenie swoich umiejętności. Słyszałem o nim, zanim poznałem go osobiście - ciągnął Burling. - Słyszałem, że jest jakiś Rockefeller, który kupił w miasteczku nieruchomość. Poznaliśmy go na zorganizowanej dla niego imprezie. Gospodarzami byli Jim i Judy Brownowie. On jest adwokatem, a ona konstytucjonalistką wykładającą na Northeastern University. Oboje są bardzo inteligentni i doskonale znają się na ludziach. To moi dobrzy przyjaciele.

- Dlaczego zorganizowali imprezę dla Clarka Rockefellera? - spytałem.

Burling spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym spadł z

księżycu.

- Nowi sąsiedzi - wyjaśnił. - Taki obyczaj. Był w miasteczku nowy, więc Jim i Judy chcieli go wszystkim przedstawić.

Spytałem Burlinga, jakie miał oczekiwania przed spotkaniem z nim.

- Nie miałem żadnych oczekiwań. W Woodstock też mieszkają Rockefellerowie, poza tym chodziłem z Rockefellerem do szkoły w Milton.

Milton Academy to szkoła prywatna pod Bostonem, do której absolwentów zaliczają się T.S. Eliot oraz Robert i Ted Kennedy.

Znajomość Burlinga i Clarka Rockefellera nie zaczęła się zbyt udanie. Na przyjęciu powitalnym u Brownów było około trzydziestu osób. Clark podszedł do żony Burlinga Jean, sędzi sądu okręgowego, i zapytał:

- Wie pani, co to jest abstrakcyjny ekspresjonizm?

Senator pokręcił głową.

- Oczywiście, że wiedziała - powiedział. - Rockefeller zadał to pytanie niebywale chamskim tonem, sugerując, że ma do czynienia z wieśniakami i prostytutkami. Tak się nie robi. Od razu wiedziała, że ten człowiek lubi upokarzać ludzi i się wywyższać. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziała później: „Poświęciłam mu moje zwyczajowe dwadzieścia sekund”. Pracuje w sądzie od dwudziestu ośmiu lat i potrafi poznać, kto jest szczerzy, a kto kreuje się na kogoś innego. Od tej pory nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Burling napił się kawy.

- Kiedy do takiej małej miejscowości jak Cornish przyjeżdża ktoś nowy, przez dwadzieścia do trzydziestu dni wszyscy o nim rozmawiają. Ja od razu uznałem go za hochsztaplera i zacząłem mówić ludziom: „To nie jest prawdziwy Rockefeller”. Pytali mnie, skąd to wiem. A ja mówiłem im tak: „Wszyscy Rockefellerowie, których znam - a w Woodstock jest ich całkiem sporo - urodzili się w USA. Ten facet nie jest z Ameryki. Jego przymiotniki i przysłówki pochodzą z innej planety”. Ktoś mnie przekonywał, że ten człowiek mówi z akcentem z prestiżowej

szkoły prywatnej. Ja na to, że wychowałem się w Newport i wiem, iż to nie jest akcent z prestiżowej szkoły prywatnej.

Burling nie lubił Rockefellera i nie ufał mu, więc zdenerwowało go, kiedy ten zaprzyjaźnił się z jego bliskim znajomym Donem MacLeayem i zdaniem Burlinga zaczął go wykorzystywać. Burling napisał kiedyś o Donniem MacLeayu w gazecie, że „jest to Michał Anioł z koparką”. Powiedziałem Burlingowi, że zamierzam spotkać się tego dnia z MacLeayem.

- Zabierze mnie do Doveridge - dodałem.

- Niech pan będzie ostrożny, kiedy pan tam pojedzie - powiedział.

Dziwne ostrzeżenie, które rychło jednak stało się dla mnie zrozumiałe.

Kiedy szedłem do domu Dona MacLeaya w Plainfield, małej miejscowości sąsiadującej z Cornish, zauważyłem napis na jego pikapie:

DON MACLEAY
ROZBIÓRKI, KOPANIE ROWÓW, UTWARDZANIE DRÓG,
NIWELACJA GRUNTU, PRZYCINANIE ZAROŚLI,
GEODEZJA W PLAINFIELD -
I JEDYNA MUZYKA TO COUNTRY.

Był chudy jak szczapa i wyglądał na sporo ponad siedemdziesiąt lat. Srogie zimy Nowej Anglii odcisnęły piętno na jego skórze. Zaprosił mnie do swojego domu, który własnoręcznie zbudował. Usiadł, założył nogę na nogę i zaczął opowiadać.

MacLeay siedział na koparce, kiedy przedstawiono mu Rockefellera. Praca była dla niego ważniejsza niż poznawanie nowych ludzi, więc powiedział sąsiadowi, który chciał poznać ich ze sobą: „Dokończę swoją robotę i za chwilę przyjdę”.

- Nie mam pamięci do imion - tłumaczył mi MacLeay. - Zsiad-

łem z koparki i powiedziałem do niego: „Czyli pan jest Chris Rockefeller”. On się szarpnął i był wyraźnie poirytowany, bo pomyliłem imię.

Kiedy jechaliśmy z MacLeayem do Doveridge jego pikapem, powiedział mi:

- Nie wiem, dlaczego się tutaj przeprowadził. Pewnie chciał się zaszyć na głuchej prowincji. Powiedział, że szuka domu, przy którym mógłby podłubać.

Zaparkował samochód na trawiastym poboczu i oprowadził mnie po dziesięciohektarowej posesji.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, kiedy weszliśmy na drogę dojazdową, w poprzek której wisiał gruby łańcuch, a po bokach stały tablice z napisami „WSTĘP WZBRONIONY”, „UWAGA” i „UWAGA ZŁY PIES”.

Opadła mi szczeka. Posesja była w ruinie. Ogród był pozarastany, a dom stał na podnośnikach i wydawał się niezdatny do zamieszkania. Tablice nie służyły do odstraszenia złodziei, powiedział mi MacLeay. Chodziło o to, że jakiś fragment domu mógł w każdej chwili się zawalić i spaść komuś na głowę. Posesja była od dawna wystawiona na sprzedaż, ale do momentu mojej wizyty nie znalazł się chętny.

Trudno mi było sobie wyobrazić, żeby kobieta sukcesu taka jak Sandra Boss mieszkała w czymś takim. Ona najwyraźniej też nie umiała sobie tego wyobrazić. Przez kilka miesięcy po zakupie Doveridge (na Sandrę, chociaż to Clark załatwił większość formalności) rzadko tam przebywała, bo stale wyjeżdżała służbowo.

Rockefeller chciał, żeby MacLeay nadzorował remont domu, ale on powiedział mu prosto z mostu:

- Zajmuję się kopaniem dołów, nie jestem budowląncem.

Kiedy MacLeay zapytał Rockefellera, co zamierza zrobić z tak wielką posiadłością, Clark odparł:

- Chcę sprzedawać miód i wino jabłkowe.

Przedsięwzięcie to powiodło mu się nie lepiej niż remont domu: zamówił ciężarówkę jabłek i maszyny do wyciskania soku,

ale nie wszystkie dojechały przed zimą i jabłka zamarzły.

Prześliznęliśmy się pod łańcuchem i zaczęliśmy zwiedzać posesję. MacLeay opowiedział mi, że Rockefeller miał zwyczaj zatrudniać ludzi, a potem błyskawicznie ich zwalniać.

- Przede wszystkim budowlańców - wspominał. - Miał czternaśtu murarzy. Jak się z któryś pokłócił, to go zwalniał i brał innego.

MacLeay zaproponował, żebyśmy wrócili do auta, zanim coś się urwie i spadnie nam na głowę albo zanim się poślizgniemy i wpadniemy w jakąś dziurę. Zapytałem o wielki dół wykopany pod domem.

MacLeay westchnął.

- Dom został podniesiony, żeby można było położyć fundament - powiedział i dodał, że za sam beton Rockefeller zapłacił 25 000 dolarów. - Clark chciał zbudować podziemny garaż na swoje auta. Miał bzika na punkcie starych samochodów.

Mimo że nie miał prawa jazdy, kupił całą flotę samochodów, w większości zabytkowych. Jednym z nich była limuzyna z obrotowymi fotelami, które można było ustawić tak, żeby pasażerowie mogli siedzieć twarzami do siebie i rozmawiać o interesach. Clark twierdził, że pojazd należał wcześniej do Rockefellerów z Woodstock.

- Po co żeś to kupił? - spytał MacLeay Rockefellera.

- W naszej fundacji obowiązują takie reguły, że możemy kupować, co tylko chcemy, ale sprzedać coś można tylko innemu członkowi rodziny.

Rockefeller dodał, że kupił tę limuzynę za grosze, żeby nie wylądowała na złomowisku.

- Pomyślałem, że bogacze są dziwni - powiedział MacLeay.

Po krótkim czasie kolekcja samochodów liczyła dwadzieścia trzy sztuki - pojazdy rozmaitych marek w różnym wieku, niektóre tak stare, że nie jeździły i nadawały się tylko do pokazywania. Stały porozrzucane na terenie posesji, ponieważ budowa garażu pod domem nie wyszła poza fazę dziury w ziemi.

- Zrobię sobie basen - oświadczył pewnego dnia Rockefeller.

Jego naczelny kopacz i w tym stadium bliski przyjaciel Don MacLeay zareplikował na to:

- Jezu, może byś najpierw coś skończył?

Basen miał kosztować 50 000 dolarów. Podobnie jak z wieloma innymi projektami, skończyło się na dziurze w ziemi. Clark nie potrafił się dogadać z firmą od basenów. Wyglądało na to, że Rockefeller usiłuje osiągnąć dwa sprzeczne cele - wpasować się w społeczność Cornish i odróżniać się od niej. Jego zachowanie było przedziwne. Możesz próbować kantować ludzi w takim mrowisku jak Nowy Jork, gdzie jeśli przeskakujesz z kwiatka na kwiatek, nie ciągnie się za tobą sznur plotek, ale nie w takiej małej miejscowości jak Cornish, gdzie wszyscy się znają? Może rzeczywiście przeżył załamanie nerwowe, a może Cornish było kolejnym kawałem - chciał sprawdzić, na ile może sobie pozwolić, zanim zostanie zdemaskowany.

- Sam nie wiem - powiedział MacLeay, zastanawiając się nad różnymi nieudanymi przedsięwzięciami Rockefellera w Doveridge. - Myślę, że próbował sprawdzić, jak szybko może wydać pieniądze żony.

Mieszkańcy Cornish rzadko widywali Sandrę Boss, ale często o niej rozmawiali. Nikt jednak nie podejrzewał, że to ona w całości sfinansowała wielki show Rockefellera w Cornish (a wcześniej na Nantucket i w Woodstock) - ani że Clark był niebezpiecznie blisko jej utraty.

Sandra kursowała między ruiną nad Blow-Me-Down Brook w Cornish a nowojorską siedzibą w McKinseyu, gdzie pełniła kierowniczą funkcję. Czasami latała do pracy, a czasem musiała jechać samochodem, ale zawsze było to dla niej męczące i spędzała mnóstwo życia w nowojorskich hotelach albo w podróży.

- Latem 2000 roku - powiedziała przysięgłym - spędzałam bez Clarka tyle czasu, że nie odczuwałam aż takiej psychicznej udręki i czułam się coraz silniejsza. Postanowiłam od niego odejść.

Wynajęłam małe mieszkanie w Nowym Jorku i wyjaśniłam mu, że potrzebuję trochę czasu, aby wszystko przemyśleć. Po jakimś czasie zaczęłam dochodzić do wniosku, że muszę zmienić swój stan cywilny. Powiedziałam, że chcę spędzać więcej weekendów w Nowym Jorku, aby przemyśleć sprawę. Nie byłam szczęśliwa w małżeństwie i dałam mu do zrozumienia, że zastanawiam się nad rozstaniem.

Rockefeller natychmiast przyjechał do Nowego Jorku. Nie był już agresywnym, posępnym, mrukowatym odludkiem, tylko człowiekiem, w którym Sandra się kiedyś zakochała. Znowu przychodził do niej z prezentami, kwiatami i biżuterią, znowu zasypywał ją komplementami i był troskliwy.

- Wrócił dawny Clark, bardzo o mnie dbający, bardzo czuły - powiedziała w sądzie Boss. - Pożyczył od rodziny Rockefellerów drogą biżuterię i poprosił mnie, żebym ją zakładała na przyjęcia. Później się dowiedziałam, że w rzeczywistości pożyczył ją od znajomej. Przedstawił mi przyjaciela, który rzekomo znał go od dzieciństwa i wyrażał się o nim w samych superlatywach. Było mnóstwo takich rzeczy.

Przyznała, że dobrze się czuła z jego troskliwością.

- Ulegałam temu, ale nie spowodowało to zmiany mojej decyzji. Nie zrezygnowałam z planu separacji.

Ale potem, w „drugiej fazie romantycznej”, jak to nazwała Boss, jej mąż wykorzystał cały swój urok i siłę perswazji i zaciągnął ją do łóżka.

- Używaliśmy prezerwatywy, co oznaczało, że to on miał kontrolę nad antykoncepcją. Sądzę, że celowo użył pękniętej prezerwatywy. Zrobiło się bardzo mokro, ale nie przyszło mi do głowy, że mój mąż próbuje mnie zapłodnić.

- Kiedy zaszła pani w ciążę? - spytano ją w sądzie.

- Na początku września 2000 roku. - Zaintonowała rozpaczliwy lament: - Otoczył mnie chmurą paranoi. Szkalował moją rodzinę i przyjaciół, próbował wzbudzić we mnie przekonanie, że jedyną osobą, na którą mogę liczyć, jest on. Dodatkowo odczuwałam psychiczne skutki ciąży, byłam zagubiona i rozstrojona. Moi

rodzice się rozwodzili. Czułam się za słaba psychicznie, żeby od niego odejść. Poza tym nadal uważałam, że nie wolno rozbijać rodziny, że dziecko powinno mieć ojca, i tak dalej.

Pogląd ten wyraziła ponownie na kolejnej rozprawie:

- Wychowano mnie w przekonaniu, że trzeba pracować nad swoim małżeństwem. Trudno byłoby mi odejść, a gdybym to zrobiła, będąc w ciąży, miałabym poczucie, że sprzeniewierzam się swoim obowiązkom. Rozstanie byłoby dla mnie wielkim obciążeniem, a poza tym uważałam, że nie mam prawa kierować się w tej decyzji tylko swoim szczęściem. W grę wchodziła trzecia osoba [jeszcze nienarodzone dziecko] i odejście od Clarka wydawało mi się niemożliwe. Czułam się na to za słaba.

- Co pani postanowiła? - spytał adwokat Rockefellera.

- Postanowiłam zostać. Powiedziałam mojemu ówczesnemu mężowi, że powinniśmy spróbować jeszcze raz.

W ramach gry, której celem było przejęcie kontroli nad ich życiem, jej mąż wykonał dziwny, ale z obecnej perspektywy bardzo sprytny ruch.

- Przez jakiś czas udawał, że nie jest pewny - zeznała Boss. - Powiedział: „Muszę to przemyśleć. Byłoby lepiej, gdybyś przez jakiś czas nie wracała do domu”. Była więc faza niepewności.

Sandra pojechała do Cornish w Boże Narodzenie 2000 roku i przyszłość przedstawiała się znacznie bardziej różowo. Nie tylko znowu byli razem i oczekiwali dziecka, ale też Clark powiedział Sandrze, że zakłada firmę Jet Propulsion Physics. Bardzo tanio, prawie za darmo, kupił patent na napęd odrzutowy i we współpracy ze znajomymi naukowcami zamierza go przystosować do użytku komercyjnego. Chociaż nie pokazał jej niczego, co by świadczyło o istnieniu tego patentu, nie miała powodów mu nie wierzyć. W końcu opowiadał jej wcześniej o równie wielkich, a może nawet większych osiągnięciach: że pomaga znajomym w zarządzaniu teksaskimi polami naftowymi; że jest zaprzyjaźniony z wicepremierem Wielkiej Brytanii Michaeliem Heseltinem; że jest członkiem Komisji Trójstronnej,

prywatnej koalicji przywódców światowych założonej w 1973 roku przez Davida Rockefellera celem wspierania stosunków między Stanami Zjednoczonymi, Europą i Japonią. Tę potężną organizację nazywał bagatelizująco „Grupą”, a kiedy go pytano, czy wiąże się to z jakimiś gratyfikacjami finansowymi, sugerował, że żądanie wynagrodzenia byłoby poniżej godności Rockefellera. Nikt nie dociekał głębiej, a tym bardziej nie zakwestionował prawdziwości jego konfabulacji.

Stało się oczywiste, że Clark Rockefeller trzyma w ręku wszystkie atuty.

ROZDZIAŁ 14

Snooks

24 maja 2001 roku w Dartmouth Hitchcock Medical Center w miejscowości Lebanon (New Hampshire) urodziła się Reigh Storrow Mills Rockefeller, córka Clarka Rockefellera i Sandry Lynne Boss. Pierwsze imię dziecka wybrał Rockefeller, który zobaczył kiedyś w ratuszu tabliczkę z nazwiskiem Reigh Helen Sweetser i spodobało mu się to imię.

Ale kiedy Reigh przysła na świat, Rockefellera nie było w szpitalu. Jego żona nie miała pojęcia, gdzie się podziewa. Dopiero osiemnaście godzin po porodzie Rockefeller złożył wizytę żonie i córce. Gdzie był w tym ważnym momencie? Jak zawsze socjalizował się z mieszkańcami Cornish, co nadal robił przez pierwsze trzy miesiące życia córki.

Miał na to czas, ponieważ Sandra wzięła trzymiesięczny urlop macierzyński i sama zajmowała się córką.

- Byłyśmy nierozłączne - zeznała później i dodała, że jej mąż spędzał z córką niewiele czasu. - Myślę, że zachowywał się tak jak wielu ojców. Uważał, że jest urocza, ale nie poświęcał jej wówczas zbyt wiele uwagi.

Kawałek drogi od Doveridge, w jednej z wielkich rezydencji w Cornish, mieszkała silnie zakorzeniona w tej społeczności rodzina Whiteów, która zaprosiła mnie na rozmowę o Clarku. Przez pierwsze pięć lat jego pobytu w Cornish Laura White była jego najlepszą przyjaciółką. Ta energiczna blondynka samotnie wychowywała dziecko, pracując jako stewardesa. Charakter jej pracy zmusił ją do zamieszkania u rodziców ze swoim synkiem Charliem.

Kiedy Clarkowi urodziła się córka, Laura zawiozła go do szpitala. Nie przypominała sobie, ile czasu upłynęło od porodu, pamiętała tylko, że pojechali „w środku nocy”. Wzięli samochód z wciąż powiększającej się kolekcji Clarka. Na tę szczególną okazję wybrał nie kuloodporną limuzynę marki Cadillac, lecz roadmastera, wielki wóz zaprojektowany w latach trzydziestych przez Buicka.

Poprosił Laurę White, żeby go zawiozła, ponieważ jego szofer, strażak z pobliskiego Claremont, nie był tego dnia dyspozycyjny. Sprawdził, w jakim stanie są jego żona i dziecko, i poprosił Laurę, żeby odwiozła go z powrotem do domu.

- Mam fobię na punkcie szpitali.

Siedzieliśmy na tarasie Whiteow pośród bujnej zieleni lata. Ta sielska sceneria z pewnością banalniała po wyjeździe znanego człowieka, którego dziwne, czasem wręcz nieprawdopodobne wybryki wprowadziły ferment w życiu tego małego miasteczka.

- Kiedy jechaliśmy przez kryty most jednym z jego samochodów, ludzie rozdziawiali usta z podziwu - relacjonowała Laura.

Wspomniany most, wpisany na listę zabytków, spina brzegi rzeki Connecticut i łączy Cornish w New Hampshire z Windsorem w Vermoncie.

Laura spojrzała na swojego syna Charliego, który przyszedł do nas na taras, i spytała go, czy chciałby mi powiedzieć, jak on i jego koledzy nazywali Clarka.

- Mówiliśmy na niego Liliowe Portki - odparł.

- Ponieważ zawsze chodził w liliowych spodniach - wyjaśniła Laura.

Prawie codziennie odwiedzał Laurę i jej rodzinę, najczęściej w porach posiłków. Nigdy nie pukał, po prostu wchodził, w tak zażytych byli stosunkach. Często zapraszano go na typowo rodzinne imprezy, takie jak przyjęcia urodzinowe.

- Nie znosił tego, żeby robić mu zdjęcia - wspominała Laura i wyjęła stos fotografii Rockefellera z rodziną Whiteow.

Rzucano się w oczy, że na każdej z nich Rockefeller przybierał

pozę, która utrudniała jego rozpoznanie. Na zdjęciu z przyjęcia urodzinowego miał zamknięte oczy, na innym wykrzywił się i wystawił język, na jeszcze innym zasłonił twarz dłońmi. Zasugerowałem, że nie chciał zostawiać po sobie żadnych fotograficznych śladów w Cornish.

- W końcu przestałam go fotografować, bo psuł atmosferę - skomentowała Laura.

Wyjęła dziennik, który prowadziła w okresie pobytu Rockefellera w Cornish.

- Napisałam kiedyś do Helmuta Kohla, bo Clark powiedział mi, że Kohl odwiedził go kiedyś w Cornish. A tutaj jest wpis o mnie i mojej mamie: „Clark Rockefeller zabiera nas do Bostonu swoim cadillakiem z szoferem”.

Dziennik przywołał więcej wspomnień.

- O Boże! Powiedział nam, że lata helikopterem na narty do Kanady! Że jeździ na nartach we Włoszech. Że ma mieszkanie w Paryżu, które próbuje sprzedać. Że po skończeniu studiów na Harvardzie przez wiele lat podróżował po świecie. I że ma kuzyna w Cap-Ferrat.

Urwała na chwilę i sięgnęła myślami wstecz.

- Aha, powiedział mi śmieszna rzecz! Spytał, czy wiem, że Britney Spears jest fizykiem. Powiedziałam mu: „Nie, Clark, ona nie jest fizykiem”. On się jednak upierał i powiedział: „Moi ludzie zadzwonili do jej ludzi i przyjedzie tutaj w ten weekend!” Po weekendzie spytałam: „I co, Clark, przyjechała?”.

Przeszła do następnej historii.

- Powiedział, że jest w kontakcie z [prezenterem radiowym] Garrisonem Keillorem. Powiedział: „Moi ludzie rozmawiają z Garrisonem Keillorem i Garrison przyjedzie do mojego domu zrobić nagranie, kiedy skończę remont”.

Garrison Keillor nie przyjechał do Doveridge, które nigdy nie zostało wyremontowane. Mimo to Clark Rockefeller zjednywał sobie w Cornish coraz więcej ludzi. Mógł wydawać się dziwny, trochę „odki ejony” ale jak zawsze otwierało się przed nim wiele drzwi. Stworzył największą, najbardziej chępliwą, najgłośniejszą i

najbardziej wybuchową postać w swojej aktorskiej karierze - mieszkającego w zabytkowym dworze pana na zagrodzie z przepastnym kontem bankowym.

Nietrudno sobie wyobrazić, że ta gościnna miejscowość znalazła miejsce dla takiego dziwaka, ponieważ mieszkańcy Nowej Anglii słyną z ekscentryczności. Cornish to małe miasteczko, na którego słynnym krytym moście widnieje napis „KONIE PROWADZIĆ ZA UZDĘ”. Pod spodem sprecyzowano karę czekającą człowieka, który nie zsiądzie z konia: „DWA DOLARY GRZYWNY”.

- Od wielu lat nie było tutaj ciekawszego wydarzenia niż jego pobyt - powiedziała matka Laury.

Wielu mieszkańców Cornish przypominało sobie, jak Clark Rockefeller jedzie Platt Road - drogą biegnącą koło Doveridge - na segwayu, dwukołowym pojeździe elektrycznym, którym kieruje się przez przechylenie tułowia kierowcy w odpowiednią stronę. Pojazd ten wymyślił inny obywatel Nowej Anglii, Dean Kamen, który mieszkał w zaprojektowanym przez siebie sześciokątnym domu pod Manchesterem w New Hampshire. Mimo to w Cornish tylko Rockefeller zachwycił się tym nowym gadżetem.

- Zwykły mieszkaniec Cornish raczej nie pojechałby czymś takim do stodoły - powiedział senator Peter Burling. - Któregoś dnia jestem w stajni i poję konie, a tu nadjeżdża Clark na segwayu, w czapce bejsbolowej. Pomyślałem sobie coś w rodzaju: „Jezu, co to ma być?”. Z obecnej perspektywy widać, że było wiele poszlak, które wskazywały na to, że z tym człowiekiem coś jest nie w porządku, że to wszystko jedno wielkie oszustwo.

Ale wtedy, dodał senator, mężczyzna na segwayu był w Cornish wielką sensacją i otwierały się przed nim wszystkie drzwi.

Rockefeller spędzał sporo czasu w ratuszu, ceglany budynku

w centrum Cornish. „BINGO W KAŻDY WTOREK” - można przeczytać na tablicy informacyjnej. Przyjęła mnie Merilynn Bourne, przewodnicząca rady miejskiej, bez której wiedzy i zgody nic nie mogło się wydarzyć. Ta pracowita i rzeczowa blondynka, która mówiła z akcentem typowym dla mieszkańców Nowej Anglii, była najbardziej zagorzałym krytykiem Clarka Rockefellera w okresie jego pobytu w Cornish. Jak tylko wymieniałem jego nazwisko, wygłosiła długą tyradę.

- Wszystko, co robił, służyło poprawie jego pozycji i wizerunku - zaczęła. - Musiał być najlepszy i największy. Nie grzeszył wzrostem, więc nadymał się jak paw. W środku zimy chodził w butach żeglarskich bez skarpetek, spodniach żeglarskich, niebieskim blezerze i białej koszuli. Woził go szofer. On sam nie miał prawa jazdy, ale lubił siadać za kierownicą, więc mu przypominałam: „Nie ma pan prawa jazdy, Clark”.

Całkowicie lekcewał miejscowe przepisy i kiedy Bourne upominała go za jazdę samochodem, on „kpił sobie z tego”. Często kwestionowała jego tożsamość. Powiedziała mu, że ma przyjaciół, którzy znają prawdziwych Rockefellerów z Woodstock, i że ci prawdziwi Rockefellerowie nigdy o nim nie słyszeli.

- Jak to możliwe, Clark? - pytała go.

- Używam innego imienia - odparł i wyjaśnił, że zmienił imię „dla anonimowości”.

Zdziwiło to Merilynn, by gdyby rzeczywiście zależało mu na anonimowości, to zmieniłby nazwisko, a nie imię. Była za bardzo sceptyczna, żeby zadowolić się tak marnym wytłumaczeniem.

- Wiele osób to kupiło i mówiono mi: „Nie rozumiem, dlaczego mu nie wierzysz”. A ja odpowiadałam: „Nie rozumiem, dlaczego wierzysz w choćby jedno słowo, które wychodzi z jego ust. Nie potrafisz rozpoznać szarlatana, którego masz przed oczyma? Jak w Nowych szatach cesarza: nie widzisz, że stoi przed tobą goły?” Oni mówili, że nie mam na to dowodów. Ja na to: „Nie byłam w kosmosie i nie widziałam na własne oczy, że Ziemia jest okrągła,

i nie mogę zrobić temu gościowi badań DNA, ale wiem, że nie jest człowiekiem, za którego się podaje.

To nie jest akcent absolwenta prestiżowej szkoły prywatnej, to nie jest akcent członka starego bostońskiego rodu. To jest akcent wschodnioeuropejski - mogę się o to założyć". Szkoda, że się nie założyłam.

Podobnie jak Sandrze Boss Clark powiedział Meri Lynn Bourne o swoim nowym przedsięwzięciu biznesowym, Jet Propulsion Laboratories, ale kiedy poprosiła go o podanie adresu internetowego, na stronie, na którą ją skierował, była tylko nazwa JET PROPULSION LABORATORIES i prostokąt, do którego należało wpisać kod, a Rockefeller nie chciał tego kodu ujawnić.

Oprócz Rockefellera Bourne odwiedzali również urzędnicy z okolic Cornish, z którymi on się kontaktował i proponował im różne hojne gesty. Opisała mi kilka sytuacji, w których ludzie władzy dali się omamić rzekomą filantropią Clarka Rockefellera.

- Clark zaproponował, że kupi wydziałowi dróg koparkę! - zachwycił się kiedyś urzędnik tego wydziału, którego nie było stać na taki sprzęt.

- Przestań z nim rozmawiać! - skarciła go Bourne. - Wpakujesz się w tarapaty. Nic dobrego z tego nie wyniknie. On nam nic nie da i nikomu nigdy nic nie dał.

Tydzień później Rockefeller przyszedł wściekły do jej gabinetu i powiedział:

- Słyszałem, że nie chce pani przyjąć mojego prezentu.

- Wychodzę z założenia, że gdyby gmina przyjęła od pana ten prezent, w krótkim czasie poprosiłby pan o wykonanie dla pana jakichś robót, za darmo. Czy to założenie jest słuszne?

- No, tak, oczywiście.

- W takim razie to nie jest prezent, prawda?

Równie hojny był wobec komendanta policji. „Kupię panu to czy tamto do radiowozu” - mówił, po czym komendant przychodził do Meri Lynn ze słowami: „Rozmawiałem z Clarkiem...”

Merilynn nie pozwalała mu dokończyć.

- Za każdym razem kiedy ktoś do mnie przychodzi i mówi, że rozmawiał z Clarkiem, włosy stają mi na głowie! Po co z nim gadasz? To kłamca. Nie wierz w ani jedno jego słowo. Przestań z nim rozmawiać!

- Ale on chce mi dać sprzęt do radiowozu.

- Odpowiedź jest odmowna - nie ustępowała Merilynn. - To nie wchodzi w grę.

W rozmowie ze mną dokończyła tę historię:

- Ponieważ nie wchodziło to w grę, dał pieniądze gminie Plainfield, a potem wysłał podpisany nazwiskiem fikcyjnej osoby list do redaktora naczelnego „Valley News”, w którym powiedział: „Kurczę, szkoda, że Cornish jest tak strasznie zacofane i nie chciało skorzystać na hojności Clarka Rockefellera”. Pomyślałam sobie: „Gdyby tylko wiedzieli...”.

- „Nie rozumiem was”, powiedział mi Rockefeller - wspominała Merilynn. - Patrzył na mnie wzrokiem kobry i z szyderczym uśmiechem mówił: „Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż użeranie się z wami”.

Spytałem, jak to możliwe, że skutecznie omamił prawie wszystkich mieszkańców Cornish, którzy nie są przecież ciemnym ludem.

- Istnieją dwa wyjaśnienia. Cornish, niegdysiejsza kolonia artystyczna, ma swoją historię, styl i kulturę, a Clark myślał sobie: „To banda buraków, którym łatwo zaimponować”. Do tego ograniczały się jego działania. Który mieszkaniec Cornish wpadłby na pomysł, żeby w marcu przyjść na posiedzenie rady gminy w butach żeglarskich bez skarpetek? Sweter miał zarzucony na plecy i zawiązany na szyi. Jak z podręcznika dla wyższych sfer. Wychowałam się w Newport i wiem, co to są wyższe sfery. Mam znajomego, który też zarzuca sweter na plecy, i zawsze mu mówię: „Masz sześćdziesiąt dwa lata. Nie uważasz, że już najwyższa pora nosić sweter jak normalny człowiek?”. Tak, myślę, że omamił całe miasto, i bardzo mnie to smuci - kontynuowała. - Żałuję, że nie byliśmy mądrzejsi. Nie

każdy potrafi rozgryźć takiego człowieka jak Clark. Słyszał pan, co powiedziała przed sądem Sandra: „Można być świetnym i błyskotliwym w jednym obszarze życia i głupim w innym”. Myślę, że tacy ludzie jak Clark szukają takich ludzi jak Sandra, którzy w życiu prywatnym mają niską samoocenę. Moim zdaniem świadomie to wykorzystywał. Sandra to bardzo spokojna, powściągliwa, konserwatywna kobieta. Obraca się w świecie wielkiej finansjery, ale jest konsultantką, nie prezesem. Clark upatrzył sobie najstabszą owcę w stadzie i pomyślał: „Skoncentruję się na tej kobiecie. Dowartościuję ją i uzależnię od siebie”. Potem siedzi w domu cały dzień i bawi się w arystokratę, kiedy ona pracuje.

Po trzech miesiącach urlopu macierzyńskiego Sandra musiała wrócić do pracy w Nowym Jorku, oddając dziecko pod opiekę niani. Wracła do domu w połowie tygodnia i zostawała na weekend. Potem pierwsza niania odeszła, a drugą zastąpiły babysitterki, które pracowały coraz krócej. W końcu Clark doszedł do wniosku, że najlepszą osobą do opieki nad Reigh jest on sam.

- Nie chciał już zatrudniać opiekunek do dzieci - zeznała Sandra. - Uważał, że sam będzie to robił lepiej.

Clark i Reigh zbliżyli się poprzez książki. Reigh już jako dwulatka nauczyła się czytać i czytanie - metoda, dzięki której Rockefeller odkrył Amerykę - posłużyło do zbudowania więzi między nimi.

- Lubił z nią rozmawiać na poważne tematy - powiedziała Sandra Boss.

Przez następne kilka lat Clark zajmował się Reigh. Sandra spędzała całe tygodnie poza domem i oddała mężowi pełną kontrolę nad córką, domem i książeczką czekową. Przekonywała go, że życie w Cornish stało się dla niej nie do zniesienia, ale Clark nie ustępował.

- Oskarżony chciał mieszkać na wsi i nie podejmował rozmów

o przewodniczce - zeznała.

Wspominała, że Rockefeller wolał, aby nie przyjeżdżała do domu w środku tygodnia. Sprawiał takie wrażenie, jakby chciał mieć swoje życie w Cornish - i córkę - wyłącznie dla siebie.

- Reigh jest bardzo inteligentna - powiedziała przysięgłym. - Była bardzo mała, kiedy poznała alfabet i trochę później nauczyła się czytać. Im więcej rozumiała, tym bardziej Clark chciał ją kontrolować. Mówił, że służy jej za „przewodnika”. Poinformował mnie o swojej jednostronnej decyzji, że zostanie głównym opiekunem Reigh. Traktował to jako rekompensatę za fakt, że ja dużo pracuję, a on ma niewielki wkład do domowego budżetu. Nie zgodziłam się z nim, ale on powiedział, że nie jest zbyt zainteresowany moją opinią.

Jej mąż „zdominował wychowanie córki”, wyjaśniła. Ale dziecko rozwijało się, a on był niezdolny do uchwycenia potrzeb emocjonalnych żony.

- Obsesyjnie skupił się na jej rozwoju intelektualnym, wywierał na nią presję, żeby bardzo szybko się uczyła. Rygorystycznie kontrolował, co je, w co się ubiera... Nie wspomniałam o tym wcześniej, ale kiedyś mi mówił, jak mam się ubierać. Kazał mi nosić konkretne rzeczy, a teraz zaczął tak postępować wobec naszej córki.

Merilynn Bourne doskonale to sobie przypominała.

- Dziewczynka nosiła takie same rzeczy jak on: koszulki Izod albo Lacoste z aligatorem, spodnie khaki, pasek L.L. Bean z homarem i buty żeglarskie Top-Sider bez skarpetek, miała też taką samą jak on fryzurę na pazia. Powiedziałam: „Ona jest tylko przedłużeniem jego samego. To jest miłość własna, a nie rodzicielska”. Kazał jej się uczyć cytatów z literatury i z Biblii, a potem popisywał się nią przy innych.

- Miała być ostatecznym potwierdzeniem jego genialności i talentu - tak prokurator David Deakin zinterpretował obsesję Rockefellera na punkcie swojej córki, którą zaczął nazywać Snooks, prawdopodobnie od małej dziewczynki z rodziny Saviów w Berlinie (Connecticut), u której mieszkał przez jakiś

czas niedługo po przyjeździe do Ameryki.

- Myślę, że jest oczywiste, iż dostrzegł w Reigh szansę na osiągnięcie czegoś wielkiego, co dodałoby wiarygodności jemu samemu. Chciał dać jej szanse życiowe, których sam nie miał. Miała zostać kimś niezwykłym. Gdyby wychował ją na noblistkę z fizyki, powieściopisarkę na miarę Pulitzera czy na rektora Uniwersytetu Standforda, byłby znany jako ojciec Reigh Rockefeller. A w jego systemie wartości byłoby to wielkie osiągnięcie.

Dziecko spowodowało w Clarku Rockefellerze głęboką przemianę. Kiedy zrobiła się starsza i inteligentniejsza, nauczył się ją kochać. Był jej bezgranicznie oddany. Poprzez tę miłość i oddanie człowiek, który skutecznie uciekł od wszelkich reliktyw swojej przeszłości, nareszcie zyskał w życiu kotwicę - jedyną osobę, której nie mógł oszukać, zdradzić ani porzucić.

- Jedyną prawdziwą rzeczą w jego życiu była jego córka i miłość do niej - powiedział zastępca komendanta bostońskiej policji Thomas Lee. - Wszystko inne było kłamstwem.

ROZDZIAŁ 15

Bóg wojny

Kawałek drogi od Doveridge znajduje się zabytkowa posiadłość Saint-Gaudens, stu pięćdziesięciohektarowa posesja, którą zamieszkiwał kiedyś Augustus Saint-Gaudens. Artysta ten w 1885 roku poszukiwał „ludzi w stylu Lincolna”, których chciał wykorzystać jako modeli do swoich słynnych rzeźb amerykańskiego prezydenta i innych bohaterskich postaci. W 1905 roku, dla uczczenia dwudziestej rocznicy przyjazdu Saint-Gaudensa, członkowie kolonii artystycznej w Cornish - w tym okresie między innymi bogaci nowojorczyki, którzy w ślad za artystą wyjechali na wieś - wystawili maski, spektakl oparty na dramacie antycznym.

W 2005 roku personel zabytkowego obiektu uczcił setną rocznicę tego wydarzenia, ponownie wykonując maski, zatytułowane *The Gods and the Golden Bowl* (Bogowie i złota misa). Podobnie jak dwadzieścia lat wcześniej w San Marino Clark Rockefeller wkręcił się do obsady.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, on grał Marsa, a jego córka nimfę - powiedział Gregory Schwarz, kierownik punktu informacyjnego w Muzeum Saint-Gaudensa. Na jednym ze zdjęć widać Rockefellera w złotej zbroi i hełmie, z zaciśniętą szczęką i włócznią w garści.

Bóg wojny to była dla niego odpowiednia rola, ponieważ w tym stadium toczył boje z wieloma mieszkańcami Cornish.

Nieprzyjemności zaczęły się latem 2001 roku, kiedy dwie mieszkanki Cornish, Nancy Nash-Cummings i doktor Sylvie Rudolph, postanowiły pójść popływać. Senator stanowy Peter

Burling powiedział o nich: „Nancy to wspaniała kobieta, która mnóstwo w życiu osiągnęła. Powiedzieć, że jest czytana, świetnie wykształcona i stanowi filar miejscowego środowiska artystycznego, to nic nie powiedzieć. Sylvie Rudolph to lekarka z naszego pogotowia, którą wszyscy uwielbiają i darzą ogromnym zaufaniem. Ma również wykształcenie prawnicze”.

Burling zaproponował, żebym zadzwonił do Nash-Cummings i poznał fakty z pierwszej ręki. Spytałem ją, jak się miewa.

- Doskonale! - odparła i zaczęła swoją opowieść o Clarku Rockefellerze. - To było bardzo nieprzyjemne spotkanie. Moja przyjaciółka Sylvie Rudolph i ja dużo spacerujemy. Kiedyś poszłyśmy na posesję sąsiadującą z Doveridge, żeby popływać i urządzić sobie piknik. W Blow-Me Down Brook była wielka pompa, która strasznie hałasowała, a poza tym wydawało nam się, że nie mają pozwolenia na pompowanie wody, więc weszłyśmy na teren Clarka i wyłączyłyśmy pompę. Po paru chwilach przyszedł stróż i spytał, co robimy. Powiedziałyśmy, że wyłączyłyśmy pompę, która okropnie hałasowała, i że zastanawiałyśmy się, czy Clark ma pozwolenie na pompowanie wody. Tego samego popołudnia Clark dowiedział się, że to my to zrobiłyśmy, i przysłał faks, w którym zagroził, że złoży na nas doniesienie o przestępstwie!

Formalnie rzecz biorąc, rzeczywiście bezprawnie weszły na teren jego posiadłości, ale w Cornish granice działek nie są dokładnie zaznaczone, a poza tym kobiety założyły, że sprawę da się wyjaśnić i załatwić polubownie, tak jak to się z reguły dzieje w małych miejscowościach, w których wszyscy się znają. Nancy pokazała mi faks, który Rockefeller wysłał przez pośrednika, niejakiego Maxa Blumberga. Poprosił go, żeby przekazał treść faksu uczestniczkom tego incydentu:

Drogi Maksie,
doigrały się!

Abym powstrzymał Melisę [prawniczkę Rockefellera] od złożenia doniesienia o przestępstwie, potrzebuję **przeprosin na**

piśmie za

- bezprawne wtargnięcie na teren prywatny
- wyłączenie pompy

oraz obietnicy

że już nigdy nie zbliżą się do mojego basenu.

Muszę otrzymać pisemne przeprosiny i obietnicę do 10.00 w dniu jutrzejszym, **z datą i podpisami obu osób**, do mojej niebieskiej skrzynki pocztowej w redakcji Union Leader [miejscowej gazety].

Jeśli nie otrzymam wspomnianych dokumentów do 10.00, z kopią dla Melissy Martin [adres utajniony], Lebanon, NH 03766, ze stemplem pocztowym z 2 sierpnia, Melissa

**złoży na policji w Cornish doniesienie
O NASTĘPUJĄCYCH PRZESTĘPSTWACH**

**bezprawne wtargnięcie na teren prywatny
majstrowanie przy moich urządzeniach mechanicznych**

Jeśli nie mają świadomości, jakie to pociąga za sobą konsekwencje, wymieniam je:

- Będą musiały udać się na posterunek policji w Cornish.
- Będą musiały stawić się na rozprawę w sądzie karnym.
- Będą musiały wynająć prawnika lub prawników.
- Ich nazwiska znajdują się w kartotekach policyjnych i sądowych oraz w lokalnych gazetach.
- Po wyroku skazującym złożę pozew cywilny, co będzie je kosztowało jeszcze więcej.

Wybór należy do nich. Proszę, daj mi znać, co zamierzają

zrobić.

I uświadom im, że nie blefuję.

- W pierwszej chwili zachnęłam się i powiedziałam: „To jakiś wariat i nie zamierzam spełniać jego żądań” - relacjonowała Nash-Cummings. - Mój mąż był wściekły, bo twierdził, że rzeczywiście weszliśmy w szkodę i grzebałyśmy przy pompie. Skonsultowałyśmy się z prawnikiem, który doradził nam, żebyśmy napisały te przeprosiny, bo jeśli on rzeczywiście pozwie nas do sądu, będzie nas to drogo kosztowało. Napisanie tych idiotycznych przeprosin zajęło mi kilka godzin. Zdażyłyśmy dostarczyć je na czas i sądziłyśmy, że na tym sprawa się zakończy. Miesiąc później przysłał nam miód i przeprosiny - nie zdawał sobie sprawy, że jesteśmy kobietami o tak wysokiej pozycji w społeczności i podobne bzdury.

Wysłała mi kopię tego listu, napisanego na maszynie na papeterii z nagłówkiem „DOVERIDGE”. Rockefeller tłumaczył, że wpadł we wściekłość, ponieważ ktoś inny majstrował wcześniej przy jego pompie, odkręcał wąż, wsypywał cukier do zbiornika paliwa, a raz ją nawet ukradł. „Nie zgłaszaliśmy tych incydentów na policję, ponieważ nie chcieliśmy angażować organów ścigania, nie mając podejrzanego. Teraz zainstalowaliśmy kamerę na podczerwień z czujnikiem ruchu, monitorowaną przez Tasco Security, na drzewie w pobliżu pompy, i mamy nadzieję, że uda nam się złapać sprawcę”.

Zakończył list serdeczną nutą: „Proszę przyjąć załączone słoiki miodu wyprodukowanego przez nasze pszczoły - pierwszego w sezonie. Nie mówmy już o zadrażnieniach z ostatnich kilku tygodni i miejmy nadzieję, że szybko uda się złapać winnego”. Podpisał się po prostu „Rockefeller”.

Rockefeller pokazał więc mieszkańcom Cornish swoje prawdziwe oblicze. Jego obsesja na punkcie bezpieczeństwa graniczyła z paranoją.

Koło wejścia do domu zaparkował kupiony na licytacji radiowóz z napisem: „DOVERIDGE SECURITY”. Kiedy nie

jeździł segwayem - co wciąż budziło sensację - był wożony po miasteczku pancernym cadillakiem.

Bóg wojny, bezpieczny w swojej twierdzy, był gotów wydać walkę mieszkańcom Cornish.

Do jego pierwszych wrogów należała Alma Gilbert-Smith, założycielka Cornish Colony Museum, świątyni artystów, którzy mieszkali w miasteczku w okresie jego kulturalnej świetności. Artyści dawno zniknęli, ale ich twórczość przetrwała - znaczna jej część znajdowała się w domu Gilbert-Smith, niegdyś należącego do Maxfielda Parrisha, którego bogate kolorystycznie, romantyczne i czasem dziwaczne obrazy uczyniły z niego najczęściej reprodukowanego malarza jego epoki. Na terenie pięknej dwudziestohektarowej posesji The Oaks Parrish stworzył wiele spośród swoich najwybitniejszych dzieł.

- Parrish wkomponował swój dom w falistą rzeźbę terenu - powiedziała Gilbert-Smith, drobna brunetka mówiąca z lekko hiszpańskim akcentem, który podchwyciła przed laty, kiedy mieszkała w Mexico City i południowym Teksasie. Oprowadzając mnie po posiadłości, spytała: - Czuje pan zapach lilii i kwiatów jabłoni?

Za domem był basen z pięknym widokiem na Mount Ascutney, która wznosi się za rzeką Connecticut w stanie Vermont.

- Parrish i inni artyści z tutejszej kolonii budowali tak zwane baseny księżycowe, czyli odbijające światło księżyca - powiedziała Gilbert-Smith. Wskazała na pobliski budynek: - Parrish miał tam piętnastopokojową pracownię. A to są oryginalne piwonie Lydii Parrish - dodała, pokazując na rabatę różowych kwiatów (często figurujących na obrazach artysty).

Z innych dzieł artystów mieszkających w Cornish moja gospodyni miała rzeźbę Daniela Chestera *The First Minutemen in Concord*, wielką połączoną rzeźbę Saint-Gaudensa *Diana of the Tower* („W muzeum Saint-Gaudensa mają tak samą Dianę z brązu i lubię się z nimi droczyć, że oni zdobyli brąz, a ja złoto”) i

najcenniejszy eksponat, North Wall Parrisha, największy jednocześnie mural w jego karierze, mierząca półtora na pięć i pół metra feerię koloru i światła.

Podczas dalszego oprowadzania Gilbert-Smith opowiedziała mi pewną historię.

- 24 lutego 1979 roku wybuchł u mnie pożar, jeden z największych w historii Nowej Anglii. W nocy. Nie mieliśmy wody. Mogliśmy tylko rzucać śnieg na ogień.

Staliśmy w ogrodzie za domem i pokazała na okno na piętrze, znajdujące się dobre cztery metry nad ziemią.

- Mój mąż skoczył z pierwszego piętra z dużym Parrishem pod pachą. Pochodzi z rodziny Whitneyów, która miała to szczęście, że w jej rękach znalazła się część dzieł artystów z tutejszej kolonii.

Jej mąż był potomkiem „pułkownika Barretta, dowódcy Minutemen”, i generała Benjamina Lincolna, „który przyjął miecz lorda Charlesa Cornwallisa jako znak kapitulacji Brytyjczyków”.

Sugestia była jednoznaczna: znajdowaliśmy się w domu prawdziwych Amerykanów, którzy zrobiliby wszystko - łącznie z narażaniem życia i zdrowia - aby uczyć i ochronić schedę po kolonii artystycznej w Cornish.

Wróciliśmy do środka na herbatę i Gilbert-Smith powiedziała mi:

- Parrish często przyjmował tutaj gości. Prezydent Woodrow Wilson z żoną, Teddy Roosevelt, Zelda i F. Scott Fitzgeraldowie i [pisarz] Winston Churchill bywali tutaj i podziwiali piękno posesji i ogrodów artysty. A Isadora Duncan tańczyła w saloniku muzycznym.

W końcu doszliśmy do powodu mojej wizyty: Clarka Rockefellera, którego Gilbert-Smith nazywała „oskarżonym”, ponieważ był wtedy sądzony w Bostonie.

- Oskarżony bardzo lekceważąco odnosił się do kolonii artystycznej w Cornish. - Zorientowałam się, że jego arogancka postawa wciąż ją boli. - To pokazuje, jaki z niego był historyk

sztuki. „Kogo obchodzą ci nikomu nieznani dziewiętnastowieczni artyści?” mówił do mnie. Przepraszam bardzo! - oburzyła się na wspomnienie tego hochsztaplera tak nonszalancko wyrażającego się o artystach, którym poświęciła znaczną część swojego życia.

- To byli najwybitniejsi przedstawiciele amerykańskiej złotej ery: Augustus Saint-Gaudens, Thomas i Maria Dewingowie, Frederick MacMonnies, Frederic Remington. Ta nikomu nieznana dziewiętnastowieczna twórczość, jak to ujął oskarżony, wciąż jest kupowana przez prawdziwych Rockefellerów, a także Whitneyów, Vanderbiltów, Astorów.

Dodała, że dwie wielkie postacie, które osiedliły się w Cornish - J.D. Salinger i kontrowersyjny brytyjski pisarz pakistańskiego pochodzenia Salman Rushdie - również wysoko ceniły prace artystów z kolonii w Cornish.

- Salinger i Rushdie prosili mnie, żebym ich wpuszczała do muzeum w dni, kiedy nie było tam nikogo, żeby mogli samotnie oglądać zbiory. Oczywiście robiłam to.

- Czy Rockefeller zwiedził muzeum? - spytałam.

- Nie, ani razu.

Naprowadziło to Gilbert-Smith na temat jej niefortunnego spotkania z nim.

- Przyniosę książkę - powiedziała.

Wyszła i po chwili wróciła z egzemplarzem *A Place of Beauty. The Artists and Gardens of the Cornish Colony* pióra Almy M. Gilbert i Judith B. Tankard, nauczycielki z Radcliffe College.

- Judith Tankard to wybitny autorytet w dziedzinie ogrodów, a ja uchodzę za światowy autorytet w dziedzinie Maxfielda Parrisha - wyjaśniła. Książka skupiała się na artystach i ogrodach Cornish Colony, w czasach jej największej świetności i dzisiaj. - Jeden z najpiękniejszych ogrodów w Cornish miała Maria Dewing - dodała Alma Gilbert-Smith. - Maria i Thomas Dewingowie, którego obraz *Roses* został ostatnio sprzedany za „wiele milionów dolarów”, przez wiele lat byli właścicielami Doveridge.

Clark Rockefeller „kompletnie zdewastował” ogrody w

Doveridge, poskarżyła się Gilbert-Smith.

- Te ogrody były bardzo znane, więc chciałam wykorzystać w książce fotografie Marii Dewing. Najpierw spytałam poprzednią właścicielkę Doveridge, czy pozwoli nam zrobić trochę zdjęć, i zgodziła się bez wahania. Potem sprzedała posesję Sandrze Boss. Kiedy się dowiedziałam, że jest nowy właściciel, skontaktowałam się z nim.

- Słyszałam, że niedawno kupił pan Doveridge - powiedziała do Rockefellera. - Witamy w naszej miejscowości!

Była pewna, że uzyska jego pozwolenie na wykorzystanie fotografii ogrodów Doveridge, starych i współczesnych.

- Znałam Rockefellerów z Woodstock i wiedziałam, że to hojni ludzie, którzy doskonale znają się na sztuce.

W pierwszej rozmowie telefonicznej wyjaśniła, że pisze książkę o najważniejszych rezydencjach Cornish Colony, w których mieszkali artyści, i otrzymała zgodę poprzedniej właścicielki na sfotografowanie tego, co pozostało ze wspaniałych ogrodów Marii Dewing. Po tych słowach twarz historyczki sztuki z Cornish pociemniała.

- „A mojej zgody pani nie ma” - powiedziała, naśladując jego głos.

Dalszy ciąg rozmowy przebiegał następująco:

- Nie mam i właśnie dlatego dzwonię.

- Odpowiedź jest odmowna. Jestem bardzo znaną osobą.

- Przepraszam pana, ale tu mieszka dużo znanych osób.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tutaj mieszkam.

- Przecież wszyscy wiedzą, że pan tutaj mieszka. Czytałam w gazecie, że przeprowadził się do nas Rockefeller.

- Tak, ale nie wiedzą gdzie. Nie powiedziałem im tego i zabraniam pani robić jakiegokolwiek zdjęcia.

Czułem, że kipi w niej gniew, kiedy to relacjonuje.

- To jeden z bardzo ważnych ogrodów - powiedziała Rockefellerowi. - Skoro pan nie chce, żebym robiła zdjęcia, to będę zmuszona użyć starych fotografii.

- Na to też się nie zgodzę.

- Nie ma pan wyboru. To są historyczne zdjęcia i nie może mi pan uniemożliwić ich użycia w książce.

- Pani wybaczy, ale mogę uniemożliwić nie tylko ich użycie w książce: mogę pani uniemożliwić publikację książki. Mogę wywalczyć sądowy zakaz publikacji pani książeczki!

Pozwoliła wybrzmieć słowu „książeczka” i podjęła swoją opowieść.

- Pracuję nad tą „książeczką” - powiedziała do Rockefellera. Wyjaśniła ze zgrzyliwym uśmiechem, że napisała wcześniej czternaście książek. - I wydam ją.

- Nie, wystąpię o zakaz sądowy. Jestem bardzo znaną osobą i nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tutaj mieszkam.

Gilbert-Smith postanowiła porozmawiać z nim inaczej.

- Panie Rockefeller, nie chce pan, żeby ludzie wiedzieli, że pan tam mieszka. Jak pan myśli, jak szybko do prasy dotrze wiadomość, że zakazał pan publikacji albumu o sztuce? Jestem pupilkiem mediów i mogę narobić sporo szumu. Mój kalifornijski wydawca...

- Co pani powiedziała? - przerwał jej.

- Mój kalifornijski wydawca Ten Speed Press raczej nie będzie zachwycony i też przeprowadzi małą kampanię informacyjną, jeśli spróbuje pan zablokować publikację książki.

- Zastanowię się i porozmawiam z moimi prawnikami.

- Rozumie pan? - spytała mnie Gilbert-Smith.

Wiedziałem, do czego pije. Wtedy sobie tego nie uświadamiała, ale kiedy wybuchła „sprawa Rockefellera”, zrozumiała, że słowo „kalifornijski” musiało zrobić na nim niemałe wrażenie, ponieważ pozostawał „w kręgu zainteresowania” tamtejszych organów ścigania w związku ze zniknięciem Johna i Lindy Sohusów. Adwokat Rockefellera szybko się z nią skontaktował i powiedział, że jego klient nie wyrazi zgody na fotografowanie ogrodów, ale nie wystąpi o zakaz publikacji książki.

- No i jak pan widzi, jedyne kolorowe ilustracje w tej części albumu to obrazy ogrodów pędzla Thomasa i Marii Dewingów - powiedziała.

Ostra konfrontacja Rockefellera z Alną Gilbert-Smith i jego agresywny atak na kobiety, które wyłączyły mu pompę nad Blow-Me-Down Brook, były tylko przygrywką do największego konfliktu: bitwy o Trinity Church.

Głównym antagonistą Rockefellera był Peter Burling. Przed wybuchem wojny o kościół wdali się w kilka wstępnych potyczek.

- Mówię o tym z zakłopotaniem, ale w pewnym momencie Clark postanowił przejąć niektóre elementy mojej tożsamości - powiedział mi Burling przy śniadaniu.

Senator miał kiedyś wóz strażacki GMC z 1937 roku, który kupił w połowie lat siedemdziesiątych za 200 dolarów, aby móc ochronić swoje konie w razie pożaru. Od dawna go nie potrzebował i Rockefeller kupił pojazd od Burlinga, uzupełniając swoją kolekcję oldtimerów, które stały na terenie posesji.

- Na co ci wóz strażacki, Clark? - pytali go miejscowi.

- Będę go używał na paradach i woził nim dzieci - odpowiadał.

Później Rockefeller i Burling pokłócili się o domek, który kiedyś należał do Rosie Leclair, ukochanej opiekunki dziadka Burlinga - przyjaciela słynnego prawnika i mieszkańca Doveridge Learneda Handa. („Za jeden z najcenniejszych dokumentów po moim ojcu uważam liścik, który wysłał sędziemu Handowi: »Spacery z Tobą po lasach Cornish należą do najjaśniejszych momentów w moim życiu«”, relacjonował Burling). Po śmierci Leclair Burling został wykonawcą jej testamentu. Jedynym istotnym elementem spadku był jej dom. Burling postanowił go sprzedać za jak najlepszą cenę i przekazać pieniądze spadkobiercom.

Na scenę wszedł Rockefeller i złożył obraźliwie niską ofertę.

- Odniosłem wrażenie, że Rockefeller próbuje zmniejszyć zainteresowanie domem, dać ludziom do zrozumienia, że i tak on go kupi, więc inni lepiej niech nie tracą czasu. Postanowiłem więc złożyć ofertę, żeby pokrzyżować mu szyki. W końcu chodziło o dom Rosie! Oczekiwałyby ode mnie, żebym bronił jej interesów. - Burling nie ukrywał złości. - Clark zadzwonił do

mnie i powiedział: „Próbujesz mnie zmusić, żebym więcej zapłacił! Nie potrzebujesz tego domu! Ja go kupię! To mój dom!” - Pokręcił głową. - To było kompletnie popieprzone, excusez le mot, ale tak to wyglądało. Stoję i słucham jego krzyków, a potem mówię: „Staramy się uzyskać uczciwą cenę za tę nieruchomości”. Złożyłem kolejną ofertę, a on się wściekł i podniósł swoją. Oczywiście nie mieliśmy wtedy pojęcia, że wydaje pieniądze Sandry. Chyba w tym momencie uznał mnie za wroga. Wydaje mi się, że potraktował to również ambicjonalnie. Skupił się na mnie jako na lokalnym kacyku, którego trzeba obalić.

Do Burlinga docierały informacje, że Rockefeller chodzi po całym miasteczku i szkaluje go.

- Od czasu do czasu słyszałem brzydkie rzeczy, które wygadywał o mnie Clark.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Rockefeller grawitował w Cornish w stronę kościoła - zwłaszcza Trinity Church, drewnianej budowli z 1808 roku, którą fotografował Walker Evans, a krajowy konserwator zabytków uznał za wymagającą szczególnej ochrony.

- To piękny kościół o konstrukcji szachulcowej, druga najstarsza świątynia episkopalna w całym stanie - powiedział Burling. - Kupiłem go w 1984 roku, obiecując, że oddam go gminie.

- Ten kościół był jego oczkiem w głowie, jego dzieckiem - powiedziała mi sekretarz rady gminy Merilynn Bourne o senatorze, który przez dwadzieścia lat z poświęceniem odnawiał obiekt. W 2004 roku budynek był pięknie odrestaurowany i Burling postanowił wywiązać się z obietnicy. To powinien być jego moment chwwały.

- Ale Clark, który miał inne plany, knuł za kulisami i podżegał ludzi, żeby sprzeciwili się przyjęciu daru - powiedział.

Jakie racjonalne argumenty mógł przytoczyć Rockefeller?

- „Kościół jest w ruinie” - trąbił po całym mieście Clark. -

„Został źle odnowiony. Gmina nie powinna go przyjmować”. Licho wie, co jeszcze mówił. Miał tak wielki dar perswazji, że byłby w stanie przekonać ludzi, że w sierpniu pada śnieg - powiedział Burling.

Wszystko było gotowe na „słynne posiedzenie władz gminy w marcu 2004 roku”, jak je później nazwano. Obrady prowadził Burling.

Pierwszy punkt programu brzmiał: czy gmina powinna zebrać 110 000 dolarów na budowę nowego posterunku policji obok remizy strażackiej.

- Otworzyłem obrady i przeszliśmy do pierwszego punktu. Clark, który siedział w pierwszym rzędzie, podniósł rękę. Oddałem mu głos.

Dalszy przebieg wydarzeń Burling relacjonował jak komentator walki bokserskiej. Widać było po nim, że rany wciąż się nie zagoiły.

- Włożył rękę do kieszeni i wyjął kawałek papieru. Powiedział: „Mam tutaj czek na 110 000 dolarów. Jeśli gmina przyjmie od Burlinga kościół i sprzeda mi go za dolara, to ja podaruję pieniądze na budowę posterunku policji”. - Burling westchnął głęboko. - To było niezwykle wystąpienie, ponieważ w Nowej Anglii ludzie nie mają zwyczaju publicznie obnosić się ze swoim bogactwem. Czteryście dziesięć szczęk opadło do podłogi. Przelknąłem ślinę. Zapędził mnie w koziego róg. Jeden z członków rady powiedział mi później, że obserwował mnie i przez głowę przemknęła mu następująca rzecz: „Ten drań postawił Burlinga w sytuacji nie do pozazdroszczenia”.

Sprytna zagrywka Rockefellera zakończyła się sukcesem. Dał Cornish 110 000 dolarów z pieniędzy Sandry Boss na budowę nowego posterunku policji, a gmina sprzedała mu za dolara drewniany kościół. Wykreował się na osobę, która jest hojniejsza od Burlinga i bardziej od niego dba o Cornish, a poza tym mógł wypełnić kościół wybranymi przez siebie wiernymi - ludźmi, którzy pomogli mu poprowadzić kampanię przeciwko Geneowi Robinsonowi, niedawno mianowanemu biskupem

diecezji New Hampshire. Robinson, którego Burling nazwał „jednym z najwspanialszych ludzi świata”, był zadeklarowanym homoseksualistą i pierwszym nieprzestrzegającym celibatu biskupem Kościoła episkopalnego, toteż miał wielu przeciwników wśród konserwatywnych wiernych.

Po posiedzeniu rady gminy Burling nie do końca pogodził się z porażką.

- Muszę powiedzieć, że zrobiłem się trochę przekorny - przyznał. - W umowie było powiedziane, że dam gminie kościół, ale ani słowem nie wspomniano o wyposażeniu.

Spytałem Burlinga, co było we wnętrzu kościoła, z taką troską przez niego odnowionego, a co potem utracił na rzecz człowieka, który stał się jego zmorą.

- Granitowa chrzcielnica, trochę mebli zrobionych na moje zamówienie, portret Philandera Chasea - jednego z najważniejszych episkopalian z Cornish i pierwszego biskupa Ohio - plus typowa kolekcja śpiewników. Były też piękne organy z połowy lat siedemdziesiątych XIX wieku i inne rzeczy. Zadzwoiłem do Clarka i powiedziałem: „Cieszę się, że dostałeś kościół, Clark. To, co jest we wnętrzu, oddam towarzystwu historycznemu. Jeśli będziesz zainteresowany, możesz to od niego odkupić albo wymienić za donację”. Dostał szału i zaczął na mnie wrzeszczeć. „Ty gnoju! Jak śmiesz! Te rzeczy są częścią umowy!”. Wytłumaczyłem mu, że o ruchomościach w umowie nie ma ani słowa. - Senator napawał się swoim zwycięstwem, które miało jednak krótkie nogi. - Przekazałem te rzeczy towarzystwu historycznemu, ale mam świadomość, że źle zrobiłem. Clark wytoczył przeciwko niemu najcięższe działa. Groził jego członkom, powiedział, że to jego własność i że jeśli spróbują zabrać te rzeczy, jego prawnicy się z nimi skontaktują. Coś strasznego. Członkowie towarzystwa historycznego w Cornish to sól ziemi, wspaniali ludzie, i byli po prostu zdruzgotani. Tak długo ich terroryzował, że w końcu oddali mu wszystkie rzeczy. Byli wstrząśnięci. Stulili uszy po sobie. Nie domyślali się, z kim mają do czynienia. Wtedy nikt się tego nie domyślał.

- A co pan wtedy o nim sądził? - spytałem.

- Sam nie wiem. Nie wierzyłem, że jest Rockefellerem, ale nie miałem pojęcia, kim jest.

Bitwa o Trinity Church zwróciła uwagę „Valley News”, dziennika, który ukazuje się na pewnych obszarach New Hampshire i Vermontu. 3 lipca 2004 roku John Gregg napisał o planach Clarka Rockefellera związanych z kościołem. Dziennikarz wspomniał, że jego rozmówca odmówił odpowiedzi na pytanie, czy jest spokrewniony z rodziną Johna D. Rockefellera. „Może jestem, może nie jestem - powiedział. - Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam”.

Wojowniczość Rockefellera znajdowała swój wyraz również w domu. W Doveridge, gdzie jego dzieła sztuki były trzymane w tubach dla ochrony przed nieustannym remontem, Rockefeller sprawował pełną władzę nad swoim dzieckiem, żoną i jej finansami.

- Oskarżony kontrolował finanse - zeznała Sandra Boss. - Oskarżony wydawał wszystkie pieniądze. Nie było żadnych oszczędności. Nie sprawdzałam stanu konta, on się tym zajmował. Nie znałam haseł dostępu. Żeby mieć jakieś pieniądze na własne wydatki, musiałam go o nie prosić.

Kiedy Reigh miała trzy albo cztery lata, czyli była w wieku, w którym większość dzieci z uprzywilejowanych rodzin idzie do przedszkola, Rockefeller podjął decyzję, że jego córka zostanie w domu. Rzadko pozwalał jej się pobawić z innymi dziećmi, więc tym bardziej nie zamierzał puszczać jej na wiele godzin dziennie do przedszkola.

- Ja chciałam, żeby miała więcej kontaktu z innymi dziećmi i przedszkole byłoby tutaj najprostszym rozwiązaniem - powiedziała Boss.

- Dlaczego do tego nie doszło? - zapytano ją.

- Oskarżonemu nie podobały się dostępne możliwości i uważał, że on sam wychowa dziecko lepiej.

Rockefeller zawiadywał też ogrzewaniem i wyżywieniem, skutkiem czego Sandra - która zarabiała wtedy 2 miliony

dolarów rocznie - często była zmarznięta i głodna we własnym domu.

- Kiedy byłam w New Hampshire, oskarżony dawał mi za mało jedzenia - zeznała. - Prawie każdej nocy budziłam się głodna.

- Czy dom był ogrzewany?

- Szczerze mówiąc, bardzo słabo. W głównym budynku często było zimno, nie licząc części, w której on sypiał.

A zatem sypiali wtedy osobno. Miała poczucie, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia i bała się. Zapytano ją w sądzie, czy nie próbowała się postawić.

- Próbowałam, ale kończyło się to dla mnie strasznie. Reagował bardzo agresywnie, wrzeszczał na mnie.

Chciała od niego odejść i uciec od horroru, jakim stało się dla niej Doveridge, ale nie wiedziała, jak to zrobić, nie tracąc przy tym córki. Ponownie ją zapytano, dlaczego w jej głowie nie uruchomiły się dzwonki alarmowe, skoro „nie widziała żadnych oznak tego, że żyje z osobą o określonej tożsamości”, jak to ujął obrońca Rockefellera.

- Skupiałam się na tym, żebym miała co jeść i spędzała jak najwięcej czasu z moją córką - odparła. - Nie miałam sił, żeby zajmować się kwestią tożsamości mojego męża.

- Czyli budzi się pani zziębnięta i głodna, on jest wobec pani strasznie agresywny... Pani nam mówi, że chociaż zarabiała 40 000 dolarów tygodniowo, nie była pani w stanie zmienić tej sytuacji? - zapytał obrońca Rockefellera.

- Bałam się.

- Bała się pani, że gdyby poszła pani do prawnika, straciłaby pani opiekę nad dzieckiem?

- Kiedyś powiedziałam oskarżonemu, że poważnie zastanawiam się nad rozwodem, a on zaczął na mnie wrzeszczeć przy Reigh, że jeśli się rozwiedziemy, on uzyska pełną opiekę nad nią.

Fakt, że Cornish jest miejscowością położoną na uboczu, dodatkowo utrudniał sytuację Sandry.

- Potrzebowałam świadków - zeznała. - Oskarżony wyrobił

sobie renomę osoby godnej zaufania. Wywikłanie się z tego wszystkiego byłoby dla mnie bardzo trudne.

Adwokat zapytał ją, u kogo Rockefeller wyrobił sobie renomę osoby godnej zaufania.

- Miał dobry kontakt z wieloma sąsiadami, którzy uważali go za bardzo sympatycznego człowieka.

W końcu jednak zaczęła się domagać, żeby coś zmienili w swoim życiu, przede wszystkim miejsce zamieszkania.

- Zaczęłam mu grozić, że od niego odejdę, jeśli nie nastąpi jakaś zasadnicza zmiana. Kiedy sytuacja zrobiła się nie do zaakceptowania, zaczęłam naciskać, żebyśmy przeprowadzili się do Bostonu.

Pracowała już wtedy w bostońskim biurze McKinseya.

- Chciałam mieszkać bliżej pracy, żebym mogła spędzać więcej czasu z Reigh. „Musimy przeprowadzić się do Bostonu. Musimy dać ją do szkoły”. - Rockefeller zgodził się na rozwiązanie pośrednie. - Reigh i oskarżony zaczęli spędzać więcej czasu w Bostonie, chodzili na różne imprezy i poznawali miasto.

W końcu Rockefeller „ustąpił”, powiedział, że przeprowadzi się z Cornish do Bostonu. Oczywiście miał swoje oczekiwania co do nowego lokum. Znaleźli je w Beacon Hill - jednej z najstarszych i najdroższych dzielnic Bostonu - w czteropiętrowej, porośniętej bluszczem kamienicy przy Pinckney Street 68. Cena: 2,7 miliona dolarów.

We wrześniu 2006 roku Clark Rockefeller przeprowadził się z żoną i pięcioletnią córką do Bostonu, zostawiając w Cornish niedokończony dom, zabytkowy kościół i wiele pytań bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 16

Bramin z Bostonu

Podczas procesu Rockefellera przez prawie miesiąc mieszkałem w Taj Boston, zabytkowym hotelu niedaleko dzielnicy Beacon Hill, gdzie Rockefeller mieszkał z Sandrą i Snooks. Krótco po przybyciu do Bostonu spacerowałem po Beacon Hill i natychmiast się zorientowałem, dlaczego Clark Rockefeller w 2006 roku zgodził się przenieść z Cornish do Bostonu.

Jak można przeczytać na stronie internetowej Beacon Hill Online, „Beacon Hill to dziewiętnastowieczna bostońska dzielnica mieszkaniowa położona na północ od Boston Common [wielkiego parku miejskiego] i Boston Public Garden [najstarszego amerykańskiego ogrodu botanicznego założonego w 1837 roku]. W powszechnym przekonaniu życie w wielkim mieście jest anonimowe i alienujące. Tymczasem ta przytulna enklawa, zamieszkała przez prawie dziesięć tysięcy osób, bardziej przypomina miasteczko niż anonimowy moloch. Tutejsze życie społeczne jest bardzo bogate, sąsiedzi znają się nawzajem i wszyscy się spotykają na ulicach sklepowych Beacon Hill i podczas niezliczonych wydarzeń społecznych”. W Beacon Hill mieszkał John Hancock, w „wiejskim domu” - w tamtym czasie okolica ta składała się głównie z pastwisk. Na początku XIX wieku mieszkaly tutaj najbogatsze bostońskie rodziny, zwane braminami z Bostonu - od nazwy najwyższej kasty hinduskiej.

Poszedłem na Charles Street, główną ulicę Beacon Hill, a potem skręciłem w Pinckney i dotarłem pod numer 68, gdzie

mieszkali Sandra, Clark i Reigh. Był to uroczy i piękny dom porośnięty bluszczem, z latarniami gazowymi od frontu. Jak się dowiedziałem, senator John Kerry miał dom tuż za rogiem. Niemiecki imigrant znalazł elitarny adres, jakiego zawsze szukał.

O tej porze na ulicy nie było jeszcze ludzi ani samochodów. Potem zobaczyłem mężczyznę z psem. Zatrzymałem go i przedstawiłem się. Kiedy wymieniłem nazwisko Clarka Rockefellerera, uśmiechnął się i powiedział, że mieszka bardzo blisko jego dawnego domu. Dał mi swój numer telefonu i zaproponował:

- Proszę zadzwonić do mojej żony, ona panu powie wszystko, czego chce się pan dowiedzieć.

Kilka godzin później siedziałem w domu, który emanował historią, kulturą i dobrym smakiem, i słuchałem opowieści sympatycznej, wykształconej kobiety o człowieku, który szturmem zdobył tę dzielnicę.

- Całe Hill było zafascynowane Rockefellerem i miało obsesję na jego punkcie - powiedziała po podaniu mi kawy. - Zналиśmy go jako wspaniałego ojca. Nazywaliśmy go „pan mamusia”. Mieszkali tutaj półtora roku, może dwa lata, a jego żonę widzieliśmy raz. Naprawdę. Podobno miała dla siebie małą w weekendy, ale nie widywaliśmy jej. - Przypomniała sobie, że spotkała Clarka na ulicy. - Powiedział: „Jestem Clark Rockefeller. A to jest Snooks”. Nie wiedzieliśmy, że mała ma na imię Reigh. Zawsze mówił na nią Snooks.

Jego styl ubierania się określiła jako „typowy dla wiejskiego New Hampshire - wie pan, sandały Birkenstock i tak dalej”. Do tego nosił koszulę Izod, niebieską albo czerwoną z postawionym kołnierzykiem, spodnie albo czerwone, albo khaki i zawsze buty Top-Sider bez skarpetek.

- Nawet zimą to nosił, chociaż na pewno wkładał więcej na siebie.

Sprawał wrażenie człowieka, który nie pracuje. Sąsiadka zakładała, że Rockefeller żyje z funduszu powierniczego i nie musi pracować. Jego głównym zajęciem w życiu była opieka nad

córka. Sąsiedzi bardzo dobrze pamiętali Snooks.

- Ludzie są tutaj bardzo przyjaźni. Siedzą w ogrodach od frontu. Psy spacerują - opowiadała, żebym mógł się wczuć w klimat dzielnicy. - Mieszka tutaj niejaki Phil Short. Wszędzie go pełno, a wygląda jak tancerz baletowy Aleksander Godunow. Któregoś dnia siedzieliśmy u niego na schodach i przechodził Clark ze Snooks. Snooks usiadła Philowi na kolanach i zaczęła mierzwić mu włosy. Powiedzieliśmy: „Phil, masz nową przyjaciółkę!” A Phil na to: „Pierwszy raz ją widzę”. Była przeurocza. Często mi mówiła, że chciałaby zobaczyć mój dom. Kiedyś poprosiła o to panią spod pięćdziesiątego ósmego, która jej odpowiedziała: „Teraz nie jest dobry moment, ale może kiedyś przyjdiesz się pobawić”. A Snooks na to: „Nie przyjdę się pobawić. Zabawa jest dla dzieci, a ja nie jestem dzieckiem”. Miała wtedy pięć albo sześć lat. Był z niej taki dumny, a ona była taka inteligentna.

Przerwałam jej i zapytałam, czy była w domu Rockefellera. Tak, zaprosił ją niedługo po tym, jak się poznali.

- Do samego końca się nie zadomowił. Rok po jego wprowadzeniu się w jego domu dalej stały pudła. Według wszystkich dlatego że był zbyt zajęty opieką nad Snooks. Rano wychodził z domu, żeby odprowadzić ją do szkoły, a po chwili wbiegał z powrotem, bo zapomniała skarpetki czy czegoś. To on zawsze ją odprowadzał do szkolnego autobusu. Wszędzie z nią chodził. - Urwała na chwilę. - Widać było, że ojciec spędza z nią mnóstwo czasu, bo była bardzo rozgarnięta. Spotkali kiedyś nowego sąsiada i spytał go, jak się nazywa. „Nazywam się Elwood Headley” - powiedział. A ona na to: „Jak to będzie? E-L-W-O-O-D H-E- A-D-L-E-Y”. Przeliterowała jego nazwisko, a miała wtedy zaledwie pięć lat! Jej zdjęcie ukazało się na pierwszej stronie „Beacon Hill Times”.

Miała na myśli fotografię Snooks stojącej koło rysunku kredą na chodniku: całej tablicy okresowej pierwiastków na rogu Charles i Beacon Street.

- Spytałam Clarka, czy ona to rozumie. Powiedział, że tak. Ja

nawet w liceum nie nauczyłam się tablicy okresowej, a ona miała wtedy pięć albo sześć lat.

Clark, który z pozoru zostawił swoją agresywność i kłótniowość w Cornish, wraz z córką stał się częstym widokiem w Beacon Hill. Razem się bawili i jadali. Spędzali sporo czasu w Boston Athenaeum, jednej z najstarszych i najbardziej ekskluzywnych bibliotek w Ameryce. „Biblioteka publiczna Boston Athenaeum została założona w 1807 roku przez grupę dżentelmenów, którzy chcieli mieć czytelnię, bibliotekę, muzeum i laboratorium - czytamy w broszurze dla zwiedzających. - Z niegdysiejszych członków Athenaeum można wymienić Johnyego Quincy Adamsa, Ralpha Waldo Emersona, Amy Lowell, Henry ego Wadswortha Longfellowa, Daniela Webstera i Lydię Marię Child”.

W niedzielne przedpołudnia Clark czytał książki dzieciom w bibliotece dziecięcej Athenaeum.

- Był w tym świetny, umiał naśladować mnóstwo akcentów - powiedział ktoś, kto słyszał, jak Rockefeller czytał w Athenaeum.
- Słyszałem, jak recytował z pamięci długie fragmenty poezji Roberta Burnsa, z idealnym szkockim akcentem.

Jak mówił później Rockefeller, w chwili przyjazdu do Bostonu Snooks płynnie czytała. W wieku trzech lat czytała artykuły z czasopisma naukowego. „Nature”. Powiedział, że kiedyś w jeden wieczór dwadzieścia pięć razy przeczytał jej wiersz Tennysona The Daisy. Nie tylko go zrozumiała, ale strasznie jej się podobał. To beztróskie dziecko, którego ulubioną lekturą i filmem była Mała księżniczka, tryskało dobrym humorem i podskakiwało co pięć kroków, zawsze mając przy sobie ojca, który ją adorował.

- Za bardzo cię kocham, tatusiu - mówiła często.

- Był jej bardzo oddany - powiedział John Winthrop Sears, absolwent prawa na Harvardzie, były szeryf hrabstwa Suffolk i powszechnie szanowany bramin z Bostonu, który mieszkał w zabytkowej wozowni przy Acorn Street, niedaleko domu

Rockefellera.

Sears pomógł Rockefellerowi uzyskać członkostwo bibliotek Athenaeum. Odwiedziłem go w jego domu na końcu uroczej ulicy brukowanej kocimi łbami. Ten siwowłosy siedemdziesięcioośmiolatek, który miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, zaprosił mnie do salonu po brzegi wypełnionego książkami. Stały na półkach i leżały na podłodze, a przy ścianach każdego pokoju wznosiły się góry czasopism i gazet, między innymi czterdzieści roczników „New York Timesa”.

- Podziwia pan moją stertę śmieci - powiedział. Książki nagromadziły się przez trzydzieści pięć lat życia w wozowni. - W tej chwili siedzi pan na nowych rocznikach „Economist”, ale są też relikty mojego aktywnego udzielania się w lokalnej polityce. Rzeczy, które chciałem przeczytać. Ta wysoka sterta koło pana to historia mojego ojca. Byłem rodzinnym historykiem. Moim błędem było to, że za późno zająłem się badaniem historii rodu Rockefellerów.

Wręczył mi dwustronicowe streszczenie swojego niezwykłego życia. Był stypendystą Rhodesa, pracował w kilku renomowanych firmach z Wall Street, należał do wielu prywatnych klubów i organizacji charytatywnych i był znanym politykiem. Przyznał jednak, że nowy przybysz i jego urocza córeczka go zafascynowali.

- Zadzwoił do mnie znajomy, o którym mogę powiedzieć, że jest powszechnie szanowanym człowiekiem - powiedział Sears po przyniesieniu drinków. Znajomy był lekarzem z okolic Los Angeles. - Powiedział: „Masz nowego sąsiada. Poznałem go w zachodniej Kalifornii. Bądź dla niego miły, dobrze?”. Zrelacjonował mi swoje rozmowy z Clarkiem na temat jego zainteresowań. - Sears wypił łyk rumu z colą. - Miałem więc dobry pretekst, żeby przedstawić się mojemu sąsiadowi Clarkowi, który kilka razy był u mnie w domu ze swoją córeczką.

Jako wieloletni mieszkaniec Bostonu Sears doskonale znał akcenty z tego miasta i jego okolic. Poprosiłem go, żeby określił

akcent Clarka Rockefellera.

- Mówił z akcentem typowym dla przedstawiciela elit ze Wschodniego Wybrzeża - powiedział Sears. - Brzmiał bardzo wiarygodnie. Te same tony można by było usłyszeć w dobrej szkole prywatnej w Nowej Anglii albo w prestiżowych klubach, do których należą. Clark doskonale pasował do naszej dzielnicy.

- Sears wspomniał o senatorze Johnie Kerrym i dodał, że absolutnie nie jest to jedyny znany mieszkaniec Beacon Hill. - Jest Nan Ellis, siostra byłego prezydenta Busha, i powieściopisarz Robin Cook. Jeśli senator i siostra prezydenta nie robią na kimś wrażenia, to co można na to poradzić?

Niedługo po przyjeździe do Bostonu Rockefeller i jego żona Sandra zaprosili Searsa na imprezę w McKinseyu.

- Siedziałem z nimi przy głównym stole, tym samym co prezes McKinseya - relacjonował. Nie było niczego zaskakującego w fakcie, że Sandra, jako współpracowniczka, siedziała obok szefa znanej ogólnoswiatowej firmy konsultingowej. - Sandra i Clark wciąż byli razem i tworzyli obraz idealnej rodziny.

Clark i Sandra weszli na bostońskie salony 30 listopada 2006 roku, kiedy wzięli udział w imprezie charytatywnej dla The Mount, piętnastohektarowej posesji w Lenox (Massachusetts) zamienionej na muzeum powieściopisarki Edith Wharton, autorki takich klasycznych dzieł jak Wiek niewinności, za które w 1921 roku jako pierwsza kobieta dostała Nagrodę Pulitzera. Jej trudne, zakończone rozwodem małżeństwo z pochodzącym z arystokratycznych sfer i pozbawionym sumienia brutalnym Teddym Whartonem przypominało związek Sandry i Clarka.

- Obaj trwonili pieniądze swoich bogatych żon - wspominał ktoś, kto dobrze znał sytuację obu kobiet. - Żaden z nich nie był tym, za kogo się podawał.

Benefis, który odbył się w rezydencji bostońskiego filantropa nad Back Bay, miał uchronić zadłużone muzeum przed plajtą. Sandra, młoda, inteligentna współpracowniczka McKinseya, przystała na prośbę zarządu fundacji, aby wykorzystwała swoją żyłkę biznesową do ratowania muzeum. Jak napisano w czasopiśmie

„Boston”, kiedy Sandra i jej mąż weszli do rezydencji, w której zebrał się tłum bogatych ludzi - Sandra, młoda, szczupła i piękna w sukni wieczorowej, Clark bardzo elegancki w smokingu - fotograf bostońskiej śmietanki towarzyskiej Bill Brett podniósł aparat, tak jak to robił przy entré każdej innej prześwietnej pary. „Zabraniam panu robić mi zdjęcie!” - prychnął Rockefeller i błyskawicznie odciągnął żonę na bok.

Zupełnie nie przypominał innych Rockefellerów, którzy mieszkali w Bostonie i obdarzali miasto swoją życzliwością i filantropią. Przede wszystkim Clark Rockefeller tak naprawdę nie znał nikogo. Ale dzięki pomocy Johna Searsa to się miało szybko zmienić.

Ponieważ Clark był w Bostonie zupełnie nowy, Sears próbował trochę nim pokierować, między innymi załatwił mu członkostwo w Athenaeum.

- Tak, byłem spiritus movens. Otwierałem im tutaj różne drzwi. Załatwiłem im karty biblioteczne. Sam za nie zapłaciłem. Pamiętam, jaki na początku byłem przejęty, że robię coś dla Rockefellera. Zasada jest taka, że jeśli w okresie próbnym ktoś korzysta z biblioteki w sposób odpowiedzialny, zostaje przyjęty. - Sears zapewnił mnie przy tym, że dla wykształconego personelu Athenaeum nie ma znaczenia, czy chodzi o Rockefellera, czy o kogoś innego. - To nie jest miejsce, w którym nazwisko Rockefeller powala wszystkich na kolana. Ludzie są przyzwyczajeni do wielkich nazwisk. - Wymienił kilku Rockefellerów z Bostonu, którzy zostali jego przyjaciółmi. - Na przykład Nelson Rockefeller w 1967 roku zorganizował dla mnie bankiet, żeby wesprzeć moją kandydaturę na burmistrza. A zatem nic nadzwyczajnego. Nie zaparło nam tchu, ale miło było mieć Clarka za sąsiada.

Rozmowa ta uzmysłowiła mi, że Rockefeller wspiął się o szczebel wyżej w hierarchii społecznej, zauroczył znanego bostońskiego przedsiębiorcę i polityka (i byłego szeryfa), jego świetnie wykształconych sąsiadów z Beacon Hill i personel jednej z najbardziej prestiżowych bibliotek w Ameryce. Sears

powiedział, że jego znajomość z Rockefellerem przerodziła się w sympatyczną dwuletnią przyjaźń. Ten rodowity bostończyk spotykał Clarka i Snooks na ulicy i zapraszał ich do swojego pełnego książek domu.

Sears uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział:

- Dał mi książkę o rodzie Rockefellerów.
- Chętnie bym ją zobaczył - odparłem.
- Bardzo proszę.

Wstał i przyniósł książkę zatytułowaną David Rockefeller. Memoirs. Na okładce można było zobaczyć fotografię tego sławnego człowieka z profilu. Dziwne, ale dało się dostrzec pewne podobieństwo do Clarka. Przeczytałem tekst na skrzydełku: „Najmłodsze dziecko Johna D. Rockefellera juniora, jeden z najbogatszych Amerykanów i wielki mecenas sztuki współczesnej Abby Aldrich Rockefeller. W czasach wielkiego kryzysu skończył Harvard, studiował też w London School of Economics i zrobił doktorat w University of Chicago”.

John Sears powiedział mi, żebym otworzył książkę na stronie tytułowej. Natychmiast rozpoznałem zamaszyste pismo Rockefellerera. Dedykacja była datowana na 26 grudnia 2006 roku.

Chociaż nie widziałem go od końca lat osiemdziesiątych albo początku lat dziewięćdziesiątych, DR przysłał mi (może przez pomyłkę) dwa egzemplarze Memoirs. Podpisane. Jeden z nich od tej pory będzie należał do Ciebie. Życzę przyjemnej lektury. Czuję się zaszczycony, że Cię poznałem - dziękuję Ci za całą Twoją dobroć. Twój sąsiad, Clark Rockefeller

W książce rzeczywiście podpisał się David Rockefeller. Spytałem Searsa, czy jego zdaniem podpis jest autentyczny, czy też Clark go sfalszował.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Znałem Nelsona Rockefellerera, ale Davida nie.

Sears powiedział, że kilka razy był w domu Rockefellerera za

rogiem.

- Na podłodze stał obraz Mondriana. Powiedział mi, że zapłacił za niego ponad milion dolarów.

Wzięliśmy drinki i po wąskich schodach wyszliśmy na taras na najwyższym piętrze wozowni. Widać było stamtąd wieże kościelne Bostonu. Sears wskazał mi również inny, nowszy „zabytek” na rogu Beacon i Brimmer Street, a mianowicie bar Cheers, który zainspirował kultowy serial telewizyjny z lat osiemdziesiątych.

- Snooks chodziła do Southfield - opowiadał Sears.

Southfield to szkoła dla dziewcząt, która ma wspólny kampus z *Dexter, almae matris* Searsa, gdzie pobierał nauki między innymi John F. Kennedy.

- To była wyjątkowa szkoła. W wieku jedenastu lat uczyłem się łaciny. Szkolny autobus codziennie prowadzi inny nauczyciel. Ta doskonale zarządzana szkoła dała się nabrać tak samo jak większość z nas. Z drugiej strony raczej nie miało dla niej znaczenia, że ojciec dziewczynki nazywał się Rockefeller.

Codziennie rano Clark zaprowadzał Snooks na przystanek autobusowy na rogu Beacon i Brimmer, a po południu czekał tam na nią.

- Wszyscy ludzie, którzy mieli dzieci w Dexter albo Southfield, poznali Clarka i Snooks - powiedział Sears. - Znał wszystkich młodych rodziców z dzielnicy.

Sears zasugerował, że jeśli chcę się dowiedzieć czegoś więcej o pobycie Clarka w Beacon Hill, powinienem przyjść na przystanek autobusowy następnego dnia o 7.30.

Kiedy rodzice odprawiali poranny rytuał wysyłania dzieci do szkoły, dookoła roilo się od aut Porsche i plecaczków. Chłopcy mieli czapki z Dexter, a dziewczynki - mundurki z Southfield. O 7.30 pod Cheers duża i rozgadana grupa ludzi czekała na przyjazd autobusów. Kiedy się zjawily, dzieci wsiadły i krzyczały: „Pa, tatusiu! Pa, mamusiu!”. Rodzice czekali, aż autobusy znikną

z pola widzenia.

Jak tylko wypowiedziałem nazwisko Clarka Rockefellera, spiorunowali mnie wzrokiem i zaczęli się szybko rozchodzić. Większość nie chciała ze mną rozmawiać, ale parę osób w końcu się zgodziło. Część z nich chciała po prostu opowiedzieć o człowieku, który ściągnął na ich dzielnicę uwagę całego kraju. Inni poczuli się do obowiązku przekazania prawdy o Clarku Rockefellerze.

- Powiedział mi, że za miliard dolarów sprzedał Boeingowi swoją firmę projektującą silniki odrzutowe - wyznał ojciec uczennicy Southfield, z którym szybko się zaprzyjaźniłem. Rockefeller zaprosił go kiedyś do Harvard Club w Bostonie, ponoć po to żeby umówić ich córki na wspólną zabawę. - Innym ludziom mówił, że pracuje dla Pentagonu, CIA albo Departamentu Obrony. A kiedy urodziła się Snooks, rzekomo sprzedał firmę Boeingowi. - Człowiek ten wierzył Rockefellerowi, przynajmniej na początku. - Później usłyszałem, że rachunki płaci jego żona Sandy, on jednak twierdził coś przeciwnego. „E, ona zarabia ledwo 300 000 do 400 000 rocznie” - mówił. Sądząc po tym, co było u niego w domu - Rockefeller pokazał znajomemu swoją kolekcję sztuki ekspresjonistycznej i pamiątki rodowe - uznałem, że ma mnóstwo własnych pieniędzy. Mówił na przykład, że chciałby sfinansować planetarium dla szkoły naszych córek.

Na razie zadowolił się jednak pracą jako wolontariusz dla szkolnego Centrum Naukowo-Technicznego imienia Claya. Tamtejsze obserwatorium jest „lepsze od tego, które ma Harvard” - powiedział rodzic uczennicy Southfield.

- Jestem menedżerem portfelowym, więc spytałem go: „W co pan inwestuje?”.

- Wyłącznie w bony skarbowe - odparł Rockefeller i jego nowy znajomy nie miał powodu mu nie wierzyć, ponieważ wielu rodziców uczennic z Southfield lokowało swoje pieniądze w obligacjach.

Człowiek ten zaprosił mnie do swojego domu na

przedmieściach Bostonu. Zobaczyłem tam dom jak z widokówki, atrakcyjną młodą żonę i dziewczynkę, która chodziła do szkoły ze Snooks - cała rodzina była zachwycona oddanym ojcem i niezwykłą dziewczynką, która zjawiała się w Southfield w 2006 roku.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos innego ojca uczennicy Southfield, który przedstawił się jako Clark Rockefeller i zaproponował, żeby ich córki równieśniczki spotkały się na wspólną zabawę. Zapytał matkę, co jej córka lubi robić.

- Powiedziałam: „To, co lubią wszystkie małe dziewczynki, bawić się w dom, szkołę, dzidziusia i mamusię”. Dla Clarka było to zupełnie z księżycą. „A lubi chodzić do MFA [Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie]?” - spytał. Powiedziałam, że moja córka jeszcze słabo czyta i że nigdy nie była w MFA. Poszliśmy tam razem. Snooks знаła każdy obraz, każdego artystę, wszystkie daty. Znała różne ciekawostki. Chodziliśmy po mieście i Clark pytał: „Snooks, co znaczy ten emblemat?” Wie pan, różne symbole i znaki. Wiedziała, że taki a taki znak symbolizuje wodociągi publiczne. Wiedziała rzeczy, które mało kto wiedział, zwłaszcza takie małe dziewczynki.

Spytałem jej córkę, dziewczynkę w białych tenisówkach, która zaprzyjaźniła się ze Snooks, co o niej myśli.

- Była wyjątkowa - odparła. - Tylko ona umiała czytać słowa i zawsze, kiedy nie potrafiłyśmy czegoś przeczytać, szłyśmy do niej. Na przykład gdy nie wiedziałyśmy, jak się czyta „decide”, szłyśmy do niej i ona nam mówiła. Była najinteligentniejsza.

Dziewczynka zaprzyjaźniła się również z ojcem Snooks, na którego mówiła „wujek Clark”.

- Był miły. Nauczył mnie czytać i tak dalej. Wujek Clark nauczył mnie wielu rzeczy.

Ale mimo nieprzeciętnej inteligencji Snooks władze Southfield umieściły ją w przedszkolu o rok niżej, niż wskazywałby na to jej wiek, ponieważ była poważnie zapóźniona w rozwoju społecznym - przez wiele lat nie miała kontaktu z innymi

dziećmi. Rodzina, którą odwiedziłem, potwierdziła tę diagnozę.

- Na urodzinach nie chciała się bawić z innymi dziećmi - powiedziała matka. - Nie włączała się do żadnej grupy. Nie brała udziału w grupowych zdjęciach. Nie ustawiała się w kolejce po pizzę i tort. Trzymała się z boku. Bawiła się sama ze sobą. Mówiła do siebie, na przykład zadawała sobie pytania typu: „Co ludzie jedzą w Afryce?”. Żyła w swoim świecie.

Wspominali wycieczki na łyżwy z córką, Snooks i jej ojcem.

- Pamiętacie, jak musieli ją znosić z lodowiska? - spytała matka.

- Zaczynała bredzić - powiedział ojciec.

- Piszczec i krzyczeć - dodała matka. - Miała napady wściekłości.

- Mówiła: „Reigh jest dobra, Reigh jest dobra” - relacjonowała córka. - Siedzieliśmy sobie gdzieś, a ona nagle zaczynała powtarzać: „Reigh jest dobra, Reigh jest dobra, Reigh jest DOBRA!”.

Mimo to Rockefeller postanowił od następnego roku szkolnego przenieść ją do pierwszej klasy. Wszczął w tej sprawie prawdziwą krucjatę, obiecując szkole poważne wsparcie finansowe.

- Clark powiedział nam, że planuje sfinansować planetarium, ale wydaje mi się, że jednocześnie groził władzom szkoły - powiedział ojciec. - W naszych rozmowach dał mi do zrozumienia, że będzie wykorzystywał planetarium jako formę nacisku na szkołę, żeby była bardziej troskliwa i wyrozumiała w stosunku do jego dziecka. Nauczyciele sporo się od niego nasłuchali. Zaskoczyło mnie, że mu na to pozwalali. Clark nie mógł pogodzić się z faktem, że zakwalifikowali ją w przedszkolu do niższej grupy. Bardzo go to uraziło. I jako rodzic potrafię to zrozumieć.

Czyli planetarium w zamian za przeniesienie córki do klasy odpowiedniej dla jej wieku?

- Właśnie - potwierdziła matka.

Clark nie tylko wodził szkołę za nos swoim sławnym nazwiskiem i hojnymi obietnicami, mydlił też oczy moim rozmówcom, toteż bez obaw zostawiali swoją córkę pod jego opieką.

- Czasem zajmował się obiema dziewczynkami - powiedziała matka.

- Czy wujek Clark jest geniuszem? - spytała córka.

- Być może, nie wiem - odparł ojciec. - Ale to na pewno inteligentny facet. Wiedział, jak manipulować ludźmi, co mówić, jak zwrócić na siebie uwagę. Pierwsza firma Johna D. Rockefellera nazywała się Clark and Rockefeller. Sprzedawał artykuły spożywcze, a jego wspólnik nazywał się Clark. Prawie nikt o tym nie wie, ale Clark wiedział wszystko.

Rodziców zniechęcano do pojawiania się w szkole podczas zajęć, ale czasem byli zapraszani, na przykład na dzień rodzica czy przedstawienie bożonarodzeniowe. Rockefeller przychodził prawie zawsze i prawie nigdy w towarzystwie żony. Doskonale grał swoją rolę, w tym wypadku hojnego filantropa ze sławnej rodziny, który zamierza podarować szkole planetarium.

- Muszka, granatowa marynarka, spodnie khaki, czasem półbuty, czasem top-sidersy - opisywała matka.

- Aha, byłabym zapomniała: wujek Clark nigdy nie nosił skarpetek - dorzuciła córka.

Jesienią 2006 roku Sandra Boss poruszyła w rozmowie z Clarkiem problem pieniędzy. Jak zeznała w sądzie, w 1996 roku mąż powiedział jej, że przez dziesięć lat nie może sprzedać swojej kolekcji sztuki, która jest własnością rodzinnej fundacji. A zatem termin upłynął i przyszła pora, aby sprzedać jedno z dzieł i nareszcie zasilili rodzinny budżet.

Kolekcja sztuki była jedynym konkretnym dowodem na to, że jej mąż naprawdę jest Rockefellerem, wyjaśniła Sandra.

- Zbiory były wspaniałe i utwierdzały mnie w przekonaniu, że oskarżony rzeczywiście należy do tej słynnej rodziny. W końcu były tam wybitne dzieła sztuki współczesnej - powiedziała i dodała, że kilkoro fachowców uznało kolekcję za autentyczną.

Po usłyszeniu tego zeznania zadzwoniłem do byłego nowojorskiego marszanda Sheldona Fisha, który wielokrotnie

oglądał zbiory Rockefellera, zanim przeniósł się do Peru.

- Muszę powiedzieć, że jakość dzieł była niezwykle wysoka - powiedział Fish. - Bardzo przekonujące! W 1999 roku zaproponowałem mu 800 000 dolarów za Marka Rothkę, ale odmówił, powiedział, że ceny poszły do góry. - Jeśli kolekcja Rockefellera składała się z falsyfikatów, stwierdził Fish, to musiał je namalować fenomenalny fachowiec. - Tak doskonale naśladował różne style! Istnieje prosty test, który pozwala sprawdzić, czy dzieło sztuki współczesnej nie zostało sfalszowane: test „suchości” farby. Farba schnie co najmniej dwadzieścia lat.

Fish nie przeprowadził tego testu - który polega na przejechaniu po farbie paznokciem: jeśli jest sucha, paznokieć się nie zagłębi - ponieważ był przekonany o autentyczności obrazów.

- Widziałem, jak rozpakowywał Mondriana, którego rzekomo kupił w Japonii. Powiedział mi, że wydaje 10 milionów rocznie na sztukę.

- Przychodziło mnóstwo ludzi z muzeów i byli zachwyceni obrazami, więc sądziłam, że są autentyczne - kontynuowała Sandra Boss. - Pewnego dnia, w październiku albo listopadzie 2006 roku, ni z gruszki, ni z pietruszki powiedział: „Rany, śledzę ceny i myślę, że tutaj wisi ponad miliard dolarów”.

Zapytała kiedyś męża wprost, czy zamierza sprzedać jakiś obraz i dorzucić kilka milionów do domowej skarbonki. Oczywiście, wielokrotnie go o to pytała.

- Byłam zszokowana, kiedy wydał wszystkie nasze pieniądze, ale kategorycznie odmówił sprzedaży jakiegokolwiek obrazu.

Mimo to została z nim i w ostatnich miesiącach 2006 roku nadal usiłowała zapobiec rozpadowi rodziny. Wcześniej nakłoniła męża do przeprowadzki do Bostonu, a teraz Snooks poszła do pierwszej klasy, dzięki umiejętnym naciskom Rockefellera.

- Obiecał, że przestanie ją tak ściśle kontrolować i podzielimy się opieką nad nią, że pozwoli jej mieć koleżanki i że będzie się zachowywał jak normalny człowiek - powiedziała Sandra. - Ale nie dotrzymał obietnicy.

ROZDZIAŁ 17

Wieczory melby z brzoskwiniami

Kiedy Snooks siedziała już w autobusie, Rockefeller szedł Beacon Street do starbucksa na rogu, gdzie szybko wkręcił się do ekipy złożonej z prawników, naukowców, przedsiębiorców i jednego architekta - wszyscy zaglądali tam na kawę w drodze do pracy. Wymyślili nawet dla siebie nazwę: Cafe Society. Poszedłem tam pewnego przedpołudnia i natychmiast ich rozpoznałem: ożywiona koedukacyjna grupa na środku kawiarni. Kiedy się przedstawiłem, sprawiali wrażenie najzupełniej gotowych do rozmowy o człowieku, który zintegrował się z życiem Beacon Hill z równą łatwością, z jaką uzyskał nowy adres mailowy (Clark@Beacon-Hill.net).

Pewnego dnia, wspominali, arystokrata w koszuli Izod przyszedł zdyszany, ponieważ po odprowadzeniu Snooks na autobus pobiegł jeszcze do domu przy Pinckney Street.

- Powiedział: „Jestem wykończony” - relacjonował prawnik Bob Skorupa. - Właśnie wytargałem szafę na czwarte piętro domu”. Tak się lansował. Wszyscy od razu wiedzieli, że ma co najmniej czteropiętrowy dom.

Clark ze Snooks na barana szybko stał się częstym widokiem w Beacon Hill; maszerował do domu, do kościoła, na kurs karate czy na lunch w Algonquin Club. Jeśli Snooks podano kartę potraw dla dzieci, mała się złościła, przy wyraźnej aprobacie ojca.

- Jesteśmy dorośli i prosimy karty dla dorosłych.

Kiedy ekipa ze starbucksa poznała bliżej Clarka, polubiła go i zaakceptowała jego dziwactwa - bo przecież to Rockefeller.

Powiedział jej, że na jego osobie oparto postać inteligentnego i zniewieściałego doktora Nilesa Cranea z serialu telewizyjnego Frasier. Kiedy reszta ekipy ruszała do pracy, Clark zostawał, bo nie miał dokąd pójść.

Patrick Hickox, który skończył architekturę w Yale, projektował domy i budynki użyteczności publicznej na Wschodnim Wybrzeżu. Miał długie włosy, nosił krzykliwą pasiastą marynarkę i mówił z wyraźnym jankeskim akcentem.

- Doskonale umiał analizować procesy i problemy - powiedział mi Patrick o swoim znajomym Clarku. - Mówił, że współpracował z wojskiem, zasadniczo jako dostawca. Powiedział, że skorzystał finansowo na obu wojnach w Iraku. Nie dopytywałem go o to, ale parę razy mówił o projektach, w których brał udział. Clark nie należał do ludzi, którzy chwalą się swoimi osiągnięciami.

- Pewnego dnia opowiadał - relacjonował adwokat Bob Skorupa - że w bazie wojskowej w Nowym Meksyku eksplodowała jakaś rakietą i jedna osoba zginęła. Twierdził, że to on zaprojektował tę raketę. Nie słyszałem o tym wcześniej, ale potem znalazłem w internecie historię o wypadku z raketą, w którym zginął człowiek. Czyli to się naprawdę wydarzyło.

John Greene, ciemnowłosy biznesmen i człowiek bardzo bezpośredni, podjął wątek.

- Kiedyś powiedział, że wybiera się do Nowego Jorku i załatwi sobie transport samolotem CIA albo marynarki wojennej. Takie miał koneksje - dodał z uśmiechem Greene.

Wierzyli mu między innymi dlatego, że był członkiem Algonquin Club, enklawy wyższych sfer od 1886 roku. Okazały gmach znajduje się przy Commonwealth Avenue 217, o rzut beretem od starbucksów. Rockefeller dyskretnie zasugerował, że nie jest zwykłym członkiem, lecz jednym z dyrektorów klubu. Parę razy zaprosił tam swoich nowych znajomych.

- Robi wrażenie - powiedział Hickox. - Z tego, co widziałem, ludzie bardzo go tam lubili. Zachowywał się trochę ekscentrycznie, ale tylko trochę. Do ludzi z personelu odnosił się serdecznie i

żartobliwie, co ich wyraźnie ujmowało.

Spytałem go, czy pamięta, żeby Rockefeller rozmawiał z innymi członkami klubu.

- Pamiętam, że wygłosił mowę, w której przedstawił konsula generalnego Niemiec, po niemiecku. Clark był bardzo interesującym i fascynującym rozmówcą.

Wszyscy byli zgodni, że arystokraci z Algonquina, z których część była spokrewniona z prawdziwymi Rockefellerami, nigdy nie zakwestionowali tożsamości Clarka.

- Zaprosił do Algonquina mnie i Boba - powiedział Greene. - Jego nazwisko widniało na liście, jako członka władz klubu. Zapłacił za śniadanie, ponieważ osoby niebędące członkami nie mogą za siebie zapłacić, ale następnego dnia poprosił nas o zwrot tych pieniędzy.

- Jankeska oszczędność, typowa dla Rockefellerów - wyjaśnił Hickox. - John D. słynął z oszczędności, a Clark bardzo, bardzo niechętnie chodził do drogich restauracji. Kiedy szliśmy gdzieś na drinka, Clark często brał tylko bezpłatną wodę sodową. Bardzo nie lubił wydawać pieniędzy.

- Przy wejściu do tego ekskluzywnego klubu wisiała lista członków zarządu, na której widniało jego nazwisko - powiedział Greene. - Widziałem tam również Johna Silbera. - John Silber to znany autor książek, filozof i naukowiec, który przez dwadzieścia pięć lat był rektorem Uniwersytetu Bostońskiego. - Ten człowiek jest moim idolem i Clark powiedział, że może mi go przedstawić. Poklepał mnie w ramię i rzeczywiście przedstawił Johnowi Silberowi! Wyrobił tam sobie bardzo silną pozycję. Nawet w tak elitarnym klubie nazwisko Rockefellera kręci ludzi.

W 2006 roku Clark zaprosił ekipę ze starbucksu na sylwestra do Algonquina. Były tańce balowe, posiłek złożony z wielu dań i śpiewanie *Auld Lang Syne* o północy. Stół Rockefellera znajdował się na środku z przodu. Zasiedli przy nim jego znajomi ze starbucksu i inni członkowie Algonquina - król i jego coraz liczniejszy dwór.

O reputację Rockefellera w Algonquin Club spytałem Thomasa Lee, komendanta głównego bostońskiej policji. Powiedział, że przesłuchał wielu członków klubu i doszedł do przekonania, iż Clark Rockefeller owinął sobie wszystkich wokół palca.

- Był dobrze odbierany - wyznał Lee. - Teraz oczywiście ludzie mówią, że od początku zdawali sobie sprawę, że w tym czy tamtym nie mówił im prawdy, ale proszę mi wierzyć: dali się oszukać.

- Jak on to zrobił?

- Oszust jedzie na tym, że ludzie chcą mu wierzyć. Tak to działa. Ludzie mają swoje z góry ustalone opinie i oszust to wykorzystuje.

Im więcej rozmawiałem z ludźmi, tym większego nabierałem przekonania, że muszę zobaczyć Algonquin Club na własne oczy. Ale moi znajomi z Bostonu, wcale nie tak nisko postawieni, kręcili przecząco głowami, kiedy ich pytałem, czy mogliby załatwić mi wstęp do tego przybytku. W końcu postanowiłem dostać się tam tą samą drogą co Rockefeller: poprzez członkostwo w innym prywatnym klubie. Należałem jednak tylko do Aspen Club and Spa, który nie dawał takich przywilejów. Poprosiłem recepcjonistę mojego hotelu, żeby zadzwonił do Algonquina i zarezerwował dla mnie stolik na kolację.

- Proszę powiedzieć, że jestem członkiem Aspen Club - powiedziałem, pomijając drugą część nazwy i fakt, że klub ten nie należy do sieci wzajemnego członkostwa.

Recepcjonista zadzwonił do Algonquina, a potem zasłonił słuchawkę dłonią i powiedział do mnie:

- Serdecznie pana zapraszają, ale będzie pan musiał zapłacić rachunek kartą kredytową. - Skinąłem głową. - W takim razie stolik na 20.00 dla jednej osoby - powiedział recepcjonista do słuchawki.

Algonquin Club mieści się w szarym, wielopiętrowym gmachu

z latarniami gazowymi, które palą się już od ponad stulecia. Oddałem samochód parkingowemu i wszedłem do niewielkiego foyer, w którym siedziała recepcjonistka. Na ścianie wisiała tablica z nazwiskami dyrektorów i zauważyłem, że Clark Rockefeller został z niej usunięty.

- Dobry wieczór, panie Seal! Co słyhać w Aspen Club? - spytała recepcjonistka.

- Wszystko w jak najlepszym porządku. Mogłaby mi pani powiedzieć, którędy do baru?

Po drodze do baru zwiedziłem prywatne jadalnie nazwane na cześć dawnych członków - Calvin Coolidge Room, Daniel Webster Room. Na ścianach wisiały obrazy z jachtami i portrety ludzi, od których pochodziły nazwy sal. Szybko sobie uświadomiłem, że oczy wszystkich spoczywają na mnie, chociaż odniosłem wrażenie, że nikt nie kwestionuje mojego prawa do przebywania tam. Usiadłem przy stole w Marlboro Lounge, gdzie kelner przyniósł mi drinka i srebrną tacę z żółtym serem. Przez godzinę pogryzałem ser i prowadziłem towarzyskie rozmowy.

- Pan Rockefeller jadał tutaj albo w jadalni - powiedział mi kelner w Members' Bar. Spytałem, czy wszyscy uważali go za prawdziwego Rockefellera. - Był członkiem, więc nikt go o to nie pytał.

Poszedłem na górę do jadalni, wielkiej sali z boazerią, obrazami olejnymi, cynowymi żyrandolami, czterema kominkami i ogromnymi oknami. Do mojego stolika podszedł kelner we fraku. Spytałem, co Clark Rockefeller z reguły zamawiał na obiad.

- Na przystawkę wędzonego łososa, a potem solę.

- W takim razie ja też poproszę - odparłem.

Kiedy szef sali i jego pomocnicy przynosili mi jedzenie, wypytywałem ich o Rockefellera. Chociaż był dyrektorem klubu, dopuścił do tego, że jego członkostwo wygasło.

- Dostał się tutaj jako członek innego klubu, tak jak pan - powiedział jeden z kelnerów. Nikt nie wiedział dokładnie, jak

uzyskał status pełnego członka. - Albo ma się osobę wprowadzającą, albo wypełnia się aplikację. Wiedzieliśmy, że pochodzi z wybitnej rodziny. Dla nas był Clarkiem Rockefellerem. Wszyscy go lubili. Nikt o nic nie pytał.

Parę dni później znowu poszedłem do Algonquina. Tego wieczoru średnia wieku była niższa. Elegancko ubrani mężczyźni siedzieli w jadalni ze swoimi żonami albo przyjaciółkami. Dowcipkowali i rozmawiali, bezpieczni ze swoją świadomością, że są między swymi.

W orbicie Rockefellera pojawiali się nie tylko mężczyźni. Pod jego wpływem było coraz więcej kobiet. Amy Patt, członkini porannej ekipy ze starbucksa, zeznała przed wielką ławą przysięgłych, że Rockefeller miał ogromną siłę przyciągania. Pewnego kobiecia ranka stała na przystanku szkolnego autobusu, w wózku spacerowym mając swoje drugie dziecko, kiedy z parku po drugiej stronie ulicy podszedł do niej dobrze ubrany nieznajomy.

- Pięknie pani dzisiaj wygląda! - zawołał i przedstawił się: Clark Rockefeller.

Clark i Amy widywali się dwa razy dziennie na przystanku i zostali przyjaciółmi. Zaczęli się spotykać na poautobusowej kawie w starbucksie, a potem w różnych innych lokalach, między innymi w Algonquinie. Według czasopisma „Boston” postanowili połączyć swoje twórcze talenty i napisali scenariusz osiemnastoodcinkowego serialu komediowego opartego na ich doświadczeniach ze starbucksa. Rockefeller zatytułował serial Nie całkiem comme ilfaut. Oczywiście zamierzał obsadzić siebie w tej produkcji. Aby przygotować się do swojego telewizyjnego debiutu, zaczął chodzić na kurs do szkoły aktorskiej.

Podczas pracy nad scenariuszem stało się oczywiste, że Rockefeller ma wobec Amy zamiary erotyczne.

- Mówił różne głupoty typu: „Och, Amy, Amy, Amy, powinniśmy mieć ze sobą dzieci. Jesteś taka inteligentna, mielibyśmy

genialne dzieci!”.

O swojej żonie Sandrze Boss, która ciągle była w rozjazdach, Rockefeller wyrażał się wyłącznie negatywnie, więc Amy uznała, że ich małżeństwo jest skończone i że to Clark chce się z niego wywikłać. Przedstawił jej swoją standardową nowojorsko-uniuersytecko-arystokratyczną biografię z pewnymi dostosowanymi do profilu odbiorcy upiększeniami.

- Powiedział, że chodził do szkoły z autorami, którzy stworzyli postać Frasiera. - Grany przez Kelseya Grammera doktor Frasier Winslow Crane to chimeryczny główny bohater serialu komediowego Frasier. - Mówił też, że ma coś do czynienia z bronią. Balistyka i tak dalej.

Nie miała powodów, by mu nie wierzyć. Ich znajomość nie wyszła poza ramy przyjaźni, ale Amy bardzo lubiła się z nim spotykać.

- Był pełen energii i lubił flirtować. Przyjemnie mi się z nim spędzało czas.

Aby dowiedzieć się czegoś więcej o magnetycznym wpływie Rockefellera na młode kobiety, zadzwoniłem do Patricka Hickoxa. Pewnego wieczoru podjechał pod mój hotel kabrioletem bmw i zabrał mnie na kolację do B&G Oysters, gdzie często jadał z Clarkiem.

- Clark ma niezwykle oko do pięknych kobiet i podrywa je bardzo umiejętnie i z wdziękiem - powiedział mi w drodze do restauracji. - W takich właśnie okolicznościach się poznali. - To była impreza, na której obowiązywały stroje wieczorowe. Ja przyszedłem z żoną i bardzo piękną pracowniczką, którą Clark wypatrzył z dużej odległości.

Odziany we frak od J. Pressa Rockefeller przedstawił się i grupa trzyosobowa przerodziła się w czteroosobową. Po gali poszli do baru w Boston Ritz - dzisiaj Taj Boston - gdzie Rockefeller do 5.00 rano raczył towarzystwo anegdotami.

- Potem wszyscy poszliśmy do domu Clarka w Beacon Hill. Mieszkanie było wyjątkowo ascetycznie urządzone - prawie żadnych mebli - ale pełne obrazów, z których większość nie

wisiała na ścianach, lecz stała zwinięta w tubach.

- Wierzył pan, że obrazy są autentyczne?

- Nie miałem żadnego powodu podejrzewać, że nie są. Ich autorami byli znani artyści, na przykład Rothko i Motherwell. Fantastyczna kolekcja - powiedział Hickox.

Hickox i Rockefeller szybko się zaprzyjaźnili.

- W pewnym momencie ludzie zaczęli kwestionować tożsamość Clarka i wygłaszać kpiące komentarze na ten temat. Powiedziałem mu: „Nie przejmuj się tym, Clark. Człowiek jest swoją ostatnią świetną historią, swoją najnowszą przenikliwą analizą, swoim najświeższym bon motem”.

Zasiedli w B&G Oysters i zamówili wino, po czym Hickox zaczął wymieniać zalety Rockefellera: zaangażowanie w życie społeczności lokalnej, pomaganie prywatnym osobom i instytucjom charytatywnym w postaci obsługi ich komputerów. Rockefeller miał niemal „telepatyczny” kontakt z komputerami, entuzjazmował się Hickox. Nigdy nie płacił kartą kredytową, tylko gotówką, wspominał architekta, który przypisywał to „predylekcjom ideologicznym”: ten pochodzący z wybitnego rodu człowiek miał instynktownie niechętny stosunek do wszelkiego rodzaju kredytów. Doskonale wyczuwał nastroje na giełdzie. Wiosną 2008 roku, pół roku przed załamaniem na amerykańskich rynkach finansowych, napisał w e-mailu do Hickoxa: „Rynek jest bardzo niestabilny. Sprzedaj akcje i zainwestuj w surowce. W złoto”.

Hickox zamówił dwanaście ostryg - po dwie z sześciu rodzajów - a ja spytałem go, czy Rockefeller dobrze się zintegrował z ekipą ze starbucksusa.

- Był świetny. Bardzo prowokacyjny. Czasem rozmawialiśmy poważnie o gospodarce, wynalazczości i technologii, ale najczęściej po prostu gadaliśmy i żartowaliśmy. Rozmawialiśmy na przykład o samochodach. Clark kocha muzykę - od sentymentalnego popu, przez operetkę po wielką operę. Stworzyliśmy dwuosobowy zespół i gwizdaliśmy razem skomplikowane melodie na dwa głosy. Nazwaliśmy się

Whistlepoofs - od Whiffenpoofs z Yale. Pożyczyłem mu nagrania Whiffenpoofs z całego XX wieku, które zdigitalizował i oddał mi na kompaktach. - Hickox wypił tyk chablis i powiedział:

- Clark uwielbiał Colea Portera.

- Które piosenki? - zapytałem.

- Szczególnie podobała mu się From This Moment On. Piękna piosenka, kwintesencja muzyki Portera: wziąć jakiś temat, krótką frazę, część wypowiedzi, i zbudować na niej cały wszechświat. Clark uwielbiał dykcję, mowę.

Napiliśmy się wina i zanuciliśmy kilka taktów klasycznego utworu Portera o świecie, który staje na głowie z powodu pięknej kobiety.

- Pewnego wieczoru Clark przyszedł do starbucks'a z dziewięcioma wersjami tej piosenki - powiedział Hickox. - Puszczal je kolejno i kazał nam mówić, kto jest wykonawcą. Trudny test.

Rockefeller interesował się nie tylko amerykańską muzyką. Miał eklektyczny gust, który obejmował też mało znane gatunki.

- Jest jedyną znaną mi osobą, która umie grać na didgeridoo, instrumencie dętym Aborygenów. To taka długa wydrążona gałąź. Nie pamiętam, skąd mi to przyszło do głowy, ale któregoś wieczoru spytałem go, czy umie grać na tym instrumencie, a on wstał, pobiegł do domu i po paru minutach wrócił z dwuipółmetrowym rogiem, w który dmuchał z wielką energią. - Hickox coraz bardziej zapalał się do swojej opowieści. - W sobotnie przedpołudnia, nawet jeśli w piątek do późna balowaliśmy, czytał dzieciom w Athenaeum. Świetnie to robił. Był prawdziwym koneserem.

- I prawdziwym hochsztaplerem.

- Nie lubię tego słowa - odparł Hickox. - Oczywiście ma pan prawo się nim posługiwać, ale ja bym go w tym kontekście nie użył. Nie ulega kwestii, że ten człowiek przybierał różne tożsamości, ale ja nie odbierałem go jako osoby, która podszywa się pod kogoś innego.

Ostrygi podano na kostkach lodu.

- Dużo ludzi myśli o Clarku jako kimś z gruntu nieautentycznym, ale to jest człowiek, który kocha ludzi i zależy mu na nich. Na pewno słyszał pan od wielu osób, że świetnie opiekował się swoją córką. Nie było to obsesyjne. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że był troskliwym ojcem. Jego więź z córką była wzruszająca. Myślę, że miłość do córki była najważniejszą rzeczywistością jego życia.

- Być może jedyną rzeczywistością - zasugerowałem.

- Tego bym nie powiedział, bo było bardzo dużo rzeczy, które były dla Clarka realne. Mówię to z pewnym wahaniem, ale sądzę, że również pewne twory jego wyobraźni były dla niego najzupełniej realne. I właśnie dlatego sprzeciwiam się temu, żeby nazywać go hochsztaplerem. To jest człowiek, który chce zmienić świat swoim intelektem.

Uniosłem sceptycznie brew, ale jego to nie zraziło.

- Jestem architektem. Wie pan, jak zarabiam na życie? Snuję fantazje. A potem te fantazje stają się rzeczywistością. Mam pracownię. Zarabiam na tym prawdziwe pieniądze. Być może w mniejszym czy większym stopniu dotyczy to nas wszystkich, bo inaczej na zawsze utkwilibyśmy w zastanej rzeczywistości. - Spojrzał na mnie i rozwinął swoją tezę. - Pan wyruszył na wyprawę odkrywcy - powiedział, mając na myśli moją próbę rozwiązania zagadki Clarka Rockefellera. - Nie wie pan, czym to się skończy. Można powiedzieć, że buduje pan pewną hipotetyczną wersję rzeczywistości, którą potem pan weryfikuje, i z upływem czasu obraz staje się coraz klarowniejszy. A zatem coś, co na początku jest w dużym stopniu wymaginowane, zyskuje realny wymiar.

Mówił, że cała rzeczywistość istnieje dzięki ideom i wizjom, które pochodzą z naszej wyobraźni. Z takiego punktu widzenia wszyscy jesteśmy hochsztaplerami, pomyślałem. Nie ulega jednak wątpliwości, że Rockefeller doprowadził tę możliwość konstruowania rzeczywistości do skrajności. Hickox porównał amerykańską odyseję swojego przyjaciela do wątku z Toma Jonesa albo którejś z powieści Josepha Conrada.

- Truman Capote posłużył się kiedyś określeniem „prawdziwe fałszerstwo”. To znaczy, że nikt nie jest w stu procentach hochsztaplerem. Wręcz przeciwnie. Można być najzupełniej autentyczną osobą, ale zbudowaną na fałszywych fundamentach. Myślę, że wszyscy Amerykanie w jakimś sensie są tworamii swojej wyobraźni. Na tym po części polega urok tego kraju. Clarka do jakiegoś stopnia można postrzegać jako archetyp imigranta, który buduje sobie nowe życie i nową osobowość, wolną od ograniczeń z kraju swojego pochodzenia.

- Skąd pana zdaniem czerpał wiedzę potrzebną do tego, żeby zbudować tę nową osobowość?

- Dużo czytał - odparł Hickox.

- I Clark Rockefeller był jego najważniejszą kreacją.

W tym momencie Hickox przeniósł uwagę na ostrygi.

- Może wyjdę na bufona, ale pokażę panu, jak się je ostrygi.

Clarka też nauczył, powiedział mi, biorąc do ręki ostrygę.

- Przeprowadziłem tu Clarka i zacząłem mu opisywać różne odmiany ostryg. Odwrócił się do jakiejś innej osoby i powiedział dosyć lekceważącym i arystokratycznym tonem: „Ostryga to ostryga, nie ma w tym żadnej filozofii”. Powiedziałem mu: „Przekonasz się”. Zamówiłem ostrygi - po dwie z każdego gatunku, tak jak dzisiaj - i kiedy je jedliśmy, każdą mu opisywałem.

Mnie też powiedział, czym się różnią ostrygi z Wellfleet od tych z Malpeque czy Pemaquid. Poinstruował mnie, żebym podniósł muszlę do ust i wypił całą ostrygę. Skategoryzował też smaki: odpływ, średnia woda i przypływ. „Bardzo podobnie jak w przypadku wina smak ostryg zależy od terroir”, czyli regionu pochodzenia. Rockefeller szybko uchwycił te subtelności, na przykład słone versus warzywne.

- W niektórych ostrygach czuć morski wiatr i jakby ziemistość w stylu wodorostów - mówił Hickox. - Rockefeller bardzo szybko wczuł się w tego rodzaju myślenie. Tak samo było u niego z literaturą, rozmowami, dowcipem.

Wspomniął o martini.

- Nie przepadał za winem. Ale jeśli poczęstowano go bardzo dobrym winem, to nie odmawiał. - Hickox pokazał na butelkę w kubelku z lodem. - Lubił to chablis, ale kiedy zrobiłem mu martini z wódką, takie lodowate, że widać było wiry, otworzył się przed nim zupełnie inny świat. Powiedział, że nigdy nie pił tak dobrego martini.

- Był jak gąbka - powiedziałem.

- Jeśli gąbki potrafią być analityczne, to zgodzę się z tym. Szybko się uczył. Był bardzo elastyczny.

Po kolacji Hickox zabrał mnie do Beehive, nocnego klubu naprzeciwko restauracji.

- Pomyślałem, że to pana zainteresuje – powiedział.

Klub był głośny i pełen atrakcyjnych młodych kobiet.

- Clark umiał zauroczyć kobiety. Trochę jak kot, który przynosi mysz i wrzuca do ją buta, Clark przyprowadzał kobiety i mówił: „To jest Patrick Hickox, jeden z najwybitniejszych architektów nie tylko w Bostonie, ale na całym świecie”. I zaraz oblegał mnie entuzjastyczny tłum, wszyscy chcieli poznać moje poglądy na temat sztuki, architektury i przyszłości cywilizacji.

Razem z Clarkiem chodzili do różnych knajp i barów, żeby poznać bostońskie nocne życie. Clark stosował coś, co Hickox nazwał „metodą na odwrotny podryw”. Po chwili spijały każde słowo z jego ust. Kiedy już je zauroczył, puszczał się z nimi w tango.

- Przedstawiał się jako Clark Rockefeller? — spytałem. - To byłby najlepszy afrodyzjak.

Hickox skinął głową.

- Któregoś dnia powiedział, że podoba mu się jakaś kobieta, bo nie lubi tańczyć, a on sam nie znosi tańczyć. Parę tygodni później powiedziałem do niego: „Clark, spotkałem twoją nauczycielkę tańca. Powiedziała, że świetnie tańczysz”.

Przyłapał przyjaciela na niewinnym kłamstwie, ale nie drażył sprawy. Chętnie wspominał wieczory, kiedy szli do baru w

Liberty Hotel, dawnym więzieniu przy Charles Street, które zamieniono na modny hotel. Główny bar nazywał się Clink, od slangowego określenia więzienia.

- To był nasz ulubiony lokal - powiedział Hickox. - Parę innych, które mnie się podobały, Clark zdyskwalifikował jako gerontologiczne.

- Gerontologiczne? - powtórzyłem.

- W ten dosyć brutalny sposób chciał wyrazić to, że klientela była dla niego za stara.

Ostrygi. Martini. Młode kobiety. Nauczycielki tańca. Gdzie była Sandra Boss, kiedy on się tak zabawiał?

- Czy mówił kiedyś o tym, jak się zakochał w swojej żonie?

- Nigdy.

Na jednym końcu Bostonu Clark Rockefeller prowadził bujne życie towarzyskie, ale na drugim tonął. Najlepiej ilustruje to incydent, do którego doszło na wodach bostońskiej Back Bay. Któregoś dnia spotkał w ośrodku żeglarskim rodziców dziecka z Southfield, którym przedstawił następującą legendę: jego ojciec za ciężkie pieniądze sprzedał swoją firmę amerykańskiej marynarce wojennej, a on sam pracuje w Departamencie Obrony. Zawsze jednak znajdzie w swoim obłąkańczo napiętym programie tygodnia czas na swoje ukochane hobby, czyli żeglarstwo. Właśnie wrócił z Francji, gdzie żeglował z załogą Americas Cup. Kiedy zaprosił ich na przejażdżkę swoim jachtem, byli zachwyceni.

W umówiony dzień Rockefeller czekał na nich ze swoją córką Snooks, ale powiedział, że jego jacht jest w warsztacie, i trzeba będzie popłynąć jedną ze znacznie mniejszych żaglówek z ośrodka.

- Byliśmy trochę rozczarowani, że nie popłyniemy jachtem Rockefellera - wspominał mąż.

Jego rozczarowanie wzrosło, kiedy wy płynęli na morze i okazało się, że żeglarz z Americas Cup zdaje się nie odróżniać wanty od szota. Inne żaglówki śmigały obok nich, a oni mimo porywistego wiatru wlekli się jak żółwie. Łódka sunęła prawie

bokiem i Rockefeller nie miał nad nią żadnej kontroli. W pewnym momencie Clark przekazał ster córce, co jeszcze bardziej pogłębiło niepokój pasażerów. Dryfowali przez kilka minut, po czym zaproszone przez Rockefellera małżeństwo krzyknęło do przepływającego obok kajakarza, wołając o pomoc.

- Może nas pan odholować do brzegu? - zawołali.

Rzucili mu linę i kajakarz pociągnął żaglówkę.

- I to ma być żeglarz z Americas Cup? - dziwił się mężczyzna.

Clark Rockefeller najwyraźniej zaczął gonić w piętę.

ROZDZIAŁ 18

„Niech się pan dowie się, kim on jest”

W grudniu 2006 roku, cztery miesiące po przeprowadzce rodziny Rockefellerów do Bostonu, Sandra Boss postanowiła odejść od męża. Kroplą, która przepętniła czarę goryczy, był incydent z udziałem ich córki, zeznała w sądzie.

- Szkoła wezwała Clarka i mnie na spotkanie z rodzicami. Jeśli dobrze pamiętam, było to 2 grudnia 2006 roku. Powiedziano, że nie można się ze mną skontaktować. Okazało się, że Clark podał szkole fałszywy numer mojej komórki. Najwyraźniej chciał zapobiec moim kontaktom ze szkołą. Powiedział mi, że nie robi spotkań z rodzicami.

Kiedy nauczyciele Reigh nareszcie mieli przed sobą oboje rodziców, wyrazili poważne zaniepokojenie.

- Powiedzieli, że jest wybitna pod względem intelektualnym, ale prawie codziennie ma napady wściekłości i nie nawiązuje kontaktów z koleżankami. Miała wtedy pięć lat. Szła do nauczycielki i pytała: „Przepraszam, w co mam się bawić?”. Jego kontrola nad nią wypaczyła psychikę dziewczynki. Dzień później rozmawiałam o tym z Clarkiem. Powiedziałam: „Musimy iść za radą nauczycieli i zaprowadzić Reigh do psychologa. To, co nam przekazali, pokazuje, że powinniśmy zmienić metody wychowawcze”. Wrzeszczał na mnie. Groził mi. Powiedział, że nie wolno mi nigdy więcej rozmawiać ze szkołą. Wpadł w szal.

- Jakie było jego stanowisko w sprawie zaprowadzenia Reigh do terapeuty czy pedagoga, aby rozwiązać pewne problemy, które poruszono w szkole?

- Jednoznacznie odmówił. Stwierdził, że absolutnie się na to

nie zgadza.

Odejście od Clarka Rockefellera nie było jednak prostą sprawą i wymagało starannego zaplanowania, jeśli chciała zatrzymać przy sobie córkę. Była zdecydowana, że nie zostawi jej pod opieką męża. Przez tydzień szukała adwokatów.

- Długo ustalaliśmy strategię wywikłania mnie z tego - powiedziała Boss. - Poważnie bałam się o swoje bezpieczeństwo. Zanim odeszłam, śledził mnie wieczorami i robił różne szalone rzeczy. To było bardzo, bardzo niebezpieczne. Psychoterapeuta załatwiony przez moich prawników doradził mi, żebym nie zabierała od razu Reigh, ponieważ sprowadziłoby to na nas wszystkich poważne niebezpieczeństwo.

Nie poproszono jej o rozwinięcie tematu „szalonych rzeczy” w wykonaniu jej męża i nie zrobiła tego. Przedstawiła natomiast swój plan odzyskania kontroli nad córką i własnym życiem. Rockefeller zajmował się dzieckiem przez dwie trzecie czasu. Sandra zażądała dwóch dni w tygodniu dla siebie.

- Potem zaczęliśmy ją powoli wrywać z jego szponów. Skupiłam się wyłącznie na opiece nad Reigh. Chciałam zapewnić jej bezpieczeństwo i już wtedy wyraziłam obawę, że on może ją uprowadzić.

17 stycznia 2007 roku, prawie dwa miesiące po podjęciu decyzji o odejściu od Clarka, jej adwokat złożył pozew rozwodowy. Obie strony wystąpiły o opiekę nad Reigh (honoraria dla adwokata Clarka płaciła Sandra). Rozpoczęły się zawzięte negocjacje, które trwały ponad rok. Sandra przeprowadziła się do mieszkania w budynku naprzeciwko obecnego hotelu Taj Boston.

- Widywałam się z Reigh dwa dni w tygodniu, a oskarżony pięć dni w tygodniu – powiedziała.

Rockefeller zachowywał się jak ranny lew. Kiedy nie zajmował się córką, ryczał o różnych grzechach, które jego żona rzekomo popełniła przeciwko niemu. Przeniósł się do mieszkania koło przystanku autobusowego na Beacon Street (kamienica przy Pinckney Street miała zostać sprzedana) i jako samotny ojciec

musiał sam troszczyć się o swoje wydatki. Nie wyglądało to zbyt przyjemnie. „Był wściekły”, powiedział jeden ze znajomych. Inny rodzic z Southfield wspominał: „Kiedy się rozwodzili, spytałem go, jak podzielią majątek. Powiedział, że trzeba będzie wszystko sprzedać i że nie może uwierzyć w to, co ona robi. Teraz jest oczywiste, że bał się zdemaskowania. Poza tym stracił pieniądze Sandry, dzięki którym miał zabytkowe samochody, dzieła sztuki czy kluby, więc kiedy zakręciła kurek, był zdruzgotany”.

Rockefeller groził, że porozmawia ze wszystkimi bostońskimi adwokatami zajmującymi się rozwodami, żeby Sandra nie mogła wynająć żadnego z nich z powodu konfliktu interesów. Ona jednak załatwiła sobie prawnika, i to dobrego. Cierpiąc na brak gotówki, prosił ludzi, żeby odkupili od niego zabytkowe samochody albo kupili meble, które dostał od Sandry po rozstaniu. Adresatem jednej z takich prośb był Don MacLeay, wiekowy operator koparki z Cornish.

- Sprzedałem mu buicka z 1991 roku i zadzwonił do mnie i powiedział, że Sandy się z nim rozwodzi. Powiedział: „Kurczę, Don, chciałbym, żebyś zabrał sobie buicka i przysłał mi pieniądze”. Za. płacił za niego 4500 dolarów. Pomyślałem sobie: „Czemu ktoś, kto wydawał tyle kasy, tak się gorączkuje o 4500 dolarów?”. Moja żona była wtedy poważnie chora. Powiedziałem mu, że mam dużo problemów. Parę dni później znowu zadzwonił i spytał, czy zabrałem samochód. Powiedziałem mu: „Nie i nie zrobię tego. Ja też mam swoje problemy!”

- Nie jesteś już moim przyjacielem! - warknął Rockefeller.

Rockefeller rozmawiał o swoim rozwodzie również z marszandem

Sheldonem Fishem.

- Powiedział mi: „Sandy zależało tylko na moich pieniądzach. Wyszła za mnie, bo jestem Rockefellerem” - wspominał Fish. - „Wykorzystała moje nazwisko, a teraz chce zatrzymać wszystko dla siebie. Może uda mi się przehandlować obrazy za opiekę nad Reigh”.

Jakiś czas później znowu zadzwonił do Fisha, który mieszkał wtedy w Peru.

- Powiedział: „Musiałem dać Sandy wszystkie obrazy w zamian za opiekę nad Reigh. Nic nie mam. Zostały mi zaledwie 2 miliony, dzisiaj to jest nic. Jestem w ciężkiej sytuacji”. Ja mu na to: „Przyjedź do Peru. Tutaj 2 miliony są warte dużo więcej niż tam”. Ciągłe zmieniał wersje, za każdym razem opowiadał coś innego.

Również Amy Patt, z którą pisał scenariusze, zauważyła, że Clark się zmienił podczas postępowania rozwodowego. Po pierwsze, powiedział, że szuka pracy i poszukiwania te nie ograniczały się do uzbrojenia i balistyki.

- Wspomniał, że szkoła Dexter Southfield rozważa zatrudnienie go jako rzecznika prasowego - zeznała Patt przed wielką ławą przysięgłych.

Rozwód i perspektywa utraty córki tak go rozstroiły, że nie potrafił się skupić na scenariuszu serialu komediowego. W końcu postanowili zarzucić ten projekt, ale najpierw Rockefeller zdradził Amy, co zamierza zrobić, jeśli Sandrze uda się zabrać Snooks do Londynu: wystąpi o pracę w zagranicznej firmie. Zresztą rząd chiński zgłosił się ostatnio do niego z propozycją, żeby pracował w jego dziale raketowym.

Doceniając jego wiedzę fachową z balistyki, Chińczycy rzekomo zaproponowali mu trzyletni kontrakt z wynagrodzeniem w wysokości miliona dolarów rocznie. Zapewnił ją, że gdyby procedura rozwodowa przebiegała nie po jego myśli, jego wpływowi przyjaciele z rządu chińskiego wkroczyliby do akcji i „pomogli mi opanować sytuację”.

Spytała go, co rozumie przez „sytuację”, na co odpowiedział, że chodzi mu o córkę, o odzyskanie jej.

Później poprosił Amy, żeby okłamała wyznaczonego przez sąd kuratora i powiedziała, że jest jego dziewczyną.

- Uważał, że poprawi to jego notowania, jeśli powie, że jest w stałym związku.

Odmówiła.

Nawet architekt Patrick Hickox, najbardziej zagorzały obrońca Rockefellera ze wszystkich poznanych przeze mnie osób, zauważył w nim niepokojącą przemianę po rozstaniu z Sandrą. Hickox opowiedział mi o ich wspólnym wyjeździe do domu Rockefellera w Cornish podczas rozwodu.

- Pojechaliliśmy moim sportowym samochodem. Clark umieścił mnie w domu gościnnym. - Przyzwyczajony do luksusów architekt pobladł, kiedy tam wszedł. Dom był pusty, na podłodze sypialni leżały materace. - Z plastikowych worków Clark wyjął pościel, która nigdy wcześniej nie była używana. Odwiozłem go do głównego domu i kiedy wróciłem, było trochę po północy. Obszedłem cały dom i pozamykałem wszystkie okna i drzwi. Pod poduszkę włożyłem nóż.

- Nóż? - zdziwiłem się. - Czemu pan uznał, że potrzebny panu nóż?

- Bez konkretnego powodu.

Po powrocie do Bostonu Rockefeller poskarżył się sąsiadom z Beacon Hill, że nie stać go na wydanie 200 dolarów za przycięcie bluszczu porastającego dom przy Pinckney Street, który wystawił na sprzedaż bez zgody żony i jej prawników. Wszystkim opowiadał, że Sandra „wydrenowała” go z pieniędzy. Starannie pielęgnowany wizerunek bogatego, wpływowego i zasłużonego arystokraty powoli zaczął się rozpadać. Największym ciosem w prestiż była dla niego utrata członkostwa w Algonquinie, którego był dyrektorem. Teraz miał tam prawo wstępu tylko jako członek innego klubu.

- Przez pierwsze sześć czy siedem miesięcy mówił o swojej roli mężczyzny prowadzącego dom i przekonywał, że powinien być dożywotnio na utrzymaniu żony i opiekować się Reigh - zeznała Sandra Boss. - Ja oczywiście wiedziałam, że dla Reigh byłoby to niebezpieczne.

Postępowanie rozwodowe wlekło się miesiącami, sypały się wnioski dowodowe z obu stron. Rockefeller groził żonie

wezwaniami na świadków sąsiadów z Bostonu i Cornish, którzy codziennie go obserwowali i widzieli, że to on przez większość czasu troskliwie opiekował się Snooks.

A potem nagle nastąpił przełom z korzeniami w Seattle. Ojciec Sandry, emerytowany inżynier Boeinga William Boss, „natrafił na pewne bardzo użyteczne informacje”, jak to ujęła Rockefeller, który na początku ich znajomości powiedział żonie, że jego matką była świętej pamięci Mary Roberts z południowej Wirginii, zmienił śpiewkę. Dwa lata przed separacją zaczął lansować wersję, że jego matką była Ann Carter, kobieta, która jako dziecko grała w filmach.

- Dało mi to do myślenia, bo nigdy wcześniej o tym nie wspominał. Spytałam go, czemu mi tego wcześniej nie powiedział, a on odparł, że nie było okazji. Powiedziałam: „Ale podałeś mi inne nazwisko swojej matki”. Naubliżał mi i stwierdził, że coś mi się pomieszało, a o matce nigdy mi nie mówił, bo dawno nie żyje. Opowiedział mi o niej wszystko, między innymi to, że Reigh jest do niej bardzo podobna.

William Boss, zapewne wściekły na zięcia za to, że naraził jego córkę na dwanaście lat małżeńskiego piekła i mało cywilizowany rozwód, zaczął surfować po internecie. Wpisał nazwisko Ann Carter i wyskoczyło hasło z Wikipedii. Okazało się, że Ann Carter żyje i kręci film dokumentalny dla TBS.

William Boss zadzwonił do córki i przekazał jej tę wiadomość:

- Matka Clarka nie zmarła. Coś tu się nie zgadza.

Dalsze śledztwo wykazało, że Ann Carter nie ma syna o nazwisku Clark Rockefeller i nigdy w życiu nie spotkała tego człowieka.

Kilka miesięcy wcześniej doszło do innego wydarzenia, które wzbudziło w Sandrze wątpliwości co do prawdziwej tożsamości jej męża. Było to w pierwszym kwartale 2007 roku, okresie składania zeznań podatkowych.

- Nadal udawał, że jest dla mnie miły, bo próbował mnie nakłonić, żebym do niego wróciła - wyjaśniła Boss. - Powiedziałam mu, że zadzwonię do Phila [ich długoletniego

księgowego], żeby pomógł nam rozliczyć podatki. Clark zaczął szkalować Phila, mówiąc, że jest niekompetentny i że nie powinniśmy korzystać z jego usług.

- Może wezmę kogoś innego? - zaproponował Rockefeller.

W tej fazie Boss nie była już jednak zainteresowana zdaniem swojego prawie byłego męża.

- Zadzwoń do Phila - ucięła.

- Zadzwoń i wymieniliśmy kilka e-maili. Powiedziałam: „Aha, chciałam się upewnić, czy z moimi podatkami wszystko jest w porządku. Współpracujesz z Clarkiem, ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że mam sześcioletnią córkę Reigh”. „Wiem - odparł - twój brat mi o tym powiedział”. Okazało się, że Clark przedstawiał się księgowemu jako mój brat, dzięki czemu mógł decydować o formie zeznań podatkowych.

- To znaczy o osobnym rozliczeniu zamiast wspólnego? - zapytano Boss na sali sądowej.

- Właśnie.

Po ponad dziesięciu latach sygnałów ostrzegawczych Boss nareszcie zaczęła podejrzewać, że jej mąż jest oszustem.

- Wynajęłam prywatnego detektywa i przekazałam mu wszystko, co Clark mi o sobie powiedział. Poleciłam mu: „Niech się pan dowie, kim on jest”.

Detektywa zarekomendowali Sandrze prawnicy. Wskazali Franka Rudewicza, byłego policjanta z ponaddwudziestoletnim doświadczeniem.

Rudewicz zgodził się spotkać ze mną na kolacji w Bostonie. Czekając na niego, czytałem protokół jego zeznań w sprawie Clarka Rockefellera, gdzie opisał swoją firmę: „Jesteśmy licencjonowaną agencją detektywistyczną. Oprócz obserwacji prowadzimy wewnętrzne dochodzenia, wykonujemy ekspertyzy komputerowe i zapewniamy wsparcie procesowe na terenie całego kraju”. W internetowej notce biograficznej można również przeczytać, że Rudewicz jest certyfikowanym specjalistą od

walki z praniem brudnych pieniędzy i ma duże doświadczenie w badaniu defraudacji, naruszenia praw pracowniczych i przestępstw pracowniczych.

Spodziewałem się twardziela w stylu Columbo czy Mannixa, ale Rudewicz okazał się zwalistym, sympatycznym, zadbanym mężczyzną w garniturze biznesmena. Z wielką przyjemnością opowiedział mi najciekawszą historię w swojej długiej karierze, jeszcze dziwniejszą od słynnej sprawy pokazanej w serialu telewizyjnym Akta zbrodni - Rudewicz zdemaskował tam człowieka, który posługiwał się fałszywymi nazwiskami i przybranymi tożsamościami, aby sfingować własną śmierć w Meksyku i skasować 6 milionów dolarów odszkodowania. (Dzięki działaniom detektywa firma ubezpieczeniowa uniknęła wypłaty, a oszust został złapany i ukarany).

- Zadzwoił do mnie prawnik reprezentujący Sandrę Boss - powiedział Rudewicz. - Nie znałem jego klientki. Zlecił mi sprawdzenie majątku jej męża.

Jeśli pominąć fakt, że sprawa dotyczyła Rockefellera, zlecenie było rutynowe. Sprawdzenie majątku często przeprowadza się w sytuacjach, kiedy jedna ze stron (lub obie) jest podejrzewana o wyprowadzanie środków stanowiących majątek wspólny. Sprawdza się publiczne rejestry, znajduje konta bankowe i porównuje bazy danych, aby dotrzeć do ukrytego majątku.

- Klientka podejrzewała, że jej mąż brał łapówki od ludzi, którym zlecał prace budowlane. „Jest zlecenie za 400 000 dolarów. Płaci pan sto tysięcy mnie, trzysta bierze dla siebie i jesteście kwita” - powiedział Rudewicz, naśladując głos Rockefellera.

Rockefeller kopał głębokie doły - nazywał je bunkrami - na terenie posesji Doveridge. Jego żona podejrzewała, że Clark dosłownie ukrywa pieniądze w ogrodzie. Detektyw szukał nie tylko gotówki, ale również jachtów, samochodów i innych wartościowych rzeczy. Sandra była przekonana, że mąż coś ukrył, ponieważ z jej konta wypływały ogromne sumy (była za bardzo zajęta, żeby na bieżąco kontrolować, na co szły te

pieniądze). Teraz chciała się tego dowiedzieć.

- Mówiła: „Zanim dam mu pieniądze - a wiem, że muszę, żeby zakończyć postępowanie rozwodowe - chcę wiedzieć, czy mnie okradał. Jeśli się okaże, że wyprowadził, powiedzmy, pięćset tysięcy, to zamiast miliona dam mu pół”.

Na podstawie swoich nielicznych kontaktów z Boss Rudewicz wyrobił sobie jej obraz jako „doskonale zorganizowanej i ambitnej osoby, która była bardzo zdeterminowana, żeby dostać to, czego chciała, przynajmniej w tej sprawie”. Innymi słowy, twarda sztuka - nie licząc relacji z mężem, jak przyznała w sądzie. Na początku, jak się rzekło, była bardziej zainteresowana ustaleniem, kim jest jej mąż, a nie tym, czy zachomikował gdzieś jej pieniądze. Powiedziała Rudewiczowi, że przez ręce Clarka Rockefellera przeszły miliony z jej ciężko zarobionych pieniędzy. Prywatny detektyw zabrał się do roboty.

- Zaczęliśmy od imienia i nazwiska, daty urodzenia [według Sandry 29 lutego 1960 roku] i adresu - powiedział Rudewicz.

Wpisanie tych informacji do kilku baz danych z reguły owocuje listą wcześniejszych adresów, członków rodziny, sąsiadów i miejsc pracy.

Tymczasem teraz wyskoczyły adresy w Nowym Jorku, Cornish i Bostonie, pod którymi mieszkał z Sandrą, ale nie pojawiło się nic sprzed 1994 roku, kiedy to Rockefeller poznał swoją przyszłą żonę.

- Bardzo mnie to zdziwiło - powiedział Rudewicz. - Nie chodziło przecież o siedemnastolatka, który nic jeszcze w życiu nie zrobił. Chodziło o dorosłego człowieka o znanym nazwisku, który wedle własnych słów bardzo dużo w życiu osiągnął, zanim poznał Sandrę Boss.

Rudewicz nie znalazł żadnego ukrytego majątku. Nie znalazł w ogóle żadnego majątku na nazwisko Clarka Rockefellera. Nie udało się potwierdzić żadnych informacji o Rockefellerze, które Sandra i jej prawnicy podali detektywowi: gdzie i kiedy się urodził, mimo że jego świadectwo urodzenia powinno być łatwe do znalezienia, gdyby przyszedł na świat w nowojorskim szpitalu,

tak jak zawsze utrzymywał; kim byli jego rodzice i w jakich okolicznościach zmarli; czyjego ojciec procesował się z marynarką wojenną o 50 milionów dolarów; czy Rockefeller został przyjęty na studia w Yale w wieku czternastu lat (albo w jakimkolwiek innym); czy Clark (albo jakiś inny Rockefeller) mieszkał przy Sutton Place 19; czy znał swojego „ojca chrzestnego”, zmarłego już Harry ego Copelanda, o którym Rockefeller napisał w oświadczeniu, że uzyskał od niego najwięcej informacji o swoich dawno nieżyjących rodzicach. (Rudewicz dotarł do rzekomej wdowy po Copelandzie, która miała ponad dziewięćdziesiąt lat i mieszkała w domu starców w Wirginii, ale nie zdołał jej przesłuchać).

Rockefeller nie miał żadnej historii zawodowej, rodziny, adresu, paszportu ani kart kredytowych, które nie byłyby spłacane przez Sandrę Boss. Nie było nawet zezwolenia na ślub wydanego Clarkowi Rockefellerowi i Sandrze Boss. Słowem, nie zostawił żadnych śladów swojego życia przed Sandrą.

W większości jego kłamstw było jednak ziarno prawdy.

- Genialność Clarka Rockefellera, jeśli można tak to nazwać, polegała na tym, że wszystko, co mówił ludziom, opierało się na faktach. Były to zmyślane historie z prawdziwymi szczegółami - powiedział Rudewicz. - Czy istniała Ann Carter? Istniała. Czy istniał Rockefeller urodzony 29 lutego 1960 roku? Tak. Był Scott Rockefeller, który mieszkał na Long Island i urodził się w Nowym Jorku. No i myślę sobie: „Przeprowadził badania i znalazł kogoś o tym nazwisku, kto ma datę urodzenia w tym dniu, więc każdy, kto go będzie tropił, dotrze tylko do pewnego punktu. A to da mu więcej czasu”.

Rudewicz wyjął z aktówki kartkę papieru i podał mi ją. Było to ksero wpisu do rocznika Yale z 1978 roku na nazwisko James Frederick Clark. Ten młody człowiek był dalekim krewnym rodziny Rockefellerów i miał trzy spośród imion, z których korzystał Rockefeller. Również od niego Rockefeller zaczerpnął niektóre znajomości i przynależności - pomoc dziekana Yale, orkiestra marszowa, kółko teatralne - co wskazywało, że

Rockefeller przejrzał rocznik Yale, znalazł kogoś, kto zrobił na nim wrażenie, i wykorzystał go jako budulec kreowanej przez siebie postaci.

Rudewicz sprawdził wyciągi z telefonu komórkowego Rockefellera, ale nie natrafił na nic podejrzanego ani naprowadzającego na jakikolwiek trop. Detektyw chciał dotrzeć do komputera Rockefellera, w którym z pewnością trzymał swoje tajemnice, ale śledzony zabrał go ze sobą. „Nigdy nie dopuszczał mnie do komputera” - powiedziała Sandra detektywowi, który przeszukiwał błogi, sieci społecznościowe i wszelkie inne źródła mogące pokazać, gdzie i z kim się komunikował. Rudewicz zdołał jednak znaleźć tylko wpisy na stronach internetowych poświęconych najnowszym technologiom i jedną recenzję dla Amazon.com.

Już w drugim dniu dochodzenia Rudewicz poczuł, że sprawa śmierdzi.

- Powiedziałem adwokatowi Sandry Boss: „Tego gościa nie ma w żadnych kartotekach, nie ma żadnych adresów”. Zastanawialiśmy się, jak to delikatnie przekazać klientce. W końcu to był jej mąż. Nie mogliśmy jej po prostu powiedzieć, że wyszła za bezdusznego, wyrachowanego kłamcę.

- Więc co jej pan powiedział? - spytałem.

- Że nie wiemy, kim on jest. Wiemy, że nie jest Clarkiem Rockefellerem, ale nie wiemy, kim jest.

Clark nadal jednak posługiwał się nazwiskiem Rockefeller, jak stwierdził Rudewicz w swoich zeznaniach.

- Kiedy weszliśmy w kolejną ślepią uliczkę, prosił o więcej informacji, więc Clark w końcu się zorientował, że ma na karku prywatnego detektywa. Poprosiliśmy o świadectwo urodzenia. Usłyszeliśmy, że zostało wydane w Nowym Jorku, w nowojorskim szpitalu, nie pamiętał w którym. Dostęp do tego typu danych wymaga upoważnienia i pan Rockefeller nam je dostarczył.

Sąd polecił Rudewiczowi odczytać na głos na rozprawie pisemne wyjaśnienie dołączone przez Rockefellera do upoważnienia:

Sandra L. Boss i ja poznaliśmy się 5 lutego 1993 roku i od tego czasu zna mnie pod moim jedynym nazwiskiem: James Frederick Mills Clark Rockefeller. Gdybym istotnie posługiwał się również innym nazwiskiem, trudno sobie wyobrazić, aby przez prawie piętnaście lat fakt ten nie wyszedł na jaw, zwłaszcza że Sandra przez całe nasze wspólne życie poznała wiele osób, które znają mnie pod tym nazwiskiem znacznie dłużej niż ona.

- Panie Rudewicz, czy może nam pan powiedzieć, ile tego rodzaju sprawdzeń życiorysu przeprowadził pan w swojej karierze? - zapytano detektywa w sądzie.

- Jest to istotny segment naszej działalności. Mieliśmy tysiące takich zleceń.

- A ile razy zdarzyło się coś takiego jak tutaj, czyli że nie mogliście znaleźć żadnych informacji na temat danej osoby?

- Nigdy.

Sandra Boss następująco podsumowała odkrycia Rudewicza:

- Prywatny detektyw (a) udowodnił, że nic z tego, co powiedział mi Clark, nie znalazło potwierdzenia; (b) nie potrafił stwierdzić, kim on jest.

- Czy pamięta pani jakieś konkretne fakty, które podała pani prywatnemu detektywowi, a które okazały się nieprawdziwe?

- Oczywiście - odparła Sandra i zaczęła wymieniać niektóre z licznych kłamstw jej męża:

- Nie wychowywał się przy Sutton Place 19. W tej kamienicy od wielu lat mieszkało wiele rodzin.

- Nie studiował w Yale.

- Nie chodził do żadnej z innych szkół, w których rzekomo się uczył.

- Nie pracował dla First Boston.

- Nie miał świadectwa urodzenia, które by potwierdzało, że

urodził się w 1960 roku w Nowym Jorku.

Innymi słowy, zeznała Boss, nie potwierdziło się „nic z tego, co mi powiedział”.

Jeśli poczuła się upokorzona faktem, że będąc absolwentką Harvard Business School i młodą współpracowniczką McKinsey & Company, padła ofiarą takiego sztygatego grubymi nićmi oszustwa, nie okazała tego po sobie w sądzie ani w momencie otrzymania tej informacji od detektywa. Okres kulenia się ze strachu przed dominującym mężem dobiegł końca.

W porozumieniu z prawnikami Boss sporządziła plan działania. Wiedziała, że Clark ma awersję do sal sądowych.

- Zauważyłam, że kiedy pojawialiśmy się w sądzie, nawet w bardzo drobnej sprawie, robił się bardzo nerwowo.

Postanowiła „postawić wszystko na jedną kartę”, jak się wyraziła. Jej prawnicy zamieścili „wszystkie przykłady fatalnego traktowania” Boss przez Rockefellera i wszystkie jego kłamstwa w piśmie do sądu, który rozpatrywał pozew rozwodowy, i czekali na reakcję Rockefellera.

Jej mąż „kompletnie spanikował” - wspominała Boss. Dwa dni później jego adwokat zadzwonił do Sandry i powiedział:

- Clark chce iść na ugodę. Reigh zostałaaby z panią. Mogłaby pani zabrać ją do Londynu. On chce tylko miliona dolarów.

Jakiś czas temu Sandra otrzymała propozycję pracy w londyńskim oddziale McKinseya. Teraz powiedziała swoim zwierzchnikom, że jeśli ta oferta nadal jest aktualna, to ją przyjmie.

- Uważałam go za bardzo groźną osobę bez tożsamości, toteż musiałam wywieźć córkę z kraju, żeby jej nie porwał.

Wyprowadzka do Londynu wiązała się z obniżką wynagrodzenia o ponad milion dolarów, ale dla Sandry oddzielenie córki oceanem od swojego - wkrótce - eksmęża było tego warte.

- Cieszę się, że będę miała pełną opiekę nad Reigh - powiedziała adwokatowi Rockefellera. - Porozmawiajmy o sumie, której on żąda.

Udało jej się zejść z miliona do 800 000 dolarów.

- Oprócz tego chciał dwa samochody, sukienkę i mój pierścionek zaręczynowy.

Dlaczego zażyczył sobie sukienki - i której - o tym na procesie nie rozmawiano. Od tego momentu Rockefeller, który nie chciał albo nie potrafił dostarczyć dokumentów potwierdzających jego tożsamość, był bez szans. Boss dostała wszystko: zabytkowy dom i kościół w Cornish, kamienicę w Beacon Hill, a przede wszystkim prawo do opieki nad Reigh.

Sędzia wyraził zgodę na zabranie dziecka do Londynu, gdzie matka i córka zamieszkały w pięknym domu w zamożnej dzielnicy Knightsbridge. Ojciec miał prawo do trzech spotkań rocznie pod nadzorem kuratora.

- Dlaczego chciała pani, aby spotkania odbywały się pod nadzorem? - spytano Sandrę.

- Ponieważ bałam się, że ją porwie. Wiedziałam, że potrafi być nieuchwytny i że nie jest osobą, za którą się podaje. Uważałam za bardzo prawdopodobne, że jego prawdziwa tożsamość jest groźna.

Rockefeller musiał przystać na jej warunki, które wyliczyła przed wielką ławą przysięgłych.

- Ja miałam dostać pełną opiekę prawną nad Reigh, a on 800 000 dolarów w trzech ratach. Poza tym żadne z nas nie mogło napisać książki (dziwne żądanie), a on miał prawo do trzech nadzorowanych spotkań rocznie, albo w Bostonie, albo w jego aktualnym miejscu zamieszkania, gdyby je zmienił.

Spotkania z córką miały podlegać ścisłym regułom.

- Bez nocowania. Podczas pierwszego spotkania w roku miał prawo widzieć się z nią przez osiem godzin dziennie przez trzy kolejne dni. Przed i po spotkaniu musiał porozmawiać z jej terapeutą. Wszystkie warunki spotkania należało uzgodnić z góry.

Sandra i Reigh Boss przeprowadziły się do Londynu 23 grudnia 2007 roku.

- Zabrano mi ją tuż przed Bożym Narodzeniem, co było

okrutne - skarżył się później Rockefeller. - Ja po prostu chcę z nią być. Chcę budzić ją rano, odprowadzać na szkolny autobus, czekać na nią, kiedy wraca, wieczorem dać jej coś do zjedzenia i położyć ją do łóżka, i następnego dnia to samo.

- W dniu rozprawy rozwodowej miała być zawarta ugoda, Clark wysłał mi SMS-a: „Właśnie podpisałem traktat wersalski” - prawdopodobnie miał na myśli to, że Niemcy podpisały pod przymusem traktat kończący pierwszą wojnę światową - wspominał Bob Skorupa.

John Greene, inny członek ekipy ze starbucksxa, dodał:

- Zrzekł się wszelkich praw do dziecka w zamian za 800 000 dolarów i zakończenie dochodzenia w sprawie jego prawdziwej tożsamości. My siedzieliśmy w starbucksie, a jego córka została w majestacie prawa zabrana do Londynu. Myślę, że później żałował, że przehandlował dziecko za pieniądze. I od momentu kiedy wziął tę kasę, zaczął planować odzyskanie córki.

ROZDZIAŁ 19

Chip Smith, Baltimore, Maryland

W lecie 2007 roku z pozoru załamany Clark Rockefeller chodził ulicami Beacon Hill. Sandra zapłaciła za sześć miesięcy z góry czynsz za jego kawalerkę przy Beacon Street 73, w której nawet nie rozpakował pudeł i nie poustawiał mebli. Ale chociaż miał tymczasowe lokum, czuł się wykorzeniony bez córki, mieszkania przy Pinckney i pozycji społecznej, którą zawdzięczał bezdennemu kontu bankowemu i kartom kredytowym żony.

- Twierdził, że proces kosztował go 800 000, a dodatkowo miał do zapłacenia 1,2 miliona adwokatowi Sandry, w związku z czym był kompletnie splukany i szukał pracy, co mnie zaskoczyło, bo nigdy wcześniej nie mówił o pracy - opowiadał znajomy, który obserwował powolny upadek Clarka.

Rockefeller spędził święta Bożego Narodzenia w 2007 roku z artystą Williamem Quigleyem i jego rodziną w bostońskim domu siostry malarza. Obecność dzieci wyraźnie pogłębiała zły nastrój Rockefellera.

- Tak mi smutno, kiedy widzę wszystkie te dzieci biegające dookoła - powiedział Quigleyom. - Strasznie tęsknię za Snooks.

W pewnym momencie ktoś go zapytał o jego kolekcję sztuki współczesnej.

- Musiałem oddać całą kolekcję rodzinnej fundacji i nie jestem już jej właścicielem.

Na domiar złego, powiedział, jego była żona chciała, żeby teraz płacił jej jeszcze więcej pieniędzy, 15 000 dolarów miesięcznie. Szwagier artysty spytał Rockefellera, dlaczego nie przeprowadzi się do Londynu, żeby być bliżej córki.

- Jesteś Rockefellerem! - przypomniał mu. - Możesz wszystko.
- Pozbawiła mnie prawie wszystkiego - odparł ze smutkiem Rockefeller.

- Powtarzał, jak bardzo tęskni za córką - wspominał Quigley. -
Był zdruzgotany i rozpaczony.

Znajdował jednak trochę pocieszenia w robieniu wrażenia na kobietach.

- Zawsze był z jakąś ładną dziewczyną - powiedział jego znajomy Sheldon Fish, marszand.

- Przedstawił mnie jednej z Dixie Chicks.

- Uwielbiał blondynki - wspominał inny znajomy.

Przez jakiś czas oblegał moją znajomą Roxane West, młodą kobietę z rodziny teksaskich potentatów naftowych, którą przypadkowo spotkał w galerii sztuki na Manhattanie. Po jednym wspólnym lunchu przystąpił do „SMS-owego flirtowania”, jak to nazwał. Proponował jej spotkania, ale zawsze się okazywało, że nie może przyjechać z Bostonu do Nowego Jorku, bo wszystkie miejsca noclegowe w jego prywatnych klubach są zarezerwowane, a jako Rockefeller nie może nocować w hotelu. „Mam nadzieję, że miałaś udany Dzień Matki” - napisał kiedyś, a 1 czerwca błagał: „Proszę proszę PROSZĘ nie czuj się zaniedbywana. Bardzo napięty tydzień. Właśnie się kończy. STRASZNIE bym chciał się z Tobą zobaczyć. Zadzwoń wieczorem. Właśnie wróciłem z Bermudów. Wynajmowałem tam dom letniskowy. Świetnie się bawiłem”.

Nie szczędząc wysiłków, budował wielką mistyfikację. Któregoś razu, podczas rozmowy telefonicznej z Roxane, udawał, że mówi do swojej córki, która mieszkała już wtedy w Londynie. Zanim Roxane dostała od niego następnego SMS-a, miała pewność, że to szarlatan, z którym nie chce mieć nic wspólnego.

- Pomyślałam, że to wszystko bzdury, że nie jest człowiekiem, za którego się podaje.

Jedno z jego ostatnich wystąpień towarzyskich w Bostonie miało miejsce na kolacji u Paula i Helen Wesslingów przy Commonwealth Avenue. Inny gość, doświadczony menedżer

portfelowy Nathan Peltz, zeznał przed sądem:

- Piliśmy koktajle, kiedy usłyszałem, że jeszcze ktoś przyjdzie.

Peltz rozpoznał tę osobę w „oskarżonym”. Spytano go, czy Rockefeller ujawnił, jaki zawód wykonuje.

- To miało coś wspólnego z inwestycjami. Na pytanie o nazwę firmy odpowiedział wymijająco. Z jego wypowiedzi wywnioskowałem, że chodzi o fundusz inwestycyjny. Nasz gospodarz pracował w tej samej branży. Jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie mówią: „Pracuję dla firmy X, Y, Z”. Rockefeller powiedział, że mieszka w Beacon Hill i właśnie stracił dziecko. Miał córeczkę, którą nazywał Snooks albo Snookums. Powiedział, że dziecko urodziło się ze związku pozamałżeńskiego w Anglii i jego matka postanowiła je odzyskać. Wcześniej wychowywał je samotnie. Powiedział, że sędzia w Massachusetts wyraził zgodę na zabranie dziecka do Anglii. [...] Ani razu nie wspomniał, że miał żonę. Widać było, że jest zdruzgotany i czuje się pokrzywdzony wyrokiem sądu.

Po koktajlach przyszła pora na właściwą kolację, podczas której Rockefeller nadal rozprawiał wyłącznie o Snooks.

- Bez przerwy mówił o tym, że ją stracił - zeznał Peltz przed sądem. - Był wściekły. Spytałem go, dlaczego nie próbuje się odwołać. Odparł, że próbuje, a jeśli nic z tego nie wyniknie, to pojedzie do Anglii i po prostu zabierze dziecko. Dla mnie to brzmiało jak zamiar uprowadzenia.

Kiedy jedna starannie zbudowana osobowość Rockefellera powoli konała, stworzył nową. Zaczęło się to w listopadzie 2007 roku, jeszcze przed utratą prawa do opieki nad córką, od e-maila do biura nieruchomości Obsidian w Baltimore. Właścicielka firmy Julie Gochar zeznawała na procesie.

Gochar, młoda blondynka, która przyszła do sądu w białej bawełnianej sukience, była w zaawansowanej ciąży. Po przedstawieniu ogólnych informacji o firmie - dwóch innych współwłaścicieli, dwudziestu siedmiu agentów zatrudnianych na

umowę-zlecenie, działających na terenie Baltimore z przedmieściami - odpowiedziała na pytanie prokuratora, czy zna osobę zasiadającą w ławie oskarżonych.

- Tak, znam - odparła.

- Pod jakim nazwiskiem?

- Chip Smith. Przesłał do naszego biura e-mail, który został przekierowany do mnie. Smith był zainteresowany przeniesieniem się do Baltimore. To było w drugiej połowie listopada 2007 roku.

- Czy w tym pierwszym e-mailu przedstawił jakieś informacje o sobie?

- Napisał, że jest w Chile oraz że wiosną następnego roku przybędzie statkiem do Stanów Zjednoczonych i zamieszka w Baltimore.

- Odpowiedziała pani na ten e-mail?

- Oczywiście.

Jesienią 2007 roku pośrednicy z Baltimore ostro walczyli o klientów, a osoba, która chciała przeprowadzić się z Chile i szukała domu za pół miliona dolarów, dawała szansę na świetny interes.

- Poprosił o pomoc, ponieważ nie znał miasta, a na tym między innymi polega moja praca - powiedziała.

Na tym etapie nie podał jej swojego nazwiska, tylko adres mailowy: svshenandoah@gmail.com.

- Wymienialiśmy mnóstwo informacji - powiedziała Gochar. - Ja próbowałam poznać jego oczekiwania, żeby mieć jakieś wyobrażenie, gdzie powinien mieszkać. Miał córkę, co musiałam uwzględnić. Chciał mieszkać w centrum i pracować na umowę-zlecenie dla firmy, która budowała katamarany, o ile dobrze pamiętam.

Pośredniczkę spytano, co marynarz powiedział jej o swojej córce, którą przedstawił jako Muffy.

- Wiedziałam tylko tyle, że ma siedmioletnią córkę, która płynie razem z nim statkiem.

- Wyjaśnił pani, jak mu się udaje wychowywać siedmiolatkę na

statku?

- Tylko w kontekście edukacji. Uczył ją sam według programu Calvert School, która skądinąd ma swoją siedzibę w Baltimore. Chciał domu szeregowego z tarasem na dachu, najlepiej w okolicy Camden Yards, żeby mógł realizować swoją pasję do bejsbolu. Ponieważ pływał wzdłuż wybrzeża Chile, często był poza zasięgiem sieci.

- Co pani pisał o matce dziecka?

- Że była surogatką i że spalił dokumenty dotyczące jej tożsamości, aby córka nigdy jej nie poznała. „Nie musi tego wiedzieć” - powiedział mi.

Wieczorem po otrzymaniu pierwszego e-maila Julie Gochar powiedziała mężowi o potencjalnym kliencie, kapitanie statku Chipie Smisie.

- Jest marynarzem. Ciekawe, skąd ma pieniądze na dom.

- Kapitanowie statków oceanicznych zarabiają kupę kasy - odparł mąż.

Odpowiedź ta zadowoliła Julie Gochar, która natychmiast zaczęła szukać odpowiednich nieruchomości, żeby pokazać je kapitanowi po jego przybyciu do Baltimore.

Po kilku miesiącach mailowania i SMS-owania kapitan w końcu przedstawił Gochar bardziej konkretne informacje.

- Na początku lutego zaczęliśmy omawiać kwestie logistyczne, takie jak tymczasowy lokal po jego przyjeździe do Baltimore. Zatrzyma się w hotelu czy raczej coś wynajmie? Zdecydował się na to drugie rozwiązanie i na dwa miesiące wynajęliśmy mu dom szeregowy niedaleko naszego biura.

- Dlaczego wynajem, a nie hotel?

- Nie lubił hoteli, nie miał do nich zaufania.

Gochar wynajęła Chipowi Smithowi (za 2000 dolarów miesięcznie) dom tuż za jej biurem nieruchomości przy South Wolfe Street, począwszy od kwietnia, kiedy miał przybyć do USA. W umowie najmu wpisała S.V. Shenandoah, sądząc, że adres mailowy pochodzi od nazwiska kapitana. „Ubawiłem się - odpisał. - Tak naprawdę nazywam się Charles Smith”.

- Twierdził, że nie znosi imienia Charles - zeznała.

Poprosił ją, żeby mówiła do niego Chip. Przed swoim przybyciem przysłał na adres biura kilka dużych pudeł z bostońskim adresem zwrotnym. Wyjaśnił Gochar, że są w nich ubrania, „bo inaczej nie miałbym niczego na północny klimat”, wyjaśnił. A dlaczego pudła przyszły z Bostonu, skoro twierdził, że pochodzi z Wisconsin?

- A bo kiedy studiowałem na Harvardzie, to zostawiłem tam trochę rzeczy. Absolwenci Harvardu mają takie prawo.

Umówili się w biurze pośrednictwa. Kiedy Smith wszedł do biura, Gochar przetarła oczy ze zdumienia.

- Spodziewałam się kogoś zupełnie innego. Myślałam, że zobaczę wysokiego, opalonego, wyglądającego na marynarza. Ani trochę nie pasował do takiego obrazu.

Jego akcent kojarzył się jej z Thurstonem Howellem III z Wyspy Gilliana, ale jak potem przyznała, nigdy wcześniej nie słyszała akcentu bostońskiego bramina. Przede wszystkim uznała, że jest za wątki jak na marynarza, a co dopiero kapitana wielkiego statku. Jej mąż studiował w St. Marys College w południowym Maryland z grupą prawdziwych marynarzy, silnych i energicznych mężczyzn, którzy w niczym nie przypominali stojącego przed nią wychudzonego jegomościa w czapce bejsbolowej i grubych okularach w czarnych oprawkach. Jego rude włosy wyglądały na farbowane.

- W każdym razie na pewno nie wyobrażałam sobie bladego konusa...

Ostrzegł ją z góry, że nie będzie opalony, ponieważ podczas rejsu prawie cały czas padało.

- Nie mogę uwierzyć, że tak długo płynę i nie mogę się wylegitymować opalenizną, która by to potwierdzała.

Przyszedł sam. Powiedział, że jego córka jest u jego dwóch siostr w Wisconsin i przyjedzie do Baltimore później. Chciał listę odpowiednich nieruchomości do obejrzenia. Był kwiecień i Smith potrzebował jak najszybciej znaleźć jakieś lokum, żeby zacząć pracować w firmie z Baltimore, która projektowała,

budowała i sprzedawała nowy typ katamaranów.

Ponieważ mieszkał o rzut beretem, a Julie Gochar z założenia jest dostępna dla klientów przez siedem dni w tygodniu dwadzieścia cztery godziny na dobę, Chip Smith szybko stał się regularnym gościem biura nieruchomości Obsidian. Wyglądał wprawdzie trochę dziwnie - spodnie khaki, niektóre wyszywane rybkami, i żeglarskie buty bez skarpetek - ale Julie Gochar wyznaje zasadę, że klient nasz pan.

- Przychodził, nawet jeśli nie byliśmy umówieni na spotkanie. Chciał sprawdzić, jakie są oferty na rynku, ile kosztują domy. Wszystkiego był ciekaw. Spędzał u nas w biurze dużo czasu.

Pozwalali mu korzystać z biurowego komputera. Założyli mu nawet konto mailowe: chip@obsidianrealty.com.

- Czy miał dostęp do pani systemu komputerowego?

- Tak.

- Jak go uzyskał?

- Dałam mu klucz do biura, żeby mógł przychodzić i wychodzić, kiedy tylko będzie miał ochotę. Chciał sprawdzić dużo rzeczy, a u siebie nie miał komputera. I szczerze mówiąc, nie miałam ochoty spotykać się z nim za każdym razem, kiedy potrzebował coś sprawdzić.

Smith często spędzał w biurze wiele godzin.

- Prawie jakby u nas pracował - powiedziała Gochar i dodała, że oprócz nieruchomości Smith interesował się również „projektami łodzi, cenami złota i akcji i innymi sprawami”.

Przychylność Gochar wynikała oczywiście z faktu, że Smith dysponował pieniędzmi na zakup drogiej nieruchomości. Gochar poprosiła go o wypełnienie formularza niezbędnego do podpisania umowy o pośrednictwo i zorientowała się, że klient zamierza zapłacić za nieruchomość - w cenie około pół miliona dolarów - gotówką.

- Mam do pani zaufanie - powiedział kiedyś do Gochar, która chciała mu pokazać kilka nieruchomości. - Pochodzę z bogatej rodziny, ale nie chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli. Bo wszyscy ciągle wyciągają ręce po moje pieniądze.

- W takim razie dobrze pan trafił - odparła Julie Gochar - ponieważ tutaj nikogo nie obchodzi, czy ma pan pieniądze, czy nie.

Miała na myśli spokojną dzielnicę South Point, gdzie pieniądze nie robią na ludziach wrażenia.

- Tutaj będzie pan mieszkał między kapitanem holownika i ortopedą. Śmiem twierdzić, że pana sąsiedzi nawet by woleli, żeby się pan nie obnosił ze swoim bogactwem.

On jednak nie wziął sobie tej rady do serca. Kiedy Gochar zaprosiła go na biurową imprezę - „Świetny sposób na poznawanie nowych ludzi!” - wahał się, tłumacząc, że nie ma żadnych „imprezowych ciuchów”, po czym przyszedł w wielkim białym kapeluszu marynarskim i różowawych spodniach, które personel ochrzcił „imprezowymi portkami Chipa Smitha”.

Miał też inne dziwactwa. Jadł tylko „białe” rzeczy: sałatkę z kurczaka z białym chlebem, białe ziemniaki, mięso z indyka, białka jajek na twardo. „Proszę nic nie dokładać” - instruował kelnerkę, zamówiwszy kanapkę z kurczakiem.

- Nie mogę jeść pomidorów, bo jestem na nie uczulony - tłumaczył Julie Gochar.

Kiedy oglądali domy, bez przerwy używał komórki, esemesował albo toczył głośne i ożywione rozmowy o takich rzeczach jak pieniądze, pierścionki z brylantami i niechęć jego córki do imienia „Muffy”.

- Chyba zacznę na nią mówić TLO, The Little One - powiedział kiedyś.

Wyjaśnił Gochar, że przy wyborze domu bardzo ważna jest dla niego nazwa ulicy. Nie mógłby mieszkać przy Boston Street, ale na przykład odpowiadałaby mu Montgomery Street. Szybko znaleźli dom przy Montgomery Street 10, który bardzo mu się spodobał. Jego właścicielem był adwokat, którego biblioteka zrobiła wielkie wrażenie na Chipie Smisie.

- Był zachwycony okolicą i nazwą ulicy - powiedziała Gochar.

Ocecił jednak, że remont kosztowałby 100 000 dolarów.

- Będę się targował - zapowiedział. - Chcę dać 100 000 mniej,

w końcu płacę gotówką.

Jego propozycja została odrzucona i szybko pojawił się inny kupiec, który chciał dać niewiele mniej niż cena ofertowa. Smith podbił stawkę do 150 000 dolarów, ale adwokat sprzedał dom drugiemu klientowi za 50 000 dolarów mniej, co rozjuszyło Chipa Smitha.

- Ja nigdy nie przegrywam! - złościł się.

Tego dnia Julie Gochar zobaczyła inną twarz swojego klienta.

- Prawie jak dziecko, które nie dostało cukierka. „Chcę mieć ten dom! Nie rozumiem, dlaczego nie mogę dostać tego domu! Płacę za niego gotówką!” Odniosłam wrażenie, że przyzwyczał się do tego, że zawsze dostaje to, na co ma ochotę.

Chip Smith skontaktował się bezpośrednio ze sprzedającym. Nic nie wskórał poza tym, że zezłościł Julie Gochar, która zaczęła się zastanawiać, czy warto poświęcać tyle czasu i wysiłku temu klientowi.

Na początku maja Chip Smith powiedział, że chce mieć żaglówkę, katamaran. Nie do pracy, która rzekomo polegała na projektowaniu katamaranów, lecz do innych celów. Zaczął się przyglądać jachtom zacumowanym w Anchorage Marina, „najlepszym ośrodku jachtowym w Baltimore”. Annie Linskey z „Baltimore Sun” napisała: „Pewnego dnia poznał w ośrodku żeglarskim Brucea Boswella, właściciela ośmiometrowego katamaranu. Przedstawił się jako Chip MacLaughlin i spytał Boswella, czy byłby zainteresowany sprzedażą łodzi, która już się trochę rozpadała (później zaczęto ją nazywać »materiałem dla piły łańcuchowej«) i była warta dwa razy mniej niż 10 000 zaproponowane przez nieznanego”.

- Bardzo się ucieszyłem, że mogę się jej pozbyć - powiedział Boswell w rozmowie z „Sun”.

Poszli do pobliskiego baru, gdzie MacLaughlin „snuł megalomańskie wizje”, wspominał Boswell. Powiedział, że przyjechał do Baltimore, żeby być blisko swojej siostry,

mieszkancki tego miasta. Chwalił się, że należy do prywatnego Century Club w Nowym Jorku oraz że planuje kupić zabytkowy Teatr Mayflower w Baltimore i przywrócić go do dawnej świetności.

Chip zaproponował, żeby zawarli transakcję w biurze Obsidian. Spotkali się tam wieczorem. Chip MacLaughlin wpisał kod, a następnie otworzył drzwi własnym kluczem. Kiedy odliczał pieniądze - 10 000 dolarów w dwudziestkach i pięćdziesiątkach - powiedział, że jest właścicielem Obsidian. Gdyby Boswell pofatygował się to sprawdzić, stwierdziłby, że jeden ze współników Julie Gochar istotnie nazywa się MacLaughlin, ale na imię ma Henry.

Chip uparł się, żeby zarejestrować łódź na Chipa Smitha, relacjonował później Boswell, bo „nazwisko MacLaughlin mu się nie podobało”. Podpisali umowę. Katamaran dalej cumował koło pochylni, której właścicielem był brat Brucea Boswella Harry. MacLaughlin miał mu za to płacić 2200 dolarów rocznie.

6 czerwca Rockefeller zadzwonił do właściciela Boston Bullion, handlującej metalami szlachetnymi firmy z siedzibą w Arlington, na przedmieściach Bostonu.

- Chciał kupić trochę złota - powiedział właściciel firmy Kenneth Murphy.

Dzwoniący przedstawił się jako Clark Rock, jako swój adres podał Commonwealth Avenue 217 w Bostonie i powiedział, że chce zainwestować w złoto około 2 milionów dolarów, które właśnie mu wypłacono w wyniku procesu sądowego o patent. Złoto chciał nabyć w trzech etapach: za 465 000 dolarów od razu, za 300 000 dolarów 30 czerwca i za 1235 000 dolarów 31 lipca.

Clark Rock poprosił Murphy ego o spotkanie 9 czerwca w kawiarni Starbucks przy Harvard Square w Cambridge.

- Wyglądał dla mnie jak profesor uniwersytetu, typowe Ivy League - wspominał Murphy.

Tego samego dnia wysłał Boston Bullion 465 000 dolarów z konta bankowego zarejestrowanego na Clarka Rocka. Po

zaksięgowaniu tych pieniędzy na koncie Boston Bullion miał odebrać złoto, w postaci 527 monet krugerrand, o wadze kilkunastu kilogramów. Zjawił się po nie 20 czerwca, włożył je do aktówki i spytał Murphy ego, czy ten mógłby go podwieźć do centrum Bostonu.

Następnego dnia znowu zadzwonił do Murphyego i powiedział, że chciałby sprzedać 24 krugerrandy, ale trzy dni później zatelefonował jeszcze raz i stwierdził, że się rozmyślił.

- Powiedział mi, że jest niezadowolony z krugerrandów i chciałby je wymienić na amerykańskie gold eagles.

Gold eagle to złota moneta bita przez Amerykańską Mennicę Stanową, przedstawiająca oblicze „Lady Liberty” według projektu Augustusa Saint-Gaudensa. Monet tych nie trzeba rejestrować w urzędzie skarbowym, toteż nie można śledzić ich losów. 7 lipca Clark Rock przybył do siedziby Boston Bullion z walizką pełną krugerrandów i wyszedł z walizką pełną gold eagles, o wartości nominalnej 50 dolarów sztuka, z tymże wartość realna jest równa aktualnej cenie złota - jedna moneta waży uncję, toteż w tamtym czasie była warta ponad 1000 dolarów. Tydzień później, 14 lipca, Rock przesłał Boston Bullion 300 000 dolarów i zamówił kolejne trzysta monet American Gold Eagle, które odebrał 21 lipca.

Chip Smith w końcu znalazł w Baltimore odpowiednie lokum, dawną wozownię za dużym domem przerobionym na apartamentowiec. Adres: Ploy Street 618 w dzielnicy Mount Vernon. Julie Gochar nie zamierzała pokazywać mu tego domu, bo była przekonana, że nazwa ulicy³ mu się nie spodoba, ale on był nią zachwycony. Cena wynosiła 450 000 dolarów i wliczony był w nią koszt remontu, który miał zostać zakończony do momentu sprzedaży i obejmował nową kuchnię oraz wykładziny. Smith kupił dom na swoją spółkę z o.o., PIOY St. Parking zarejestrowaną w Nevadzie.

³ Ploy - ang. fortel (przyp. tłum.).

- Czy po podpisaniu umowy przedwstępnej oskarżony nadal spędzał dużo czasu w pani biurze? - spytał agentkę nieruchomości prokurator.

- Nie - odparła Gochar. - Pojechał do Wisconsin odwiedzić siostry i córkę. Obie siostry były co najmniej raz rozwiedzione. Z tego, co mówił, nie podzielał ich stosunku do małżeństwa i był przeciwnikiem rozwodów. Kiedy tam przyjeżdżał, zaganiały go do roboty, toteż rzadko je odwiedzał.

Datę podpisania ostatecznej umowy ustalili na 27 czerwca.

- Z różnych powodów, leżących po obu stronach, to się opóźniało - powiedziała Gochar. - Chip podróżował po Europie i zachorował, przez co nie zdążył przyjechać na podpisanie umowy. Skontaktował się ze mną mailowo.

Zapytano ją, czy o chorobie Chipa dowiedziała się również z innych źródeł.

- Nie, tylko od niego. Napisał do mnie ze Szwajcarii albo Szwecji. Twierdził, że przez cztery dni nie potrafili postawić diagnozy, aż w końcu się okazało, że to grypa spowodowana reakcją alergiczną na pomidory.

Ludzie zgromadzeni na sali sądowej wybuchnęli śmiechem. Na twarzy Gochar nie drgnął ani jeden muskuł. Miała jeszcze wiele podobnych rzeczy do opowiedzenia.

Powiedział jej, że przyleciał prywatnym odrzutowcem - który sam pilotował - na lotnisko w Chestertown pod Baltimore. Nie mógł przelać pieniędzy na zakup domu.

- Nie mogę przelewać pieniędzy z rachunku powierniczego - wyjaśnił.

450 000 dolarów za dom trzeba było więc zapłacić czekiem. Transakcję zawarto 18 lipca 2007 roku. Zapytano Gochar, czy zaraz po tym się wprowadził.

- Nie wiem - odparła. - Wiem, że miał pojechać do domu, żeby się spakować i przyjechać do Baltimore samochodem. Zostawił jakieś rzeczy w Bostonie na czas wyjazdu za granicę i zamierzał je zabrać i wprowadzić się do nowego domu w ciągu tygodnia.

- Czy wie pani, kto mu pomógł w przeprowadzce?

- Tak, Beth Grinspoon, agentka z naszego biura.

Ray Mosher i Joseph Leeman, bostońscy policjanci, którzy zajmowali się później tą sprawą, mówili o dwudziestopięcioletniej Grinspoon z wielkim uznaniem. Do pensji agentki dorabiała jako kelnerka i barmanka w Annabel Lee Tavern. Uprawiała triathlon. Na stronie internetowej Obsidian można było zobaczyć atrakcyjną i wysportowaną brunetkę w brązowej koszulce polo i z turkusowymi kolczykami.

Pracownicy Obsidian szybko się zorientowali, że Chip Smith jest skąpy, a niektóre z opowiadanych przez niego historii są wysane z palca (na przykład, że wystąpił w wideoklipie Backstreet Boys). Zaproponował jednak kilka tysięcy dolarów za pomoc w przeprowadzce, plus koszty przelotu do Bostonu i zakwaterowania w tym mieście, więc Beth Grinspoon powiedziała, że zwerbuję znajomą i pomoże mu. Poleciały tanimi liniami AirTran i zamieszkały w hotelu Royal Sonesta w Cambridge. Dopiero następnego dnia rano dowiedziały się, gdzie zmagazynował swoje rzeczy - taksówka zawiozła je pod dom na przedmieściach Bostonu, którego garaż był wypchany po sufit rzeczami Smitha.

Był 2 lipca, dzień po tym jak mężczyzna przedstawiający się jako Clark Rock odebrał z Boston Bullion warte 300 000 dolarów monety gold eagles.

Wynajął ośmiometrową ciężarówkę przeprowadzkową, ale szybko się okazało, że nie wszystko się zmieści, więc pojechał po przyczepę. Prawie wszystkie rzeczy były w pudłach, bardzo ciężkich.

- Co pan trzyma w tych pudłach, złoto? - spytała go cytowana przez policjantów Grinspoon.

- Książki - odparł Smith.

Właścicielka domu, którą Smith przedstawił jako swoją ciotkę, wróciła i naciskała go, żeby szybciej się uwijał. „Nadużyłem jej gościnności w kwestii użytkowania garażu” - powiedział Smith ekipie przeprowadzkowej i kazał się jej pospieszyć. Kiedy załadowano ciężarówkę i przyczepę, Smith, który pozostał w

Bostonie, wysłał Grinspoon do Baltimore. Był jej winien 1400 dolarów. 23 lipca Beth Grinspoon rozładowała ciężarówkę przy Ploy Street 618. Zgodnie z instrukcjami Smitha zamówiła ślusarza, żeby wymienił wszystkie zamki. Smith bombardował ją e-mailami i SMS-ami typu: „Gotowe?”.

23 lipca Chip Smith był w Bostonie, podając się za Clarka Rockefellera. Przystąpił do najzuchwalszego przedsięwzięcia w swojej karierze i zaczął rozstawiać ludzi jak figury na szachownicy.

Tego wieczoru zadzwonił do kierowcy Darryla Hopkinsa i zamówił go na następny piątek na wyjazd do Nowego Jorku, gdzie rzekomo miał zebranie zarządu.

- Chciał wyjechać o 7.00, pójść na zebranie zarządu, przegłosować parę spraw i wrócić do Bostonu na 15.00 lub 15.30 - zeznał później Hopkins.

Hopkins miał tego dnia innego ważnego klienta, ale wybrał Clarka. W końcu był to Rockefeller, a Rockefeller jako klient oznacza, że „telefon częściej dzwoni”. Opłata wyniosła 700 dolarów.

Kiedy kierowca pędził do Nowego Jorku, Rockefeller na tylnym siedzeniu dzwonił z komórki.

- Jedna z rozmów dotyczyła spędzenia weekendu w Newport z synem senatora Chafeeego - wspominał Hopkins.

- Wiesz, kto to jest senator Chafee? - spytał Rockefeller Hopkinsa, kiedy się rozłączył.

Oczywiście, że wiedział: chodziło o byłego senatora z Rhode Island Lincolna Chafeeego, znanego jako Rockefellerowski republikanin.

- Jestem zaprzyjaźniony z jego synem - powiedział Rockefeller i dodał, że razem ze Snooks zostali zaproszeni na przejażdżkę jachtem z synem senatora w Newport.

Czy Darryl byłby w stanie ich zawieźć w ten weekend?

- Tak, oczywiście.

Rockefeller polecił Hopkinsowi, żeby go wysadził na rogu Central Park South i Sixth Avenue, stamtąd zamierzał pójść piechotą na zebranie zarządu. Pięćdziesiąt minut później zadzwonił z wiadomością, że zebranie skończone, i kazał się odebrać spod hotelu Plaza. Po drodze wzięli jeszcze lunch na wynos w restauracji J.G. Melon - „steak tahr-tahr” - kierowca naśladował głos Rockefellera - i wrócili do Bostonu.

Jedząc rękami krwiste mięso - restauracja nie dała sztucców - Rockefeller wydzwaniał do różnych ludzi i mówił, że ma „powyżej uszu” zebrania zarządu. Nie zależy mu ani na bólu głowy, ani na skromnym honorarium pobieranym za swoją obecność. Poza tym „Już nie pracuję” - podsumował. Wcześniej chwalił się Hopkinsowi, że wykonuje ważne zlecenia dla Departamentu Obrony.

Inna rozmowa podsłuchana przez Hopkinsa po drodze do Bostonu dotyczyła przyklepnego znajomego imieniem Harold, który miał wszelkie dane po temu, żeby zepsuć Rockefellerowi i Snooks weekend żeglarski z synem senatora Chafeeego.

- Znowu muszę go znosić? - jęczał Rockefeller do słuchawki. - Czy to jest naprawdę konieczne?

Po rozłączeniu się powiedział, że chyba będzie musiał zerwać znajomość z Haroldem.

- Powiedział, że Harold to przyjaciel rodziny, gej i człowiek bardzo przyklepny, jak go nazywał, taki jakby zaborczy - wspominał Hopkins. - Mówił, że ten Harold jest strasznie uciążliwy, a on znowu musi go znosić z powodu jakichś rodzinnych układów.

Rockefeller nie wdawał się w szczegóły, a kierowca nie miał odwagi drążyć tematu.

- Nie mógłby pan uzyskać zakazu sądowego? - spytał.

- Ten człowiek jest zbyt niebezpieczny - odparł Rockefeller. - Mógłby zrobić mi coś złego i - nie daj Boże - skrzywdzić Snooks. Posłuchaj, Darryl. Wiem, że ci się ostatnio niezbyt dobrze powodzi. Zapłacę ci 2000, nawet 2500, jeśli pomożesz mi uwolnić się od tego faceta na ten dzień.

Czy Hopkins mógł odmówić? Wielkiej ławie przysięgłych podał

następujące powody swojej decyzji:

- Wiedziałem, że muszę wracać na Florydę, bo interes idzie fatalnie z powodu stanu gospodarki - notowałem straty, nie starczało na raty za samochód i ubezpieczenie na przewóz osób, które kosztuje 5000 dolarów rocznie. Było lato, brakowało klientów i doszliśmy z żoną do wniosku, że nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Jeśli statek ma zatonać, to pójdziemy na dno całą rodziną.

Tymczasem na tylnym siedzeniu jego samochodu znajdowało się rozwiązanie jego problemów.

- W Ameryce nie ma chyba osoby, która by nie знаła nazwiska Rockefellera - powiedział Hopkins. - Facet nie musi pracować na utrzymanie. Mieszka w Beacon Hill. Jego córka chodzi do Southfield. Wszystko - steak tartare, zebranie zarządu w Nowym Jorku i tak dalej - wskazywało, że to jest prawdziwy Rockefeller. Nawet jego akcent o tym świadczył.

Hopkins bez wahania przyjął propozycję. Dla Clarka Rockefellera unicestwiłby cały batalion przyklepanych Haroldów. „Skoro chce się pan kogoś pozbyć, pozbędziemy się go” - powiedział mu. Następnego dnia spotkali się, żeby przeprowadzić próbę generalną. Rockefeller ćwiczył wskakiwanie ze Snooks do limuzyny przy chłopcach parkingowych z Algonquin Club. Po odwiezieniu go Hopkins zadzwonił do żony.

- Nie mogłem się doczekać, kiedy do niej zadzwonię i powiem, że Clark Rockefeller wyciągnie nas z tarapatów.

Kiedy Hopkins odstawił go pód Algonquin Club, Clark Rockefeller zadzwonił do Aileen Ang, znajomej z bostońskiego ośrodka żeglarskiego. Podobnie jak Darryl Hopkins wierzyła we wszystko, co Clark jej mówił.

- Był przedsiębiorcą, inwestorem, i właśnie stracił 10 milionów na jakiejś transakcji - zeznała Ang, której okrągła twarz emanowała naiwnością.

Rockefeller powiedział jej, że samotnie wychowuje dziecko, a jego żona ma potwornie trudny charakter i pracuje dla czasopisma „Vogue”. Pobrali się na wyspie Nantucket, ale ta wiedźma „nie złożyła papierów w urzędzie”. Porzuciła męża i córkę, kiedy Snooks miała trzy lata, i „zjawia się tylko wtedy, kiedy potrzebuje pieniędzy”. Dla Ang od początku nie ulegało wątpliwości, że Clark Rockefeller jest bardzo bogaty. Miał tyle pieniędzy, że stać go było na rzeczy, o których zwykli ludzie mogą tylko pomarzyć, na przykład na załatwienie sobie drugiego dziecka w ośrodku porodowym w Kalifornii. Oddał tam swoje nasienie, które miało zapłodnić jajeczko od „wyselekcjonowanej” matki. Takie dziecko byłoby „całe moje” - wyjaśnił jej. Kobiety ustawiają się do mnie w kolejce, dodał.

- Jedna nawet zamknęła mnie w swoim domu i nie chciała wypuścić.

Ang dobrze go poznała, chociaż nie miała z nim relacji intymnych. Dowiedziała się, że Clark przygotowuje program telewizyjny, a jednocześnie „robi doktorat z astronomii na Harvardzie, coś z gwiazdami”. Rockefeller powiedział jej, że chce się znać na gwiazdach, kiedy będzie żeglował z córką po świecie swoim nowym dwudziestodwumetrowym jachtem. Zaprosił Ang, żeby popłynęła z nimi w podróż dookoła świata. Mogłaby dawać Snooks lekcje gry na pianinie.

25 lipca Ang zauważyła po wyjściu z kina, że Clark zostawił jej wiadomość głosową. Powiedział, że następnego dnia on i Snooks muszą pojechać na przystań w Nowym Jorku, gdzie cumuje jego jacht. Czy Aileen podwiozłaby go tam za 500 dolarów? Oczywiście, odparła, ale nie w sobotę, bo pomaga koleżance w organizacji imprezy charytatywnej.

- Wolałbym w sobotę, ale spróbuję wszystko przearanżować - powiedział Rockefeller.

Zadzwoił następnego dnia rano i zgodził się na niedzielę.

- Moglibyśmy wyjechać o 12.00 z ośrodka żeglarskiego?

- Dobrze, będę tam na ciebie czekała.

Kiedy Rockefeller zadzwonił do Ang w sobotę rano, dzieliło go

tylko kilka minut od przesunięcia trzeciego pionka na jego szachownicy: wyznaczonego przez sąd pracownika socjalnego, którego w rozmowie z Hopkinsem nazwał „przylepnym znajomym” i który rzekomo miał na imię Harold (w rzeczywistości Howard) i na nazwisko miał Yaffe. Rockefeller poinformował pracownika socjalnego, że „podróżuje z Florydy”, i Yaffe nie miał żadnych powodów mu nie wierzyć. Wiedział, że Rockefeller jest bardzo zajęтым człowiekiem. Odwołał pierwsze spotkanie z córką po rozwodzie, zaplanowane na kwiecień. W końcu nadszedł dzień pierwszego spotkania pod nadzorem - sobota 26 lipca.

O 11.00 Howard Yaffe odebrał Snooks od Sandry Boss na rogu Commonwealth Avenue i Exeter Street i przeszedł razem z dziewczynką na drugą stronę ulicy, aby spotkać się z jej ojcem w Algonquin Club. Później wyszło na jaw, że Aileen Ang i jej praca charytatywna była kijem w szprychy planów Rockefellera, który musiał przez parę godzin niespiesznie spacerować ze Snooks i pracownikiem socjalnym wokół Algonquina.

Po wyjściu z klubu Rockefeller kupił na poczcie znaczki, a potem poszli do księgarni. O 15.30 byli w Fenway Park, rzekomo po to żeby obejrzeć mecz Red Soxów, ale kiedy Rockefeller poszedł odebrać zamówione bilety, powiedziano mu w kasie, że musi się wylegitymować jakimś dokumentem ze zdjęciem, a on takowego nie posiadał. Później się okazało, że nie czekały na niego żadne bilety. Realizację planu na ten dzień, zniweczonego przez Aileen Ang, trzeba było odłożyć do niedzieli.

Niedziela zaczęła się tak samo jak sobota: Snooks i Howard Yaffe wyszli od Sandry Boss i udali się na spotkanie z Rockefellerem w Algonquinie. Zwiedzili klub, a potem poszli do Clarendon Park, żeby Snooks mogła się chwilę pobawić. Rockefeller jak zwykle bez przerwy rozmawiał przez telefon.

- O jakiejś transakcji na Florydzie - wspomniał Yaffe.

Koło 12.30 pracownik socjalny zaproponował, żeby poszli na lunch, bo Snooks jest głodna.

Kwadrans później szli ulicą Marlborough, Snooks na barana u taty, Yaffe tuż za nimi. W pewnym momencie Rockefeller zestawił Snooks na ziemię, skarżąc się na ból pleców, i pokazał Yaffemu jakiś detal zabytkowej kamienicy. Yaffe odwrócił się, żeby spojrzeć, i plan Rockefellera ruszył z miejsca.

- Clark mnie popchnął czy raczej zastosował jakiś chwyt zapaśniczy - wspominał Yaffe. - Kiedy wstałem i się odwróciłem, zobaczyłem SUV-a z otwartymi drzwiami.

Ojciec i córka wskoczyli do limuzyny, co Rockefeller przeciwiczył „na sucho” poprzedniego wieczoru. Lalka i plecak wypadły Snooks z rąk. Rockefeller wrzasnął do kierowcy:

- Ruszaj, ruszaj, ruszaj!

- Chwyłem za otwarte tylne drzwi i próbowałem wsiąść, ale SUV ruszył - relacjonował Yaffe.

Wszystko przebiegało zgodnie z przygotowanym przez Rockefellera scenariuszem. Klamka wysliznęła się z dłoni „przylepnego Harolda” i ten upadł na chodnik. Przez chwilę leżał ogłuszony i zakrwawiony. Darryl Hopkins stosował się do instrukcji Rockefellera - „W prawo, w lewo, w prawo, w lewo!” - i zatrzymał się przed sklepem spożywczym White Hen Pantry, gdzie na Rockefellera i Snooks czekała taksówka. Pojechali nią do ośrodka żeglarskiego, gdzie z kolei czekała Aileen Ang ze swoim SUV-em. Pojechali do Nowego Jorku. W pobliżu dworca Grand Central utknęli w korku. Rockefeller rzucił na przednie siedzenie kopertę z 500 dolarami i wysiadł razem z córką bez pożegnania.

Darryl Hopkins i Aileen Ang szybko się zorientowali, że byli nieświadomymi współnikami porwania dziecka przez rodzica. Howard Yaffe, który prawdopodobnie miał wstrząs mózgu, powtarzał zrozpaczony: „Zabrał dziewczynkę!” Sandra Boss, z której rozwodowych pieniędzy sfinansowane zostały dramatyczne wydarzenia tego dnia, płakała histerycznie i mówiła policji: „Nigdy ich nie znajdziecie!”.

Wieczorem, podczas jazdy do Baltimore, Rockefeller, który powrócił do nazwiska Chip Smith, zadzwonił do Beth Grinspoon.

- Natychmiast potrzebuję kluczy do mojego domu!

- A gdzie moje pieniądze? - spytała Grinspoon.

- Mam je przy sobie, ale przyjadę do Baltimore dopiero koło północy.

Wiedziała, jaki potrafi być spięty i zestresowany, kiedy sprawy idą nie po jego myśli, więc zgodziła się dostarczyć klucze na Ploy Street przed jego przyjazdem. O 21.17 napisał jej SMS-a: „Najmocniej przepraszam, Beth, ale muszę dostać się do domu dzisiaj wieczorem. Chętnie zapłacę za taksówkę [na Ploy Street], Wszystko gotowe?”.

„Tak, ośle, już jadę” - odpisała.

Dwie minuty później otrzymała od niego kolejną wiadomość: „Mówiłem ci już, że jesteś świetna?”. Później: „O 19.00 wyjechałem z Pittsburgha, powinienem być koło północy. Klucze pasują?”

„Osioł” - odpisała.

„Dziękuję za pomoc!” - brzmiała jego odpowiedź.

„Przestań - odpisała Grinspoon. - Doprowadzasz mnie do szału. Jadę na rowerze. Klucze są w skrzynce na listy. Odwal się”.

Następnego dnia Grinspoon napisała do niego w sprawie 1400 dolarów, które miał jej jeszcze zapłacić: „Zobaczymy się dzisiaj?”.

„Tak, po południu”.

„Jestem w pracy w Annabel Lee Tavern” - napisała mu o 17.00.

Odpowiedział dopiero o 21.52: „Właśnie wróciłem. Jesteś jeszcze w Annabel Tavern? Jeśli nie, to gdzie Cię znajdę?”.

„Jeszcze tu jestem”.

„Niedługo będę”.

Przyjechał o 22.10. W barze był ścisk. Rockefeller podszedł do

Grinspoon, która nadal pracowała, uściśnął ją i dał jej 1400 dolarów w gotówce.

- Zostaniesz napić się czegoś? - spytała.

- Strasznie się spieszę - powiedział i wyszedł. „Cudownie wyglądasz” - napisał jej z taksówki, którą pojechał na Ploy Street. Grinspoon o tym nie wiedziała, ale czekała tam na Rockefellera jego córka, Reigh „Snooks” Boss. Nie wiedziała również, podobnie jak wiele innych osób, które wciągnął w wydarzenia tego dnia, że wywołał bursztynowy alarm.

Chip Smith alias Clark Rockefeller stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ameryce.

ROZDZIAŁ 20

Na tropie zbiega

Dla tych, którzy zostali w Bostonie, Cornish i Nowym Jorku, Rockefeller po prostu wyruszył na swoją kolejną przygodę, tym razem na pełne morze. Jednego znajomego poinformował, że żegluje do Peru; innemu powiedział, że płynie statkiem na Alaskę, jeszcze innym podawał Turks i Caicos, Bermudy czy Bahamy. Jego przyjaciele stali się nieświadomymi uczestnikami rozbudowanego planu ucieczki. Z ich pomocą stworzył wielką sieć fałszywych tropów, która utrudniała potencjalne poszukiwania.

29 lipca 2008 roku, MSNBC News Services:

Boston - od wtorku policja bada sprawę zniknięcia ojca i córki. Podejrzewa się, że ojciec, walczący z byłą żoną o opiekę nad dzieckiem, może uciec z kraju dwudziestodwumetrowym jachtem, przypuszczalnie na Bermudy.

30 lipca 2008, CBS News:

Policja w Delaware bada doniesienie pracowniczki administracji stanowej, która miała widzieć Clarka Rockefellera i jego córkę Reigh Boss w salonie samochodowym w Smyrnie we wtorek. Kobieta twierdzi, że widziała na parkingu dobrze ubranego mężczyznę - prawdopodobnie Rockefellera - i małą jasnowłosą dziewczynkę w sukience w kwiaty. Kobieta skręciła samochodem, żeby zrobić im zdjęcie, ale już ich nie było.

1 sierpnia 2008, „Sunday Times”, Londyn

Jak informuje FBI, tajemniczy Clark Rockefeller i jego porwana córka byli widziani na jednej z karaibskich wysp, gdzie przybyli jachtem we wtorek. Czterdziestoośmioletni pan Rockefeller jest poszukiwany od ubiegłej niedzieli, kiedy to porwał siedmioletnią Reigh Boss podczas nadzorowanego przez kuratora sądowego spotkania z nią w Bostonie. Wczoraj poszukiwania skoncentrowały się na wyspach Turks i Caicos. [Tamtejsza policja poinformowała później, że Clark Rockefeller i jego córka Reigh byli widziani przez pracownika sklepu NAPA Auto Parts oraz pracowniczkę delikatesów całodobowych. Policja pokazała im zdjęcia i ekspedieni zidentyfikowali poszukiwanych. Powiedzieli, że dziewczynka miała krótko obcięte włosy, żeby wyglądała jak chłopczyk. W jednym z tych dwóch sklepów mężczyzna posłużył się kartą kredytową na nazwisko David M. Gibson].

2 sierpnia, „Daily Telegraph”, Londyn

Poszukiwanych rzekomo widziano w różnych miejscach w Ameryce i za granicą. Od sześciu dni ludzie, którym się wydawało, że go znają - między innymi jego była żona, której sąd przyznał opiekę nad córką - usiłują ustalić nie tylko, gdzie jest porywacz, ale również kim on jest. Niewielu Amerykanów osiąga wiek czterdziestu ośmiu lat bez prawa jazdy, numeru ubezpieczenia społecznego, pracy i choćby centa zapłaconego podatku.

Przez całe swoje życie w Ameryce imigrant opierał się na życzliwości - i często łatwości - kobiet, poczynając od pierwszej żony, Amy Jersild, przez wynajmującą mu domek gościnny Didi Sohus, wdowy z San Marino, po Sandrę Boss. Teraz jednak tropiła go cała wataha kobiet, pod przewodnictwem Noreen Gleason z FBI, która przejęła sprawę, kiedy stało się oczywiste, że Reigh Boss najprawdopodobniej została

wywieziona poza granicę stanu.

Dwadzieścia cztery godziny po porwaniu Gleason rozmawiała przez telefon z przedstawicielem rodziny Rockefellerów, sądziła bowiem, że zbieg pochodzi z tego sławnego rodu.

- Nie było powodu, dla którego miałabym nie zakładać, że poszukiwany jest Rockefellerem, chociaż jego zachowanie nie pasowało do profilu członka tego rodu - powiedziała.

- Nigdy o nim nie słyszeliśmy - usłyszała Gleason od przedstawiciela Rockefellerów.

Wiele miesięcy później, kiedy rozmawiałem z Gleason w jej bostońskim biurze, wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że zostawiając mnóstwo fałszywych tropów, Rockefeller zapędził w kozi róg cały szwadron agentów FBI.

- Sprawdzaliśmy je po kolei i prędzej czy później wszystkie urywały się w piasku - powiedziała. Jako przykład podała Peru: - Skontaktowaliśmy się z rządem peruwiańskim i kiedy sprawdziliśmy wszystko, co w takich sytuacjach sprawdzamy, okazało się, że zostawił trochę śladów. Szliśmy za każdym z nich po kolei, ale po żmudnym śledztwie zawsze się w końcu przekonywaliśmy, że jego tam nie było. I było nie tak, że wchodziliśmy na jakąś ścieżkę i zawracaliśmy po paru metrach, bowiem kawałek dalej zawsze na coś trafialiśmy, na jakiś kawałek sera. Rockefeller z kimś rozmawiał, ktoś potwierdzał, że Clark tam właśnie się wybierał: „Pokazał mi to miejsce na mapie!”.

Nawet wybór miejsca, w którym Rockefeller spędził noc przed porwaniem, z obecnej perspektywy wydaje się fortem. Większość ludzi sądziła, że Rockefeller spędził noc w Algonquin Club, gdzie spotkał się ze swoją córką i pracownikiem socjalnym 27 lipca rano. W rzeczywistości nocował u kobiety, z którą miał romans.

- Właśnie wróciłam z Dubaju, jeszcze się nie przestawiłam na bostoński czas i miałam kaca, ale wykrzesalam z siebie dostatecznie dużo energii, żeby zjeść z nim tego wieczoru kolację - powiedziała ta kobieta i dodała, że Rockefeller uwiódł ją swoimi

dobrymi manierami, komplementami, dobrą znajomością łaciny i troskliwością wobec jej dzieci.

Był za bardzo skąpy, żeby mieszkać w Algonquinie na stałe, więc często nocował u niej. Niedawno zostawił na jej jadalnianym stole pudła, w których wcześniej trzymał złoto, i z coraz większym zapamiętaniem mówił o swojej córce: „Muszę ją odzyskać!”. Wieczorem w przededniu porwania zjedli kolację w restauracji The Palm i wrócili do jej domu.

- Następnego dnia rano go nie było - wspominała kobieta.

Przed kolacją zajrzał jeszcze do znajomego i wypił u niego szklankę wody. Po kilku dniach, kiedy do znajomego przyjechała policja, okazało się, że nie umył jeszcze szklanki, dzięki czemu funkcjonariusze mogli pobrać odciski palców.

Kiedy odciski palców poddawano analizie, organy ścigania wysłały do mediów zdjęcia porywacza i jego córki. 31 lipca Sandra Boss nagrała wideo, w którym z rozpaczą zwracała się do swojego męża - filmik wyświetliło wiele amerykańskich stacji telewizyjnych. Sandra była ubrana w prostą zieloną bluzkę, a włosy miała w nieładzie.

- Clark - mówiła załamującym się głosem - chociaż sytuacja się zmieniła, zawsze będziesz ojcem Reigh, a ja jej matką. Oboje bardzo ją kochamy i chcemy dla niej jak najlepiej. A teraz proszę cię, błagam, oddaj Snooks. Na pewno jest lepszy sposób na rozwiązanie naszego sporu.

Potem zwróciła się do córki:

- Reigh, skarberńku, kocham cię i strasznie za tobą tęsknię. Jesteś moją księżniczką.

W połączeniu z plakatami „Poszukiwany” wideo spowodowało, że w całym kraju zgłaszali się ludzie, którzy rzekomo widzieli poszukiwanego. Steve Savio (brat Eda) z miejscowości Berlin w stanie Connecticut powiedział Associated Press, że poszukiwany przez policję mężczyzna to „na sto procent” Christian Gerhartsreiter, zagraniczny student, którego rodzina Saviów gościła trzydzieści lat wcześniej. W Milwaukee mąż Amy Jersild stwierdził w rozmowie z dziennikarzem „Pasadena Star-News”,

że jego żona wyszła kiedyś za domniemanego porywacza, „ale następnego dnia się rozwiodła”. Z kolei siostra Amy, Beth, powiedziała dziennikarzowi „Boston Herald”: „Nie spotykali się wcześniej ze sobą. To była bardzo szybka sprawa”.

Pochodzący ze Szwecji fryzjer Jann Eldnor z kalifornijskiego San Marino powiedział prasie, że zbiegiem jest Christopher Chichester, brytyjski arystokrata, który mieszkał w San Marino w latach osiemdziesiątych, twierdził, że jest spokrewniony z lordem Mountbattenem, a potem zniknął bez śladu.

- Kiedy zobaczyłem zdjęcie, od razu poznałem, że to on - powiedział Jann. - Włosy, głowa - przez całe lata ją strzygłem.

W Greenwich w stan Connecticut weterani branży finansowej rozpoznali w tajemniczym mężczyźnie Christophera C. Crowea, producenta telewizyjnego, który pod koniec lat osiemdziesiątych pracował w co najmniej trzech firmach inwestycyjnych, po czym nagle zniknął. Dziesiątki ludzi w Nowym Jorku, Cornish i Bostonie znały go jako Clarka Rockefellera, dystygowanego, aczkolwiek trochę ekscentrycznego członka najbardziej znanej amerykańskiej rodziny.

Zeznania ludzi, którzy znali zbiega z przeszłości, miałyby jednak ograniczoną przydatność dla organów ścigania. Policja potrzebowała kogoś, kto widział Clarka Rockefellera - czy jak go tam nazwiemy - po jego dramatycznej ucieczce z Bostonu.

- Nie mieliśmy pojęcia, że on nadal jest w Baltimore - powiedziała agentka nieruchomości Julie Gochar.

Gochar starała się zapomnieć o swoim dziwnym kliencie Chipie Smisie, który kupił dawną wozownię przy Ploy Street 618. Sądziła, że popłynął gdzieś jachtem, o którym tyle opowiadał, albo pojechał odwiedzić swoje siostry w Wisconsin. Potem zadzwoniła do niej jedna ze współwłaścielek biura nieruchomości Obsidian Cindy Neuberger i powiedziała jej, że ogląda w programie Today reportaż o porwaniu córki przez Rockefellera.

- W telewizji chyba pokazują Chipa Smitha! - powiedziała w wiadomości głosowej. Zanim Gochar odsłuchała wiadomości, przybyło ich jeszcze kilka: - Pilne! Pilne! Zadzwoń do mnie! Już nie mogę wytrzymać!

Gochar zachowała spokój i obejrzała ten fragment Today w internecie. Dostrzegła wyraźne podobieństwo między mężczyzną na ekranie a chimerycznym kapitanem statku, który doprowadzał ją do szału, ale nie miała stuprocentowej pewności, czy jest to ta sama osoba.

- Nie wiem, czy to on - powiedziała do Neuberger.

Jej brak pewności wynikał z faktu, że Chip Smith zawsze chodził w kapeluszu i okularach.

Neuberger nie miała jednak żadnych wątpliwości: to jest Chip Smith.

- Musimy coś zrobić - nalegała.

Beth Grinspoon, pracowniczka Obsidian, która pomagała Smithowi w przewiezieniu rzeczy z Bostonu do Baltimore, podzielała zdanie Neuberger. Też oglądała Today i powiedziała Gochar, że Smith spotkał się z nią dwa dni wcześniej w Annabel Lee Tavern, aby zapłacić jej resztę pieniędzy za pomoc w przeprowadzce.

- Czyli wyszedł z ukrycia, żeby dać Beth pieniądze - powiedziała Gochar. - Według mnie to nie trzyma się kupy. Dlaczego miałby to zrobić? No chyba że wierzył, że nikt go tutaj nie znajdzie, i chciał spłacić długi, żeby wyrobić sobie tu dobrą opinię.

Miała rację co do jego przekonania, że zdołał zbudować sobie nową tożsamość. Później powiedział dziennikarzowi, że czas spędzony z córką w Baltimore to było „sześć dni świetnej zabawy”.

- Chciałem całkowicie odmienić swoje życie. Nie było mnie już stać na to, żeby mieszkać w Bostonie. Zawsze kochałem Baltimore. Chciałem mieć jacht. W Bostonie to prawie niemożliwe, a w Baltimore pozostaje w zasięgu możliwości.

- Zszedł pan do podziemia? - spytano go.

- Tak mocno bym tego nie ujął. Chciałem tylko nie rzucać się

w oczy.

Czas sielanki „skończył się dosyć szybko” - poskarżył się Rockefeller.

Chociaż koleżanki Julie Gochar mówiły jej, że Clark Rockefeller i Chip Smith to ta sama osoba, Julie wciąż nie była pewna. Przyznała później, że „miała stres”, kiedy się zastanawiała, czy zawiadomić organy ścigania.

- Beth powiedziała: „Musimy zadzwonić!”. Ja na to: „Beth, mam małe dziecko! Jeśli to rzeczywiście on, to nie chcę, żeby dowiedział się z mediów, że my na niego doniosłyśmy! A jak go nie złapią? Nie chcę narażać mojej rodziny na niebezpieczeństwo!”.

Wieczorem, oglądając kolejny reportaż o tej sprawie, Gochar nabrała przekonania, że mężczyzna, który porwał swoją córkę, to rzeczywiście Chip Smith, ponieważ jeden z reporterów wspomniał, że podejrzany ma pasemko siwych włosów z tyłu głowy, co ona zauważyła u Chipa. To przesądziło sprawę: Gochar zrozumiała, że dała się wyprowadzić w pole. Zrozumiała, że pyszałkowaty rzekomy kapitan statku to oszust, który wybrał anonimową dzielnicę i anonimową agencję nieruchomości do zrobienia swojego ostatniego przekrętu. Kiedy Julie Gochar przypomniała sobie całe jego zachowanie, pozerstwo, nieustanne żądanie pomocy i wybuchy wściekłości, zagotowało się w niej.

- Cały czas ukrywał się w Baltimore! - zawołała później. - Za przeproszeniem, prawie się posrałam, kiedy to usłyszałam. Znaczy on jest w mieście? Myślałyśmy, że jest na wyspach Turks i Caicos.

Mąż Julie Gochar zadzwonił na ogólnokrajowy numer FBI i zostawił anonimową informację, ale napływało tyle zgłoszeń, że ten trop nie został podjęty. Potem Grinspoon zadzwoniła do oddziału FBI w Baltimore.

- Wiem, gdzie jest Clark Rockefeller.

Następnego dnia 6.00 Gochar była w biurze FBI.

- Wszystko im powiedziałam: jak wygląda jego dom przy Ploy

Street, gdzie cumuje jego jacht. - Skontaktowała ich ze swoim bratem, który pozwolił agentom obserwować przystań jachtową ze swojego domu. - Podałam im numer telefonu komórkowego, którym posługiwał się Chip Smith, i zdaje się, że w ten sposób go namierzyli.

Grinspoon i Neuberger też współpracowały z FBI.

Cała rzesza kobiet pomogła zbiegowi zrobić karierę w USA. Teraz trzy mieszkanki Baltimore doprowadziły do jego upadku.

Obserwacja domu przy Ploy Street 618 zaczęła się w sobotę 3 sierpnia o 1.00. Był to dwukondygnacyjny dom z brązowej cegły, oszczędnie urządzone, z mnóstwem nierozpakowanych pudeł. Przez duże owalne okna agenci widzieli skrzynkę z sherry i mały obraz oparty o ścianę. Chip Smith i jego córka prawdopodobnie byli w środku, ale po prawie dwunastu godzinach obserwacji funkcjonariusze nie zauważyli najmniejszego ruchu. Noreen Gleason, która kierowała poszukiwaniami z Bostonu, uznała to za zły znak. Wiedziała, że Rockefeller cierpi na bezsenność i często do późna w nocy pracuje na komputerze.

- Sprawdziłmy już tyle tropów, baliśmy się, że może był tam, ale potem wyjechał - powiedziała. - Absolutnym priorytetem było bezpieczne odzyskanie dziecka - powiedziała Gleason. - I zastosowaliśmy pewien fortel.

Poprzedniego dnia rano Julie Gochar pokazała funkcjonariuszom sfatygowany katamaran swojego klienta. Przez okno jachtu widać było teczkę podpisaną nazwiskiem „Chip Smith”, przypuszczalnie zawierającą charakterystykę nowej postaci, którą kreował. Wiedzieli zatem, że są na właściwym tropie. Aby wywabić Smitha z Ploy Street, FBI poprosiło kierownika przystani, żeby zadzwonił do Smitha i powiedział, że jego łódź nabiera wody.

- Już jadę - rzucił do słuchawki.

Kilkunastu funkcjonariuszy policji i agentów FBI ukradkiem otoczyło dom Smitha. Sąsiedzi przyglądali się temu z ciekawością, ale bez zaskoczenia. Według „Baltimore Sun”

Laureen Gritzer, dwudziestosześcioletnia pracowniczka wydziału medycznego na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, miała już kontakt z nowym przybyszem przez Julie Gochar - zażądał, żeby Gritzer usunęła grilla, który zasłaniał mu widok na jej dom.

- Powiedział, że zadzwoni do straży pożarnej i dostanę grzywnę - powiedziała Gritzer w rozmowie z „Sun”. - Pomyślałam sobie tylko: „Niech mu będzie”. - A zatem przejawiał ten sam despotyzm, co w Cornish. Gritzer dodała, że w domu Smitha nigdy nie paliło się światło, nawet wieczorem.

Jak zeznała Noreen Gleason, po telefonie od kierownika przystani Smith potrzebował około dwudziestu minut, żeby się zebrać.

- Wtedy zobaczyliśmy dziewczynkę, Reigh, jak chodzi po domu. Agenci mówili mi: „Widzimy ją, Noreen”. Spytałam, czy na oko wszystko z nią w porządku, i powiedzieli mi, że tak.

Zbieg wyszedł z domu i ruszył w stronę przystani.

- Hej, Clark! - krzyknął za nim agent FBI. - Dokąd pan idzie, Clark?

- Po kanapkę z indykiem - odparł.

Było to jego ostatnie kłamstwo, zanim kilku agentów obaliło go na ziemię, a inni wtargnęli do domu i zabrali dziewczynkę.

Jakiś czas później Clark Rockefeller siedział w sali przesłuchań FBI w Baltimore. Ubrany był tak samo jak podczas dwóch nadzorowanych spotkań ze Snooks w Bostonie w ubiegły weekend: błękitna koszulka polo Lacoste i spodnie khaki, bez skarpetek. Ubranie było brudne, odsłonięta skóra powyżej łokcia blada, w odróżnieniu od opalonych przedramion. Rockefeller miał na nosie okulary w grubych czarnych oprawkach. Był nieogolony. Lewą rękę przykuto mu kajdankami do ściany, ale jak zawsze zachowywał się tak, jakby całkowicie panował nad sytuacją.

Przesłuchanie prowadzili agentka FBI Tammy Hartley i funkcjonariusz policji Ray Mosher, którzy od początku brali

udział w poszukiwaniach, Harty jako członek zespołu zajmującego się porwaniami dzieci, a Mosher jako śledczy bostońskiej policji. Byli w Waszyngtonie, gdzie mieli opowiadać o sprawie w programie telewizyjnym Americas Most Wanted, kiedy otrzymali informację, że porywacz został złapany.

- Będzie pan z nami rozmawiał, panie Rockefeller? - spytała Harty, pouczywszy go o przysługujących mu uprawnieniach.

- Tak, w pewnym zakresie - odparł i dodał: - Proszę mówić do mnie Clark.

- Ale nam pan pogonił kota - powiedziała Harty. - To było dla nas wielkie wyzwanie, a mamy spore doświadczenie w takich sprawach.

- Powiniennem podziękować za słowa uznania, ale...

Harty stwierdziła, że ona i Mosher chcieliby go lepiej poznać, więc opowiedział im o sobie. Powiedział, że dorabia sobie pisaniem prac semestralnych dla studentów; że prawie nic nie pamięta z dzieciństwa; że jedno z jego najwcześniejszych wspomnień dotyczy wyjazdu „na Mount Rushmore fordem woody wagon, model country squire”; że brał udział w zajęciach na różnych uczelniach Ivy League, nie zapisując się na studia i nie płacąc czesnego; że nazwisko Rockefeller nadał mu jego „ojciec chrzestny”, nieżyjący Harry Copeland.

Nadal czuł się pewny siebie i opowiadał niestworzone historie. Sprawiał wrażenie przekonanego, że wywikła się z tej sytuacji tak jak wcześniej z wielu innych. Wciąż posługiwał się nazwiskiem Rockefeller i zwierzył się funkcjonariuszom, że działa ono „jak zaklęcie” na wszystkich, którzy je słyszą.

- Łatwo zostać członkiem dowolnego klubu, przedstawiając się jako Rockefeller - powiedział. - Jeśli jakiś klub ma w zarządzie Rockefellera, podnosi to jego prestiż.

Czy to wyznanie było wpadką? Być może, ale nic więcej z niego nie wydobyli, na przykład o tym, jak to się stało, że przybrał to sławne nazwisko. Harty i Mosher odnieśli wrażenie, że posługiwał się wielkim nazwiskiem po części dla zrekompensowania sobie niskiego wzrostu. Wielokrotnie mówił

o tym, że jest niski.

- Nikt nie zwraca uwagi na niskiego mężczyznę - powiedział.

- Ile ma pan wzrostu?

Nie chciał powiedzieć, ale wstał na chwilę, żeby sami mogli to oszacować.

Poza nazwiskiem podstawową metodą zwracania na siebie uwagi była dla niego kolekcja dzieł sztuki. Powiedział, że dostał ją od „oportunistycznego” znajomego i że wszyscy się nabrali na te dzieła, łącznie z jego żoną. (Później jego adwokat powiedział, że wszystkie obrazy są falsyfikatami - „bezwartościowymi kopiami”).

Przyznał również, że córka doprowadziła go do zguby.

- Reigh była małą kopia mnie - wyjaśnił. - Dzieci umieją okręcić sobie rodziców wokół palca. Chciałem znowu być z Reigh.

Spytali go, czy chciałby coś zjeść. Poprosił o indyka na białym Chlebie - je tylko białe potrawy, wyjaśnił. Im dłużej trwało przesłuchanie, tym bardziej wymijających odpowiedzi udzielał Clark. Potem zaczął im dyktować, co jego córka ma dostać na kolację. Śledczy zaczęli tracić cierpliwość.

- Miałam ochotę przeskoczyć przez stół i udusić go, tak mnie wkurzał - powiedziała Harty. - Miał takie diabelskie małe oczka.

Harty zdawała sobie sprawę, że w większości przypadków porwań dzieci przez rodzica nie chodzi o samo dziecko, lecz o małżonka - jeden rodzic wykorzystuje dziecko do zemśczenia się na drugim. Taka wersja wydawała się bardzo prawdopodobna w przypadku Clarka Rockefellera i Sandry Boss.

- Bo przez osiem czy dziewięć miesięcy nie widział się ze Snooks - powiedziała Harty. - Nie dzwonił do niej ani nie mailował. Nic, zero.

Więc kiedy po raz kolejny powtórzył: „Chcę po prostu być dobrym ojcem” - Harty przerwała mu.

- Niech pan przestanie chrzanić - warknęła. - Tu nie chodzi o pana.

Powiedzieli mu, że muszą poznać jego prawdziwą tożsamość, ponieważ jego córka musi się kiedyś dowiedzieć, kto jest jej

ojcem. „Dla dobra swojej córki niech pan nam powie, kim pan jest” - prosili go. Teraz spróbowali innej metody.

- Wszystko, co nam pan powiedział, to bzdury - powiedziała Harty.

Wstała i napisała dużymi drukowanymi literami na kartce papieru:

„TU CHODZI O REIGH”. On jednak dalej nie chciał ujawnić swojej prawdziwej tożsamości.

Harty nie poddawała się.

- Musi pan zacząć mówić prawdę i skończyć z tymi gierkami. Serwuje pan jedno kłamstwo za drugim. Jeśli się panu wydaje, że zamydli nam pan oczy, to się pan myli. Pięćdziesięciu agentów FBI ustala, kim pan jest. A jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy.

On tylko siedział, a potem zamrugał powiekami i powiedział: „Przepraszam, przepraszam”. Powiedziałam: „Niech pan nie przeprasza, tylko nam powie, kim pan jest”.

Dalej nic. Harty spojrzała na Moshera.

- Ray, jaka jest pierwsza rzecz, która przychodzi ci do głowy, kiedy ktoś zrobi coś, co zrobił Clark? - spytała. - Ukrywa swoją tożsamość. Nie mówi dziecku, kim jest. Nie mówi żonie, kim jest. Posługuje się różnymi nazwiskami.

- Pomyślałbym, że taki człowiek ma coś do ukrycia - powiedział Mosher.

- Co próbuje pan ukryć, Clark? - spytał Harty.

Milczał.

- Ukradł pan coś komuś?

Brak odpowiedzi.

- Zgwałcił pan kogoś? Wielokrotnie uciekł pan z więzienia? Jest pan seryjnym zabójcą?

Jak powiedziała mi później Harty, miała nadzieję, że przesłuchiwany zareaguje na słowo „zabójca” i „powie nam o Kalifornii. Ale nie dawał się podejść z żadnej strony. Chyba liczył na to, że będzie mógł kontynuować swoją maskaradę, bo do tej pory doskonale mu się to udawało”.

Być może wierzył, że po raz kolejny uda mu się wywikłać z trudnej sytuacji, powtarzając swoją mantrę: im większe kłamstwo, tym więcej ludzi w nie uwierzy - nawet jeśli kłamiesz funkcjonariuszom FBI i policji.

Wreszcie, pod koniec czterogodzinnego przesłuchania, przyznał:

- Clark Rockefeller nie istnieje.
- Naprawdę? - spytała Harty. - W takim razie z kim rozmawiam?
- Zaczęłam recytować całą listę nazwisk, którymi się posługiwał - wspominała.
- Kto to jest Christopher Crowe? - spytała.
- Nie istnieje - odparł Rockefeller.
- Kto to jest Christopher Chichester?
- Nie istnieje.
- Kto to jest Christopher Mountbatten?
- Nie istnieje.
- To z kim rozmawiam?
- Nie wiem. Nie wiem, jak się nazywam.

Kilka dni później dowiedzieli się tego śledczy. Analiza odcisków palców wykazała, że tak jak od początku podejrzewali agenci FBI, mieli do czynienia z Christianem Karlem Gerhartsreiterem. Pod tym nazwiskiem niecałe dziesięć miesięcy później stanął przed sądem w Bostonie.

ROZDZIAŁ 21

Ostatni przekręt?

Do końca pozostał Clarkiem Rockefellerem.

Kiedy wyszedł z aresztu w Baltimore i został przewieziony do Bostonu, gdzie przedstawiono mu zarzuty, między innymi porwania osoby nieletniej oraz napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia (SUV-a użytego do ucieczki), wciąż był czarusem, który stara się zrobić jak najlepsze wrażenie na otoczeniu. Zadanie eskortowania go do domu przypadło w udziale sierżantowi bostońskiej policji Rayowi Mosherowi. Kiedy skuty kajdankami Rockefeller wyszedł na zewnątrz, otoczyli go dziennikarze, którzy krzyczeli: „Panie Rockefeller! Panie Rockefeller!”. Aresztant sprawiał wrażenie, że chce z nimi porozmawiać, ale Mosher powstrzymał go i zaprowadził do samochodu, który pojechał na lotnisko, gdzie mieli wsiąść w samolot AitTran do Bostonu.

Podczas lotu siedział w kajdankach koło Moshera i bez przerwy gadał, przede wszystkim o niezwykłym spisku, którego celem było zamordowanie trzech ważnych polityków. Na ślady tego spisku rzekomo natrafił przy przeglądaniu ksiąg jakiejś nowojorskiej firmy. Operacja „Hat Trick”, powiedział szeptem, miała na celu zabicie senatorów Johna Towera i H. Johna Heinza III oraz republikańskiego stratega politycznego Lee Atwatera - wszyscy zmarli w ciągu ośmiu dni w 1991 roku.

- Da mi pan słowo, że się pan temu przyjrzy? - spytał Moshera.

Może sądził, że podsuwając sierżantowi większą sprawę do zbadania, odwróci jego uwagę od siebie samego. Nie poskutkowało. Mosher spytał stewardesę, czy ma jakąś gazetę.

Przyniosła mu „Boston Globe” i policjant podał ją aresztantowi.

„ODCISKI PALCÓW POGŁĘBIAJĄ TAJEMNICĘ: ORGANY ŚCIGANIA SPRAWDZAJĄ MOŻLIWY ZWIĄZEK MIĘDZY PODEJRZANYM O PORWANIE DZIECKA A ZABÓJSTWEM W KALIFORNII” - można było przeczytać na pierwszej stronie wydania z 5 sierpnia 2008 roku, obok więziennego zdjęcia Rockefellera, na którym wyglądał na wynędzniałego. Chodziło o hipotezę, że zaginione małżeństwo Johna i Lindy Sohusów (w tej fazie prasa nie ujawniała jeszcze ich nazwisk) zostało zamordowane. Rockefeller z poważnym wyrazem twarzy przeczytał ten materiał i oddał gazetę Mosherowi.

- I co piszą? - spytał sierżant.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Musi pan sam przeczytać - odparł Rockefeller i po raz pierwszy od początku lotu umilkł.

Ale kiedy wylądowali w Bostonie, znowu zaczął gadać jak nakręcony. Wynajęty przez niego adwokat, którego honorarium miało być opłacone z tego, co zostało z podziału majątku, nazywał się Stephen Hrones i miał ogromne doświadczenie w sprawach karnych. W Stanach Zjednoczonych i za granicą narastała medialna burza, a Hrones zachęcał Rockefellera do mówienia.

- Na ogień trzeba odpowiedzieć ogniem - mówił później Hrones. - Musieliśmy wyjść do ludzi i opowiedzieć jego wersję, podkreślić aspekt kochającego ojca. To był jego atut. Podkreślałem to przy każdej nadarzającej się okazji: jak można porwać własne dziecko?

Było jednak ważniejsze pytanie, które zadała Sandra Boss, kiedy się dowiedziała, że jej córka jest bezpieczna, a były mąż przebywa w areszcie: kim on jest?

- To człowiek zagadka, pusta rubryka - powiedział zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa Suffolk David Deakin na przesłuchaniu, podczas którego sędzia miał podjąć decyzję, czy wypuścić Rockefellera za kaucją. - Opowiadał tyle różnych historii, że trudno było za nimi nadążyć, nawet za pomocą bazy danych.

Rockefeller odmówił spotkania z kalifornijskimi śledczymi, którzy po jego aresztowaniu wznowili dochodzenie w sprawie Sohusów. Znowu jednak wcielił się w rolę czarusa, kiedy razem ze swoim adwokatem wystąpił w popularnym porannym programie NBC Today, gdzie po raz pierwszy przedstawił swoją wersję. Ekipa programu, z dziennikarką Natalie Morales na czele, urządziła plan zdjęciowy w więzieniu przy Nashua Street. Kiedy Rockefeller w aresztanckim stroju wmaszerował do studia, zachowywał się tak, jakby wchodził do jednego ze swoich prywatnych klubów. Ucisnął dłoń wszystkim członkom ekipy i stał wkoło uśmiechy. Potem usiadł naprzeciwko Morales, założył nogę na nogę, przechylił głowę na bok i zdradził im:

- W normalnych okolicznościach byłaby to dla mnie przyjemna chwila.

Z przeszłości nie przypominał sobie zbyt wiele, ale zapisały się w jego pamięci pewne sceny z dzieciństwa.

- Pamiętam dokładnie, że pojechaliśmy fordem woody wagon na Mount Rushmore - powiedział arystokratycznym tonem. - Zawsze byłem miłośnikiem samochodów kombi i wydaje mi się, że był to model z 1968 roku z chowanymi reflektorami.

- Zabił pan Johna i Lindę Sohusów? - spytała w pewnym momencie Morales.

- Zawsze byłem pacyfistą - odparł Rockefeller. - Jestem kwakrem i uważam, że nie wolno stosować przemocy. Mogę z dużą dozą pewności powiedzieć, że nigdy nikogo nie skrzywdziłem fizycznie.

Co powiedziała swojej córce, gdyby przypadkiem oglądała ten program?

- Chciałaby, żebyśmy byli razem. - Oczy wezbrały mu łzami i dodał: - Powiedziałbym, że jest nadzieja dla nas obojga.

Wierzy, że zobaczy się jeszcze z córką?

Wyprostował się i odparł:

- Nie potrafię przewidzieć przeszłości, Natalie, ale mam taką nadzieję i bardzo tego chcę.

Pod koniec pierwszej części rozmowy wyrecytował ze szkockim

akcentem fragment wiersza Address to a Haggis Roberta Burnsa.

W późniejszym wydaniu Today psycholog policyjna Pat Brown zachwycała się w rozmowie z Morales występem telewizyjnym Rockefellera.

- Większość ludzi nie słyszała, żeby człowiek, którego nazwałabym psychopatą, tak wiele mówił o sobie, tak bardzo się obnażał - powiedziała. - To patologiczny kłamca. Snuje swoje historie i zawsze chce być w centrum uwagi.

Określiła go jako pozbawionego empatii, zainteresowanego tylko sobą, niebezpiecznego dla każdego, kto stanie na jego drodze, nawet dla własnego dziecka, które wykorzystał do zemsty nad żoną. Serdeczność Rockefellera, który przedstawił się wszystkim w studio, to typowe zachowanie hochsztaplera, który „lansuje się” i szuka nowych ofiar.

Następny i ostatni wywiad Rockefellera, udzielony trójce dziennikarzy „Boston Globe”, potwierdził trafność analizy psycholożki. Artykuł z pierwszej strony, zatytułowany „NIE JESTEM PEWIEN, CO POWINIENEM PAMIĘTAĆ. NIESPECJALNIE SIĘ NAD TYM ZASTANAWIAM” zaczął się następująco:

Wpadł do pokoju z uśmiechem, pogodny jak gospodarz witający gości. „Clark Rockefeller” - mówił, patrzył danej osobie prosto w oczy i podawał jej rękę. Paznokcie miał wymanikiurowane. Do aresztanckiego stroju włożył półbuty z frędzlami. Kłaniał się wszystkim i przedstawiał z akcentem bramina: „Clark Rockefeller, Clark Rockefeller. Miło pana/ panią poznać. Co u pana/pani słychać?”

Okraszając swoje odpowiedzi wyrażeniami typu „w rzeczy samej” czy „jak najbardziej”, przechwalał się, że mówi „pięcioma, sześcioma, siedmioma językami”, że pisze powieść historyczną o genezie państwowości Izraela i pracuje jako badacz we „wszystkich dziedzinach od fizyki po nauki społeczne”. Poza tym przedstawiał się jako oddany ojciec.

Dwa miesiące później, kiedy Stephen Hrones odwiedził swojego klienta w areszcie przy Nashua Street, wystąpiwszy w jego imieniu w sądzie, Rockefeller powiedział mu, że postanowił zmienić pełnomocnika, ponieważ jego znajomi nie popierają metody odpowiadania ogniem na ogień i lansowania własnej wersji wydarzeń. Zatrudnił już nowych obrońców pod kierunkiem bostońskiego adwokata Jeffrey Dennera, który miał zupełnie inny pomysł na linię obrony niż „kochający ojciec” Stephena Hronesa.

Rockefeller miał powołać się na niepoczytalność.

- Tu nie chodzi o to, co się wydarzyło, ale dlaczego się wydarzyło - powiedział Jeffrey Denner w swojej mowie wstępnej 28 maja 2009 roku. Na sali było tłoczno od dziennikarzy i ciekawskich. Denner był szczupłym mężczyzną, cenionym adwokatem ze szczeciniastymi włosami i głębokim barytonem. Razem ze swoim kolegą Timothy Bradlem starali się spowodować, żeby ostre zarzuty pod adresem ich klienta wyglądały jeszcze gorzej. Przyznali, że Rockefeller porwał córkę, i wyliczyli różne tożsamości, pod które się podszywał podczas trzydziestoletniego okresu hochsztaplerki w Ameryce.

Denner forsował jednak tezę, że jego klient nie jest wyrachowanym oszustem, lecz psychicznie chorym człowiekiem, który nie potrafi odróżnić dobra od zła. Przejawiał symptomy „narcystycznych zaburzeń osobowości, zaburzeń urojeniowych i manii wielkości”, co z upływem lat się zaostrzyło. Po każdej kolejnej zmianie skóry, po każdym kolejnym kłamstwie godzien politowania oskarżony coraz głębiej pogrążał się w „nierealnym, obłąkanym świecie”.

- Każdej zmianie tożsamości towarzyszy niezwykła zmiana biologiczna - powiedział adwokat zgromadzonym na sali sądowej.

Urojenia wielkościowe narastały, czego kulminacją była jego

doskonała rola Rockefellera, z „wartymi miliardy dolarów dziełami sztuki, kluczami do Rockefeller Center i wieloma innymi rzeczami, które są jawnie absurdalne dla każdej zdrowej psychicznie osoby”.

Porwanie córki nie było wykalkulowaną, starannie zaplanowaną operacją, lecz wynikiem „napadu psychotycznego”, uruchomionego przez utratę córki cztery dni przed Bożym Narodzeniem w 2007 roku.

- Wierzył, że komunikuje się ze swoim dzieckiem telepatycznie
- twierdził Denner. - Wierzył, że córka mu coś potajemnie sygnalizuje, mówi mu, że chce zostać uratowana, że czuje się zagrożona, że jest w niebezpieczeństwie.

Rockefeller, urojeniowy więzień swoich wspomnień odcięty od jedynej osoby, na której mu w życiu zależało, uważał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko „ratować córkę”.

Obrona miała powołać biegłych świadków, psychiatrę i psychologa, którzy kompleksowo zbadali wcześniej oskarżonego i mogli potwierdzić, że jest niepoczytalny.

- Nie trzeba być geniuszem ani nawet, z całym szacunkiem, psychiatrą, aby zauważyć, że coś jest z nim głęboko nie w porządku - powiedział Denner sądowi. - To nie jest człowiek, którego mózg funkcjonuje normalnie.

Konkluzja Dennera wyglądała następująco:

- Jeśli po rozważeniu materiału dowodowego dojdziecie do wniosku, że w momencie popełnienia przestępstwa oskarżony cierpiał na chorobę psychiczną lub zaburzenie, które w istotnym stopniu utrudniało mu rozpoznanie przestępczego charakteru swoich czynów, sędzia poinstruuje was, że należy go uznać za niewinnego z racji niepoczytalności.

Spojrzałem na oskarżonego, który siedział w blezerze i spodniach khaki. Rzeczywiście, wyglądał na obłąkanego, co jakiś czas mruczał do siebie i był upiornie blady. Można było odnieść wrażenie, że po całym życiu w kłamstwie w końcu wyczerpał mu się repertuar historii do opowiedzenia. Człowiek, który bez przerwy gadał, w sądzie nie powiedział ani słowa na swoją

obronę. Ale za pośrednictwem swojego adwokata snuł najbardziej nieprawdopodobną bajkę w całej swojej karierze. Co chwila przypominały mi się słowa policyjnej psycholog Pat Brown w programie Today: wchodzi do pokoju i przedstawia się wszystkim, z pozoru dlatego, że jest życzliwym człowiekiem, ale w rzeczywistości szuka następnej ofiary. W tym wypadku potencjalnymi frajerami byli ławnicy i ich zastępcy: siedmiu mężczyzn i dziewięć kobiet.

Biegli opłaceni przez Rockefellera i jego obrońców próbowali odmalować jego obraz jako psychola.

- Ojciec nazywał go „ludzkim śmieciem” - zeznał doktor Keith Ablów.

Ten psycholog celebryta powiedział, że badał Rockefellera przez kilkanaście dni. Usłyszał od niego między innymi, że ojciec kazał mu iść do szkoły zawodowej, zamiast zajmować się jego ukochaną muzyką.

- W jego obecności na głos zastanawiał się przy ludziach, czy pan Rockefeller nie jest homoseksualistą. Podawał również w wątpliwość, czy pan Rockefeller jest jego biologicznym synem. Urządzał mu tak agresywne seanse nienawiści, że chłopiec nie miał innego wyboru, jak tylko uciec do Ameryki i stworzyć dla siebie nową tożsamość.

Druga z biegłych powołanych przez obronę, psycholog policyjna Catherine Howe, zeznała:

- W panu Rockefellerze fascynujące jest to, że spełnia nie tylko co najmniej pięć kryteriów [zaburzeń urojeniowych i wielkościowych], on spełnia wszystkie kryteria.

W tym momencie prokurator David Deakin podniósł The Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders, na który co chwila powoływała się obrona.

- Nie ma diagnozy dla kłamcy? - rzucił.

- Taka jednostka chorobowa tam się nie pojawia - odparła Howe.

Psychiatra powołany przez oskarżenie, doktor James Chu, zeznał, że na podstawie swoich rozmów z Rockefellerem doszedł

do wniosku, iż oskarżony tylko udaje chorobę psychiczną. Rockefeller powiedział mu, że w siedemdziesięciu procentach sytuacji nie ma pojęcia, jak znalazł się w danym miejscu, a to uniemożliwiłoby mu normalne funkcjonowanie. Udzielał nieprawdziwych albo przesadzonych odpowiedzi na pytania, ale „wyraźnie rozumiał niewłaściwość swojego zachowania”.

W ciągu dwóch tygodni przez salę sądową przewinęła się cała czereda biegłych psychologów, którzy analizowali stan psychiczny oskarżonego, dzięki czemu znowu znalazł się w centrum uwagi i grał rolę gwiazdy we własnym świecie. David Deakin wytrwale pytał kolejnych świadków:

- Czy były jakieś oznaki, że oskarżony ma halucynacje?
- Nie - odpowiadał zazwyczaj świadek.
- Czy były jakieś oznaki, że oskarżony ma urojenia?
- Nie.

W mowie na zakończenie Deakin powiedział sądowi:

- To nie jest przypadek szaleństwa. To jest przypadek manipulacji. Nie pozwólcie, żeby uszło mu to bezkarnie. Nie pozwólcie, żeby powołanie się na niepoczytalność było kulminacją wieloletniej hochsztaplerki, dzięki której zawsze dostawał to, czego chciał. Nie odwracajcie wzroku od faktów. Macie prawdę przed oczyma.

Większość ławników była młoda - chyba tylko czworo miało więcej niż trzydzieści lat - i sprawiała wrażenie łatwowiernych. „Można ich oszukać” - powiedziałem sobie, patrząc na nich. Swoje obowiązki traktowali jednak bardzo poważnie. Zgodnie z poleceniem sędziego nie omawiali sprawy między sobą, dopóki nie poznali całego materiału dowodowego. Ale po zakończeniu dwunastodniowego procesu, kiedy udali się na obrady do sali na górze, eksplodowali.

- To było dla mnie jak powieść Johna Grishama! - powiedział później jeden z ławników. - Trudno było uwierzyć, że facet to wszystko zrobił. Że żona [Sandra Boss] dała się na to nabrać. I

kierowca limuzyny, biedny facet. Próbował zarobić na życie i wydawało mu się, że znalazł dojną krowę. Policjanci... Czy to naprawdę byli policjanci? Sprawiali takie wrażenie, jakby grali przygotowane dla nich role. Słuchaliśmy tych wszystkich opowieści z otwartymi ustami.

Wszyscy ławnicy byli przekonani, że Clark Rockefeller jest oszustem i że porwał swoją córkę, ale świetnie wykorzystał swoje hochsztaplerskie możliwości i zasiał w ławnikach pewną wątpliwość (być może w jedyny dostępny w jego sytuacji sposób).

- To wariat! - powtarzało wielu z nich. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby czegoś takiego!

W gronie ławników byli prawnik, strażak, pracownik socjalny, kilkoro studentów (między innymi dwoje dziewiętnastolatków z pierwszego roku) i młoda kobieta, która wybierała się na studia medyczne. Przez pięć dni debatowali nad kwestią niepoczytalności. Tak, Clark Rockefeller to wariat, ale czy można powiedzieć, że jest niepoczytalny, że nie odróżnia dobra od zła? W kółko mielili ten temat.

Jedna z kobiet próbowała się postawić w sytuacji oszusta.

- Przypuśćmy, że jestem Clarkiem Rockefellerem, mam córeczkę i uważam, że odebranie mi jej przez sąd było niesprawiedliwe. Kocham dziewczynkę, od urodzenia była w moim życiu i muszę ją odzyskać. Zrobię w tym celu wszystko. Mam duże możliwości. Mam pieniądze z rozwodu, mogę kupić dom, zabrać ją do Baltimore i tam będziemy żyli długo i szczęśliwie. Super. Chcę tego, więc mam prawo tak zrobić.

Wiedziała, że przejawiał wszelkie symptomy klasycznego narcyza, wyznającego filozofię, że najważniejsze w świecie jest to, co jest ważne dla niego.

- Świat kręci się wokół tego, czego ja potrzebuję i czego ja chcę. Opracowuję plan i realizuję go - mówiła ławniczka, dalej grając rolę oskarżonego. - Tak, to nielegalne, ale mam to gdzieś, bo chcę to zrobić. Tak rozbudowanego planu nie zrealizowałby psychotyk. Myślę, że on był naprawdę inteligentny.

Następnego dnia przysięgli doszli do porozumienia: to, co zrobił Clark Rockefeller, nie było dziełem żyjącego urojeniem świata. Był to starannie wyreżyserowany plan egocentrycznego narcyza, który tak długo dostawał to, czego chciał, że uważał się za uprawnionego do 800 000 dolarów od Sandry, a także do odebrania jej córki. Nie był niepoczytalny. Był winny.

12 czerwca przewodniczący ławy przysięgłych przedstawił werdykt sądowi: winny najcięższych zarzutów - porwania osoby nieletniej oraz napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Rockefeller, który wysłuchał werdyktu na stojąco, miał obłęd w oczach, ale nie odezwał się. Jego adwokatom udało się doprowadzić do utracenia jednego z zarzutów: podania policji fałszywego nazwiska, argumentowali bowiem, że nazwiskiem Rockefeller posługiwał się od bardzo dawna i zrosło się z jego osobą. Obrona wystąpiła o łagodny wyrok: mniej niż dwa lata więzienia. Prawnik Rockfeller'a przekonywał, że jest to sprawiedliwa kara dla „zaburzonego psychicznie człowieka”, który „bardzo kochał swoją córkę i popełnił wielkie błędy, usiłując wyrazić tę miłość”. Oskarżenie wystąpiło o maksymalny wyrok piętnastu lat więzienia. Prokurator odczytał oświadczenie Sandry Boss, w którym znalazł się między innymi taki fragment: „Kiedy porwał Reigh, przeżywałam najgorszy koszmar matki - możliwość, że dziecko zniknęło bez śladu. Pojawiające się makabryczne informacje o mglistej przeszłości porywacza pogłębiały moje obawy, że mojej córce może się stać krzywda”.

Tego samego dnia sędzia Frank Gaziano zakończył proces następującymi słowami:

- Oskarżony nie okazał żadnego szacunku dla prawa. Sądził, że uda mu się wymanewrować Sandrę Boss, biorąc jej pieniądze, a potem córkę. Oskarżony popełnił ten czyn, ani przez chwilę nie myśląc o cierpieniach przeżywanych przez panią Boss.

Sędzia skazał Rockfeller'a na cztery do pięciu lat więzienia za porwanie i na dwa do trzech lat za napaść z użyciem SUV-a, przy czym kary można było odsłużyć jednocześnie.

Osadzony, któremu Wydział Penitencjarny Massachusetts przyznał numer W94579,14 czerwca 2008 roku zaczął odsiadywać wyrok w więzieniu o łagodnym rygorze, które mieściło się w szpitalu w Gardner z przełomu XIX i XX wieku. Dostał celę na trzecim piętrze - zasadniczo łóżko, ubikacja i zlew - którą w liście do znajomych opisał po swojemu: „Mam dwupokojowy apartament!”.

Spędzał czas na czytaniu, pisaniu i przygotowywaniu odwołania. Poprosił znajomego o przysyłanie mu jego ulubionych czasopism - „Sailing World”, „Cruising World”, „Sail, Latitudes & Attitudes” - i dodał: „Nie wiem, komu zaufać (oprócz ciebie). Martwię się, że ktoś może mnie oszukać”.

Chociaż ze skruchą opowiedział innemu znajomemu o swoim dzieciństwie w Niemczech i stwierdził, że despotyzm ojca zmusił go do ucieczki do Ameryki, publicznie nadal występował jako Clark Rockefeller. Rok po procesie pojawił się na sali sądowej w tweedowej marynarce. Jego wniosek o skrócenie wyroku został oddalony. W kwestii zniknięcia Johna i Lindy Sohusów obrońca Rockefellera Jeffrey Denner powiedział:

- Pan Rockefeller nie miał absolutnie nic wspólnego z tą sprawą.

Dla mnie historia Clarka Rockefellera zakończyła się w przyziemiu na przedmieściach, gdzie zaproszono mnie do obejrzenia części dobytku Christiana Karla Gerhartsreitera. Nie dowiedziałem się, w jaki sposób te rzeczy tam trafiły, ale było tam wszystko: świadectwo urodzenia, niemiecki paszport, okulary w szylkretowych oprawkach, które nosił jako Christopher Chichester, oraz czarne rayban wayfarersy, które nosił jako Clark Rockefeller. Był też mocno zniszczony brązowy skórzany portfel firmy Ghurka z kilkunastoma kartami członkowskimi prywatnych klubów - Algonquin Club i Harvard Club w Bostonie, India House, Metropolitan Club i Lotos Club w Nowym Jorku. Wielki plik spiętych gumką kart kredytowych - część na jego nazwisko, część na Sandrę Boss.

W jednym z pudeł można było znaleźć imponującą i dużą kolekcję pamiątek związanych z rodem Rockefellerów: broszury o sławnych członkach rodu (jedna z 1932 roku), zdjęcia przywódców klanu (Johna D. seniora i juniora, Nelsona i Davida) i wycinki z gazet, akcje Chase Manhattan Corporation, własności rodziny Rockefellerów (podpisane przez Davida Rockefellera); listy od Johna D. Rockefellera juniora („Najdroższa, dziękuję za piękny i pełen zrozumienia list...”) oraz inne rzeczy, które, wydawałoby się, mogły należeć tylko do prawdziwego Rockefellera.

Znajdowały się tam również dzieła sztuki, ale nie te najwybitniejsze, którymi uwielbiał się popisywać: niektóre w pudłach, niektóre pod ścianą, niektóre na podłodze, między innymi Abrupt Break, mały obraz jego przyjaciela Williama Quigleya, który Rockefeller rzekomo znalazł w antykwariacie. Jego ubrania, wszystkie od J. Pressa, leżały w dużym pudle - frak, kilka pikowanych kurtek sportowych, wszystko w plastikowych torbach. Wiedziony nieznanym porywem, sięgnąłem do kieszeni jednej z kurtek i ku swojemu zaskoczeniu znalazłem tam małego sztucznego penisa ze szkła. Były też nowe koszule od J. Pressa, jeszcze nierozpakowane, i kilka par sznurowanych butów od Churcha, brytyjskiego producenta obuwia, numer 42. W papierowej torbie znalazłem pretensjonalny strój, który Rockefeller nosił każdego dnia podczas procesu - blezer, biała koszula, spodnie khaki. Wszystko składało się na swego rodzaju zestaw „zrób-to-sam” dla hochsztaplera. Dla osoby nieświadomionej była to jednak przypadkowa kolekcja osobistych przedmiotów.

Czy te rekwizyty, z których pomocą Christian Karl Gerhartsreiter oszukał Amerykę, trafią na wysypisko śmieci, czy też więzień, po wyjściu w 2013 roku na wolność, zabierze je i zacznie nowe życie w innym mieście z nową tożsamością?

Odpowiedź zależy od rozwoju wydarzeń w Kalifornii, gdzie funkcjonariusze biura szeryfa hrabstwa Los Angeles i FBI kontynuują śledztwo, przesłuchują liczne grono postaci, które

wystąpiły w spektaklu wyreżyserowanym przez Christiana Karla Gerhartsreitera - organy ścigania próbują „ułożyć puzzle z tysiąca elementów”, jakie stanowią jego liczne tożsamości, a przede wszystkim znaleźć odpowiedź na pytanie, co się stało z Johnem i Lindą Sohusami.

Ich dusze żyją dalej w niewielkim domu w południowej Kalifornii, w pamięci Sue Coffman, lojalnej najlepszej przyjaciółki Lindy.

- Nie pozwolono im umrzeć z godnością - powiedziała. - Nie było nabożeństwa za ich dusze. Nie było pożegnania. Nie było nic.

Sue ma nadzieję, że pamięć o nich zostanie uwieczniona, kiedy uda się rozwikłać zagadkę ich śmierci i pociągnąć zabójcę do odpowiedzialności.

15 marca 2011 roku Christian Karl Gerhartsreiter usłyszał zarzut zamordowania Johna Sohusa. Śledczy z biura szeryfa hrabstwa Los Angeles doszli do wniosku, że zgromadzili dostatecznie dużo dowodów w tej sprawie. Zaliczała się do nich identyfikacja szczątków znalezionych za domem w San Marino jako należących do Johna. Los Lindy nie został poruszony w akcie oskarżenia. Po widzeniu z klientem w więzieniu jeden z adwokatów Gerhartsreitera powiedział mediom, że Gerhartsreiter jest „absolutnie niewinny” i stanowczo odrzuca oskarżenia.

Zanim Gerhartsreiter otrzymał tę wiadomość, pracował nad odwołaniem od wyroku za porwanie. Powiedział znajomym, że jest przekonany, iż uzyska przedwczesne zwolnienie z więzienia i nie może się doczekać, kiedy zacznie nowe życie, być może jako pracownik telewizji.

Kiedy rozniósł się wiadomość o zarzucie zabójstwa, rozsiane po całym świecie postacie spektaklu wyreżyserowanego przez Gerhartsreitera zaczęły się ze sobą kontaktować i z niecierpliwością czekały na to, jakie oblicze tym razem pokaże

enigmatyczny hochsztapler - a może podczas rozprawy o zabójstwo nareszcie ujawni choćby część swojej prawdziwej tożsamości?

Podziękowania

Przede wszystkim pragnę podziękować Alessandrze Lusardi, mojej genialnej redaktorce z Viking Penguin: dziękuję Ci za Twoją mądrość, entuzjazm, fachowość i cierpliwość, z jaką razem ze mną układałaś „puzzle z tysiąca elementów”, jak nazwano życie bohatera tej książki. Dziękuję także prezes Viking Penguin Clare Perraro, która od początku gorąco popierała ten projekt.

Historia Clarka Rockefellera została po raz pierwszy opisana w wydaniu czasopisma „Vanity Fair” ze stycznia 2009 roku. Pragnę podziękować niesamowitemu Wayneowi Lawsonowi za jego życzliwość i wsparcie w okresie, kiedy razem ze mną pracował najpierw nad artykułem, a potem nad książką; naczelnemu „Vanity Fair” Graydonowi Carterowi za wysłanie mnie na poszukiwania prawdy o Clarku Rockefellerze oraz za entuzjastyczną reakcję na artykuł w „Vanity Fair”, który z tego wynikał; Matthew Pressmanowi za bezcenną i inteligentną pomoc w pracy nad artykułem i książką.

Dziękuję również mojemu wspomniałemu agentowi literackiemu Janowi Millerowi Richowi z Dupree Miller & Associates oraz mojemu serdecznemu przyjacielowi i znakomitemu doradcy Jeffowi Richowi, który podsuwa mi ciekawe historie do sprawdzenia. Bardzo sobie cenię Twoją przyjaźń.

Prawie każdy materiał dziennikarski ma swoje pierwotne źródło. W przypadku Clarka Rockefellera była nim Roxane West. Poznawszy Rockefellera w Nowym Jorku, Roxane zadzwoniła do mnie pewnego popołudnia niedługo po tym, jak Rockefeller porwał swoją córkę, i dosłownie krzyczała do słuchawki, że muszę o nim napisać. Dziękuję Ci, Roxane, za ten telefon - a także za późniejszą pomoc, przemyślenia i

wspomnienia.

Dziękuję Elizabeth Suman za nieustrudzone i cenne kwerendy, Johnowi Ruddyemu za nieustanną pomoc i Tomowi Colliganowi za weryfikację faktów w tym labiryncie miejsc i ludzi.

Dziękuję personelowi hotelu Taj Boston. Dzięki Waszej gościnności i luksusowym apartamentom miałem w tym mieście drugi dom. Dziękuję również pracownikom Sheila Donnelly & Associates za pomoc, jakiej udzielili mi w Bostonie.

Niniejsza książka opiera się na rozmowach z prawie dwustoma ludźmi, którzy spotkali na swojej drodze człowieka od jakiegoś czasu znanego jako Clark Rockefeller. Wiele z tych osób pragnie zachować anonimowość, toteż poniższa lista jest dalece niepełna.

W Niemczech towarzyszył mi Marten Rolff, dziennikarz, który pisał o Rockefellerze. Dziękuję Ci, Marten, za pomoc w tłumaczeniach, kontaktach i zbieraniu informacji. Dziękuję również wszystkim mieszkańcom Bergen, którzy zechcieli porozmawiać z przybyszem z Ameryki. Szczególne podziękowania należą się mężczyznom, którzy przez cały dzień pili ze mną piwo w ogródku piwnym.

W Connecticut dziękuję następującym osobom: Edward Savio, Chris Bishop, Wayne Campbell, porucznik policji w Greenwich Daniel Allen i Jeff Wayne.

W San Marino i innych miejscowościach kalifornijskich: Jann Eldnor, Peggy Ebright, Elmer i Jean Kellnowie, Sue Coffman, sierżant biura szeryfa hrabstwa Los Angeles Timothy Miley, Frank Girardot (redaktor naczelny gazet lokalnych Metro w San Gabriel Valley), Wayne Kelln, Kenneth Veronda, Dana Farrar, Carol Campbell, Bill i Cori Woods, Meredith Bruckner, Carol i Warner J. Iliffowie, Steven J. Biodrowski, profesor Geoffrey Greene, Bernice Sadamune, Tricia Gough, Lilli Hadseli, Marianne Kent, Lydia Marano, Ralph Wikke, producenci serialu telewizyjnego *Unsolved Mysteries* i członkowie Los Angeles

Science Fantasy Society, którzy z taką sympatią wspominali Johna i Lindę Sohusów.

W Nowym Jorku: Anthony Meyer, Martha Henry, William Quigley, Venanzio Ciampa, Lawrence Steigrad i Peggy Stone, Sharlene Spingler, Dave Copeland, Richard Barnett, Stanley Forkner, Bob Brusca, Eric Hunter Slater, Ralph Boynton, Sheldon Fish, Jeffrey Richards, i Brittney Ross.

W Cornish, New Hampshire: Peter Burling, Alma Gilbert-Smith, Merilynn Bourne, Don MacLeay, Nancy Nash Cummings, Laura White, Charlie White i Gregory Schwarz.

W Bostonie: Jake Wark, Stephen Hrones, Patrick Hickox, sierżant bostońskiej policji Raymond Mosher, śledczy Joe Leeman, Bob Skorupa, John Greene, John Sears, agentka FBI Noreen Gleason, Gail Marcinkiewicz, agentka FBI Tamara Hardy, Frank Rudewicz, Gretchen Berg i jej współpracownicy z NBC (programy Dateline i Today), zastępca komendanta głównego bostońskiej policji Thomas Lee, zastępca prokuratora generalnego hrabstwa Suffolk David Deakin, adwokaci Jeffrey Denner i Timothy Bradl, Jessica Van Sack, Jonathan Saltzman, Denise Lavoie, Victoria Block, Maria Cramer i personel Algonquin Club.

W Baltimore: Julie Gochar.

Dziękuję również Nancy Doherty, Annie Laurie Hines, Carolyn Hines, Keenanowi Delaneyowi i Tomowi Rizerowi.

Na koniec pragnę podziękować mojej rodzinie: Evelyn Abrams Kraus i Melvin Kraus, świętej pamięci Berney Seal, Eddie i Melissa Sealowie z rodziną, B.J. i Alana Seal z rodziną, Brandon i Jennifer Blocker z rodziną oraz wszyscy członkowie klanów Sealów, Abramsów, Krausów, Blockerów i Gambinich.

Źródła ilustracji

4. Dzięki uprzejmości Thomasa Shweigera
7. Chris Newberg
8. „San Marino Tribune”, wykorzystane za zgodą The San Marino Tribune Company, Inc.
- 11-14. Laura White 15,16. Jon Gilbert Fox
17. Susan Symonds dla Infinity Portrait Design
18. Julie Gochar, Obsidian Realty



1-3. Christian Karl Gerhartsreiter przyjechał do Bostonu 16 grudnia 1978 roku w wieku siedemnastu lat. Przedstawione tutaj dokumenty to: paszport, karta stałego pobytu i świadectwo urodzenia. Christian powiedział rodzicom, że załatwił sobie pracę didżeja w Nowym Jorku, a oni zgodzili się przysyłać mu co miesiąc pieniądze, zanim się urządzi w Ameryce. Po otrzymaniu wiza turystycznej spakował się i poleciał z Monachium do Bostonu.



4. Zdjęcie komunijne zrobione w zachodnioniemieckim Bergen. Gerhartsreiter stoi w pierwszym rzędzie z przodu. „Fakt, że Christian stał z przodu, mógł być przypadkowy albo wynikać z jego niskiego wzrostu, tak czy owak, był to chłopak, który we wszystkim chciał wieść prym” - powiedział jego dawny kolega z klasy.

5. „Zawsze pozował” - powiedziała kobieta, która poznała go w czasach, zostanie w życiu kimś - dodał jej mąż. - kiedy mieszkał jeszcze w Niemczech. „Był przekonany, że Chciał wyrobić sobie nazwisko”.



6. Fotografia dla Urzędu Imigracyjnego pokazuje Gerhartsreitera w 1978 roku po jego przybyciu do Stanów Zjednoczonych. Po wylądowaniu w Bostonie pojechał do małego miasteczka w Connecticut, w którym mieszkał jego znajomy, uczeń liceum. Gerhartsreiter poznał go poprzedniego lata, kiedy młody Amerykanin podróżował po Europie z biletem Eurail.



7. Gerhartsreiter zjawił się w akademiku z kompletem kijów golfowych i owiany arystokratyczną aurą. „Któreś z jego rodziców było ambasadorem - powiedział jego kolega z pokoju. - Mówił, że pochodzi z Bostonu”. Na potwierdzenie swoich bostońskich korzeni codziennie jadł bostońskie ciastko z kremem, dodał inny znajomy ze studiów.

8. Wycinek z lokalnej gazety ukazującej się w kalifornijskim San Marino, na zdjęciu po lewej Christopher Chichester jako producent programu lokalnej telewizji kablowej Inside San Marino, po prawej gospodyni programu Peggy Ebright.



SACRAMENTO CONNECTION. Assemblyman Richard Mountjoy will be the featured guest on the May 29 edition of "Inside of San Marino," scheduled for 7 p.m. on American Cablevision Channel 8. Above, Mountjoy (center) discusses the program's format with producer Christopher Chichester and moderator Peggy Ebright. Mountjoy represents the 42nd District, which includes San Marino, and is one of the state's leading conservatives. On the cablecast, Mrs. Ebright asks him about reapportionment, legislative reform, the school finance bill and his grassroot political beginnings.



9,10. Christopher Chichester stał się znaną osobistością w San Marino. Był nie tylko lwem salonowym, który dotrzymywał towarzystwa zamożnym wdowom, udawał również ambitnego studenta szkoły filmowej i asystenta profesora na prestiżowym Uniwersytecie Południowokalifornijskim. Powyżej zdjęcia z imprezy ze znajomymi.



11-14. Te zdjęcia, przy stole jadalnianym rodziny White'ów, zrobiła Laura White, która należała do najlepszych przyjaciół Rockefellera w Cornish. Na stronie obok dwie kartki z dziennika Laury ze wzmiankami o „Clarku”. Za plecy chwyta go synek Laury Charlie. „Był najciekawszą rzeczą, jaka się tutaj od dawna wydarzyła” - wspominała matka Laury White.



„Nie znośli, kiedy go fotografowano” - relacjonowała Laura White. Prawie na każdym zdjęciu Rockefeller przybierał pozę, która utrudniała jego rozpoznanie.

MAY 2001		WEEK 10
37 Monday	May Day Holiday (H)	127038
9:30am = Art class - PM		
Cornish School = 12:45		
til 1:15		
4 8 Tuesday	School	
Sitt. Pick up Clark = Shop		
Dinner here with		
Clark, Charis + ME!		
DM = COMPUTER !*		
5 9 Wednesday	Commissaries + Hann.	
2:30 = Car Seat Safety		
Check. W.		
6 10 Thursday	James Bay St School	
5:30am 217 Comm. West + H		
Boston Clark.		
Lunch at the		
ALBUQUERQUE CLUBS		

RECORD LOCATOR = WGJULY



15. „Nie mam pojęcia, dlaczego tutaj przyjechał - powiedział mieszkaniec Cornish w New Hampshire, gdzie Rockefeller zamienił zabytkową rezydencję w wieloletni plac budowy. - Pewnie chciał mieszkać na odludziu. Twierdził, że szuka domu, który wymaga wiele pracy”. Wstępu na teren posesji strzegł gruby łańcuch i tablice z napisami „WSTĘP WZBRONIONY”, „UWAGA” i „UWAGA ZŁY PIES”.



16. „O ile dobrze sobie przypominam, grał Marsa, a jego córka nimfę” - powiedział dyrektor Muzeum Saint-Gaudensa w Cornish. Rola boga wojny doskonale pasowała do Rockeffellera, który walczył z wieloma mieszkańcami Cornish.

17. Chociaż na większości imprez lowarskich w Bostonie Rockefeller zabraniał fotografom robić sobie zdjęcia, tutaj nie miał takich zahamowań - widzimy go na bankiecie w Liberty Hotel, w budynku dawnego więzienia przy Charles Street. Można uznać za prorocze, że wielu gości, w tym Rockefeller, założyło zabawkowe kajdanki, w ramach aluzji do historycznego charakteru miejsca.



18. Kapitan Chip Smith spędzał wiele godzin w biurze pośrednictwa Obsidian. Owszem, w łososiowych spodniach i żeglarskich butach - zawsze bez skarpetek - sprawiał trochę dziwne wrażenie, ale był klientem, a w biurze Obsidian obowiązuje zasada „klient nasz pan”. Pozwalali mu korzystać z komputerów. Dali mu nawet klucze do biura. W końcu sprzedali mu dom przy Ploy Street 618. W jednym z pokoiów tego domu (zdjęcie u dołu) dochodzeniowcy znaleźli elementy jego najnowszej tożsamości.



Los Angeles County
Sheriff's Department Homicide Bureau

INFORMATION **WANTED**

IN CUSTODY



Christian Karl Gerhartsreiter
1978 INS photo



Clark Rockefeller
2008 photo



Chris Chichester
1980's photo

Homicide Investigators are seeking the public's assistance in developing information regarding the 1985 disappearance of John & Linda Sohus of San Marino, California. The male depicted in this bulletin was a tenant at the Sohus residence, at the time of their disappearance. Anyone with information regarding this case or the male in the bulletin are urged to contact Los Angeles County Sheriff's Homicide Bureau Detectives.

File Number - 094-00061-3199-011

Attention: Sgt.s Bobby Taylor or Timothy Miley
LASD HOMICIDE (323) 890-5500

5747 Rickenbacker Road, Commerce California 90040

19. Śledczy badający sprawę zniknięcia Johna i Lindy Sohusów napotykali liczne przeszkody: świadkowie umierali, prokuratorzy okręgowi byli przenoszani gdzie indziej, kiedy pojawiły się jakieś postępy, a policjanci gubili się w tym labiryncie i poświęcali się innym śledztwom. Dzięki temu wszystkiemu osoba „będąca w kręgu zainteresowań” nie tylko pozostawała na wolności, ale bez przeszkód wspinała się po drabinie społecznej.

„Ten utalentowany pan Rockefeller jest jak żywcem wyjęty z filmu Hitchcocka”.

„Library Journal”

Jako Clark Rockefeller podbił Manhattan. Jego własna żona przez piętnaście lat wierzyła, że najbliższy jej człowiek jest tym, za kogo się podaje.

W rzeczywistości był oszustem, którego historia jest lepsza niż dzieje pana Ripleya i Nikodema Dyzmy.

„Clark Rockefeller” jest autorem jednego z najdłuższych oszustw w dziejach.

Pojawiał się znikąd. Znakomitymi manierami i ogładą godną lorda zdobywał zaufanie najbardziej szanowanych obywateli i szybko sam stawał się jednym z nich. Mimo że arystokratycznego sposobu bycia nauczył się z telewizyjnego serialu, jego metody działały zarówno w małym kalifornijskim miasteczku, jak i na salonach Nowego Jorku. Choć knucia intrygi uczył się ze starych filmów *noir*, przez trzydzieści lat udawało mu się oszukać niemal każdego.

Znakomity reporter Mark Seal przeprowadził dziennikarskie śledztwo, które odtwarza karierę **najsłynniejszego amerykańskiego oszusta**. Ta książka pokazuje, że prawda zostawia w tyle najlepszych hollywoodzkich scenarzystów.

W 2013 „Clark Rockefeller” znów może znaleźć się na wolności. Poznaj go, zanim zapuka do twoich drzwi.

www.znak.com.pl

książki z dobrej strony

